

## **41. Smoki chaosu**

# 41. Smoki chaosu

# 41. Smoki chaosu

SMOKI CHAOSU

Pod redakcją Margaret Weis i Tracy'ego Hickmana

Przełożyła Ewa Hiero

Zysk i S-ka Wydawnictwo

Tytuł oryginału The Dragons of Chaos

Copyright © 1997 Wizards of the Coast, Inc. All rights reserved First published in Poland by

Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2002 Polish language rights with Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, żyjących czy zmarłych, jest zupełnie przypadkowe. This material is protected under the copyrights laws of the United States of America. Any reproduction or unauthorized use of the material or artwork contained herein is prohibited without the express written permission of Wizards of the Coast, Inc. Dragoniance and the Wizards of the Coast logo are registered trademarks of Wizards of the Coast, Inc., a subsidiary of Hasbro, Inc. All Dragoniance characters and the distinctive likenesses thereof are trademarks of Wizards of the Coast, Inc. Visit our website at <http://www.wizards.com> Redakcja Paulina Wierzbicka Wydanie I ISBN 83-7150-643-0 Zysk i S-ka Wydawnictwo ul. Wielka 10, 61-774 Poznań tel. (0-61) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26 Dział handlowy, ul. Zgoda 54, 60-122 Poznań tel. (0-61) 864 14 03, 864 14 04

e-mail: [sklep@zysk.com.pl](mailto:sklep@zysk.com.pl) nasza strona: [www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

OCZY CHAOSU Sue Weinlein Cook

Ostatni olbrzym ciężko uderzył o wypaloną słońcem ziemię. Leżał nieruchomo obok ciał swoich towarzyszy. Po chwili odurzona istota bezsilnie próbowała oddalić się od miejsca masakry.

Błękitna smoczyca wyciągnęła pazury; jeszcze raz zamierzała uderzyć na swoją ofiarę, jednak zawahała się. Zmrużyła oczy; była zmęczona tą zabawą.

Oddychała głęboko, delektując się ostrym, płomiennym oddechem w każdej chwili gotowym do eksplozji.

Smoczyca patrzyła, jak olbrzym bezskutecznie starał się wyswobodzić spod stosu przygniatających go ciał. Wciągnęła powietrze i jak najdłużej trzymała je w płucach. Ogień z paszczy błękitnego potwora gwałtownie pchnął żałosnego olbrzyma, wyrzucając go w górę na wysokość piętnastu stóp. Wylądował na szczątkach nieukończonego, drewnianego mieszkania. Upadł na ziemię, jego ciało drżało w spazmatycznych drgawkach, a poczerwiała twarz wyrażała przerażenie, gdy przed oczami zamigotały mu iskry. Nić gryzącego zapachu dymu unosiła się z suchego drzewa i w mgnieniu oka całą konstrukcję pochłonęły trzeszczące płomienie. Olbrzym nie podniósł się więcej.

Rogaty nos smoczycy wzniósł się ku chmurom i ryknęła donośnie. Uwielbiała brzmienie swojego głosu. Uwielbiała, kiedy odbijał się echem w opustoszałej, ogarniętej kryzysem ziemi. Zrobiła kilka kroków do przodu i zanurzyła pazury w stercie ciał olbrzymów, które były już tylko gromadą padliny. Zrobiła jeszcze kilka kroków, po czym napięła mięśnie kończyn i poderwała się do lotu.

Machała skrzydłami coraz gwałtowniej, aż sięgnęła chmur na późnoletnim niebie. Clamor uwielbiała prędkość. Rozkoszowała się jej dźwiękiem. Szybkość i odgłos lotu nasycaly ją rozkoszą. Napędzana nagłym przyływem energii i podekscytowana falą zimnego, otulającego jej błękitną skórę powietrza Khalkist, leciała coraz szybciej. Poleciwszy jeźdźcowi, aby trzymał się mocno, smoczyca zaczęła się stopniowo spadać. Skuliła długi pysk, zwinęła silne skrzydła i uderzyła o ziemię. Jak elfia strzała wślizgnęła się do osmalonej wioski olbrzymów. — Jak ci się podobało,

Jerne?

Zachwycając się swoim dziełem, Clamor nie zauważyła nawet, że jeździec nie odpowiedział.

Oszacowawszy zniszczenie, którego była sprawcą, zadowolona smoczyca wydała z siebie przeraźliwy gardłowy jęk, próbując z całych sił upodobnić swój śmiech do śmiechu partnera, Rycerza Ciemności. Poruszała głową w tył i przód, chciała objąć wzrokiem zgliszcza domów zburzonych i dogasających po pożarze. Patrzyła na surowe kamienie pozostałe po wysadzonych w powietrze mieszkaniach. Zapach zwęglonych ciał unosił się dookoła, drażniąc jej nozdrza. Spojrzała na szczątki, dopalającego się ciała olbrzyma. Niełatwo było je zidentyfikować. Więcej ciał było rozrzuconych w centrum wioski. Tamte zwłoki nie zostały uszkodzone. Obok nich spoczywały kosze i narzędzia; najwyraźniej wypadły z rąk właścicieli, zanim ci zemdleli. Również świny i jaszczurki hodowane przez mieszkańców na pożywienie, leżały nieprzytomne w klatkach.

— Pamiętasz te wspaniałe chwile, kiedy byliśmy tutaj razem po raz ostatni, Jerne? — zapytała chłodno Clamor. — Czy to nie miesiąc temu razem z resztą skrzydlatych rycerzy zrównaliśmy tę krainę z ziemią, werbując wcześniej wszystkich zdolnych do walki do szeregów Pani Ciemności? Od tamtej pory dużo się wydarzyło. Nasza inwazja...

Zamyślona smoczyca jeszcze raz okrążyła wioskę. Rozpięła skrzydła, aby nabrać powietrza. Ożywiona tryumfem ostatnich tygodni lata, najgorętszego w pamięci smoków, leciała wzdłuż wybrzeża. Armie Rycerzy Takhisis uformowały przerażający

oddział i wraz z sojusznicznymi smokami zrównali z ziemią cały kontynent, dokonując podboju, jakiego nie znano w całej Wspaniałej Erze Ansalon.

— Pamiętasz, państwa upadały jak suche patyki łamane pod naszymi stopami. Pokazaliśmy światu prawdziwy honor i strach. Wszyscy bili pokłony Jej Ciemnej Wysokości...

Clamor się zawahała. Nie chciała przywoływać ostatniego rozdziału opowieści tamtego doniosłego lata. Krew pulsowała jej w głowie. Nadeła wypełnione gorącym powietrzem skrzydła i ponownie się wzniosła. Kiedy osiągnęła odpowiednią wysokość, jeszcze raz wykręciła szyję i po raz ostatni rzuciła okiem na swoje dzieło. Coś, co wyglądało jak grupa olbrzymów powracających z polowania, właśnie wkroczyło do wioski.

Clamor uśmiechnęła się z wyższością. Wyobraziła sobie ich zdziwienie, kiedy zobaczą zgliszcza domów.

Zakazuje się rycerzowi angażowania w bój z bezbronnym przeciwnikiem. To tylko dogasające ruiny.

Jeden z włochatych potworów spojrzał w górę i wskazał na Clamor. Pozostałe olbrzymy skuliły się ze strachu. Stojący wśród ruin zamarłego świata wyglądali jak małe, bezbronne istoty.

— Biedne stworzenia! — zakpiła głośno smoczyca, po czym zniknęła w bieli chmur. Biedna Clamor!

Smoczyca zadrżała, kiedy nagle poczuła ból w prawej kończynie, która teraz pociemniała i bezwładnie zwisała. Kapała z niej zielona posoka. Clamor przeklinała olbrzyma, którego pozostawiła daleko za sobą, wiedząc, że przerwa w Blode pogorszyła jej ranę. Szarpiący ból przywołał wspomnienie bitwy, w której została zraniona. Czowała, że jej serce bije coraz szybciej i pomimo zimnego południowego wiatru skóra staje się gorąca. Tak bardzo chciała wyrzucić te wspomnienia z pamięci. Miała wrażenie, że wszystko wydarzyło się wczoraj... nie, to było wczoraj.

Clamor była niebywale dumna. Wraz z Jerne dostąpili zaszczytu zastępczego lotu do dzielnego rycerza Steel Brightblade,

który był astride Flare. Ich skrzydło oddzieliło się od ruin Wysokiej Wieży Clerist, aby na własną rękę dotrzeć do kształtującej się szczeliny Oceanu Turbidus. Lecieli dalej i dalej, aż Clamor się

upewniła, że w każdym momencie mogą wydostać się na drugą stronę świata. Wreszcie pojawili się w Abyss, gdzie smoczyca dostrzegła swojego wroga.

Niewiele rzeczy było w stanie zastraszyć błękitną smoczycę, ale widok olbrzyma zwanego Chaosem przeraził ją. Ogromna, pokaźna figura zaryczała jak wybuchający wulkan. Potwór drwił z tych, którzy przybyli, aby stanąć z nim do walki. Już odrażające brzydota oblicze olbrzyma wystarczyło, aby smok zawahał się przed atakiem, a kiedy się weźmie pod uwagę jego rozmiary, nawet czerwony smok mógłby stchórzyć. Clamor pomyślała, że najgorsze są oczy. Pozbawione powiek otwory w twarzy potwora wchłaniały w swą nicość wszystko, co pojawiło się przed nimi. Clamor czuła, że przerażające czarne źrenice mogą pochłoniąć jej duszę.

Miejsce dookoła Smoka zajęły ogniste smoki — okrutni słudzy Chaosu. Istoty będące żywą magmą zionęły na przeciwników parzącym, śmierdzącym siarczanym oddechem. W tym samym czasie z obsydianowych łusek i ognistych skrzydeł sypały się iskry, które miały oparzyć błękitną smoczycę i jej jeźdźca.

Steel wydał rozkaz ataku na obrzydliwe potwory, wojowników daemon. Clamor i Steel stanowili zgrany zespół, doświadczony wieloletnimi treningami i niezliczoną ilością najazdów w czasie letniej inwazji. Z zaciekłością uderzyli na wroga. Wtórowali im pozostali niebiescy i srebrni, towarzysze bitwy z Rycerzami Solamnii. Smoczyca wiedziała, że była to walka o wszystkie dzieci Krynnu.

W uciążliwym upale Abyss bitwa rozpętała się na dobre i wycie smoków mieszało się ze śmiertelnymi westchnieniami tych, którzy ginęli. Nastąpiło to, kiedy Clamor i jej rycerz zdążyli już pokonać kilku przerażających wojowników daemon.

Jerne uniósł pobłogosławiony przez Jej Naj wyższą Ciemność miecz, który otrzymał w dniu, kiedy stał się jej rycerzem, po czym dał znać Clamor, aby przybliżyła się trochę do wroga.

Clamor, chociaż wyczerpana zmaganiem w tej niekończącej się bitwie, odważnie wyraziła zgodę. Wojownik daemon wyszczerzył zęby w dzikim uśmiechu, kiedy jego ognisty smok przybliżał płomienne skrzydła ku Clamor.

Stój!, pomyślała z przerażeniem błękitna. „Jerne nie siedzi prawidłowo w siodle!” Próbowała zmniejszyć dystans, ale było już za późno. Z ostatnim uderzeniem o jej pachwinę Jerne osunął się do tyłu, po czym wydając bojowy okrzyk i wymachując zaciekle mieczem, rzucił się w samobójczym ataku na przeciwnika daemon. Pozbawiona równowagi Clamor zmagiała się ze swoim ciałem, aby wrócić do poziomu. Przerazona patrzyła, jak Jerne przewraca wojownika daemon i spada razem z nim na ziemię.

— Jerne! Nie! — Jej rozpaczliwy krzyk zamienił się w jęk bólu, kiedy pozbawiony jeźdźca ognisty smok zaatakował, parząc jej prawą kończynę. Rozwścieczona Clamor obróciła się w powietrzu, a utkwivszy wzrok w oczach ognistego smoka, wystrzeliła ognisty piorun, oświetlając bagno bezładu. Za uderzeniem posypały się widoczne na zewnątrz łuski obsydianu, które pchnęły ognistego smoka prosto na lance atakującego Rycerza Solamnii i jego srebrnego wierzchowca.

Pozbawiona sił i okaleczona Clamor zwolniła, aby uchronić się przed gwałtownym uderzeniem o ziemię. Ból osłabiał jej ostrość widzenia. Jak przez mgłę widziała zwłoki wojownika daemon, a na nich ciało ukochanego Jerne. Clamor spojrzała w górę. Śledziła zmagających się z Chaosem Flare i Steel, patrzyła, jak przebili go sztyletem, wysączając jedną kroplę krwi, która spadła na ziemię niedaleko Clamor. Zajęta śledzeniem ciosów Flare, ledwie dostrzegła niewielką srebrnowłosą istotę, która dwoma kawałkami błyszczącego kamienia grzebała zawzięcie w miejscu, gdzie przed chwilą spadła kropla krwi. Po chwili, bliska płaczu, odbiegła.

Z trudem powstrzymując pulsujący ból oparzonej kończyny, okaleczona Clamor spróbowała się podnieść. Potykając się, zrobiła kilka kroków do przodu, po drodze nadeptując raną stopą skrawek

ziemi zabarwiony na czerwono fluidem życia Chaosa.

Błękitna smoczyca nagle opuściła pole bitwy, gdy krew Ojca Wszystkiego i Nicości złączyła się z jej własną. Mimo że pamiętała słowa Jerne, mówiącego, że od rezultatu bitwy zależy przetrwanie Krynnu, nie potrafiła stawić oporu głosowi, który rozkazywał jej wznieść się wysoko poza granice Abyss. Pozbawionej rozsądku Clamor zdawało się, że widzi wlepione w nią przerażające pustką otwory — oczy Chaosa. Zanim bitwa została daleko za nią, Clamor usłyszała donośne rechotanie tytana. Dzieci Chaosa!

Clamor potrząsnęła głową, próbowała pozbyć się wspomnień, które nie dawały jej spokoju. — Jerne, jak mogłeś mnie opuścić? — wyszeptwała. — Nie pamiętasz? — Nie chcę tego pamiętać! — smoczyca wrzasnęła w chmu rach.

Jakby w odpowiedzi na to powrócił ból w lewej kończynie. Clamor syknęła, czując jak ból powoli przechodzi wzdłuż jej kończyny, obejmując całe podbrzusze. Wiedziała, że przed mroczną prawdą nie ma ucieczki. „On mnie pożera”, myślała przerażona, „ta rana jest samym Chaosem, który odbiera mi życie! Jerne, co mam robić? Jedyne, co może mi pomóc, to... “

Nagła myśl wyciszyła skumulowany w niej strach. W jednej chwili zrozumiała, jak może zaspokoić płynącą w niej nienasyconą krew Chaosa. On chce życia, więc mu je dam, ale nie moje własne.

Zadowolona ze swego pomysłu radośnie cisnęła piorunem. Ogień rozświetlił niebo, zabarwiając chmury na czerwono. Serce waliło jej jak młotem. Zacisnęła mocno skrzydła i wynurzyła się z chmur. Obserwowała znajdującą się poniżej, soczyście zieloną krainę.

— W twoje imię, Sir Jerne Stormcrown, podbiję całą ziemię! — oświadczyła błękitna smoczyca, zwracając się do nieobecne go jeźdźca. — Wszystko to dla twojej chwały, aby pokazać światu najdzielniejszego z rycerzy! honorhonorhonorhonorhonor Clamor leciała na skraju lasu, szukając śladów cywilizacji.

Nie była w południowych stronach Ansalon od wielu lat, od kiedy elfy przywróciły Zmorę, która po Wojnie Lanc przeklęła Las Silvanesti. Smoczyca wdychała zapach świeżych rozrostłych drzew. Tylko elfy były zdolne do uprawiania ziemi w czasie takiej suszy, pomyślała z bólem, tęskniąc za chłodem na wyspie, gdzie mieszkali i trenowali z Jerne przez wiele lat.

W jej oczach pojawił się błysk na widok polany wśród drzew. Gdy się zbliżyła, przed jej oczami pojawił się obraz nietkniętej od lat wojenną pożogą osady. Podobni do poprzednich, pomyślała, mrucząc z zadowolenia. Wyobraziła sobie, jak bardzo byłyby wściekłe mieszkające tu elfy, gdyby wiedziały, kim są w porównaniu z olbrzymami pod jakimkolwiek względem.

Błękitna smoczyca okrążyła wioskę i opadła na nią. Powietrze zaświszczało dookoła jej ciała. — Dla ciebie, Jerne! — ryknęła, posyłając błyskawicę na zgromadzone wokół sadzawki w centrum osady elfy, Silvanesti. Wybuch położył pół tuzina elfów, niektórych okaleczył, wielu z nich wpadło do wody. Reszta zaskoczona rozpięzchła się z przerażającym piskiem. Clamor biegła za grupką delikatnych białych stworzeń, które skryły się w nieodległej, zbawiennej dla nich iglicy. Schronienie formowały ciasno porośnięte drzewa. Bali się, smoczyca czuła ich strach w powietrzu.

Clamor zbliżyła się do ich sanktuarium. Utkwiwszy w nich wzrok, prowokowała, aby się odwrócili i stawili jej czoło. Zaskoczona smoczyca patrzyła mocnym wzrokiem i zastanawiała się, co będzie dalej. Powoli cienkie, srebrne kosmyki wyrzynały się z ciał elfów i sterczały w powietrzu.

Niesamowite, pomyślała, widząc srebrne włókienka. Bezlitośnie przybliżała się do nich. Wilkołaki zbrązowiały. Nieustępliwy wzrok Clamor coraz mocniej ssal subtelną energię życia elfów. Srebrzysty blask prawie ją oślepił. Czuła, jak wzbiera w niej wściekłość, która przyprawiała ją o szaleństwo. Przerażona spozjrzała na twarz jednego z umierających Silvanestyjczyków. Wyobraziła

sobie, że takie samo przerażenie miała w oczach, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Chaosa... Nagle przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Elfy jak miniaturki opadły nieruchomo na ziemię.

Clamor szybko oczyściła resztę wioski. Jednym dmuchnięciem wysadzała w powietrze mieszkania elfów, pożerając ich dusze, aby nasycić krew Chaosu. Widziała, że kilku Silvanestycykom udało się uciec do lasu. Czując się dziwnie odmłodzona, odleciała do centrum osady i zadowolona położyła się nad brzegiem stawu.

Nagle w gładkim lustrze wody zobaczyła swoje odbicie. Odsunęła się. Jednak po chwili nachylając się mocniej, spróbowała jeszcze raz zajrzeć w zwierciadło wody.

Patrzyła na siebie z obrzydzeniem. Jej skóra wyglądała na chorą. Czarny pas biegł z przodu ciała, przez całe piersi aż do stóp. Odbarwione płyty pokrywały wstrętne krosty i zrakowacia-łe czyraki. Oparzona kończyna zaschła i wyglądała jak zniekształcony kikut. Clamor ledwie przypominała smoka.

Najgorsze były jednak oczy. Wpatrując się w nie, czuła, jak strach zaciska jej gardło. Te oczy przypominały jej własne w jeszcze mniejszym stopniu niż reszta odrażającego ciała. Otwory bez powiek nie miały w sobie ani inteligencji, ani komizmu, ani oddania dla jeźdźca, cech, które zdobyła, będąc partnerką Jerne. Oczy te nie należały do niej. Wypełniała je nieprzebrana ciemność. Nicość. Jaki ojciec, taka córka.

Clamor zawyła i gwałtownie wzniosła się. Nieważne, jak bardzo trzepotała skrzydłami, nie mogła uciec od gromkiego śmiechu pulsującego w jej uszach.

Po godzinie karkołomnego lotu, w trakcie którego całą uwagę skupiała na pompowaniu powietrza, smoczyca oczyściła głowę z kłębiących się myśli i zdołała wyklarować pewną ideę. Silvanestycy, pomyślała i już po chwili leciała prosto w kierunku promienistej stolicy odzyskanej przez elfy. Na myśl o tysiącach żywych istot zabłyśły jej oczy. Kiedy pochłonie tak wielu, z pewnością zadowolą to żadnego krwi Chaosu.

Szalone tempo nie polepszyło samopoczucia i tak osłabionej już Clamor. Lot na złamanie karku nadwerżył jej skrzydła. Bolało ją całe ciało. Nigdy nie zdoła dolecieć do stolicy w takim tempie.

— Króciutka przerwa — poinformowała nieobecnego jeźdźca, chwiejąc się lekko i próbując się wyprostować. — Krótka drzemka nie zaszkodzi. Po niej, świetlisty skarbie, wyniosę cię na wyżyny!

Smoczyca jeszcze kilka razy okrążyła okolice, po czym zniżyła lot, szukając stosownego miejsca na spoczynek. Lubiła otwartą przestrzeń. Niestety, nie znalazła takiego miejsca i rozdrażniona skierowała się ku małej polance niedaleko potoku, gdzie zamierzała odpocząć.

— Ostrożnie, Jerne — powiedziała zaskoczona wstrząsem, jaki wywołało jej lądowanie. Wycieńczona, rozciągnęła się wygodnie na porośłym mchem gruncie. — Nie chciałabym, żebyś zginął. — Wyczerpana, zamknęła oczy i po raz pierwszy po walce z Chaosem odplynęła w głęboki sen. nie chciałabym, żebyś zginął zginął zginął zginął zginął

Clamor ponownie była w Abyss. Jeszcze raz walczyła z Ojcem Wszystkiego i Nicości. Znowu czuła siarczany oddech smoka, słyszała zawodzenia ludzi i smoków. Usłyszała, że rycerz nalega, aby zbliżyła się do szczerzącego zęby wojownika daemon, który w rozkroku siedział na ognistym smoku. Widziała, jak ulega prośbie Jerne. Spojrzała na płomienne skrzydła wroga. Było bardzo jasno. Gdzie... Nie!

Aby uniknąć uderzenia wściekle trzepoczących, ognistych skrzydeł, na pół oślepią Clamor poderwała się gwałtownie do góry. Dokładnie w tym samym czasie przygotowany do ataku Jerne bezskutecznie miotał się, usiłując utrzymać równowagę. — Clamor! — krzyczał rycerz, spadając z siodła. Obrócił się w powietrzu i w ten sposób wylądował na zaskoczonym wojowniku daemon. Po chwili obaj spadali na twardą ziemię. — Jerne, nie!

Clamor drgnęła, wyrывая się ze snu. Zmęczona, z trudem łapała oddech. —Chciałam, abys został bohaterem! — Och, gdyby potok słów był w stanie zatrzymać bolesne wspomnienia. —Chciałam rozgłosić całemu światu, jak śmiałego, chociaż samobójczego, dokonałeś ataku. —Wiesz przecież, że nie było to samobójstwo. —Będiesz najślawniejszym z rycerzy! Twoje imię będą wypowiadać z szacunkiem! Ale najpierw muszę się udać do Silvanesti... — okaleczona smoczyca próbowała się podnieść. Jej twarz wykrzywiła się, kiedy dźwignęła pokrytą krostami skórę. — Zapomniałaś, co znaczy honor, Clamor. —Robię to dla ciebie, Jerne! —Czyżby? —Nie rozumiesz, on mnie pożera!

Niespodziewany hałas dobiegający ze skraju polany rozproszył myśli Clamor. Gotowa do ataku gromada elfów... — i olbrzymów ? — wynurzyła się z poszycia lasu. Smoczyca przez moment się wahała. Elfy napięły stały, kilkunastu olbrzymów przedzierało się do przodu. Grupa rosła. Co sprawiło, że tak śmiertelni wrogowie stali się sojusznikami? — zastanawiała się Clamor. -Ty.

Podczas gdy w dalszych rozważaniach zastanawiała się, w jaki sposób stworzenia te zdołały ją dogonić — przecież nigdy nie była nierozważna i nie pozostawiała żadnych śladów — uderzyły w nią pierwsze salwy strzał. Smoczyca zawyla z bólu i niedowierzania. Osłabiony wpływem zrakowacialej krwi organizm nie miał siły, aby się bronić. Kruche łuski nie były w stanie odeprzeć jedenastu strzał. Wpatrywała się w nadchodzące olbrzymy, kolejne ofiary oddające życiową energię bestii żyjącej w Clamor. — Kiedy się to skończy, błękitna smoczyco?

Clamor potrząsnęła głową, próbując odpędzić wirujący w jej głowie znajomy głos, który przeszkadzał jej się skoncentrować.

— Najpierw oni, potem Silvanestyjczycy, kto będzie następny? Cały Ansalon będzie twoim żerowiskiem?

Smoczyca przerwała, mrużąc oczy. Miała dosyć zmagania się ze śmiercią. —Chcę żyć! — krzyknęła. —Nie tędy droga. Aby ocalić siebie, musisz stanąć do walki z Chaosem, a nie karmić go.

Kiedy olbrzymy się zbliżyły, Clamor siedziała ze wzrokiem utkwionym w nieodległym potoku. Pized jej oczami na powierzchni spokojnie płynącej wody rysowała się znajoma twarz człowieka z krótko przystrzyżonymi rudymi włosami i zielonymi oczami. Jerne uśmiechał się do niej, a kiedy usłyszała jego śmiech, wiedziała, że jej wybaczy. Nie odczuwała już drugiej serii strzał ani trzeciej, uderzających w jej piersi, głowę i kończyny. Zniknęło wszystko poza Jerne.

— Teraz już wszystko będzie dobrze — powiedział Jerne, kiwając do niej głową.

Odgłos tryumfujących napastników dobiegał do niej jak dalekie myśli, aż wreszcie stał się bezsensownym bełkotem i błękitna smoczyca pośpieszyła na spotkanie ze swoim rycerzem.

**WZNIOSŁE SZALEŃSTWO** Mark Anthony

Przybyłem do Redstone w poszukiwaniu mocy. Przynajmniej to sobie wmawiałem. Jednak myślę, że tak naprawdę przybyłem, aby szukać śmierci. Takie już jest prawo życia, człowiek nigdy nie znajduje tego, czego szuka, albo inaczej, nigdy nie szuka tego, co znajduje. Również wtedy, na przeklętym urwisku Redstone nie znalazłem ani mocy, ani śmierci. Dopiero teraz widzę, że można to wyjaśnić tylko w jeden sposób. Bardzo dobrze, opowiem wam swoją historię. Początek będzie dziwny, ale wszystko zaczęło się nie na początku, lecz na końcu. Krynn umarł.

Ogień, grzmot, ciemność... i nagle, z niewiadomego powodu, krwawopurpurowe świtanie, po raz pierwszy od okrutnych dni Drugiego Kataklyzmu. Ci, co przeżyli, błądzili wśród osnutych dymem ruin, które były kiedyś ich domem, miastem, ich życiem. Szukali odpowiedzi. Kto?! Kto spowodował to zniszczenie w świecie? Ale pytanie nie miało sensu. Spoglądając przez zasłonę kurzu i krwi, śmiałem się z nich. Odpowiedź była prosta, ponieważ nie było jej wcale. Kto spowodował Drugi Kataklyzm? My wszyscy i nikt z nas. Zresztą, to nie miało znaczenia. Wszystko teraz wyglądało



inaczej. Tylko to się liczyło. Świat umarł nie po raz pierwszy.

Zanim nastąpił Drugi Kataklizm, zaciągnąłem się do potężnych sił zbrojnych. Podobnie jak inni, nie ja ich wybrałem, lecz oni mnie. Ofiarowali mi schronienie, sens życia, miecz i jadło, aby zaspokoić głód. Czuję, że jestem bezpieczny i na dobrej drodze, drodze, która otwiera przede mną wspaniałą przyszłość.

Wyglądali na silnych, nieugiętych i szlachetnych... pod koniec Wojny Chaosu zostali zdruzgotani jak szkło. Byłem wolny. Stare prawa i zasady razem z pergaminem, na którym były zapisane, obróciły się w popiół. Nowe przepisy nie były jeszcze ustalone. Wiedziałem, że ci, którzy podejmą się tego zadania, wzniosą się na wyżyny obumarłego świata. Chciałem zostać jednym z nich, dlatego wyruszyłem w podróż do Redstone. Byłem prawie na miejscu, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy. Ognisty wiatr własnie zmienił kierunek, rozdierając kłębia-ste chmury kurzu. Stos poszarpanych skał koloru wyschniętej krwi wyrósł przed moimi oczami. Pięć tysięcy stóp od jałowej równiny. Redstone. Wyschniętym językiem oblizałem spierzchnięte usta. — Niech mnie ktoś zabierze, do Abyss — powiedziałem, mając nadzieję, że już tam jestem lub za chwilę się tam znajdę. Uniosłem głowę, aby lepiej widzieć górę. Niestety, jej szczyt rozpływał się we mgle i bladł na tle zaczerwienionego i okopconego od tysięcy pożarów nieba. Zachwiałem się. Chyba nawet upadłem na kolana. Jak chcę tego dokonać? Jak śmiałem o tym myśleć?

Zaszedłem jednak za daleko. Nie zamierzałem zawracać, nie teraz. Fale słabości zostawiłem za sobą, wzięłem głęboki oddech i ruszyłem wzdłuż popękanej, przylegającej do rozbebeszonej podstawy góry równiny.

Opowieść o tej górze po raz pierwszy usłyszałem w oberży niedaleko Kalaman. Było to w okropnym pubie, gdzie wieprz rył w odpadkach rzucanych na podłogę, a znajdował tam więcej żeru niż ci, którzy płacili słońe miedziaki. Jeden z podróżnych — nazywał siebie kupcem, ale ja myślę, że był złodziejem i mordercą — za cenę kubka kwaśnego grzańca opowiedział mi o wielkiej skale. Mówił, że pod wpływem wstrząsów wywołanych Drugim Kataklizmem wytrąciła się ona z wnętrza Chaosu Krynnu. Sylwetkę, którą dojrzała przelotnie w świetle księżycy, wybrała na swój kształt: niedościgniony, skierowany w stronę nieba trójrożnik.

Pijąc grzańca, zastanawiałem się nad tym. Innym razem usłyszałem opowieść od grupy pielgrzymów bezowocnie poszukujących pieśni bogów. Było to w wiosce odległej o stopę od Khalkist, w obozie wygnańców, którzy udawali, że traktują mnie jak rodaka, a tak naprawdę wyrwaliby mi gardło podczas snu, gdybym pierwszy nie zrobił im niespodzianki. I znowu słyszałem później tę historię w innej ruderze, w innej wiosce, w innej miejscinie. Raz usłyszanej historii nie brałbym serio. Dwa razy — wciąż miałbym wątpliwości, ale usłyszawszy ją razy kilkanaście, musiałem uwierzyć. I tak oto znalazłem się tam.

Słońce rozgrzewało mi zbroję, pot spływał z brwi do oczu, podrażniając je. Tysiące razy podczas podróży miałem pokusę, aby zrzucić stal, która oblekała moje ciało. Cisnąć ją w jakiś obrzydliwy dół albo zepchnąć z urwiska, uwolnić się od jej gorąca i smrodu. Niestety, moja ścieżka wiodła przez niebezpieczną krainę. Zatrzymałem więc i zbroję i napierśnik.

Właśnie przymierzałem się do przebycia jednej ze ścieżek pomiędzy porozrzucanymi u nasady głazami, kiedy ujrzałem smoka.

Delikatna, ciemna linia wynurzała się z za dużego głazu coraz wyraźniej. Zamarłem. Zakładałem, że bestia trzyma się najwyższych rejonów, ale z powodu mgły nie mogłem zobaczyć szczytu. Możliwe, że zeszła na dół, pograsować wśród gruzów w poszukiwaniu żeru. Tak naprawdę mogłaby stratować mnie jako stosowną ofiarę, jeszcze zanim otworzyłbym usta i powiedział jedno słowo, co zamierzałem. Przynajmniej zaoszczędziłaby mi wspinaczki. Wgramoliłem się na głaz, który wynurzał

się zza mgły. Na dole w wąwozie nie widziałem żadnego smoka.

Najpierw chciałem prześlizgnąć się wśród skał, aby pozostać nie zauważonym, ale zaniechałem tego. Czy nie lepiej przekonać się, kto za mną podąża? Ciągle miałem w sobie tę cząstkę dawnego ja, który kiedyś ślubował honor, który przysięgał. Słowa te brzmiały pusto. Wszystko było puste i głuche w tym nowym świecie. Wahałem się jeszcze chwilę, po czym wstałem i stromym zboczem poszedłem w dół.

Nie widział mnie. Czy to z powodu tańczących dookoła mnie prochów diabłów, czy z powodu drzemki, nie widział mnie do czasu, kiedy zbliżyłem się na odległość dwunastu kroków od jego obozowiska. Od razu szarpnął głową do góry, zerwał się na nogi i wyciągnął miecz. Trzymając ostrze przed sobą, wymachiwał nim na prawo i lewo, badał teren. Zmarszczyłem brwi. Stałem tuż przed nim, czyżby mnie nie widział?

Dopiero po chwili dostrzegłem brudną od zaschniętej krwi szmatę przysłaniającą jego oczy. Nie, nie widział mnie.

Posunąłem się do przodu, celowo szurając butami o żwir. Wymierzył miecz prosto we mnie. Pod przysłoną kurzu zobaczyłem różę zdobną jego zwietrzałą zbroję. —Przyjaciel czy wróg? — krzyknął. — Ani jedno, ani drugie — odpowiedziałem.

Skrzywił się w odpowiedzi. Byłbym odszedł, zostawiając tego opuszczonego rycerza, ale pomiędzy jego przedmiotami zauważyłem duży, oprawiony wikliną bukłak z wodą. Obróciłem suchym językiem w ustach. To może być długa wspinaczka, a ja miałem bardzo mało wody.

Wyglądał jak ktoś, kto podejmuje decyzję. Po chwili opuścił miecz.

— Jeżeli nie życzysz mi złego, w tym przeklętym miejscu potraktuję cię jak przyjaciela. Nie odpowiedziałem. Nie obchodziło mnie, co myśli. —Jestem Brinon — powiedział — Rycerz Róży. —Ja nazywam się Kal — odparłem. —Nie mogę zaprosić cię na ucztę, ale ciągle mam trochę jedzenia. Chętnie się z tobą podzielę — powiedział, pokłoniwszy się.

Ruchem ręki zachęcił, abym usiadł. Zrobiłem to. Po omacku szukał swoich przedmiotów. Obserwowałem go, kiedy to robił. Nie mogliśmy stanowić lepszego kontrastu. Nie tylko zbroje nas różniły. Podczas kiedy ja zawsze uchodziłem za chuderlawego, wysokiego bruneta, on był niskim, mocno zbudowanym blondynem. Nawet okaleczony miał przystojną, szlachetną twarz. Ja, przez ślady po ospie z okresu dzieciństwa, nigdy nie grzeszyłem urodą.

W jego pakunku nie było nic prócz suchego prowiantu i kawałka suszonego mięsa, ale i tym nie wzgardziłem. Kiedy zjedliśmy, zapytałem go, czy mógłbym sobie napełnić butelkę wodą z jego bukłaka. Powiedział, że byłby zaszczycony.

Honor, czasami myślę, że słowo to znaczy to samo, co śmierć. Niemal parsknąłem śmiechem, ponieważ w bukłaku nie było dużo wody i swoją butelkę mogłem wypełnić tylko do połowy. —Teraz odejdziesz, prawda, Kal? —Tak — odpowiedziałem. Pochylił głowę. —Nie mogę cię winić. Ta sama przyczyna przywiodła mnie tutaj. Stawić czoło bestii z Redstone, zabić ją. —Dlaczego? — zapytałem, chociaż domyślałem się odpowiedzi. Jego twarz rozjaśniła się na chwilę pod zakrwawioną szmatą.

— Kiedy dokonam tego czynu, Paladin i reszta bogów dobra nie odmówią mi powrotu na ziemię. Zatem był... głupcem. Szlachetnym głupcem. Ten gatunek jest najniebezpieczniejszy.

— Walka ze smokiem to śmiertelne zadanie nawet dla kogoś z błogosławionym wzrokiem. Brinon wzruszył ramionami.

— Jeżeli ma się silną wolę, zawsze można znaleźć sposób. Przekonałem jednego kupca, aby zabrał mnie do swego wozu i przywiózł tutaj. Zbudowałem obozowisko. Wcześniej czy później bestia zobaczy dym i przyjdzie, aby sprawdzić, co się dzieje. Szkolono mnie, abym walczył w

ciemności — powie dział, chwyciwszy rękojeść miecza—teraz ciemność jest dookoła mnie cały czas, nie ma więc różnicy. Tak czy inaczej, pokonam smoka. Chrząknąłem, słysząc te słowa. Stracił wzrok, ale nie arogancję. —Możesz dalej czekać na smoka — rzekłem. — Ja mam zamiar wdrapać się na Redstone i odnaleźć go. —Będziesz próbował go zgładzić?

Dlaczego nie powiedz mu prawdy? —Nie, chcę z nim zawrzeć przymierze. —Na Paladina, dlaczego miałbyś to robić? Wyrzekłem tylko jedno słowo. —Moc. Brinon potrząsnął głową.

— Kal, smok jest diabelskim stworzeniem. Nie pozwolę, abyś mu się zaprzedał.

Chciał mnie dosięgnąć, ale zaczepił się butem i potknął. Złapałem go, zanim upadł. Wsparł się na moich ramionach, chcąc odzyskać równowagę. Jego dłonie spoczęły na gorącej stali. Usta rozwarły się ze zdziwienia.

— Ależ ty jesteś rycerzem! Dlaczego mi nie powiedziałaś, bracie? Z jakiego zakonu?

Nie odzywałem się. Po omacku dotykał mojej zbroi. Nie odzywając się, przesuwiał dłonie wzdłuż krawędzi konturów. Wyszczrzyłem zęby jak trupia czaszka zdobiąca mój puklerz. Tak, niech się dowie, kim jestem. W końcu odsunął się do tyłu.

— Teraz rozumiem, Rycerzu Takhisis. Każdy z nas ma swoją misję.

Jego słowa nie były złośliwe, raczej pełne pogardy i litości, co mnie rozdrażniło. — Dziękuję za wodę — powiedziałem. Nie odpowiedział. Po czym odszedłem, nie odwracając się do tyłu.

Zacząłem wspinaczkę po pionowym zboczu góry. Pełen zapału, w szybkim tempie piąłem się na wyżyny.

Za pomocą rąk i nóg gramoliłem się na czworakach, pokonując niebezpieczne skały. Gorące powietrze oszłamiającą falą napływało ze znajdującej się przede mną równiny, wypalało mi płuca. Nie zwracałem na to uwagi. Każdy z nas ma swoją misję — tutaj Brinon miał rację. Tyle że jego droga prowadzi ku śmierci, a moja —jeżeli okaże się prawdziwa i jeżeli będę miał szczęście — może zaprowadzić do władzy. Z pewnością znajdę sposób, aby przypodobać się smokowi. Jeżeli nic z tego, zawsze

mogę zdobywać dla niego pożywienie, co i tak będzie mu się bardziej opłacało niż potraktowanie mnie jak posiłku. Mając przy boku takiego sprzymierzeńca, nie trzeba było komentować, jak daleko mogę zajść w nowym świecie. Kontynuowałem wspinaczkę.

Wtedy to się wydarzyło, nastąpiło tak szybko, że mogłem tylko patrzeć, nie będąc w stanie robić nic innego. Złapałem się krawędzi głazu, aby podciągnąć się do góry. Ale było już za późno, straciłem równowagę. Głaz osunął się pod ciężarem mojego ciała, pochylił na bok i raptownie spadł ze skały. Obijając się o kamienie, głaz spadał w dół. Nie było czasu, żeby uciekać. Ciężki blok, pociągając za sobą leżący za nim kamień, upadł na moją lewą nogę. Nagolenica mojej zbroi została zmiażdżona jak arkusz papieru. Bardziej słyszałem, niż czułem trzask pękającej kości.

Mrowienie wypełniało mi głowę. Byłem ranny. Ty idioto, pozwoliłeś rozproszyc swoją uwagę głupim rycerzem i teraz za to zapłacisz! I zapłaciłem, intensywny ból pojawił się szybko.

Niemal zemdlałem. Walczyłem, aby nie stracić rozumu, co prawie mi się udało. Wyciągnąłem szablę, wsunąłem ją pod kamień, który miażdżył mi nogę. Następnie całym ciężarem napierałem na rękojeść. Kamień zazgrzytał i przesunął się, a ja czułem, jak złamane końcówki kości pocierają jedna o drugą. Powstrzymałem wymioty, po czym wróciłem do swojej dźwigni. Głaz odsłonił nogę na szerokość palca, później dwa, wreszcie trzy. Zaciśnąłem z bólu zęby i zacząłem wyciągać omdlałą nogę. Wtedy złamało się ostrze mojej szabli i...

Upadłem do tyłu. Głaz zachwiał się i przewrócił z hałasem, staczając się urwiska. Nie znalazłszy niczego innego, złapałem się rozkołysanego kamienia. Kląłem na wszystkich bogów ciemności. Kamienie spadały ze wszystkich stron. Nagle z grzmiącym hukiem duży kawał skały osunął się w dół,

niosąc ze sobą moje ciało. Pewnie krzyczałem, ale nie pamiętam, bo odgłosy uderzających kamieni zagłuszyły wszystko.

Zbudziłem się w środku nocy pod niebem usianym nie znanymi mi gwiazdami.

Przez moment byłem dezorientowany. Przysłał mnie jakiś cień. Światło samotnego księżyca — który srebrzył się w miejscu, gdzie kiedyś były dwa księżycy — oświetlało ozdobioną różą zbroję. Mrugałem oczami, domyślając się, co zaszło, i pozwoliłem silnym rękoma łagodnie położyć mnie na ziemię.

— Wiedziałem, iż Paladin sprawi, że wrócisz — powiedział Brinon. Zaśmiałem się z jego próżnych słów.

— Czy twój bóg zawsze łamie nogi, aby otrzymać to, co chce? Wobec tego jest raczej zwykłym bandytą. Na twarzy Brinona nie było znaku złości. — A twoja Królowa Ciemności, czy nie posługuje się inny mi dla swoich celów? — Owszem, robiła to, ale była zawsze szczerą i nigdy nie kryła za tym innych zamiarów. Ale żadne z nich nie ma teraz znaczenia. Bogowie przepadli. — Powrócą, wiem o tym. Tylko się zaśmiałem. Nie byłem pewny, czy chcę ich powrotu.

Usiadłem z grymasem na twarzy i próbowałem ułożyć wydarzenia w całość, aby ustalić, co dokładnie zaszło. Musiał słyszeć odgłos spadającego głazu oraz wtórujący mu mój krzyk. Później w jakiś sposób zaciągnął mnie do obozu. Rękoma badałem ciało, on zaś założył szynę na moją nogę i złamaną szablę wsunął do pochwy. Dlaczego mnie nie zabił? Zresztą, to nieważne. — Muszę iść — powiedziałem.

Próbowałem wstać. Szyna łagodziła ból. Zrobiłem krok. Chwilę później znowu leżałem na ziemi i łapiąc się za nogę, przeklinałem. Brinon ukląkł obok mnie. — Nie możesz jeszcze chodzić, Kal? — Mogę, mogę — skłamałem. Ale nie obchodziło mnie to. Nienawidziłem go w tym momencie. — To znak. — Jeszcze raz absolutna pewność siebie rozjaśniła jego pozbawioną oczu twarz. — Ty widzisz drogę, Kal. Ja

jestem silny, mogę pomóc ci pokonać skały. Oddzielnie nie zrobimy nic, ale razem dotrzemy na szczyt. Przyjrzałem mu się spokojnie i dokładnie.

— A co zrobimy, kiedy już tam dotrzemy, Brinonie? Czy zapomniałeś, że mamy inne intencje? Potrząsnął głową.

— Niech sam zdecyduje. Jeżeli nie przystanie na twoje przy mierze, zabiję go. Przekonajmy się.

To było szaleństwo, wiedziałem o tym. Rycerz Solammii mógł przynieść tylko kłopoty. Myślał, że nawróci mnie na swoją drogę i w ten sposób zrealizuje własną ideę. Przekłeta cnotliwa arogancja. Rzygać mi się chciało. W tym obłąkanym świecie szaleństwo było czasami jedynym wyjściem. — Dobrze — powiedziałem wreszcie. — Zobaczymy. Zaczęliśmy wspinaczkę.

Słońce wynurzało się zza horyzontu — feralne oko rzucające ogniste spojrzenie na ziemię. Chwilami, nie wiadomo skąd, zrywał się płomienny, szalony wiatr. Piaszczysty powiew gryzł nasze ręce i twarze. Zerknąłem na Redstone, ale zamiast korony szczytu, której nie byłem w stanie rozpoznać, jak okiem sięgnąć widziałem strome zbocza oblane purpurą. — Jesteś gotowy? — zapytałem.

Brinon poprawił szmatę, która zasłaniała jego oczy, po czym skinął głową. — Tak, jestem gotowy. — Zatem ruszajmy. Dobrze byłoby dotrzeć na szczyt przed zachodem słońca. Będziemy z nim rozmawiać czy walczyć, lepiej robić to za dnia niż w ciemności.

Podparłem się na rękach i wstałem. Jęknąłem z bólu i oparłem się na zdrowej nodze.

Brinon musiał mnie słyszeć, bo wyszedł naprzeciw i odnalazłszy moje ramię, przyciągnął do swoich szerokich barków. — Pomogę ci — oświadczył.

Zawahałem się. Nie lubię być zależny od kogokolwiek i czegokolwiek. Brinon kwapił się do

pomocy, jakby sprawiało mu to

przyjemność, jakby cieszył się, że jestem słabszy od niego. Niezależnie od tego, co czułem, przyznałem mu rację. Nie było szans, żebym sam wspiął się na szczyt. Zacisnąłem zęby, po czym oplotłem ramieniem szyję Brinona, uwalniając chorą nogę

od ciężaru ciała. — Teraz kolej na ciebie, musisz opisywać drogę. Twarz pod brudnym bandażem była wciąż dumna i spokojna. Nie zdradzała rozgoryczenia z powodu kalectwa ani gniewu, że jak dziecko potrzebował kogoś do prowadzenia go. Na krawędzi zbrocza kuśtykałem obok Brinona, podpierając się zdrową nogą.

Co za absurdalny widok musieliśmy przedstawiać. Dwóch okaleczonych rycerzy. Jeden blondyn, drugi brunet, jeden kaleka, drugi ślepy — dwóch okaleczonych rycerzy zmagających się z niezwykle stromym zboczem góry. W okolicy nie było nikogo, więc nikt poza gorącym, nie zmrużonym okiem słońca nie mógł nas zobaczyć. Nic nie rosło ani nie żyło na zboczu przeklętej góry. Tylko kamienie, piasek i wiatr.

Powolne tępo męczyło mnie. Każdy głaz, każdy stopień w skale był zmaganiem. Najpierw mówiłem Brinonowi, jak wygląda droga. On, prowadzony moimi słowami kierował kończyny w opisanym kierunku tak długo, aż poczuł się pewnie, aby utrzymać własne ciało. Potem pochylał się i podczas gdy ja zdrową nogą podpierałem się i pchałem ciało do przodu, on mocnymi ramionami pociągał mnie za sobą. Ręce Brinona zawiodły nas kilkakrotnie. Błądząc, omijały właściwy stopień, a wtedy ześlizgiwał się ze zbrocza, objając ręce i twarz. Za każdym razem, kiedy dźwigał mnie, raniłem złamaną kończynę i ból ostry jak nóż przeszywał moje ciało.

Rozpalone zbroje były dodatkowym brzemieniem dla naszych ciał. Jednak nie mogliśmy ich jeszcze porzucić. Mogły nam się przydać na górze, poza tym chroniły nas przed jeszcze gorszymi słuczeniami i obiciami. Jeszcze przed południem byliśmy zupełnie zmalretowani, krwawiący i wyczerpani. Usiedliśmy na szerokim stopniu chropowatego głazu. Na dole rozciągała się równina płaska i brązowa jak skóra na bębnie. Spoglądając w dół, miałem zawroty głowy. Podejrzewałem, że przeszliśmy

przynajmniej połowę, chociaż z powodu mgły ciągle nie widziałem szczytu.

Zjedliśmy co nieco, po czym z pakietu Brinona wyciągnąłem butelkę. Woda była gorąca, smakowała jak stare pomyje ze sklepu garbarza. Mimo to piliśmy zachłannie, zmuszając się, aby nie połknąć wszystkiego jednym haustem. Ostrożnie zatkałem butelkę, przed nami była ciągle długa droga.

Zapatrzeni, ja — w rozciągającą się przed nami przepaść, a Brinon... nie wiem gdzie, odpoczywaliśmy jeszcze przez chwilę.

— Powiedz, czy to Wizja przywiodła cię tutaj? — zapytał niespodziewanie jasnowłosy rycerz.

Chociaż wiedziałem, że nie widzi, posłałem mu ostre spojrzenie. — Co ty wiesz o Wizji, Rycerzu Solamni? — Tylko tyle, że każdy z Rycerzy Takhisis posiadają, i że czasami prowadzi ich ona do mrocznego celu. — Nie, nie każdy ją ma, ale każdy posiadał. Nie ma już Wizji. Zniknęła. — Moje słowa były szorstkie, ale nie obchodziło mnie to. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym postawiono mnie przed Ariakanem, najwyższym dowódcą Armii Królowej Ciemności. Dnia, w którym jego ręce spoczęły na moim ramieniu. Mówiono, że jego matka była boginią morską, wierzyłem w to. Ariakan wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać bóg silny, przystojny, o zniewalającym wzroku i rozkazującej barwie głosu.

Jego ludzie zabrali mnie z jednej z ulic Palanthas. Ulic, które były moim domem, od kiedy wojna zabrała mi rodzinę i dom. Ariakan postawił mnie przed wyborem: wracać na ulicę — żeby żyć dalej ze złodziejami i mordercami, aby któregoś dnia stać się jednym z nich i skończyć na szubienicy —

albo zaciągnąć się w szeregi jego armii, stać jednym z jego rycerzy, poznać honor i chwałę. Pamiętam, że jego słowa rozżłościły mnie. Jakim prawem mógł proponować mi taką alternatywę? Jakim prawem mógł mówić, jak ma wyglądać moje życie? Pomimo wszystko nie oparłem się jego wzrokowi. Chwyciłem jego dłoń, a on

pocałował mnie na powitanie, wtedy też przyniesiono mi miecz. Ukląknęłam, on położył ręce na mojej głowie i odmówił modlitwę do Królowej Ciemności, Takhisis. Wtedy doznałam Wizji po raz pierwszy. Była jak sen, który pozostał ze mną na zawsze. Była ze mną, kiedy zamknęłam oczy, kiedy błądziłam wśród nocnych ciemności i za dnia pojawiała się pomiędzy myślami. Prawdziwa tajemnica Wizji polega na tym, że każdy rycerz miał własną, osobistą Wizję, która ujawniała mu przeznaczenie i drogę do chwały lub śmierci.

Z jakiegoś powodu Wizja opuściła mnie. Kiedy zabito Aria-kana i kiedy Takhisis opuścił świat, Wizja odeszła razem z nimi. Istniała dzięki nim, nie mogła więc trwać, kiedy oni zniknęli. Zostałam z dziurą w głowie, dziurą, która nie dawała mi spokoju. Jak człowiek, który goląc się, bada językiem puste miejsca, gdzie kiedyś były zęby, tak dziura w moim sercu nie dawała mi spokoju. Wizja napełniała mnie przerażeniem i zachwytem. Ale pamięć o niej zniknęła i wiedziałem, że nigdy jej nie odzyskam. — Przykro mi — powiedział Brinon.

Słowa te rozwścieczyły mnie. Nie wiem, czy było mu przykro z mojego powodu, czy z powodu tego, co powiedział. Nawet kiedy mówił z pokorą, tak jak teraz, miałem wrażenie, że daje mi do zrozumienia, iż jest lepszy ode mnie. Wiedziałem, że jestem niesprawiedliwy, skrucha w jego głosie była prawdziwa.

— Nie ma powodu do smutku. Nie potrzebuję Wizji. Zdo będę klucze do sławy, jeżeli wraz ze smokiem uformujemy ligę. Nic nie stanie nam na drodze, kiedy połączymy jego moc i mój rozum. Brinon potrząsnął głową. — Wrogami bylibyśmy w innych okolicznościach, może pozostaniemy nimi na zawsze. Tutaj jesteś moim towarzyszem i nie chcę cię obrażać. Mimo to wciąż twierdzę, że twoje intencje są złudne. Co masz do zaoferowania smokowi? Dlaczego uparcie wierzysz, że uda ci się go przekonać, aby zawarł z tobą przymierze? — A dlaczego ty wierzysz, że kiedy dokonasz kapuścianego czynu, Paladin pośpiesznie wróci na ziemię? Zadrżał w odpowiedzi na moje słowa. Wiedziałem, że trafi

łem w bolesny, ukryty głęboko punkt. Dobrze. Nie mieliśmy czasu do stracenia. Rzuciłem okiem na niebo, słońce przeszło zenit i zaczęło drogę w dół.

— Lepiej ruszajmy — powiedziałem — jeżeli naprawdę chcesz zabić smoka. Pomógł mi wstać i po raz kolejny rozpoczęliśmy wspinaczkę.

Po doświadczeniu wczorajszego upadku powinienem był być bardziej ostrożny. Niestety, nasza ostrożność słabła pod wpływem wyczerpania. Potknięcie się któregoś z nas było tylko kwestią czasu. Brinon był pierwszy. Staliśmy na krawędzi smukłego zbocza, odległego od ziemi o pięćset stóp. Może był za bardzo zmęczony, aby myśleć, może zbyt pewny siebie, a może jedno i drugie. Coś spowodowało, że zaczął iść po skalnym urwisku, zanim zdążyłem dostatecznie i efektywnie nakierować jego ręce na najbezpieczniejszy punkt zaczepienia. Szpara, której się chwycił, była zbyt płytka. Bez pomocy wzroku nie był w stanie wsunąć dłoni wystarczająco głęboko, aby udźwignąć ciężar całego ciała. Brutalnie opadł na wąską krawędź góry. Pięta mu się ześlizgnęła i chociaż rękoma próbował odzyskać równowagę i uczepić się czegoś, nie natrafił na nic, przewrócił się do tyłu.

— Nie! — Nie pamiętam, czy krzyknąłem cicho, czy głośno. Zresztą, nie miało to znaczenia. Tak bardzo, jak nie chciałem się do tego przyznać, potrzebowałem Brinona. Sięgnąłem w jego kierunku, ignorując ból, który przeszywał złamaną nogę. Wyciągnąłem się do granic ludzkich możliwości,

stawy trzeszczały. Moje palce prawie dotknęły gorącej stali puklerza Brinona, wte dy chwyciłem się krawędzi ubitej stali. Z całej siły odciągałem się do tyłu.

Rycerz Solammii przewalił się do przodu, na stopień, na którym stał poprzednio, za to ja potknąłem się i wykonując obrót, czułem, jak noga wykręciła mi się obrzydliwie i zawisła na boku. Nie mogłem ustać o własnych siłach. Zataczałem się na brzegu przepaści. Na darmo szukałem czegoś, aby się uchwycić. Nic, tylko

gładka skała. Spadałem. Niespodziewanie jakaś dłoń wślizgnęła się w szparę skały i złapała mnie. Pod wpływem gwałtownie przerwane go lotu wstrząs ogarnął moje ciało. Zawieszony na jednej ręce, obracałem się w powietrzu. Pod zwisającymi nogami, w odległości pięciu tysięcy stóp, znajdował się ostry szczyt skały. Ból przeszywał moje ręce, dłonie drętwiały. Nie mogłem tak dłużej wisieć. Jakiś cień zamajaczył nad moją głową. — Brinon! — wrzeszczałem, nie zważając na dumę. Szukając mnie, młody rycerz szedł po omacku brzegiem przepaści. Spadając, skaleczył się, bo świeża krew spływała po czole, nawilżając zaschnięty bandaż osłaniający jego oczy. — Na lewo! — krzyknąłem. — Dalej!

Mięśnie wiotczały w agonii. Mokry od krwi uścisk dłoni rozluźnił się. Jeszcze kilka sekund, nie więcej. Ręce Brinona znajdowały się centymetr od moich. Najpierw oddaliły się, ale po chwili, jakby kierowane nie wyjaśnionym instynktem, zawróciły.

Kiedy moje dłonie właśnie wyslizgiwały się ze skalnej szpary, złapał mnie za nadgarstek i z całej siły dźwignął do góry, wyrzucając na brzeg przepaści.

Leżeliśmy tak przez chwilę, ciężko oddychając. Wreszcie, on zaczął pierwszy. — Wszystko w porządku, Kal? Machnąłem nadwerężoną ręką. — Przeżyję.

Na jego twarzy malowała się ulga. Z jakiegoś powodu łagodziło to ból w mojej nodze.

Wciąż drżałem na myśl o upadku, którego ledwie udało mi się uniknąć. Wziąłem łyk wody, po czym Brinon zacisnął szynę na mojej nodze. Jak nigdy wcześniej byłem gotowy do drogi.

Rozpoczęliśmy zdobywanie szczytu. Przybrało to formę śmiertelnej zabawy. Sukcesem było unikanie zwodniczych kamieni, pokonywanie osuwających się zboczy urwiska czy omijanie spadających głazów. Zwycięstwo potwierdzało, że jesteśmy mądrzejsi niż masa przeklętych kamieni. Śmiałyśmy się, kiedy wreszcie, zupełnie zmaltretowani, ale niepokonani, zdobyliśmy szczyt.

Odgłos śmiechu Brinona urwał się. Szczyt był widoczny ze wszystkich stron, byliśmy prawie na miejscu.

— Myślałem, że już będzie po tobie — odezwał się Brinon. — Tam, na dole, kiedy ocaliłeś mi życie.

Milczałem przez chwilę, po czym ku własnemu zdziwieniu wyszczerzyłem szeroko zęby. — Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Rycerzu Solammii. Chyba przyzwyczailem się do bólu albo zapomniałem o nim i bez jęku wyslizgnąłem rękę spod ramienia Brinona. Chwyciwszy się za rękę ruszyliśmy, aby pokonać ostatnią partię męczącej drogi.

Właśnie osiągnęliśmy szczyt, kiedy słońce tonało w morzu czerwonych chmur.

Na początku nie widziałem nic. Piasek wirował dookoła nas. Po chwili wiatr rozdarł zasłonę kurzu i wtedy po raz pierwszy spojrzałem na smoka Redstone.

Był kolosalny. Widywałem błękitne górskie smoki — elita Rycerzy Takhisis brała udział w bitwie podczas Wojny Chaosu; już wtedy budziły we mnie grozę i strach. Ta kreatura była pięć razy większa od największych z nich. Czerwony jak skały, od których wziął swoją nazwę, leżał rozparty wzdłuż całego szczytu.

Wzdłuż kręgosłupa biegł ząbkowany grzbiet, jak rząd zardzewiałych noży. Złożone skrzydła przylegały do chuderlawego, kanciastego ciała.

Masywna głowa spoczywała na stosie gruzów, ogromne wole, które mogło zmieścić całego człowieka, było odsłonięte.

Staliśmy za głazem, nie dalej niż trzydzieści kroków od smoka. Uwolniłem się od uścisku Brinona. — Co to? — zapytał rycerz. Milczałem. Zrobiłem głęboki oddech i chwyciłem rękojeść miecza. — Przecież widzisz go, czy nie tak? — pytał dalej rycerz. — Tak, widzę — wyszeptałem.

Strach zacisnął mi gardło. Dusilem się, z trudem przełykałem ślinę. Myślę, że jakaś część mnie nie wierzyła, że odnaleźliśmy

bestię. Nie przemierzaliśmy całego Abyss po to, żeby teraz zawrócić. Poza tym sprawy ciągle mogły obrócić się na moją korzyść, tak jak planowałem. W każdej chwili bestia mogła też odkryć naszą obecność, wtedy byłoby po wszystkim. Cofnąłem się o kilka kroków.

Dłoń Brinona błędziła w powietrzu, natrafiła na moje ramię i spoczęła na nim. — Co chcesz zrobić, Kal? — zapytał ochryplym głosem. — Pozwól mi iść. — Tak naprawdę nie chcesz tego zrobić, Kal! — ostrzegwał mnie. — Powiedziałem, pozwól mi iść. Muszę z nim porozmawiać. — I co chcesz mu powiedzieć? — Jego dłoń zacisnęła się mocniej na moim ramieniu. — Jakich słów zamierzasz użyć, aby nie oberwał twoich kości z mięsa od razu, kiedy cię zobaczy? Pomyśl o tym, zanim tam pójdziesz, Rycerzu Takhisis.

Rozdziawiłem usta. Długo tak staliśmy zastygli w milczeniu. Wiatr gwizdał nad skałami. Dopiero po chwili Brinon powoli poruszył głowę.

— Nie chcesz robić z nim żadnego interesu, prawda? — wyszeptał. — Nie po to tutaj przyszedłeś. Masz nadzieję, że cię zabije.

Jaką mogłem dać mu odpowiedź? To dziwne, nie pamiętałem Wizji, ale pamiętałem twarze wszystkich tych, których zabiłem w imię Królowej Ciemności. Pamiętam, jak martwieli w obliczu terroru i śmierci, niedowierzali nawet wtedy, kiedy wyciągałem ociekający krwią miecz z ich piersi. Ostatecznie wybuchłem zjadliwym śmiechem.

— Brinonie, Ariakan mówił, że mnie ocali, ale myślę, że zamiast tego potępił mnie.

Przez chwilę milczał. Podejrzewam, że gdyby miał oczy, łzawiłyby. Niespodziewanie jego wyraz twarzy zmienił się. Teraz wyrażała ona gniew. Prawdziwą złość.

— Nie! — jego głos zadźwięczał wśród skał. — Nie pozwolę ci tego zrobić! Odepchnął mnie i zanim zdołałem go powstrzymać, wyciąg

nął szablę i na oślep wdrapywał się na ostatnie stopnie szczytu. Wolałem do niego, ale nie zdołałem go powstrzymać. Parł dalej, padał, podniósł się i znów upadł. Wyraźnie poganiał samego siebie, zachwiał się kilkakrotnie, ręce mu krwawiły. Byłem pewny, że smok zobaczy go i rzuci się jak kot na bezbronną mysz. Może stał za blisko, aby się poruszyć. Poszedłem za nim, wlokąc nieużyteczną nogę za sobą. Nagle Brinon zderzył się z ramieniem smoka i wydawszy z siebie nieartykułowany dźwięk, wyrażający wściekłość, nienawiść i żal, wymierzył szablą prosto w bestię.

Z żywym, metalicznym brzmieniem ostrze odbiło się od skóry smoka.

Brinon znieruchomiał zdezorientowany. Ponowił uderzenie raz jeszcze i znowu... Za każdym razem miecz odbijał się, czemu wtórował głośny metaliczny odgłos. Smok nie poruszył się. Myślę, że w tym momencie obaj zrozumieliśmy.

Brinon opadł na kolana. Pokornie oparł głowę na rękojeści poszczerbionego miecza. Kulejąc, ruszyłem w jego stronę. Położyłem dłoń na karku bestii. Skała. Twardy, rozgrzany masyw skalny.

Smok z Redstone. W tym, co mówią ludzie, jest zawsze trochę prawdy, ale tylko żdźbło. Powinienem był to wiedzieć. Nie było żadnego smoka, tylko zlepek kamieni, którego sylwetka była dostatecznie podobna, aby przerażać kapryśnych podróżnych. Wystarczająco podobna, aby stworzyć niesamowite historie, których byli spragnieni szaleni rycerze. Usadowiłem się obok Brinona.



— Wygląda na to, że żaden z nas nie dostał tego, po co przyszedł.

Nie odpowiadał. Wciąż pochylony nad szablą wyglądał, jak by się modlił. Ogarnęła mnie złość.

— Nasz smok okazał się tylko kupą kamieni. I co z tego Niech inni martwią się o bogów. Niech inni dokonują heroicznych czynów. Wstrzymał oddech, słuchając moich słów. — Nie. Nie rozumiesz. Tylko ja mogłem tego dokonać. —

# 41. Smoki chaosu

Zacisnąłem dłonie na twardej zbroi okrywającej jego ramiona i wykrzyknąłem: — Dlaczego ty, Brinonie?

Milczał przez długi czas i już myślałem, że nie odpowie w ogóle. Rozluźniłem dłonie. Prawda i sprawiedliwość, które, od kiedy go spotkałem, były zawsze obecne na jego twarzy, gdzieś zniknęły.

— Byliśmy w środku bitwy — odezwał się niskim tonem — kiedy to się zaczęło. Na wschód od Lemish. Moi bracia i ja, głównie Rycerze Róży i kilku Rycerzy Korony, podpatrzyliśmy oddział Rycerzy Takhisis. Było ich cztery razy więcej niż nas, wiedzieliśmy, że zginiemy, jeżeli zaczniemy z nimi walkę. Oni nas nie widzieli, teren był nierówny. Mogliśmy się wycofać bezszelestnie, ale bylibyśmy wtedy tchórzami. Dowódca dał rozkaz ataku. Może chwała wystarcza, jeżeli zwycięstwo jest niemożliwe.

Pomyślałem, że to nieprawda, ale nie odzywałem się, pozwoliłem mu kontynuować.

Na twarzy Brinona malował się strach, jeden z tych, jaki miałem wyryty w pamięci. — Doleciały mnie wrzaski. Nie wyobrażałem sobie, że mogą być tak straszne. Spodziewałem się krzyków, zgrzytów mieczy, ale nie aż takich. Wrzask dochodził z każdej strony. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby człowiek tak krzyczał. — To była twoja pierwsza bitwa, prawda? — wtrąciłem. Nie odpowiedział, nie musiał. — Wszystko się kłębiło, kotłowało jak morskie fale, poru szło w przód i tył. Niespodziewanie znalazłem się obok dowódcy. Zmagał się z dwoma rycerzami. Ponadto, zdawało mi się, że rana na jego boku krwawiła. Trzymał ich z tyłu, ale resztkami sił. Zobaczył mnie i zawołał o pomoc. Ale ja nie mogłem nawet drgnąć. Stałem nieruchomo jak statuetka wykuta z kamienia. Aktywne były tylko moje oczy. Przekłęte oczy widziały wszyst ko. Mój dowódca zawył i ruszył na jednego z Rycerzy Ciemno ści, zabijając go. Tamten zachwiał się i opadł na kolana. Drugi z rycerzy stał nieopodal z wyciągniętą do góry szpadą.

Nie odrywałem wzroku od Brinona. Jego ramiona drżały.

— To byłoby bardzo proste — szeptał. — Rycerz Ciemności był odsłonięty. Wystarczyło pchnąć go mieczem, to wszystko, co musiałem zrobić. Nie mogłem. Rycerz zamachnął się mieczem i odciął dowódcy głowę. Nagle niemoc minęła. Znowu mogłem się poruszać. Odwróciłem się i zacząłem uciekać. Rycerz Ciemności biegł za mną. W każdym momencie mogłem poczuć jego nóż w plecach. Nadciągał, ciężko oddychając. W tym momencie poczuliśmy, że moc Paladina opuszcza nas. Bitwa zamieniła się w chaos. Ludzie biegali w różnych kierunkach. Ja też biegłem, do momentu, gdy grunt przestał drzeć pod moimi stopami i zo stałem sam. Wtedy po raz ostatni widziałem moich towarzyszy.

Potrząsnąłem głową, znudzony opowieścią. Znałem to wszystko zbyt dobrze. Wiedziałem, że horror bitwy widzianej po raz pierwszy potrafi złamać młodzieńczego ducha. Ducha w człowieku takim jak Brinon. Ciągle intrygowało mnie w tej opowieści coś, co tu nie pasowało. Nagle załapałem.

— A co z twoimi oczami, Brinonie? — zapytałem. — Drugi Kataklyzm zdarzył się, zanim Rycerz Ciemności cię gonił. Poza tym, kiedy bitwa się skończyła, uciekłeś. W jaki więc sposób zostałeś okaleczony?

Pochylił głowę. Przez chwilę wpatrywałem się w niego. Nagle zawirowało mi w głowie.

„Stałem nieruchomo jak statuetka wykuta z kamienia. Aktywne były tylko moje oczy. Przekłęte oczy widziały wszystko”. Z przerażeniem zwróciłem się w jego stronę. — Sam to zrobiłeś? Na bogów, którzy odeszli, sam pozba wiłeś się oczu? — Czy nie rozumiesz, Kal? — odezwał się ledwie

słyszał nym głosem. — To wszystko była moja wina. Moje tchórzostwo sprawiło, że Paladin opuścił ziemię. Dlatego tu przyszedłem, aby tym razem dokonać chwalebnego czynu. Nie udało mi się.

Znowu pochylał się nad mieczem. Resztkami sił stanąłem przed nim. Fala oburzenia wezbrała we mnie. Otarłem łzy na jego policzkach i wybuchnąłem śmiechem, wyszczerzając zęby jak kopnięty w twarz człowiek, któremu wypadła szczęka.

— Biedny Brinon. Szukałeś ocalenia w smoku, a znalazłeś tylko mnie.

Odwracałem się, aby odejść, a wtedy podniósł głowę, mówiąc ze spokojem: — Tak...

Podniósłszy się, chwycił za szablę i wymierzył ją w moim kierunku. Przymrużyłem oczy. — Co robisz? — Zadrżał, słysząc mój głos. — Czy nie rozumiesz, Kal? Paladin dał mi drugą szansę. Powinienem był wtedy walczyć, ale stchórzyłem, uciekłem przed Rycerzem Ciemności. Dlaczego nie odgadłem tego od początku: nie ze smokiem muszę walczyć, ale z Rycerzem Takhisis. — Uniósł szablę i zrobił kilka kroków w moją stronę. — Ty jesteś Rycerzem Takhisis, z tobą muszę walczyć. Zakląłem i chwyciłem za miecz. Tego było już za wiele.

— Nie bądź idiotą, Brinon — zlekceważyłem go. — Jesteś ślepy. Jeżeli zaczniesz, w minutę poderżnę ci gardło.

Zrobił kolejny krok. Pod zakrwawioną szmatą rysowało się głębokie skupienie. — Czyń swoją powinność, Kal.

W tej chwili zrozumiałem, czego pragnął. Istniał tylko jeden sposób odpokutowania za to, co — jak uparcie wierzył — zrobił.

— Nie — powiedziałem oburzony. — Nie pomogę ci, Brinonie.

Rzuciłem miecz na ziemię, a ten z łoskotem potoczył się ze zbocza.

— Zabij mnie, jeśli chcesz, ale nie mam zamiaru się mieszać do twojej chorej gry.

Stał przede mną nieruchomy jak posąg, po czym pełnym szacunku głosem wyszeptał: — Przebacz mi, Paladynie.

Było już za późno, kiedy się zorientowałem, co zamierza zrobić. Odwrócił szablę, ostrze skierował w swoją stronę i rzucił ją do mnie stroną rękojeści. Instynktownie moja dłoń zacisnęła się na uchwycie miecza, kiedy uderzył o puklerz. W tym momencie Brinon rzucił się do przodu. Chwycił mnie za ramiona,

zacisnął zęby, kiedy nasze ciała przyległy do siebie, wbił się na miecz. Staliśmy tak złączeni przez moment, po czym on uśmiechnął się i powiedział: — Dziękuję, Kal — wyszeptał. Krew trysnęła mu z ust.

Na ciemnoszarym niebie błyszczały gwiazdy. Wpatrywałem się w odległy horyzont. Świtało.

Położyłem ostatni kamień na szczycie kopca, który wybudowałem dla Brinona. Dostał wreszcie to, co chciał. Miałem tylko nadzieję, że znajdzie spokój i wreszcie połączy się ze swoim bogiem. Zostałem sam. Takhisis opuściła mnie, Wizja też. Nie przejmowałem się już tym tak jak kiedyś. Nie potrzebowałem Królowej Ciemności, aby ocalić siebie. Nie byli mi też potrzebni ani Ariakan, ani nawet Brinon. Wszystko leżało w mojej mocy.

Światło poranka rozjaśniło nierówny teren na dole. Dużo czasu upłynie, zanim Krynn zagoi rany zadane przez szalonych bogów i ludzi. Bogowie odeszli i od nas zależało, jaki będzie nowy świat. Świat umarł nie po raz pierwszy. Może, ale tylko może, już po raz ostatni. Zacisnąłem szynę wokół nogi i podszedłem do zejścia.

LEKCJE ZIEMI Linda P. Baker Późną wiosną, Chislev, Bogini flory i fauny, Dawczyni pór roku, wzięła głęboki oddech, Trzymała powietrze tak długo, aż stało się suche i gorące, Po czym dmuchnęła nim prosto w oblicze Krynn. Poezja Silvanestyjczyków Napisane po Drugim Lecie Chaosu

Suche liście leśnego runa szeleściły i trzeszczały pod kolanami Calarrana, kiedy skulony czał się obok przywódcy patrolu. Ciężko westchnąwszy, uwolnił ramiona od łuku i posunął się, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję na brzegu łagodnego wzniesienia.

Przewodnik patrolu, Eliad, nie zauważył jego obecności. Nieprzerwanie badał wzrokiem tę część lasu Qualinesti, która rozpościerała się przed nimi. Jego skośne elfie oczy wyglądały jak szczeliny.

Calarran z radością odstąpił śledzenie lasu w poszukiwaniu śladów wroga Eliadowi i jego patrolowi. Rozgrzany i spragniony po długim porannym marszu, myślał raczej o rozluźnieniu zmęczonych ramion i pleców oraz o łyku letniej wody ze skórzanego bukłaka przewieszzonego przez jego ramię.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem, kiedy pochylił się, aby wyciągnąć bukłak. Calarran był synem i wnukiem senatorów z Qualinesti. Jego przyjaciele uśmialiby się, widząc go wśród ludzi patrolu Eliada, skauta czającego się w ogromnym lesie, szukającego oddziałów wojsk wroga, który oblegał jego miasto Qualinesti. Większości ludzi z Qualinesti, których znał, uważała elfy zarówno te będące w patrolu, jak i te, które pozostały w obozie Tessiel — za zdrajców, odszczepieńców idących za głosem przywódców niechcianych przez ich własną rasę.

Według Calarrana, który nigdy wcześniej, przed przybyciem do obozu pełnego wygnańców, nie spotkał żadnego z nich, nie byli tacy źli. Nie mieli rogów, brodawek ani nawet zielonych zębów. Ponadto byli przychylni dla Silvanestyjczyków. Przypuszczał, że gdyby żyli jak cygańscy odmieńcy, wędrując z obozu do obozu niczym bezdomni tułacze, utęperowałyby to odrobinę arogancję elfa.

Tessiel to grupa swobodnie powiązanych elfów Silvanesti, którzy opowiedzieli się za ich królową Alhaną Starbreeze i jej mężem Porthiosem, byłym marszałkiem Słońca Qualinesti, obecnie przebywającym na wygnaniu. Calarran nie został poinformowany, dlaczego Senat Qualinesti zgodził się spotkać z Porthiosem i dlaczego Senatorsa Idrona — z rodziny Estfalas — wysłano na pustkowie. Myśl o tym dręczyła go przez wiele godzin. Ujrzenie wystawionego na słońce ciemnego elfa Porthiosa we własnej osobie... Nie tego rodzaju zadania malowały się w jego wyobraźni, kiedy odbywał praktyki u Idrona, Senatorsa Qualinesti.

Wziął łyk ze skórzanego bukłaka. Woda była ciepła i smakowała jak z piaszczystego potoku w obozie Tessiel. Zmęczenie ogarniało jego ciało. Przesunął się i spróbował uwolnić suchą gałązkę, która wplątała się w oblamowanie jego tuniki. Liście trzeszczały i szeleściły pod kolanami.

Tym razem Eliad zauważył go. Przywódca patrolu nie ukrywał rozdrażnienia. Niecierpliwym ruchem ręki zasygnalizował milczenie, po czym bez słowa powrócił do badania falujących wierzchołków drzew poniżej wzgórza.

Jedwabna tunika z powodu lepkiej mieszaniny kurzu i potu przyłgnęła do żeber i grzbietu Calarrana. Nie mniej lepki był jego język i nawet woda nie była w stanie go obmyć. W lewym bucie miał kamienie, w prawym dwa liście. Przez cały dzień spokojnie znosił niewygodę. W milczeniu podążał za Eliadem, spełniał rozkazy, dyktowane mu, jak gdyby był jednym z wojowników, i Nie mógł dłużej tego znieść. Dlatego sygnał zniecierpliwienia

wysłany przez Eliada rozpałił jego twarz. Skrępowany Calarran zaczerwienił się. —To nie moja wina, że w lesie jest pusto jak na pustyni warknął. —Po cóż sygnalizować ciszę? — miękki kobiecy głos ode zwał się wymuszonym szeptem, ale wystarczająco głośno, żeby Calarran mógł usłyszeć. — Zachowują się jak stado chochlików.

Calarran nie był tak wysoki jak Eliad Silvanesti. Żeby zobaczyć mówiącą, której głos dobiegał z przodu przywódcy, musiał pochylić się do przodu. Przesuwając się, powodował szelest liści i wtedy ich spojrzenia się spotkały. Zaskoczony, cofnął się.

Jej twarz wyrażała pogardę. Chociaż inni z patrolu, przesuując się wzdłuż wału, robili tyle

samo hałasu, nie ulegało wątpliwości, że mówiła do niego. Dokładnie zapamiętał jej opaloną twarz — po koniuszki kasztanowych włosów i spiczastych uszu. Najmniejszy centymetr odsłoniętej skóry, nie wyłączając jej smukłych rąk, był pomalowany na szaro, brązowo i zielono, w kolory maskujące elfów Kagonesti. Calarran wykrzywił szyderczo usta. Nikt z Silvanestyjczyków ani nawet z renegatów nie oszpeciłby tak swojego ciała.

Nie rozpoznał, że wśród Tessiel znajdowali się również Kagonestyjczycy. Byli oni tylko trochę bardziej cywilizowani niż żyjące w lesie dzikie zwierzęta. Nawet wyrzutki elfów Silvanesti miały dla siebie więcej szacunku.

Eliad poruszył smukłą głową najpierw w jedną stronę, potem w drugą, zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Ludzie z patrolu cichaczem wędrowali od drzewa do drzewa i wspinali po zboczu; ich kroki były bezbłędne. Eliad wzruszył ramionami, po czym rzekł sam do siebie: —Starają się. Wszystko jest takie suche, że nie można zachowywać się ciszej. — Smukłymi palcami dotknął ziemi, liście zaszeleściły. —Ja potrafię — parsknęła.

Calarran nigdy by nie tolerował tak zuchwałego tonu w głosie sługi Kagonestyjczyka. Zanim jednak zdążył ją upomnieć, Eliad jeszcze raz zasygnalizował ciszę, a Kagonestyjczyk dał znak, aby patrzyła poniżej w las. Wzruszywszy ramionami, wrócił do obserwowania szczytów drzew.

Calarran nie usłuchał. Podobnie jak wcześniej Eliad czubkami palców dotknął liści i skrzywił się na odgłos, jaki wydały. Suszę lasu czuł na własnej skórze. Upał tak uciążliwy, że gorszego nie pamiętał nawet najstarszy z elfów, był prawdziwym jarzmem dla potężnych drzew i wszystkiego, co żyło pomiędzy nimi.

Nawet on okiem amatora oceniał, że wspaniały las cierpi z powodu suszy. W czasie dobrej pogody liście były tak bujne i soczyste, że zasłaniały niebo. Dzisiaj ze wniesienia, na którym siedział, widział całą drogę aż do ramion Gór Kharolis, które zakrywały Qualinesti — miasto elfów. Jego niedoświadczony wzrok nie widział znaku oddziałów wojskowych. —Nic — Elias bąknął pod nosem. —Mówisz, jakbyś był rozczarowany — powiedział Calarran. — Nie chcesz chyba zobaczyć śladów armii Królowej Ciemności. —Oczywiście że nie. Miałem nadzieję, że dojrzę jakiś znak patrolu Porthiosa. Myślałem, że może będą tędy przechodzić. Mielibyśmy zaszczyt odprowadzić go na miejsce narady. —Porthios zamierzał tędy przechodzić? — zapytał Calarran, zastanawiając się, jak może teraz wyglądać były Marszałek Słońca. Z trudem wyobrażał sobie eleganckiego, pełnego arogancji Porthiosa, żyjącego jak większość Tessiel w niewyszukanych obozach ze skórzanymi namiotami. Eliad wzruszył ramionami. —Myślę, że to oczywiste. Po co zostałeś z nami wysłany, jeżeli nie jako poseł. Zaskoczony Calarran nie wiedział, co odpowiedzieć. Nigdy nie podejrzewał, że jego zadanie będzie tak mało znaczące. Oczywiście, gdyby miało być inaczej, Idron powiedziałby mu. —Nie sądzę...

Niespodziewany głos, podobny do szczebiotania ptaka, przebiegł przez myśl Calarrana. Nagle wszelkie odgłosy zamilkły. Wszystko znieruchomiało, jakby zamieniło się w kamień. Słyszalny był tylko szelest suchych liści poruszanych przez gorący wiatr. Eliad zwrócił się w stronę, z której dochodził dźwięk. Wska-

zał palcem na Kagonestyjczyka i ruchem kciuka wskazał kierunek, w który ma iść. Następnie wskazał na siebie i kierunek, w którym zamierza się udać.

Nie trwoniąc czasu, Kagonestyjka szybko machnęła ręką w odpowiedzi i ruszyła na lewo. Eliad przykucnął i na czworakach pełznął na prawo, omijając Calarrana.

Calarran obserwował koronę drzew, śmiało przesunął się trochę na bok, tak aby sprawdzić, co się dzieje z tyłu lasu. Nie widział i nie słyszał nic. Żadnego śladu rycerzy Lorda Ariakana. Żadnego śladu honorowej straży renegata Porthiosa.

Na lewo, tam, gdzie skierowała się Kagonestyjka, znajdowała się sucha, zakurzona szrama, którą zaledwie tydzień temu sączyła się woda. Potok płynął obok trzech osik, runo leśne w tym miejscu było ciągle zielone i zarośla nadal rzucały cień.

Opierając się na rękach i kolanach, Calarran przybliżył się do rowu od strony najbujniej porośniętej krzakami.

Chłód obmył jego ciało, jakby wślizgnął się do górskiego rozlewiska. Intensywny aromat liści był jak słodycz.

Obserwował Eliada, który odszedł na bok i zgięty prawie wpół biegł w stronę drzew, gdzie szybko pogrążył się w cieniu. W jego polu widzenia znalazły się teraz stopy i nogi Kagonestyjki. Lekkie jak powietrze kroki grzmiały jak burza. Stała na krawędzi wyschniętego koryta potoku. Przykucnęła, jakby przygotowana do biegu. Wyglądała jak ciasno zwinięta sprężyna. Była dostatecznie blisko, tak że czuł jej mieszany, cytrynowo-iłowy zapach. Jej pomalowana w faliste pasy skóra i tunika, niezależnie od świeżych liści pozostawała prawie niewidoczna na tle zieleni, brązu i srebra lasu.

Calarran, wiedząc, że był na widoku, odchylił się nieco do tyłu. Uświadomił sobie nagle, że jego niebieska tunika świeciła jak latarnia. Kiedy się poruszył, liście na wprost policzka najpierw zadrżały, a następnie silnie zatrzepotały. Ostry, suchy wiatr zabrał chłód cienia. Ognista, gryząca woń zadymionego powietrza napływała do płuc. Grzmot uderzył tuż nad jego głową. Słońce zniknęło. Liście znajdujące się w odległości ramienia od twarzy Calar

rana skurczyły się i zaschły. W mgnieniu oka z soczystych i intensywnie zielonych zmieniły się w brązowe i kruche. Delikatne gałązki nagle pokryła czarna sadza. Calarran zbyt zszokowany, aby wykonać jakikolwiek ruch, przez moment pozostał na swoim miejscu. Pod wpływem nienaturalnego gorąca, jakie poczuł na twarzy, zachwiał się do tyłu, po czym z krzykiem, kalecząc ręce i kolana, rzucił się do ucieczki. Biegł do góry, a potem na zewnątrz koryta potoku, jak najdalej od zadziwiającej pożogi.

Świat dookoła niego zamienił się w piekło: żar, ogień, głosy wrzeszczących patroli, chaotyczne bieganie. Eliad nawołujący do porządku. Wiatr smagający wysokie drzewa, jakby każde z nich było źdźbłem, łodygą zboża rosnącą na otwartej równinie. No i smoki.

Straszne, przeklęte smoki, atakujące zza drzew. Zasłaniające słońce. Wyjące. Posyłające serie ognistych wydechów. Przemieszczały się błyskawicznie. Mogło ich być pięć, mogło być piętnaście.

Atak scentralizował się na wzniesieniu, na prawo od Calar-rana. Młodego posła ogarnął wielki, niemal namacalny strach. Był jak coś materialnego, tak gęsty, że czuł jego zapach. Odwrócił się, żeby biec, uciec jak najdalej od ryczących smoków. Uciec najszybciej, jak tylko to możliwe.

Zanim jednak zdążył się ruszyć, Kagonestyjka złapała go za ramię.

— Do Eliada! — wrzeszczała. Zatrzymując go ciężarem ciała, zatopiła palce w jego przedramieniu i sprawiła mu ból.

Calarran, z przerażenia niezdolny do samodzielnego podjęcia decyzji, posłusznie pobiegł za nią. Zmierzali w kierunku, z którego dobiegał głos Eliada. Nagle nad wierzchołkami drzew zobaczył tratujące osiki smoki, które jak gradowa chmura sunęły prosto na niego. Zbroje jeźdźców migotały w słońcu, świecąc błękitem i śmiercią.

Ogarnął go lęk, tak mroczny jak nadciągająca chmura smoków. W trwodze mieszały się dobro i zło, góra i dół, przód i tył.

Pomiędzy drzewami, trochę dalej przed sobą dojrzał Eliada. Silvanestyjczyk wyprostował się, kiedy smok przemknął tuż obok niego. Uniósł do góry ręce i wołał o pomoc. Zginął z rękoma zwróconymi ku niebu i natychmiast zamienił się w popiół.

Jęk bólu skauta Kagonestyjczyka unosił się ku niebu wraz z buchającym ogniem. Calarran widział otwarte w rozpaczy usta. Widział też, jak Kagonestyjka, potykając się, biegła w kierunku innej grupy elfów, wyciągając po drodze zawieszony na plecach łuk.

Chociaż każdy najmniejszy mięsień jego ciała chciał za nią biec, stopy się nie poruszyły. Oczy nieruchomo wlepił w miejsce, gdzie zaledwie chwilę temu żył i oddychał dzielny elf.

Ogień buchał z góry, palił i tak już poczerniałe i zwęglone listowie. Żar wessał całe powietrze, nie można było oddychać, grunt pod stopami wypalał się. Calarran musiał się ruszyć, w przeciwnym razie spaliłby się razem z ziemią. Uciekał, z trudem łapiąc powietrze. Oślepił go strach. Ogłuszało trzaskanie ognia i ryk smoków dobiegający z góry. Przerazał łomot i trzepotanie ich gruboskórnych skrzydeł.

Gałęzie szarpały jego odzieniem i zbroją. Serce ze strachu podchodziło do gardła. Przeskoczył wyschnięty rów i dobiegł do drugiego brzegu. Wspiął się na nieduże wzniesienie i biegł dalej zygzakiem pomiędzy drzewami. Ciągłe słyszał łopotanie skrzydeł podążających za nim smoków.

Rękawem zaczepił o wystające gałęzie. Rozpędzony obrócił się dookoła gałęzi, kalecząc skórę, ciało i rozrywając wcześniej tkaninę ubrania. Krew zaplamiła tunikę. Ból przeszywający od nadgarstka po łokieć zwiększył tempo biegu.

Calarran potknął się, wpadł do małej kałuży i uderzył o pień drzewa. Serce waliło tak mocno, że czuł, jak krew zalewa mu mózg. Kątem oka widział czerwień. Coraz wyraźniej słyszał dochodzące z góry wycie smoków. Potworów, za którymi pożoga i popłoch rozciągnęły się na wschód, zachód i południe.

Nie istniały ani miejsce, ani prędkości, które uchroniłyby przed smokami. Nie było żadnej nadziei. Pełen bólu, strachu i niesławy Calarran przytulił się do ziemi.

Błękitny smok przemknął nad nim jak strzała. Poleciał w kierunku obozu, gdzie Idron czekał na spotkanie z Porthiosesem. Zawirowało mu w głowie, czuł, jakby był o krok od szaleństwa.

Gaellal, przywódca Domu Tessiel, stała obok Idrona, Senatora Qualinesti, i patrzyła, jak ten, obracając się, powoli przegląda obóz. Wiedziała, że Idron się niecierpliwi.

Porthios był spóźniony na spotkanie o całe dwa dni. Każda chwila, którą Idron spędzał poza Qualinesti, narażała go na niebezpieczeństwo ze strony Królowej Ciemności. Narażała go na pytania jego ludzi, domagających się wyjaśnień tak długiej nieobecności. Opóźnienie zwiększało też zagrożenie dla miasta znajdującego się pod oblężeniem wojsk Lorda Ariakana. Idron ukrywał niecierpliwość bardzo starannie.

Chociaż Idron należał do Qualinestyjczyków, bardzo go lubiła. Z oczami koloru złotopięknego i związanymi złotym sznurkiem lśniącymi migdałowymi włosami był, można powiedzieć, zbyt piękny, aby być mężczyzną. Zbyt elegancki, aby sterczeć na tym pustkowiu. Zbyt kulturalny i uprzejmy, aby być Senatorem Qualinesti.

Obóz był rozbity w trójkącie uformowanym przez las, strome wzniesienie urwiska i błota pozostawione przez wyschnięty dopływ rzeki. Namioty rozstawiono z dala od piekącego żaru słońca, wzdłuż zacienionego brzegu lasu. —Ostatni postój mieliśmy w głębi gór. Słońce nie sięgało tak daleko. —Jak często zmieniacie miejsca? — zapytał uprzejmie, chociaż widać było, że myślami był gdzie indziej. Był od niej niższy o dwie dłonie. Wzrok zawiesił tuż nad jej głową, patrzył daleko na południe. —Tak często, jak wymagają tego warunki — odchyliła się do tyłu na piętach i spojrzała w jego zaniepokojoną twarz. —Z której strony przybędą ciemne elfy? — pytał, nie odwracając wzroku od lasu. —Nie wiemy. —Nie wiecie!

—Nie. Przemieszczanie się Marszałka nie jest do końca ustalone. —Droga pani, myślałem, że Gilthas jest Marszałkiem Słońca — powiedział delikatnie, ale stanowczo. Gaellal w ostatniej chwili

powstrzymała gniew. Idron był w jej obozie gościem. —Przemieszczanie się Porthiosa nie jest do końca ustalone z powodów oczywistych. —Skąd macie pewność, że w ogóle przyjdą? —Przykro mi, Senatorze, że musisz czekać — przeprosiła chłodno. — Dałeś Porthiosowi słowo, więc przybędzie. Dobre maniery na chwilę opuściły rozmawiających.

— Wybacz mi niecierpliwość, pani. Nie chciałem cię obrazić. Wszystko dlatego, że spotkanie jest bardzo ważne dla twoich ludzi i dla mnie. Jeżeli Porthios i ja dojdziemy do porozumienia...

Gaellal skinęła głową i uśmiechnęła się, odpowiadając na jego uśmiech i słowa.

— Nie ma za co przepraszać. Masz rację. Nie zważając na różnice pomiędzy nami, razem możemy zwyciężyć.

Kiedy wypowiadała ostatnie słowa, zatrzepotały wierzchołki drzew, ujawniając na chwilę srebrnozielone wypukłości liści.

Kiedy Calarran powoli zbliżył się do pnia drzewa, przywitał go metaliczny syk strzał i sztyletów wyciąganych z pochew. Światło księżyca błyszczało w ostrzach elfów wojowników, którzy stali dookoła pogorzelska obozu.

Wiedział, że gdyby nie strażnik, którego spotkał i wypytywał o obóz Tessiel, ostrza posiekałyby go na sieczkę, zanim zdążyłby wypowiedzieć słowo.

Kiedy chwiejnym krokiem próbował ruszyć dalej, strażnik chwycił go za ramię i podawszy hasło, wyprowadził na światło.

Odgłos chowanych szabli, ocierających się o skórę pochew, mieszał się dookoła ze szmerem rozmów, ale Calarran rozróżniał je z trudem. Chwiał się na nogach i tylko uścisk elfa utrzymywał go w pionie. — Gdzie jest Senator Idron? — powiedział chrypliwie. Słowa z trudem przepychały mu się przez gardło i drażniły obolały, spuchnięty język. Co prawda, wartownik dał mu wody, ale zaledwie jeden łyk, który nie wystarczył, aby zwilżyć palące, suche gardło. — Czy to Calarran? — zapytał głos. Z trudem uwolnił się od uścisku strażnika. —Gdzie jest Idron? — usiłując podnieść ton głosu, powoli pytanie. — Odpowiadaj! —Nie ma go tu. —Nie ma?

Calarran rozejrzał się dookoła w nadziei, że w tłoku wokół tego pogorzelska znajdzie przyjacielską twarz Idrona. Oczywiście, że tu jest! Ci głupcy pewnie nie domyślają się, o kim mówię. —Senator — nalegał. — Senator Qualinesti. —Calarran? — powtórzył miękki i zmęczony głos. Gaellal wysunęła się do przodu. Długie złote włosy miała potargane, tunikę wymiętą i poplamioną krwią. Czyją krwią? Czyżby Idron nie żył? — Gdzie on jest? — wyszeptał, tym razem łagodnie. Gaellal dała znak, opuszczając rękę do dołu, ale Calarran nie miał pojęcia, co to oznacza. Sympatię? Niewiedzę? —Z tego, co wiemy, twój Senator żyje. — Sięgnęła po kubek wody. Woda była ciepła i piaszczysta, ale smakowała jak nigdy dotąd. Również słowa były słodsze, chociaż niepokojące: „z tego, co wiemy”? —Rycerze Ciemności na smokach zaatakowali obóz. Zdzi wiliśmy się, ujrzawszy ciebie. Myśleliśmy, że, jak wielu innych, nie żyjesz. Zmęczone i bez wyrazu oblicza elfów śledziły jego i Gaellal.

Calarran po raz pierwszy przyjrzał się obozowi. Nawet w ciemności zdołał zobaczyć, że był zniszczony po ataku. Poprzewracane namioty, rozgrzebane paleniska, porozbijane naczynia.

— Senator Idron został porwany przez rycerzy, którzy zaatakowali obóz — powiedziała Gaellal. — Został uprowadzony przez smoka Rycerzy Ciemności.

Strach znowu ścisnął mu gardło, z trudem więc wciągał powietrze. „Porwany!”

Wyciągnął ręce przed siebie. Jego twarz pokrywały piasek, tłuszcz i mieszanka sadzy z popiołem. Plamy na dłoniach przywoływały wspomnienie ataku, skowytu smoków nad głowami i niezapomnianego swądu palących się ciał. Odparł wspomnienia. Musi się skoncentrować, musi myśleć. — Musisz po niego pójść — zażądał.

Calarran po raz pierwszy przyjrzał się obozowi. Nawet w ciemności zdołał zobaczyć, że był zniszczony po ataku. Poprzewracane namioty, rozgrzebane paleniska, porozbijane naczynia.

— Senator Idron został porwany przez rycerzy, którzy zaatakowali obóz — powiedziała Gaellal. — Został uprowadzony przez smoka Rycerzy Ciemności.

Strach znowu ścisnął mu gardło, z trudem więc wciągał powietrze. „Porwany!”

Wyciągnął ręce przed siebie. Jego twarz pokrywały piasek, tłuszcz i mieszanka sadzy z popiołem. Plamy na dłoniach przywoływały wspomnienie ataku, skowytu smoków nad głowami i niezapomnianego swądu palących się ciał. Odparł wspomnienia. Musi się skoncentrować, musi myśleć. — Musisz po niego pójść — zażądał.



Jeszcze zanim przestał mówić, Gaellal potrząsnęła przecząco głową. — Nic na to nie poradzimy. — Masz tutaj dwudziestu wojowników — zataczając ręką półkole, wskazał na grupę złożoną z męskich i żeńskich elfów wojowników. — Nie możemy — powtórzyła stanowczo. — Rozumiem, że pragniesz ocalić Senatora. Ale my nie wiemy, co się dzieje z naszym przywódcą. Naszym pierwszym obowiązkiem jest upewnić się, że jest bezpieczny. — Nie rozumiem! — nalegał uparcie. — Porwano Idrona, Senatora Qualinesti! Lepszym zakładnikiem mógłby być tylko Senator Rashas albo sam Marszałek Słońca. — Słusznie. — Gaellal spojrzała na niego. — Kiedy odnajdę Porthiosa, zajmiemy się Idronem. — Nalegam, abys mi pomogła — Calarran mówił wolno i stanowczo, tak jak do dziecka. — Idron przybył na twój rozkaz i przebywał pod twoją ochroną. — Wiem — westchnęła Gaellal. — Nie umiem wyrazić żalu z powodu tego, co zaszło. Może masz rację. Musimy coś wymyślić.

Napięcie mięśni zelzało. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że ma zaciśnięte pięści. Rozprostowane palce zadrżały, kiedy napłynęła do nich krew.

Odwrócona tyłem Gaellal badała wzrokiem elfy. Najwyraźniej nie odnalazła twarzy, której szukała, bo dała stojącemu obok niej elfowi sygnał, po którym ten zniknął w ciemności. Wrócił po chwili, prowadząc Kagonestyjkę — wywiadowcę patrolu Eliada. — To ty? — zapytała szorstko Calarran. Gaellal wysunęła dłoń, dając sygnał Kagonestyjce. —

— Daraiel jest najlepszym wywiadowcą, jakiego mamy — powiedziała. — Jeżeli ktokolwiek potrafi odnaleźć twójego Senatora, to tylko ona.

Twarz Kagonestyjki zdradzała oburzenie. Spojrzała na niego bursztynowymi oczami, pełnymi antypatii. Nie ukrywała pogardy i odrazy. Calarran zaczerwienił się, policzki miał gorące jak las płonący podczas ataku. — Nigdzie nie pójdę z tym tchórzem — odezwała się. — Nie jestem tchórzem. — Palce Calarrana znowu zacisnęły się w pięść.

Kagonestyjka posłała mu piorunujące spojrzenie i burknęła do Gaellal.

— Ten tchórz próbował uciec z pola bitwy, zamiast śpieszyć na pomoc Eliadowi.

Zacisnął zęby, czuł, jak zgrzytnęły. Skulił ramiona ze wstydu, ale się opanował. Gwałtownie rozłożył ręce.

— Tak, uciekałem, ale tchórzem nie jestem. Nie wiem, czy ktokolwiek zostałby, gdyby smoki zwały mu się na głowę, wypalając powietrze, którym oddychał. Jestem dyplomatą, a nie wojownikiem. Szkolono mnie na posła i ambasadora. Nie wierzę, że nawet najtwardszy z was wytrzymałby, stojąc twarzą w twarz ze smokiem.

Kagonestyjka tylko przygryzła wargi i dziko warknęła. Nie powiedziała nic, nie kwestionowała jego wyjaśnień. Calarran wiedział, że podczas ataku stał na lepszej pozycji od niej. Przypomniawsobnie, jak biegła na wprost ognia, w chwili gdy on stamtąd uciekał.

Pociągłe twarze stojących dookoła elfów pozostały obojętne. Stali, beznamiętni, nie okazując ani sympatii, ani zrozumienia.

Gaellal spojrzała najpierw na niego, potem na skauta, wreszcie pokiwała głową, jakby dyskusja, którą prowadziła ze sobą, była zakończona. — Pójdziecie ty i Daraiel — oświadczyła.

Calarran uniósł głowę. Rozpalila go złość. Był zbyt odrętwiający, zbyt zmęczony, nie przygotowany na nową sensację. — My? Chcesz wysłać jednego sługę, Kagonestyjczyka, — i jednego dyplomatę na pomoc Senatorowi Qualinesti, chociaż masz do dyspozycji całą armię żołnierzy!

Kagonestyjka zrobiła krok w jego stronę. Chwyciła rękojęść małego sztyletu zawieszzonego przy pasie. — Nie jestem niczym sługą — syknęła.

Gaellal podnosząc dłoń, powstrzymała ją, jednak słowa skierowała do Calarrana.

— Chcecie trwonić czas na kłótnie i czekać, aż zaatakuje nas wróg? Daraiel jest naszym najlepszym skautem, najlepszym traperem.

Młody dyplomata posłał Kagonestyjce nieprzyjazne spojrzenie, wiedział, że jej oskarżenia i jego reakcja na nie odciągnęły Gaellal od ewentualnego ofiarowania dalszej pomocy.

— Wystarczy — wtrąciła Gaellal. — Daraiel zna lokalizację głównego obozu Rycerzy Ciemności. To ich największy i jedyny stały obóz. Tam najprawdopodobniej trzymają ważnych więźniów. Daraiel cię zaprowadzi. Idron jest, pomijając wszystko, twoim Senatorem.

Nieważne, jak bardzo przerażała go perspektywa ponownego spotkania ze smokami, nie mógł się wycofać. Nie mógł pozostać w obozie renegatów, udowodniłby bowiem, że ma od nich mniej odwagi.

Kiedy zauważył, że jest w centrum uwagi, zmusił się do wykonania pierwszego kroku. Odwrócił się i pochylił głowę.

Kagonestyjka skrzywiła się i spuściła wzrok w hańbiącej porażce.

— Kiedy odnajdziemy Porthiosa, podążymy za wami. — Gaellal odwróciła się, zostawiając Daraiel i Calarrana za sobą. Reszta elfów poszła za nią. Zostali sami.

Kiedy Calarran wyruszył w drogę, w głębi atramentowego mroku lasu nie było śladu promieni słońca. Było gorąco jak w każde letnie południe.

Calarran wyglądał zupełnie inaczej niż dzień wcześniej. Podczas marszu nieustannie na siebie spoglądał. Zamiast błękitnej, miał na sobie pożyczoną tunikę. Spodnie były również używane,

trochę sponiewierane i zabarwione na kolor świeżej ziemi i osik. Niósł ze sobą lekki łuk, zwinięty i zawieszony na plecach koc, a po obu stronach bioder skórzane pojemniki z wodą.

Kolor odzieży i ścieżki był bardzo podobny. Skórzana tunika była sztywna i kiedy unosił do góry rękę, jedwabna część garderoby ograniczała swobodę ruchu. Również kształt butów nie był dopasowany do jego stopy. Inne uczucie na skórze i brzemień na karku podniecały go tak, jak kiedyś, kiedy był jeszcze małym chłopcem, podczas podróży do izby senackiej.

Kagonestyjka podobnie jak wczoraj pomalowana w szaro-zielone pasy, szła przed nim tak szybko, że już wkrótce zniknęła z pola widzenia. Musiał biec, żeby jej dorównać. Zwinięty koc uderzał o biodro. —Będziemy się trzymać razem — powiedział uprzejmie, ale stanowczo. —Nie rozkazuj mi. Celowo zachowuję dystans. Jeżeli ktoś usłyszy, że nadchodzisz, przynajmniej nie zauważy mnie wycedziła przez zęby.

Posłał jej gniewne spojrzenie i pozwolił się oddalić, zwalniając tempo na tyle, żeby widzieć jej sylwetkę pomiędzy drzewami.

Była jednak dostatecznie blisko, aby mógł obserwować, jak lekko stąpa. Mógł usłyszeć, ale raczej nie słyszał odgłosu powodowanego deptaniem po suchej, kruchej nawierzchni gruntu.

Porównywał go ze swoimi krokami. Robił hałas, nie jak stado, ale, powiedzmy, jeden chochlik, i do tego malutki. Pomimo zmęczenia przez cały poranek starał się iść takim tempem, jak ona. Chciał sprawdzić, w jaki sposób stawia kroki, nie powodując szelestu kruchych przecież liści.

Był tak pochłonięty współzawodnictwem talentów, że omal w nią nie uderzył, kiedy zatrzymała się niespodziewanie obok wysokiej osiki. Zanim jednak ją rozpoznał, zamarł z przerażenia, a serce podeszło mu do gardła, kiedy bacznie przyglądał się cieniom w lesie. — Co to? — wyszeptał do siebie.

Kagonestyjka odpowiadając, powoli okrążyła drzewo, spoglądając w górę i dół. Po chwili wyciągnęła z sakiewki zawie

szonej na pasie kawałek miękkiej białej kredy i na wysokości oczu narysowała na drzewie linię.

A kiedy na jej koniuszku dorysowała drugą linię, która miała utworzyć grot strzały, Calarran chwycił ją za nadgarstek. —Co robisz? — Tym razem nie próbował zniżyć głosu. —Zaznaczam kierunek, w którym idziemy. Myślałeś, że Gaellal znajdzie nas, używając czarów? — Spojrzała na

niego, potem na nadgarstek, za który ją trzymał. Szarpnęła ręką, uwalniając się od uścisku. Odwróciła się i poszła w dół zbocza.

Robiła tyle hałasu, że bez trudu ją znalazł i podążył za nią. Głośno rozgniatała pod stopami suche liście i patyki. Łamała nisko wiszące gałęzie, brutalnie torowała sobie drogę. Zachowywała się zdecydowanie głośniej niż jeden chochlik. Jednak odgłos jej kroków brzmiał przyjemnie i Całarran ruszył za nimi tak cicho, jak tylko potrafił.

Tuż przed zmrokiem dotarli do miejsca wczorajszego ataku. Całarran zatrzymał się tak gwałtownie, że koc stoczył mu się z ramion.

Kagonestyjka cicho jęknęła. W jej głosie jak w lustrze odbijał się ból z powodu okaleczonego łądu. Chociaż Całarran nie mieszkał w lesie, takjak ona, czuł rozdzierający żal. Żadne, nie wiem jak obwarowane miasto, nie zastąpi ukochanego lasu Qualinesti, otaczającego jego rodzinny dom.

Na widok zwęglonej ziemi zapłonęła w nim złość, tak gorąca jak oddech smoków, które ją spaliły.

Zatrzymał się na brzegu czarnego pąsu ziemi, nie mógł dotknąć osmalonej ziemi, na której nie było liści, ani krzaków, ani jeżyn, tylko sadza i popiół. W miejscach, gdzie rosły wyniosłe, dostojne osiki, starsze od najstarszego elfa, tak stare jak Krynn, sterczały zwęglone pniaki; były tak kruche, że zmiótłby je najłżejszy podmuch wiatru. Gdzieś w tym pogorzeliisku leżały też prochy przyjaciół Kagonestyjczyków. Przepadła gdzieś woń lasu, woń życia. Gdyby zapach miał imię, byłaby nim czerń. Śmierć. Poczerniało wszystko, nawet błoto wypalone zamieniło się w piasek.

Kagonestyjka stała obok, ona również nie chciała deptać zbezczeszczonej ziemi. Jej ramię prawie dotykało jego. Całarran

ukłękł wolno i czubkiem palców dotknął martwej ziemi. Suchy szary puder. Spojrzał na kobietę. Zanim pośpiesznie odwróciła twarz, zdążył zobaczyć, jak mrużyła oczy, hamując napływające łzy. Jego oczy również zasłzy mgłą.

— Zapłacą za to — spokojnie, nie odwracając głowy, powie działa kobieta-elf. — Nawet jeżeli będzie mnie to kosztowało życie. Zapłacą za to.

Zaskakujące wydało się jej cierpienie, podobnie jak jego nagła uprzejmość. — Kochasz ten las tak, jak ludzie Qualinesti — powiedział. Przez jej miłość do lasu był gotowy wybaczyć obelgi, którymi go obrzuciła. — Ojciec nauczył mnie kochać las najbardziej ze wszystkich rzeczy. — Słyszałem, że wy, Kagonestyjczycy, mieszkacie w lesie pojedynczo. Oczywiście nie ci z Qualinesti, którzy są... urwał, chciał powiedzieć „sługami”. Wiedział, że wielu z nich nie pogodziło się z tym, w jaki sposób ich bracia zostali wzięci do niewoli. — Hm, oni mieszkają w mieście, a nie w lesie. — Mój ojciec nie był Kagonestyjczykiem — odpowiedziała spokojnie, niepatrząc na niego. — Był Silvanestyjczykiem. Moja matka była Kagonestyjką.

Zaskoczony Całarran utkwiał nieruchomo wzrok w zniszczonym lesie. Jego obraz sprawił, że na chwilę zapomniał o kobiecie. Całe długie życie, które miał przed sobą, to za krótki okres dla starych drzew, aby zdążyły odrosnąć — pomyślał, rozcierając w palcach popiół.

— Tak, zapłacą za to — powtórzył za Kagonestyjką i po dążył jej tropem.

Szedł drogą równoległą do spalonej części lasu — wzniesienia, na którym znajdowali się, kiedy zaatakowały ich smoki.

Podszedł do kucającej pod drzewem Kagonestyjki. Spoglądała na czubki drzew tak, jak dawniej. Serce mu zadrżało na wspomnienie nadlatujących z góry smoków.

— Atak nadszedł z północy — wskazała ręką kierunek. Jej głos drżał nerwowo.

—  
Wyciągnął dłoń, chciał położyć ją na jej ramieniu. Chciał powstrzymać ją przed odtwarzaniem

wspomnień, które były jeszcze zbyt świeże, zbyt bolesne. Z ledwie widocznym niesmakiem uniknęła dotyku jego palców. Jej reakcja nie obraziła go. — Pamiętam — odezwał się, nie pohamowawszy natłoku wspomnień — nadlecieli znikąd. Wynurzyli się jak duchy albo smuga dymu. — Oddychał głęboko, nierównomiernie. — Nie byli duchami, przybyli z północy. Największy i jedy ny stały obóz znajduje się na północy, niedaleko Szalonej Białej Rzeki. — Wskazała na północ, na zachód od Qualinesti. — Tam pójdziemy.

Pomimo niebezpiecznego obniżenia terenu wzdłuż doliny utrzymywali dobre tempo, szli szybciej niż po równinie. Po drodze jedli zabraną z obozu suszoną rybę, korzenie i żałośnie pomarszczone, prawie wyschnięte od słońca jagody. Prawie ze sobą nie rozmawiali, ale cisza nie ciążyła już tak bardzo jak wcześniej.

Przerwę zrobili dopiero o zmroku, niedaleko cienkiej strużki, w której kiedyś szemrała woda potoku. Calarran oparł się pomiędzy korzeniami drzew i zdrzemnął na chwilę. Domyślał się, że kobieta nie spała dłużej od niego, nie było czasu.

Wstali jeszcze przed brzaskiem. Uzupełniwszy zapasy wody, ruszyli dalej. Upał, który zelżał tylko w nocy, rósł nieubłaganie, kiedy słońce znowu wynurzyło się zza drzew. Po nocy spędzonej na ziemi nie obyło się bez dolegliwości, pozostała sztywność i ból.

Kiedy słońce minęło zenit i drzewa rzuciły wątły cień, kobieta zatrzymała się.

— Co jest? — zapytał, gdy przykucnęła na dużej słonecznej płaszczyźnie pomiędzy drzewami.

Ona, nie odpowiadając, rozgrzebała suche liście, które pokrywały teren dookoła. Patykiem długości przedramienia grzebała w ziemi pomiędzy liśćmi. Po chwili uniosła go do góry i bacznie obserwowała. Odrzuciła i sięgnęła po kolejny.

— Calarran domaga! się odpowiedzi. Zanim odpowiedziała, powtórzyła tę czynność jeszcze raz. — Sprawdzam kierunek.

Związłą odpowiedź zaakcentowała wbiciem kolejnego patyka w ziemię. Znowu grzebała w liściach, aż znalazła mały kamień i zaznaczyła nim koniec cienia patyka.

Calarran ulokował się niedaleko w cieniu drzewa i popijał wodę z worka. — Jak to działa? — Gdzie byłeś, kiedy wszystkie dzieci zdobywały sprawnie ści skautowskie? — zapytała, wyraźnie zirytowana. Jej słowa przywołały wspomnienie radosnych poranków, które spędzali w ogrodzie z jej matką. Uśmiechnął się. — Nie uwierzyłabyś, gdybym powiedział.

Czekała, aż doda coś jeszcze, lecz kiedy tego nie zrobił, spojrzała na wodę i usadowiła się obok niego, opierając się o drzewo.

— Kiedy cień się przesunie, kamieniem zaznaczę jego nowy koniec. Linia pomiędzy tymi dwoma wyznaczy kierunek: za-chód-wschód. Najkrótsza z linii, pomiędzy podstawą kija a tą I linią, wyznaczy północ. Przekonamy się w ten sposób, czy ciągle | zmierzamy w dobrym kierunku.

Starannie obserwował patyki i ich cień, jakby czekał, aż się poruszy. Zorientowawszy się, co robi, oparł się wygodnie. Na przekór sobie, pomysł ten uznał za imponujący.

— Skoro ojciec uczył cię o lesie, czego nauczyłaś się od matki? Uważnie badała jego twarz, widać było, że się waha. W jej

oczach pojawiła się ostrożność: efekt zadawania przez nieznanomych wielu pytań. Pytający najwyraźniej wzbudził zaufanie, bo odpowiedziała.

— Oboje rodzice uczyli mnie miłości do ziemi. Moja matka była... najdzielniejszym człowiekiem, jakiego znałam kiedykolwiek.

Policzki Calarrana oblały się rumieńcem. Zawsze myślał o sobie, że jest dzielny. Ciągłe tak myśli, powiedział do siebie | stanowczo. Uniósł oczy, szukając jej wzroku. — Proszę, mów dalej. —

— Nie ma oczym mówić. Rodzice poznali się w czasie Wojny Lanc. Zginęli, walcząc z zarazą

Loraca w Silvanesti.

Calarran wziął głęboki oddech. Słyszał o strasznych wydarzeniach w pięknym antycznym Silvanesti, kiedy jego władca, chcąc pokonać armię Królowej Ciemności, próbował posłużyć się jednym ze złych smoków. Nie pozostał ani jeden żywy elf, który nie opłakiwałby poniesionych szkód.

— Dlatego walczę po stronie Porthiosa i Alhana. Oni walczą w obronie Silvanesti, a teraz chcą ocalić Qualinesti. Nie mogę robić mniej niż oni.

Calarran spuścił wzrok. Był zawstydzony i podłamany, ale czuł się nie mniej zdeterminowany i zobowiązany niż ona.

Calarran podniósł się na łokciach i uważnie przyglądał obozowi. Już czwarty raz Daraiel pociągała go do dołu i sygnalizowała, że powinien trzymać głowę nisko.

Leżeli na brzuchach, po wschodniej stronie obozu Rycerzy Ciemności. W obozie, rozbitym nad porośniętym trawą brzegiem rzeki, panował ruch. Roilo się tam od żołnierzy wojsk Lorda Ariakana. Wszystko wskazywało na to, że osada ta została tu zbudowana na stałe.

Aby uzyskać więcej przestrzeni dla namiotów, obozowicze wycięli tuziny drzew. Pnie ułożono dookoła brzegów obozu, tworząc efektowną barierę. Kiedy tak się przyglądali, słońce już prawie zaszło, pozostawiając na zachodzie nieba ognistą lunę. —Gdzie są smoki? — wyszeptał Calarran, odsuwając się od Daraiel, gdyż pomiędzy drzewami miał inne pole widzenia. Czołgając się na łokciach i kolanach, posuwała się za nim, ostrożnie przywierając do ziemi. —Prawdopodobnie dalej na zachód, w górach. Chociaż ten duży wyrąb, o tam, wygląda jak miejsce do lądowania. Musimy być ostrożni, nie mogą nas zauważyć, oni są.. . — urwawszy, chwyciła go za rękę. — Patrz tam, obok tego namiotu w paski, czy to nie Idron?

Calarran uniósł się na rękach i kolanach, żeby wejrzeć w głąb obozu.

Tym razem Daraiel nie ciągnęła go na dół.

Postać ubrana jak Calarran i tak wysoka i smukła jak on obeszła polanę dwa razy dookoła, po czym wróciła do namiotu w paski. Kiedy zniknęła w jego wnętrzu, dwóch strażników ustawiło się przy wejściu. — Znam ten chód — szepnął. — To on!

Opadł na plecy, nierówno oddychając. Nie mógł uwierzyć, serce waliło mu, jakby biegał, a nie czołgał się dookoła obozu. — Wiemy, że go mają, zatem co dalej? Co dalej?

Podczas całodziennego wędrowki godzinami badał teren, ale nie dopuszczał myśli, że znajdują Idrona żywego czy martwego.

Przygryzł wargi i utopił wzrok w liściach, delikatnie poruszających się nad jego głową. Co dalej? Był dyplomata, a nie wojownikiem. Nie mógł jednak pójść i negocjować uwolnienia Idrona.

— Czekamy z nadzieją na twoich ludzi czy idziemy po nich? Może ty powinnaś pójść, a ja zostanę, aby obserwować, co będzie dalej.

Spojrzał na Daraiel i zorientował się po jej minie, że przez cały czas mówił za głośno. Jej pomalowana w pasy twarz przybrała wyraz niezadowolenia, który znał bardzo dobrze. —Jest nas tylko dwoje. Myślisz, że powinniśmy zaatakować obóz? — dodał. —Nie, ale możemy się zakraść i uwolnić go. —Co? —Mogę się wślizgnąć do obozu po zapadnięciu zmroku. Jego namiot nie jest tak bardzo oddalony od lasu. Mogę wyrznąć dziurę i zabrać go zanim się zorientują.

Odwrócił się i raz jeszcze zlustrował obóz. Serce waliło mu na myśl o zuchwałym planie. Wyobrażał sobie, jak zygzakiem zakrada się pomiędzy cieniami namiotów.

— Ty pewnie nie potrafisz. — Słowa były równie kpiące, jak i ośmielające.

Nie mógł uwierzyć, że brała go pod uwagę. Z drugiej strony... co będzie robić, czekać wśród drzew na śpieszących jej na

ratunek towarzyszy? Zostanie raz jeszcze uznany za tchórza, a przecież nim nie jest. Wyprostował

się z nadzieją, że doda mu to odwagi. Daraiel roześmiała się smutno.

Zorientował się, że wygląda zabawnie. Siedząc tak dumnie i prosto w zużyтым ubraniu, z twarzą wysmarowaną na kolor ziemi, palcami zabarwionymi sadzą i kredą, musiał wyglądać śmiesznie. Miejska czystość i zapach zniknęły, pozostawiając mieszkankę brudu i potu. Chciał jej udowodnić, że się myli. — Potrafię to zrobić.

Ich spojrzenia się spotkały i zatrzymały na chwilę. Patrzyła mu prosto w oczy, jej drobna twarz spoważniała. — Dlaczego tak naprawdę wtedy uciekałeś? Calarran wziął głęboki oddech.

Jej pytający wzrok był tak intensywny, że nie ośmielił się odwrócić głowy i uniknąć odpowiedzi.

— Nie wiem. Od momentu kiedy zobaczyłem buchające płomieniami zarośla, ogarnął mnie strach. To było tak namacalne jak żywa mgła. Pamiętałem, że muszę uciekać... smoki wrzeszczą nad głowami, czułem zapach ognia.

Przerwał, przeszyły go ciarki. Miał nadzieję, że kolejny głęboki oddech rozproszy wspomnienie i zapach palących się ciał i lasu.

— Pamiętam, jak ogień tańczył przede mną w powietrzu w odległości dwóch ramion. Nie wiem, dlaczego uciekłem, za miast zginąć. Nie wiem, jak to się stało, że mnie ominęli. Może mnie nie widzieli, a może bogowie mają w zamyśle inne przeznaczenie. Pamiętam, że modliłem się do nich, abym został ocalony. Moc wypełniła mu serce. — Tym razem nie będę uciekał. Obiecuję, Daraiel. Wstrzymał oddech i spojrzał do góry; znowu natrafił na jej wzrok.

Długo, długo nie mówiła nic, patrzyła mu tylko w oczy. Wreszcie, kiedy zabrakło mu powietrza w płucach, odwróciła się, aby uważnie przyjrzeć się głębi obozu.

— Patrz — powiedziała, dając znak, aby do niej dołączył. — Pójdziemy pomiędzy namiotami. Zygzakiem, o tam, blisko brzegu rzeki. Powinniśmy być dostatecznie ukryci przed największym zgrupowaniem straży. Idź pierwszy, ja pójdę za tobą.

Odwrócił się, chcąc zaprotestować, powiedzieć, że bezpieczniej byłoby dla niego, gdyby pozostał z tyłu. Jednak powoli podniósł łuk i zaczął zachodzić w dół zboczem w stronę obozu. Nawet się nie obejrzał, aby sprawdzić, czy idzie za nim.

Krażył pomiędzy namiotami bardzo ostrożnie, pamiętając przestrogi Daraiel o tym, żeby pozostać niewidocznym. Przemieszczał się od cienia do cienia. Przelatywał, przynajmniej taką miał nadzieję, jak podmuch letniego wiatru.

Dotarł do pierwszego namiotu. Drugiego. Drżąc jak cień płomieni z paleniska, minął trzeci namiot. Ktoś wewnątrz głośno chrapał. Czwarty. Nie było znaku straży. Przystanął pod osłoną głębokiego cienia, aby odwrócić się po raz pierwszy od chwili, kiedy znalazł się między namiotami. Sprawdził, czy Daraiel szła za nim.

Wkroczył do obozu, jeszcze zanim ostatni obłok kurzu odstłonił niebo. Teraz cienie były wyraźne i długie. Nie widział śladów swojej partnerki, czyżby nie szła za nim? Jego oddech był niespokojny, zupełnie jak migoczące płomyki ognia. Wciągnął głęboko powietrze, musiał się uspokoić. Bez znaczenia, sam czy nie, musiał iść dalej.

Posuwał się ostrożnie, minął kolejny szereg namiotów. Pał nownie spojrzał w kierunku więziennego namiotu Idrona i ruszył... prosto w ręce rycerza, który właśnie wyszedł z jednego z namiotów. Twarz Rycerza Ciemności wyrażała niesamowite zdziwienie. Calarran zauważył, że rycerz był od niego dwa razy większy. Calarran nie próbował nawet uciekać. Obejmowały go ramiona silne jak dąb, przy których jego ręce wyglądały jak igły młodej osiki. Rycerz Ciemności wołał na pomoc swoich rodaków. Młody dyplomata poskramiał w sobie instynkt, który wyzwał w nim chęć walki i ucieczki. Nie mógł uciekać, bo kiedy zaczną go ścigać, mogą znaleźć Daraiel. Wyprostowawszy ramiona, oświadczył donośnym głosem:

— Jestem Senator Calarran, pomocnik Senatora Idrona i syn Senatora Rodalasa. Żądam, aby zabrano mnie do Idrona. — Miał nadzieję, że mówi dostatecznie głośno, by Daraiel mogła go usłyszeć.

W odpowiedzi rycerze mocno związali mu ręce z tyłu skórzanym paskiem i uderzyli w głowę, kiedy ponownie zażądał, aby zabrali go do Idrona. Mimo że od brutalnego ciosu dźwięczało mu w uszach, Calarran nie poddawał się. Kiedy straż brutalnie zawlokły go przed swego dowódcę, nadal zachowywał wyprostowaną postawę.

Po raz kolejny powtórzył swoją litanię, poczuł na twarzy dłoń strażnika, który go uderzył. Napięcie rosło. Wartownik odchrząknął i zagroził. — Jeżeli usłyszę to jeszcze raz... — parsknął. Dowódca powstrzymał strażnika skinieniem ręki.

— Jesteś albo bardzo odważny, albo szalony, Calarranie — powiedział z uśmiechem.

Pod kołnierzem na kolorowej skórze Calarrana pojawiła się gęsia skórka, ostro zarysował się kształt wystających kości policzkowych. — Zostałem wysłany jako pomocnik Idrona. Moje miejsce jest obok niego. Bez niego nie mogę wrócić do Qualinost. — Szedłeś naszymi śladami, unikałeś patroli, a teraz zgła szasz się na zakładnika Idrona. — Z głosu wyraźnie wynikało, że mu nie dowierza. Podnosząc głos, dodał nonszalancko. — Sam? — Nie przyszedłem, aby zgłosić się na zakładnika — powie dział i był dumny z tego, że ciągle udawało mu się zachować godność. — Nawet nie wiedziałem, czy Idron żyje. Elfy z obozu powiedziały mi, że został porwany. Musiałem się upewnić. Mu siałem poznać prawdę, wiedzieć, co się z nim stało. Byłem zdeterminowany i moim zadaniem było uwolnienie go — prze łknął ślinę. — Skoro mi się nie udało, moje miejsce jest obok niego. — A co z innymi elfami, które zostały w obozie? — jego ton zdradzał niezadowolenie z faktu, że nie wszyscy zostali pokonani. — Oni nie przyjdą. Stwarzali pozory aliantów Qualinesti, ale

w końcu ujawnili prawdziwe oblicze. — Wykrzywił twarz z obrzydzeniem. — Renegaci. Wygnańcy — parsknął. — Nie są moimi przyjaciółmi. Znam miejsce pobytu ich przywódców. Dowódca mierzył go wzrokiem. — Powiem tylko wtedy, kiedy zaprowadzicie mnie do Idrona.

Jego twarz rozjaśnił szeroki, promienny uśmiech. Dowódca przywołał strażnika.

Prowadzili go przez obóz po mocno udeptanej ziemi. Minęli kuchenne palenisko. Roznosił się tu zupełnie inny zapach niż w obozowisku elfów. Woń kwaśnego potu ludzi i zwierząt mieszała się z zapachem gotowanego mięsa, naoliwionej broni i zbezczeszczonego lasu — podeptanych na miazgę trawy i krzaków.

Zaciśnięte z tyłu ręce i mocny uścisk ramion trzymającego go wartownika wywoływały drętwienie palców. Twarde, nieczule spojrzenia spod hełmów wojowników towarzyszyły mu przez całą drogę.

Eskorta przyprowadziła go prosto do strzeżonego namiotu w paski i brutalnie wepchnęła do środka.

Idron zerwał się na nogi, kiedy Calarran, ślaniając się, wpadł do namiotu. Siedział przy ciosanym drewnianym stole. — Calarran!

Strach ustąpił, kiedy Calarran zobaczył Idrona. Strażnicy weszli za nim do namiotu i brutalnie go szarpali, kiedy się potykał.

— Wystarczy — rozkazał Idron. Jego głos był niski, ale stanowczy. Mówił jak osoba, która oczekuje, że będzie wysłuchana niezależnie od okoliczności.

Strażnicy wyprostowali go i cofnęli się, zostawiając samego, kiedy dowódca wszedł do namiotu. — Dowódco Haros, co to ma znaczyć? — Złapaliśmy go, gdy się zakradał do obozu, Senatorze. Twierdzi, że jest twoim pomocnikiem. Powiedział, że szedł twoimi śladami, bo przy tobie jest jego miejsce. Idron uśmiechnął się do Calarrana i powiedział cicho:

— Nie powinieneś być przychodzić. — Następnie zwrócił w stronę Rycerza Ciemności, Harosa, oświadczył z du

— mą w głosie: — Jest moim pomocnikiem. Ludzie w moim sztabie są bardzo lojalni. Haros z pogodą wykrzywił usta. —Naturalnie. —Masz swojego mistrza. A teraz mów, gdzie znajdziemy renegata Porthiosa.

Idron wciągnął powietrze, ale zanim zdążył się odezwać, Calarran potrząsnął głową. — Czy naprawdę myślałeś, że ci powiem?

Haros wściekły zerwał się do przodu, ale Idron, rzucając przez ramię ostrzegawcze spojrzenie Calarranowi, natychmiast interweniował.

— Harosie, pozwól mi porozmawiać, nie chcę, żeby stała się mu jakaś krzywda.

Wahał się przez chwilę, nie ukrywał oburzenia i nienawiści. Wreszcie sztywno i z sarkazmem zasalutował na odejście.

— Zostawiam go z tobą na kilka minut. Zanim wrócę, prze mów mu do rozsądku. Odpowiadasz za jego poprawne zachowanie. Kiedy tylko kłapa namiotu opadła za ostatnim ze strażników, Calarran zapytał wylewnie. —Czy skrzywdzili cię, panie? —Nie. Nie jest to najlepsza kwatera, ale nie byłem źle traktowany. Jak tutaj trafiłeś?



# 41. Smoki chaosu

Po raz pierwszy, od kiedy wszedł do obozu, Calarran uspokoił się i uważnie rozejrzał dookoła. Podobnie jak cały obóz, namiot był zupełnie inny, niż sobie wyobrażał, patrząc ze wzgórza. Płócienne ściany i kopulasty dach falowały od poddmuchu gorącego letniego wiatru, sprawiając niesamowite wrażenie, jakby się znajdowali w płucu jakiejś prądkowanej bestii.

Stół, przy którym siedział Idron, stał prawie w centrum namiotu. Leżała na nim otwarta książka, obok blaszany kubek i paląca się złotym rozgrzewającym światłem lampa.

W kącie leżał śpiwór, starannie związany skórzanym sznurkiem. W drugim rogu znajdowała się latarnia. Była osadzona na wysokości ramion na zrobionym z gałęzi trójnogu. — Jak się tutaj dostałeś? — Idron powtórzył pytanie. — Calarran raz jeszcze błyskawicznie rozejrzał się dookoła i upewniwszy się, że są sami, zakończył inspekcję. Podszedł do mistrza. — Musimy grać na zwłokę tak długo, jak tylko zdołamy. Jestem ze skautem z obozu Tessiel. Przybyliśmy, żeby cię ocalić. — Więc nie ma z tobą Porthiosa?

Calarran zaprzeczył ruchem głowy. Pociągła twarz Idrona wykrzywiła się.

— Ty i jeden skaut? To wszystko, co renegacka hołota była w stanie zrobić?

Ta pewność siebie, którą okazywał Idron, parzyła bardziej niż pokrzywa. — Myślałem, że wystarczy nas dwoje — skłamał Calarran,! — Ich obóz ocalał, lecz został zdewastowany. Daraiel i ja przybyliśmy przed nimi, żeby cię odnaleźć. — Calarran przerwał. Męczył go natłok słów i myśli. — Czy Porthios przyjdzie z nimi? — Nie wiem, mój panie, spodziewam się, że tak. — A ta Daraiel? — Szła za mną — Calarran nie przestawał się rozglądać jakby się bał, że jest z nimi w namiocie. — Nie... nie wiem, co się z nią stało.

Idron wahał się przez chwilę, po czym poruszył tak gwałtownie, że zaskoczyło to Calarrana. Ze skruszoną miną stanął za Calarranem i sprawdził wiązanie. Pociągnął za jeden z końców, potem drugi. Calarran drgnął, kiedy gruby rzemień wrzynał mu się w nadgarstki.

— Obawiam się, że nie jestem w stanie ich poluzować. Poproszę straż, żeby to przecięli. — Przeszedł dosyć zgrabnie przed sionką namiotu i wyszedł na zewnątrz, wołając jednego ze strażników.

Głosy na zewnątrz były ciche, ale Calarran rozpoznał je Najpierw odezwał się senator, następnie inny głos, którego nie znał, i znowu senator. Początkowo jego głos brzmiał pretensjonalnie, później przekonywająco, a nawet pochlebnie. Calami nie zdziwił się, że senator, wszedłszy do środka namiotu, wszedł ramionami w przepraszającym geście.

— Oświadczył, że rozwiążą cię, dopiero kiedy wróci dowódca. — Co mam mówić, kiedy wróci? — Calarran spojrzał na swego mistrza, oczekując porady. — Mam nadzieję, że twój towarzysz pojawi się dużo wcześniej niż Haros. Jeśli nie... będziemy musieli coś wymyślić, żeby go uspokoić. — Chce wiedzieć, gdzie przebywa Porthios? — Tak. Rycerze byli wyraźnie rozczarowani, że nie znaleźli go w obozie. — Idron chodził dookoła małego stołu, nagle zwolnił i kciukiem jednej ręki pogładził podbródek. — Tak, taaak — wyrzucił z siebie długie, najwyraźniej głęboko przemyślane słowo.

Od kiedy Calarran stał się jego uczniem, widział ten gest nie po raz pierwszy. Gest ten uspokajał go, łagodził niepokój, napełniał nadzieją i wzmacniał. Idron stanął do niego profilem, z twarzą zanurzoną w cieniu. — Ty nie wiesz, gdzie on jest. Czy tak? — Nie wiem. Wiem tylko, że mieli go szukać. Daraiel zańczyła ścieżkę, więc powinni trafić. Ale gdzie są teraz, nie wiem.

Usta Idrona skrzywiły się w uśmiechu. Podniósł głowę i stanął jak na bacność, pełen skupienia

dumnie zadarł brodę.

Calarran znał tę postawę bardzo dobrze, Idron przybierał taką pozę zawsze, kiedy wygrywał debatę, pokonywał opozycję albo gdy upierał się przy swojej opinii w Senacie. — Masz plan! — powiedział pewnie.

Idron obrócił się na pięcie. Oczy mu rozblęły, zęby odsłonił w szerokim uśmiechu. Zanim jednak zaczął mówić, przez odsłonięte klapy namiotu dobiegły ich donośne głosy, dźwięki bijatyki i silne uderzenie o ziemię, jakaś pięść lub noga zderzyła się z czymś brzuchem. Namiot zatrzepotał i ciało z nieprzerwanie kopiącymi nogami zostało wepchnięte do środka.

Rycerz Ciemności wepchnął Daraiel, rzucając nią o ziemię. Zwinęła się w kłębek, ale już za chwilę, chociaż miała ręce związane z tyłu, zerwała się i stanęła na nogi, gotowa do ataku.

Strażnik do połowy wyciągnął miecz z pochwy. Drugi również chwycił za miecz i wbiegł do namiotu, gdzie dołączył do pierwszego.

Daraiel napięła się, przygotowana do obrony. Kiedy się przesunęła, zobaczyła Calarrana i Idrona. Zmieniła kierunek ataku. Z furią skoczyła w ich stronę, ale jeden ze strażników złapał ją w połowie drogi. Masywnymi ramionami ścisnął jej drobne ciało, przyciskając ją plecami do siebie. Miotła się i bezskutecznie próbowała oswobodzić, przeklinając przy tym w języku Kagonesti.

Calarran nie rozumiał ani jednego słowa, ale furia i złość w jej oczach sugerowały, że mówi dosadnie. Wreszcie przeszła na język Silvanesti i dobitniej wyraziła swoją wściekłość.

— Ty zdradziecki tchórze! Powiedziałeś im, gdzie jestem, przyznaj się?

Kiedy Haros zbliżył się do namiotu, Idron powiedział sarkastycznie: — Widzę, że ją znalazłeś, dowódco. Zaskoczona Daraiel zamilkła. Calarran chwiał się, jakby ktoś go uderzył. Ból, który zadała mu Daraiel, był jak ukąszenie komara w porównaniu z raną spowodowaną zdradą Idrona. — W miejscu, które wskazałeś. — Wielki człowiek wystawił kciuk, wskazując kierunek. — Tak. — Idron uklonił się Daraiel. Kobieta zawyła grubym, zwierzęcym głosem, jakiego Calarran nigdy nie słyszał z ust elfów i gwałtownie zwróciła się w stronę Idrona. Strażnik szarpnął ją ku sobie.

Daraiel podskoczyła i zadała mu cios, szarpiąc się w uścisku! jego ramion. Wojownik przeklął, kiedy piętami kopnęła go w goj leń. Sięgnął po lśniący miecz i przyłożył jej do gardła.

— Uderz mnie jeszcze raz — warknął — a twoja krew zrosi ziemię. Daraiel nie przestała się szarpać, ale stopy trzymała na ziemi. Idron wyszczerzył zęby w zdradzieckim uśmiechu.

— Mam kolejne zlecenie dla waszego plutonu, dowódco. Zaczekamy tylko, aż zrobi się jasno. Mój młody pomocnik

— poinformował mnie, że Porthios i jego banda kroczą ich śladem. Myślę, że nadejdą z południa. — Idron spojrzał na Calarrana, jakby oczekiwał potwierdzenia.

Calarran nie odpowiedział. Nie śmiał nawet spojrzeć na niego. Był tak odrętwiały, jak Daraiel wściekła. Idron był jego mentorem i przyjacielem. Wszyscy wierzyli, że elfi ojciec wychowa jedynaka jak należy. Dowiedziawszy się teraz, że Idron był w lidze Królowej Ciemności... Calarran o mało nie umarł. Odbył długą wędrówkę przez las Qualinesti. Po co? Żeby ratować zdrajcę? Daraiel widziała ból wypisany na jego twarzy. Nagle opuściła ją cała energia i zwiędła w ramionach strażnika. Idron zauważył to i uśmiechnął się.

— Myślę, że możesz odejść, dowódco. Nie będziemy cię więcej potrzebować.

Kiedy Haros z drugim strażnikiem zabezpieczyli wejście do namiotu, Idron z szacunkiem położył rękę na ramieniu Calarrana.

— Calarranie, zrozum, proszę, nie czerpię z tego żadnej przyjemności.

Calarran wyrwał się z jego uścisku i cofnął daleko, do drugiej ściany namiotu. — Zdradziłeś naszych ludzi! Moją rodzinę! Mnie! Mało brakowało, a zginąłbym podczas ataku na patrol Eliada. —

To był przypadek, nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. To co robię, robię dla Qualinost. Widziałeś, jakie zniszczenie sięją wojska Rycerzy Ciemności. — Idron pochylił się do przodu, był pełen serdeczności i szczerości. — Czy chcesz, żeby zrobili to samo z Qualinost? Chciałbyś zobaczyć swój dom doszczętnie spalony? Ze mną, jako zakładnikiem Lorda Ariakana, wzmocni my siłę Senatu. Senat zmusi Gilthasa do ugody z Ariakanem i dojdziemy do porozumienia.

Calarran spojrział Idronowi głęboko w oczy. Wiedział, że senator nie wątpi ani trochę w słuszność swojego planu.

— A Porthios? — Daraiel zapytała ochryplym głosem. Stała spokojnie i strażnik, który ją trzymał, odsunął sztylet od jej szyi. — Jego też ocalisz?

— Idron wzruszył ramionami. — W Senacie ciągle są ludzie, którzy cenią Porthiosa. Do póki żyje, będzie wpływał na ich decyzje. — A potem? — Jego śmierć jest, niestety, nieunikniona. Ludzie domagają się śmierci Porthiosa. To cena za ocalenie Qualinost. Muszę przyznać, że jego śmierć będzie pożyteczna również dla nas, ułatwi nam wykonanie zadania. Dopóki Porthios żyje, zawsze znajdą się zwolennicy jego powrotu na tron. — Nie zrobisz tego! — szarpiąc się, protestowała Daraiel. Strażnik znowu mocniej ją ścisnął. — Już to zrobiłem — powiedział spokojnie, po czym zwrócił się do Calarrana. — Chcę, żebyś przynajmniej zrozumiał. Czy wiesz, że to jedyny sposób na uratowanie naszego miasta i ludzi? Nie jestem zdrajcą. — Są inne sposoby — krzyknęła Daraiel. — Porthios zabezpieczał Qualinost, rozstawiając swoich zwolenników na wschodniej linii. Z żołnierzami w Qualinost...! — Przerwała i przeniosła wzrok z Idrona na Calarrana, aby się upewnić, czy warto mówić dalej. Calarran skinął głową. — Z żołnierzami z Qualinost zdołamy zaatakować oddziały Rycerzy Ciemności Rycerzy pomiędzy naszym a waszym lasem. Moglibyśmy wyprzeć ich z Qualinost. — Czy Porthios chciał przedstawić ten plan na naszym spotkaniu? — Nikt mi go nie przedstawił oficjalnie... — Daraiel spojrzała na Calarrana, po czym ciągnęła dalej. — Przypadkiem usłyszałam dyskusję.

Calarran wstrzymał oddech, kiedy Idron rozważał słowa Daraiel. — To się nigdy nie uda. — Idron patrzył na nią pełen litości, jakby była dzieckiem lub idiotą, po czym rozłożył ręce przed Calarranem. — Ich jest za dużo, nas zbyt mało. Czy tego nie widzisz? — Tak, tak, widzę. — Niechętnie przytaknął Calarran.

Idron wyciągnął szyję, jakby nie dosłyszał.

— Zgadzasz się? Czy przystąpisz do mnie? — zapytał ostrożnie. Calarran zbladł, lecz odpowiedział: — Tak, przystąpię. — Nie! — Po raz kolejny Daraiel próbowała się wyrwać i raz jeszcze silny strażnik szarpnął ją do tyłu.

Z chwilą kiedy Idron zrobił krok w kierunku Calarrana, ten odwrócił się i wyciągnął do niego ręce, prosząc o rozwiązanie ich. Drewniane nogi latarni były przy jego stopach. Płomienie migotały na wprost jego twarzy.

Calarran spojrział w bok na Daraiel, próbując napotkać jej wzrok. — Daraiel — powiedział miękko.

Kiedy Idron dotknął skórzanego węzła, przybliżył stopę do najbliższego ramienia stojaka latarni.

Daraiel westchnęła i przykucnęła, jakby wiedziała, o co chodzi. Widział, jak odwróciła głowę. Ich spojrzenia spotkały się i zatrzymały przez dłuższą chwilę. Calarran w obawie, że strażnik może to zauważyć, odwrócił się. Zaraz potem delikatnie skinął głową. Znak był dostatecznie wyraźny, aby zaalarmować straż, ale było już za późno.

Kiedy Calarran zobaczył, że kobieta przytaknęła, kopnął stojak, a gdy lampa się przewróciła, cisnął nią w ścianę namiotu. Gorący olej rozprysnął się dookoła. Błyszczące jak czarne diamenty krople zalały ścianę namiotu, ramiona Calarrana i strażnika. Ogień pożerał wszystko, czego dotknęła

oliwa. Kiedy strażnik zacisnął dłonie na ramionach Daraiel, ta wygięła się do tyłu i podskoczyła. Z całej siły kopnęła strażnika. Ten nie zdołał utrzymać jej, sztyletu i jednocześnie odierać atak jej stóp. Próbując uniknąć jej kopnięcia, odruchowo zwolnił uścisk, a Daraiel, wykorzystując to, obróciła się i upadła na ziemię. Była wolna. Zanim zdołał się wyprostować i wstać, ona schyliła głowę, zebrała siły i całym swoim delikatnym ciałem uderzyła w wojownika. Calarran upadł i potoczył się jak najdalej od płonącej oliwy,

ocierając się ramionami o grunt, bo ogień w każdej chwili mógł zająć jego opryskane oliwą ciało.

Kiedy się zatrzymał i podciągnął do góry na łokciach, Daraiel i strażnik leżeli na ziemi. Kobieta, podobnie jak on, podpierała się na rękach i próbowała wstać. Strażnik nie ruszał się, a jego głowa znajdowała się na wprost stołu.

Namiet wypełniał się dymem i zapachem spalonego płótna. Calarran ukląkł, po czym chwiejąc się, wstał. Idron uniósł pięść w jego kierunku. — Ty głupcze! — przekrzykiwał trzask ognia.

Calarran pochylił się i natarł na senatora. Kiedy jego głowa uderzyła w brzuch Idrona, czuł jego oddech. Czuł również wstrząs spowodowany jego upadkiem. Idron leżał na ziemi. Elf upadł do nóg senatora i sprawdzał, czy oddycha.

Daraiel była tuż przy nim i kiedy Calarran zatoczył się kilka razy, podsunęła mu udo, na którym mógł się oprzeć i wstać. Kobieta strasznie kaszlała, ledwie trzymała się na nogach.

Idron, w przeciwieństwie do strażnika, był jeszcze przytomny. Stękając z wysiłku, resztkami sił przesuwał rękoma po ziemi, próbując wstać.

Calarran z trudem łapał powietrze, dym wypełniał mu płuca. Ogień szalał tuż nad ich głowami, łapczywie pochłaniając dach namiotu.

— Musimy wydostać się na zewnątrz — krzyknęła Daraiel, dławiąc się. Idron znowu jęknął.

Calarran wsunął stopę pod głowę elfa i popchnął go w kierunku ściany namiotu. — Co robisz? — Daraiel szturchnęła go ramieniem. — Wy noś się stąd! Wynoś się! — Nie mogę go tak po prostu zostawić — odkrzyknął w od powiedzi. — Pomóż mi! Przez ułamek sekundy wahala się. — Nie zabiję go.

Dołączyła do niego i razem wypchnęli senatora na zewnątrz przez ścianę namiotu. Kiedy tylko byli pewni, że jest już bez

pieczny, nisko pochylona Daraiel i jej towarzysz rzucili się do ucieczki.

Obóz ożył, krzyczący i biegnący wojownicy z oddziałów Rycerzy Ciemności byli wszędzie, niektórzy z nich dźwigali już wiadra z wodą. Daraiel, unikając najliczniejszej grupy, przeszła tyłem namiotu.

Gorące letnie powietrze było tak miłe i chłodne, jak nigdy dotąd. Jego świeżość przyprawiła Calarrana o kolejny atak kaszlu.

Daraiel również kaszłała, ale podążała wzdłuż linii namiotów. Skręciła błyskawicznie i szła dalej wzdłuż kolejnego ich szeregu. Skuliła się za jednym z nich, aby uniknąć spotkania z grupą żołnierzy. Calarran wreszcie mógł do niej dołączyć.

— Idziemy w złym kierunku — wystękał. — Skieruj się na lewo, w stronę lasu. Potrząsnęła głową, ruszając do przodu.

— Jak najdalej od rzeki — z trudem wyrzucała z siebie słowa. — Oni wszyscy... będą... rzeki. Pożar.

Calarran przystanął, aby się obejrzeć. Ogień rozprzestrzeniał się. Jasnopomarańczowy płomień podskakiwał do nocnego nieba tak wysoko, jak wierzchołki nieodległych osik. Popiół zaczynał już krążyć wokół nich. Noc wypełniła się wrzaskiem Rycerzy Ciemności, trzaskiem ognia, przeraźliwym

rzeniem koni.

Biegł za Daraiel. Nie było śladu żołnierzy. Nie musiał już nawet kluczyć pomiędzy namiotami. Biegł prosto do lasu. Zrównał się z nią, w momencie kiedy wbiegła do lasu.

Podążał w ciemności za jej srebrnoszarą tuniką, ledwie widząc własne stopy. Po kilku minutach zwolnili do szybkiego marszu, potem jeszcze bardziej, aż wreszcie się zatrzymali. Kiedy Daraiel opadła na kolana, jej twarz zniknęła z pola widzenia Calarrana.

Zanim do niej dołączył, obejrzał się do tyłu. Wydawało się, że straszna luna rozjaśniająca niebo nad jeziorem jakby się zmniejszyła. Czarne kształty drzew były przerażające, a gałęzie natlejasnego nieba wyglądały, jakby sięgały do niego naroślami zniekształconych ramion.

Zrobił kilka kroków w dół lekkiej pochyłości i, obsuwając się, usiadł obok Daraiel. —Musimy wkrótce ruszać dalej. Myślę, że już opanowali pożar — powiedział elf. — Wyglądało to jak ogień zionący z paszczy smoka. —Muszę chwilę odpocząć. Złapać oddech — mówiła urywanym głosem. — Jesteś ranna? Potrząsnęła głową. — Nie. Trzeba iść dalej, ostrzec innych. Powiedzieć o Idro- nie.

Ból z powodu zdrady Idrona zacisnął mu gardło, tłumiąc podniecenie wywołane ucieczką.

Oddech Daraiel był chrapliwy i nierówny. Uświadomił sobie, że jego własny jest taki sam. Przysunął się do niej tak blisko, że zetknęły się nawet ich uda. Pachniała dymem i leguminą. Jej ciało było gorące, czuł, jak drżała, i dawało mu to ukojenie.

— Przepraszam, że ci nie ufałam — powiedziała słabym głosem. —Przepraszam, że nazwałam cię... te wszystkie określenia...

Wzruszając w ciemności ramionami, wierzył, że ona odczują to na swoich ramionach. —Nie ma sprawy. Rozumiem to. Myślałaś o ataku. —Nigdy nie pytałaś, jak przeżyłam atak — jej głos stał się spokojniejszy i słabszy, kiedy znowu się odezwała. Słowa te zaskoczyły elfa. —Myślę, przypuszczam, że uciekłaś. —Uciekałam jak najdalej, tak jak ty — powiedziała szczerze. Ledwo łapał powietrze.

— Bardzo się bałam, ale słyszałam Eliada. Chciałam do niego pójść. Zrobiłam to, pomimo paralizującego strachu. Ale... nie uratowałam go. Nie było jak. Nie miałam powodu, żeby zostać, więc uciekłam.

Calarran leżał zupełnie bez ruchu, z trudem wdychał powietrze, unosząc z wysiłkiem tors. Myśli leniwie krążyły w jego głowie.

Przez kilka minut nic nie mówili. Oddech Kagonestyjki stał się wolniejszy, po chwili miarowy. Ból w płucach Calarrana złagodniał. Kiedy jej uda przestały drżeć i leżeli obok siebie spokojnie i bezszelestnie, serce elfa odzyskało normalny rytm.

— Musimy iść — odezwał się w końcu. W ciemności za brzmiało to wyjątkowo głośno. Westchnąwszy, usiadła i zaczęła się wiercić. —Co robisz? — Calarran również usiadł. —Próbuję rozluźnić więzadła. Nie zrobię kroku, dopóki moje ręce nie będą wolne. — Obracała się na boki tak szybko, że prawie się przewróciła. — Czuję, że węzeł jest wysoko. Gdybym mogła go zobaczyć... Calarran uśmiechnął się i odsunął nieco w bok.

— Może ja mógłbym pomóc — stanąwszy na nogi, odzyskał równowagę w skupieniu, wziął kilka głębokich, relaksujących oddechów. Potem zgrabnie przetoczył się na plecy, podwinął kolana do klatki piersiowej, przeciągnął związane ręce w dół i następnie przed siebie. Usiadł tryumfalnie i wciągnął ręce przed Daraiel.

— Pytałaś, czego się uczyłem, kiedy inne dzieci bawiły się w lesie? Moja matka uczyła mnie koziołków i akrobacji. Spojrzała na niego zachwycona.

Uśmiechnęła się, a następnie odwróciła i wyciągnęła związane ręce do tyłu tak daleko, jak tylko mogła.

— Mam nadzieję, że nauczyła cię również rozwiązywania węzłów.

— SYN HUMY

Richard A. Knaak Świat był martwy...

Pociemniałe niebo falowało, a ziemia pod nim przypominała płynną substancję. Kontyngent Rycerzy Solamnii nie miał czasu na rejestrację barbarzyńskiego spustoszenia. Jeszcze mniej czasu mieli, żeby się przed nim uchronić. Rozlegało się rzenie koni i ludzkie krzyki, jakby jeźdźcy i zwierzęta zostali wyrzuceni w powietrze albo zanurzeni w rozmokłym gruncie. Niebo ogarnął sztorm, który targał towarzyszącymi rycerzom czterema pociągowymi smokami jak dziecinnymi zabawkami. Złoty smok, przywódca pozostałych, zginął pierwszy. Uderzył o zbocze góry z taką siłą, że słychać było pęknięcie jego kręgosłupa. Razer próbował utrzymać się w powietrzu, ale siła ciężkości przyciągnęła go do ziemi. Nalot zdołało wytrzymać tylko dwóch żołnierzy. Ocalili, ale nie mogli pomóc ani ludzkości, ani swojemu gatunkowi.

Stoddard zauważył, że Blane spada z konia i rozbija się o wirującą masę ziemi. Zaraz po nim przysła kolej na niego — tak jak tamten spadał z przerażonego zwierzęcia. Rycerz Róży głucho uderzył o ziemię. Ulga nie trwała długo, Stoddard przekonał się wkrótce, że dopiero teraz zaczął się prawdziwy horror.

Wówczas zobaczył, że falująca ciemność przybrała kształt Przyszła do nich śmierć. Tak, śmierć w nieuchwytniej formie potwornego smoka. Stoddard słyszał o płynnych smokach Chaosu, ale ten był inny. Jego ciało przypominało wirującą gwiazdą galaktykę. Trzepot skrzydeł bestii był sto razy silniejszy od któregośkolwiek ze smoków towarzyszących kontyngentowi piętnastu mężczyzn, a jego paszcza mogła pochłonąć dwa lub nawet trzy konie razem ze zbroją. Pierwsza srebrna smoczyca nie zdążyła zauważyć potężnej

formy. Straszny pazurami smoki Chaosu wbiły się w jej skrzydła i rozerwały je na strzępy. Zwierzę zawył z bólu i próbowało zawrócić, ale nie zdołało dłużej kontrolować lotu. Najwyraźniej prosta śmierć nie zadowoliła potwora Chaosu, bo chwycił smoczycę w szpony i kiedy się wyrwała, rozerwał jej gardło. Kiedy tylko tego dokonał, porzucił ciało i sięgnął po następnego. Towarzysz zabitej zawył z furii i próbował atakować najmocniej, jak potrafił. Niestety, kołyszące się fale powietrza, które otaczały smoka Chaosu niczym aureola, nie pozwoliły srebrnemu smokowi wziąć rozmachu. Potworny przeciwnik z łatwością pokonał odważnego rycerza, jakby ten był tylko słabowitym człowieczkiem. Podniósł głowę, otworzył usta i gwałtownym, ogłuszającym rykiem zgładził rannego żołnierza.

Stoddard nie odważył się odsłonić uszu, chociaż czuł wielką pokusę, by to zrobić. Łzy spłynęły po jego twarzy. Głowa smoka zwiślała na bok, jego oczy były ślepo wpatrzone w przestrzeń. Monstrum potrząsnęło raz ciałem i uwolniło je.

Paladynie... uchron, zachowaj, powiedział w myślach Stoddard. On pochłania... wszystko dookoła nas! On... piętnastu niewinnych ludzi... smoki. Czy nic nie może go powstrzymać?

Smok Chaosu wyciągnął skrzydła i obejrzał swoje dzieło zniszczenia. Zdawało się, że utkwiał wzrok w Stoddardzie.

Myśli zawirowały w głowie Rycerza Róży. Nigdy w życiu nie czuł się tak beznadziejnie, nigdy nie był tak... przerażony. Razer otworzył szeroko usta i zawył...

Stoddardowi pociemniało w oczach. Tym razem strach go pokonał.

Cienka stróżka wody płynęła do spieczonych ust. Stoddard przełykał odruchowo i coraz gorliwiej, im więcej napływało płynu. Strumień wody kapał na szyję.

— Tak mi przykro — powiedział głos w otaczającej go ciemności. — Przybyłem za późno...

Gdy na chwilę pragnienie ustąpiło, rycerz przestał przełykać. Woda natychmiast przestała płynąć,

zdążyła jednak oblać brodę i szyję.

— Kto...? — Stoddard ledwie rozpoznawał swój drżący głos. Zakaszłał i spróbował ponownie. — Kto? — Nie zabrzmiało lepiej. Inny głos szepnął:

— Posuń się, chłopcze, prawie go utopiłeś. Pozwól mi go obejrzeć

Stoddard rozpoznał wreszcie głos drugiej z osób, to jego człowiek. Rycerz oręza imieniem Ferrin. Omdlały, wreszcie zorientował się, że ma mocno zaciśnięte oczy. Świat powoli wynurzał się, odsłaniając przed nim pociągłą twarz Ferrina i bladego, przystojnego, czystego i ogolonego młodzieńca o niewyraźnych elfich rysach. — Jak się miewasz, mój panie? — Ferrin zapytał tym samym spokojnym głosem. — Jestem... poobijany, ale... — Rycerz Róży delikatnie poruszył kończynami. Prawe ramię bolało potwornie, lecz nie było żadnego złamania. Podziękował Paladinowi za cud. Wygląda na to, że jestem cały. — Chwała bogom. — Dlaczego mówicie szeptem? — Wykrzywił usta. — Czy monstrum jest ciągle w pobliżu? — Nie mówimy szeptem, ani ja, ani chłopak, mój panie. Skowyt smoka osłabił jego słuch. Może z pomocą bogów uda mu się go odzyskać, ale teraz wiedział, że nie ma na to czasu i siły. Było zbyt wiele pilniejszych spraw. — Ilu... ilu... przeżyło? Rycerz i młodzieniec spojrzeli po sobie. To wystarczyło. — Znalazłem tylko Karisa, Crandela i Marlane'a, panie — powiedział wreszcie Ferrin. — Marlane zmarł na moich rękach, a Karis niecałą godzinę temu. Opatrzyłem rany Crandela. Teraz odpoczywa. — Nikt więcej nie ocalał? — Ani jeden. Ledwie znalazłem ciebie. Byłeś rzucony daleko. — Ferrin przeniósł wzrok na chłopca. — Kiedy cię znalazłem, ten młodzieniec już się tobą zaopiekował. Było to około godzinę temu, panie.

— Mieliśmy tylko jednego konia — kontynuował drugi z rycerzy. — Musiałem włożyć na niego czterech pozostałych, których znalazłem. Myślę, że reszta zginęła ze strachu. Szok. Wytrenowane konie ginęły w szoku. To było nie do przyjęcia. Stoddard zebrał wreszcie siły, żeby usiąść. — Smok nie żyje? — Razer ciągle żywy, Lordzie Stoddard. — Jak to, zdawało mi się, że widziałem, jak spadał — starszy z rycerzy prowokował do dalszych wyjaśnień. — Może latać tylko na małe odległości, ma zwichniętą jedną nogę, ale poza tym nie jest ranny. Możliwe że reaguje trochę wolniej. Młody mężczyzna spuścił wzrok. W oczach miał ślady łez.

— Przepraszam, goniłem z całych sił. Źle oceniłem prędkość smoka, nie wiedziałem, że lata tak szybko.

Słowa jego wybawcy nie miały sensu, ale w tej chwili Stoddarda to nie obchodziło. Piętnastu ludzi i cztery smoki. Monstrum zmiotło cały kontyngent przeznaczony do ochrony części Aramus, ważnego ogniwa na szlaku armii walczących z siłami Chaosu w północnym Ansalonie. Rycerze Takhisis zajęli najsilniejszą część portu dosyć daleko, ale nie tak, żeby uznać go teren zagrożony. Za późno się zorientowano, że Aramus nie było bezpieczniejsze od innych miejsc. Dlatego Stoddard i jego ludzie mieli za zadanie bronić miasto.

Zostali pokonani, jeszcze zanim zdążyli dotrzeć na miejsce przeznaczenia, pomyślał Stoddard.

To nie może być zbieg okoliczności, że smok Chaosu zaatakował tak blisko miasta portowego. Prawdopodobnie Aramus również leżało w gruzach lub niedługo się w nie obróci. — Aramus. Musimy sprawdzić...

— Miasto powinno być nietknięte — szybko odpowiedział młodzieniec. — Ale nie na długo. Smok Chaosu wkrótce odzyska siły. Minał już jeden dzień, nie będzie potrzebował dużo więcej.

Stoddard musiał się mocno koncentrować, aby wychwycić każde słowo. Bacznie obserwował młodzieńca. Jego wybawiciel był młody — prawdopodobnie giermek.

— Zdaje się, że wiesz o tej bestii więcej niż my. Kim jesteś? — Jestem Liam z Eldor, panie. Ścigam kreaturę, od kiedy po raz pierwszy zaatakowała Kryn. Jestem... jestem przekonany, że

zdołałbym ją zatrzymać, zanim zdążyłaby zaatakować ciebie.

Chciał sam powstrzymać bestię Chaosu, podczas gdy ta z łatwością zniszczyła piętnastu uzbrojonych rycerzy i cztery dorosłe smoki? Musi być obłąkany. Stoddard nie był tym zaskoczony. Spotykał wielu takich jak on — ofiary wojny, żyjące we własnym świecie fantazji, niezdolne stawiać czoło rzeczywistości. Co za hańba.

— Dlaczego tak ogromna odpowiedzialność miałaby spaść na tobie, Liamie z... Eldor, czy tak? To jest wojna, takie zadania należą do żołnierzy. — Stoddard zadrżał. — Nawet my zostaliśmy pokonani. Liam zwrócił wzrok ku niebu.

— Nie ma nikogo innego. Mój ojciec robi, co może, ale siła Chaosu jest wszędzie. — Młodzian potrząsnął głową i otarł resztki łez. — Mogę zrobić więcej niż mój ojciec. Jestem jedy nym, który może stanąć twarzą w twarz z potworami takimi jak smok Chaosu.

Dając znać Ferrinowi, aby pomógł mu ze stopami, Stoddard uprzejmie odpowiedział: — Jestem ci wdzięczny za pomoc, Liamie, ale tę sprawę lepiej zostaw nam. Jeżeli opuściłeś rodzinę, powinieneś do nich wrócić. To nie jest... to nie zadanie dla ciebie. — Ależ ty mnie potrzebujesz, wiem o tym. Nie jestem równy ojcu, ale dużo się od niego nauczyłem. Pochylając się w stronę swojego przywódcy, Ferrin bąknął: — Zapytaj, kto był jego ojcem, Lordzie Stoddard. Zapytaj go-

Sądząc po jego głosie, Ferrin znał już odpowiedź i uważał, że jest warta poznania. Ciekawość Stoddarda sprawiła, że uległ sugestii Ferrina.

— Czy twój ojciec jest rycerzem? Jak ma na imię? Możliwe że go znam. Młody człowiek wyprostował się i czekał na odpowiedni

moment, a wyglądał dużo bardziej imponująco niż w wyobrażeniach starszego rycerza.

— Możesz go znać, mój panie. Nazywa się Huma z Eldor. Znany również jako Huma Lance.

Stoddard wiedział, że tym razem słuch go nie zawiódł. Zamrugnął oczami, po czym spojrzał na Ferrina, czekając na potwierdzenie. Drugi rycerz ze smutkiem skinął głową. — Tak powiedział, Huma Lance.

Stoddard odchrząknął, ale nic nie powiedział. Obłąkany... chłopak był zdecydowanie obłąkany. Liam, czując niezręczną ciszę, mówił dalej. — Oczywiście jego śmiertelna powłoka zmarła wieki temu, ale moi rodzice zostali zabrani do Paladina i z nim zamieszkali. — Jego piersi nabrzmiały jak do modlitwy. — Jestem owocem ich związku. Ich synem. Obejrzałem już Krynn i zawsze chcia łem przejść się przez Ansalon. Gdy mój ojciec powrócił na ziemię, aby pomóc w bitwie, chciałem z nim iść, ale on obawiając się o mnie, zabronił. — Zrobił pokorną minę. — Myślę, że nie wiedział o tej bestii, ponieważ pojawiła się dopiero wtedy, kiedy został ponownie włączony do śmiertelnego świata. Ja ją znam i postanowiłem przybyć do Krynnu na ratunek. — Czy ty... — Nie było najmniejszego sensu zagłębiać się w opowiadanie chłopca.

Rycerz Róży zwrócił zmęczone oczy na zdewastowany krajobraz. Wskutek wojny ze smokiem Chaosu powstały nowe wzniesienia. Drzewa leżały połamane i porozrzucane. Poza nimi i ludzką masakrą nie było na co patrzeć. — Ferrinie, zabierz mnie stąd. — Powinieneś teraz odpocząć, panie... — Zabierz mnie do ludzi.

Stary rycerz trzymał go za ramię. Stoddard robił wszystko, żeby być niezależny od jego towarzystwa. Walczył z bólem i słabością. Kiedy tak razem wstawali, Liam z Eldor szybko podbiegł do Stoddarda z drugiej strony i chwycił za przedramię, chcąc udzielić mu wsparcia. Nieumiejętny gest powiększył ból.

— Ostrożnie, głupcze! — Czy nigdy nie pomagał swojemu przełożonemu? Gdyby mógł, Ferrin udusiłby go. — Przepraszam, panie. — Liam odsunął się trochę, ale nie zrezygnował. — Wszystko w porządku, chłopcze. — Stoddard spojrzał na Ferrina, dając do zrozumienia, że nie można marnować



czasu na besztanie ich obłąkanego towarzysza.

Podróż nie była długa, chociaż wymagała więcej siły, niż j Stoddard podejrzewał. To, co oglądał, sprawiło, że zapominał o takich drobnostkach, jak ból i zmęczenie.

Ciała jego ludzi leżały tam, gdzie upadły. Niektóre z nich do połowy zanurzone były w ziemi. Na jednym wzniesieniu dostrzegł oderwane ramię, na drugim obute stopy. Wojenny koń przygniatał swym ciężarem trzech ludzi. Widać było, że ma złamany kręgosłup. Jeden z wojowników leżał nieopodal pod ogromną skałą, o którą prawdopodobnie wcześniej uderzył, co spowodowało jego śmierć. Jego przerażone oczy powodują strach nawet u zahartowanego wojownika. Scena była niemal | surrealistyczna.

Liam szedł obok niego, potykając się. Twarz miał bladą, a usta otwarte. Bez mrugnięcia okiem patrzył przed siebie i nagle, tak jak przewidział to Stoddard, młodzieniec odwrócił się, opadł na kolana i zwymiotował. —Syn Humy... — skomentował Ferrin, krzywiąc się. Mówił wystarczająco głośno, żeby nie tylko przywódca, ale i do- j mniemany bojownik mógł go słyszeć. —Czy pamiętasz swoje pierwsze wrażenie po bitwie, Ferri- nie?

Rycerz zamilkł. Lord Stoddard odsunął się od niego i zdecydował się penetrować teren o własnych siłach. Musiał szybko odzyskać siły i liczyć na siebie.

Wielu zginęło nagle, niektórzy oczywiście cierpieli dłużej. Stoddard nie chciał się nad tym rozwodzić. To był jeden z największych kataklizmów, których był świadkiem w czasie swojej długiej kariery. Rycerze nie mieli nawet szans, by bronić się z honorem | Całe miasto Aramus stanie twarzą w twarz z tym samymi

smokiem, pomyślał Stoddard, jeżeli w tym, co powiedział Liam Eldor, jest chociaż ziarnko prawdy. Aramus zagraża ta sama straszna bestia. Jest nas tylko trzech... czterech, licząc smoka... ale musimy coś zrobić.

Nagle Liam stanął tuż obok niego. Stoddard w duchu przeklął swój uszkodzony słuch. Wzdrygnął się, kiedy obecność obłąkanego chłopca połączyła się z jego czarnymi myślami. —Przepraszam... za to wcześniej. Ja... ja nigdy wcześniej nie widziałem takiego strasznego obrazu. —Tak wygląda wojna, chłopcze. Powinieneś o tym wie dzieć. Obraz zagłady porusza nas wszystkich, kiedy wchodzimy w rycerski stan. Wojna nie jest grą. Rycerze nie jeżdżą dookoła na koniach jak na turnieju, nie uderzają mieczem jak na zawo dach. — Stoddard uniósł rękę, wskazując na poległych dookoła. — Każdy nowy Rycerz Solamni musi wiedzieć, że czeka go śmierć w najokrutniejszej formie.

Liam zbladł jeszcze bardziej. Tym razem jednak odzyskał odwagę.

— Ojciec wspominał o tym aspekcie stanu rycerskiego. My ślałem, że robił to, aby mnie przestraszyć, nie chciał, żebym szedł jego śladami. Jednak za każdym razem czułem, że warto jest narażać życie, czułem, że nie mogę zrobić mniej od innych.

Chłopiec był tak bardzo poważny, że Stoddard gotowy był uwierzyć, że jest tym, za kogo się uważa. Tak czy inaczej, nie mógł marnować czasu na rozrywki. Może pytanie, na które nie potrafiłby odpowiedzieć, przywołałoby go do rzeczywistości.

— To bardzo chwalebne, chłopcze, ale dlaczego tak późno? Przydałaby się nam wasza pomoc w Wojnie Lanc. Dlaczego wtedy nie przyszedłeś? Sytuacja była wystarczająco groźna. Pani Ciemności prawie przejęła kontrolę nad Krynem.

Liam zamruczał w odpowiedzi coś, czego, nawet mając dobry słuch, przywódca by nie zrozumiał. Rycerz patrzył na niego, kiedy ten powtórzył pod nosem: — Ojciec chciał pomóc, ale Paladin mu nie pozwolił. Pala-in powiedział, że nie nadeszła jeszcze odpowiednia chwila. Wiem, że podobnie było w czasie Kataklizmu. Ojciec znowu

chciał pomóc, ale Paladin zabronił. Dopiero teraz, z woli Paladina, mój ojciec mógł wrócić na Krynn. — Liam wyglądał jak chłopczyk, który coś przeszkrobał. — I tylko dlatego, że dłużej mnie nie pilnował, mogłem i ja odwiedzić Krynn.

Liam wymknął się ze swego — jakby go nazwać — niebiańskiego królestwa i, w czasie kiedy rodzice byli zajęci czymś innym, przybył do nich. Z jednej strony opowieść była tak śmieszna, że rozbawiła Stoddarda, ale z drugiej strony jej patetyczny ton zasmucał go. Bardzo możliwe, że był synem chłopca zabitego podczas obecnej akcji. Niedobitek, który tak rozpaczliwie pragnął zrekompensować porażkę ojca, że wyobrażał sobie, iż jest bohaterem. Stoddard odpowiedział uprzejmie: — Zrobiłeś, co mogłeś, synu. Dziękuję ci za to. I radzę, zostaw wojnę tym, którzy byli do niej przygotowywani. — Ależ...

Stoddard nie mógł być zbyt łagodny. Byli spóźnieni, a z każdą chwilą malały i tak marne szanse uratowania miasta.

Co zrobimy, nawet jeżeli dotrzemy do Aramus na czas?, Stoddard zapytał siebie. Trzej ranni rycerze i jeden stary okaleczony smok...

To nie miało znaczenia. Byli Rycerzami Solamnii. Przysięgali najwyższe poświęcenie.

Odwrócił się do Ferrina, który stał niedaleko patrzącego na nich podejrzenie szalonego towarzysza. — Pora zgromadzić nasze siły. — Przywódca nie spojrział nawet na Liama z Eldor, ale czuł, że uważnie się przysłuchuje, z nadzieją, że dana mu będzie szansa i wsparcie. — Zbudź Crandela. Sprawdź, czy zdoła podróżować. Obej rzyj teren i sprawdź, czy jest sprzęt, który ciągle możemy użyć. — Stoddard przystanął. — Jeżeli zdążysz się zająć ciałami, zrób to. Ja idę porozmawiać z Razerem. Mam pewien plan. — Czy zdołasz dojść tak daleko, panie? Mogę cię zaprowadzić... — Poradzę sobie, dziękuję. — Jego kończyny chwiały się, ale siła woli sprawiła, że szedł. Rycerz Róży wziął głęboki oddech i powoli podążył w kierunku wyznaczonym przez Ferrina.

Znalazł rannego Razera, leżącego na boku, z obwisłą kończyną. Kiedy człowiek się zbliżył, smok otworzył oczy. — Lord Stoddard... Miło było słyszeć łoskot smoczego głosu. Po raz pierwszy rycerz nie musiał nadwierać słuchu, żeby uchwycić słowa. — Razer, jak się miewasz? — Mmm? Jak się miewam? Żyję, to i tak za dużo powiedziane. Co się stało? — Ty nie wzywałeś smoka Chaosu do powrotu? Stary smok zwrócił się w jego stronę. — A tak. To. — Jego oczy zwężyły się w nagłym wspomnie niu. — To coś porozrywało im gardziele! — Smok spróbował wstać, ale zrobił błąd, usiłując przenieść ciężar ciała na ranne ramię. Niemal upadł na odwiedzającego, który potknął się do tyłu. — Rozerwę bestię na strzępy. Silne ramiona złapały Lorda Stoddarda. — Trzymam cię, mój panie.

Stoddard szarpnął się i uwolnił z uścisku. Obok niego stał młodzieniec. Obecność Liama zaczynała go denerwować. Nie spodziewał się, że chłopak będzie towarzyszył mu w drodze do smoka. — Dziękuję, ale poradzę sobie, nie potrzebuję twojej pomocy. Młodzian smutno opuścił głowę i się wycofał. Starszy rycerz odwrócił się w stronę smoka, który bacznie przyglądał się nowemu przybyszowi. Robił to w takim skupieniu, że zapomniał o swoim kalectwie. — Nie znam cię — zagrzmał. Oczy gada zwężyły się. — A może znam? Tracę już pamięć... — Lordzie Stoddard — przerwał Liam, a jego głos lekko drżał. Jak na osobę, za którą się uważał, i jak na kogoś, kto chciał stanąć do bitwy, trząsał się zbyt mocno podczas rozmowy z przyjacielskim smokiem. — Smok Chaosu dojdzie do siebie już niedługo. Aramus nie jest daleko stąd. Musimy się śpieszyć. Wciąż mamy szansę ocalić ludzi. — To prawda! — zagrzmał smok. Wypowiadając te pona glające słowa, musiał zakończyć badanie Liama. — Ilu zostało rycerzy, mój panie?

— Tylko trzech. Jesteśmy ranni, ale ciągle funkcjonujemy. Nie wiem jednak, jak dużo możemy zrobić, aby pokonać monstrum. — Jeżeli będzie trzeba, użyję tylnych kończyn i kopnę go, aby wrócił

do swego pana. Zrobię to, Lordzie Stoddard. Gdybym miał rycerza z lancą, ułatwiłoby to zwycięstwo. Jestem stary i wiem, co mówię. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby zwyciężyć.

Rycerz Róży zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Mieli kilka zwykłych lanc, ale to nie to samo, co legendarne lance, których większość znajdowała się w posiadaniu Rycerzy Takhisis. Lance wrogów były naprawdę ostre i dobrze wyrobione; pewnie że stanowią dostateczną osłonę dla skóry gwieździstych potworów. Stoddard i jego ludzie będą musieli walczyć z bronią w rękę. Tylko w taki sposób mogli zaatakować.

— Myślę, że znajdziemy przynajmniej jedną użyteczną lancę. Jeżeli chodzi o rycerza, który będzie ją dzierżył, nie musisz szukać daleko, Razer. Jestem gotowy. Smok się zaśmiał.

— To się nazywa wigor! Rozerwiemy bestii gardło, tak jak ona zrobiła to moim braciom.

Stoddard wiedział, że Razer robi wszystko, co Paladin uważa za słuszne. Dając smokowi jeszcze chwilę odpoczynku, rycerz zostawił go i wrócił na miejsce masakry. Liam nieustannie jak cień kroczył za nim. — Powinieneś zabrać mnie ze sobą, Lordzie Stoddard — nalegał głośno młody człowiek. — Przyznaję, nie byłem szkoleny na rycerza i dzisiaj pierwszy raz doświadczyłem bitwy, ale... — Każdym słowem, które wypowiadasz, przecyzysz sobie, nie muszę więc mówić, że nie nadajesz się do walki — Stoddard zatrzymał się, aby spojrzeć mu oczy. — Wracaj, skądkolwiek przyszedłeś, i pozostań tam do czasu, aż wszystko się skończy — dodał, po czym odwrócił się i odszedł, nie sprawdzając, czy Liam wciąż próbuje iść za nim.

Stoddard odnalazł Ferrina i Crandela, którzy powoli kończyli porządkować zmarłych i ich rzeczy. Crandel, Rycerz Sword, w którym żądza zawsze wyzwalała ponadludzką energię, pierw

szy zauważył przywódcę. Powoli wyprostował się, gotowy na rozkazy. Lewa strona jego twarzy była zawinięta chustką. Jedną ręką wisiała na temblaku. Był blady i zlany potem. — Potrzebuję dobrą lancę. Czy możesz coś znaleźć? — zapytał Stoddard. Wzrok opadł na jedną z broni, która ocalała. Była tak wykrzywiona, że nie nadawała się do użytku na dłuższą metę. — Chociaż jedna musi być jeszcze sprawna. — Mój panie, nie powinieneś ryzykować na grzbiecie smoka. Jestem najmniej ranny i... — Ferrin nagle podważył decyzję Stoddarda. — ... i jedyny w kwiecie wieku, podejrzewam — przerwał mu Stoddard. — Wydałem rozkaz, Ferrinie. Znajdź lancę. To wszystko. — Dlaczego nie użyjemy tej, którą ma chłopak? — drugi z rycerzy mówił bardzo cicho. — Co takiego? — zapytał Stoddard.

Ferrin powtórzył słowa Crandela i wskazał na wschód. Po raz pierwszy Stoddard spojrzął uważnie na solidnego rumaka Liama i leżącą obok broń. Stało przed nim cudowne, brązowe, ogromne zwierzę. Było największym koniem, jakiego kiedykolwiek widział. Uwagę dowódcy przyciągnęła jednak lanca, na którą wskazał Ferrin. Długa i lśniąca uprzęż była niewątpliwie dziełem wykwalifikowanego kowala. Chociaż stara i przebarwiona, była w o wiele lepszym stanie od każdego oręża, jakie mogli znaleźć w zgliszczach.

Po chwili zorientował się, że obok lancy spoczywa wygięta, wysłużona szabla i zbroja. Archaiczna oręż z jakiegoś powodu pokryta była rdzą. Kiedyś musiała należeć do Rycerza Solamni. Liam był więc synem, potomkiem rycerza, chyba że wykradł zbroję z czyjegoś grobu.

Nie chciał się nad tym rozwodzić, nie to było teraz najważniejsze. Ferrin miał rację. Lanca, którą Liam zabrał ze sobą, wyruszając w szaloną pogoń za smokiem, była dokładnie tym, czego szukali. Stoddard pokiwał twierdząco głową. Ferrin zwrócił się w stronę oręża.

— Co robisz? — zapytał Liam, który mimo długiego dystansu, jaki tym razem zachowywał, słyszał każde ich słowo.

Rycerz Róży zastąpił mu drogę. — Potrzebujemy tej lancy, synu. Wiesz dobrze, jak ważne jest, aby powstrzymać bestię, zanim zniszczy Aramus. Ta lanca i Razer są naszą jedyną nadzieją. Jeżeli

naprawdę chcesz mieć swój udział w pokonaniu monstrum, najlepiej zrobisz, trzymając się od niego daleko. — Mam największą szansę... jedyną szansę z nas wszystkich! I muszę użyć tej lancy. Nic nie rozumiesz! — Liam zwrócił się do Ferrina, ale Crandel stanął mu na drodze i z łatwością popchnął chłopca. Liam upadł twarzą na piach. Zanim zdążył się podnieść, Rycerz Sword położył nogę na jego plecach, przyciskając go do ziemi. — Człowieku, pozwól mu wstać. — Stoddard wziął młodego za ramię i pomógł mu stanąć na nogi. Liam wyslizgnął się z jego uścisku i rzucił się w kierunku Ferrina. Stary rycerz odłożył lancę i położył dłoń na rękojeści szabli. Liam przystanął.

— Jeżeli pozwolisz, mój panie, może mógłbym wybić mu z głowy chociaż jedną głupotę. Dajmy mu szansę i sprawdzimy zdolności niezbędne do prowadzenia walki.

Stoddard potakująco kiwnął głową. Ferrin gwałtownym ruchem sięgnął po stare ostrze leżące obok zbroi. Delikatnie rzucił je w stronę młodego człowieka, ten przyglądał się mu przez chwilę, a następnie wziął do ręki. Liam patrzył na rycerzy trochę zdezorientowany. Wyciągając ostrze, Ferrin skierował je w stronę chłopca.

— Pokaż mi, jak dobrze walczysz. Pokaż, co potrafi sy Humy Lance.

Liam stanął do walki. Lord Stoddard ponownie przytaknął. Trzymając szablę w obu dłoniach, chłopiec ze srogim wyrazem twarzy zrobił krok w kierunku Ferrina, niepewnie wywijając ostrzem.

Rycerz obrócił się nieznacznie. Miecz Liama przeciął powietrze i ten, pociągnięty ciężarem miecza, przechylił się do przodu. Ferrin zaczekał, aż Liam cofnął się i odzyskał równowagę, po czym zaatakował.

Stoddard znał zdolności rycerza i wiedział, że Ferrin bawił się z chłopcem. Jego ostrze za każdym razem trzeszczało w obronie przed Liamem. Ciągłe patrzenie mu w oczy kosztowało go najwięcej wysiłku. Chłopiec wiedział, że litował się nad nim.

Kolejny atak odsłonił Liama na całej szerokości. Tym razem napastnik nie wycofał się. Ferrin uniósł miecz do góry i mocno uderzył w rękę chłopca, którą trzymał matowy miecz. Liam, jęcząc, wypuścił szablę i bez okaleczeń upadł obok jego stóp.

— Tak, muszę przyznać, że możesz śmiało stanąć przed bestią — oświadczył Ferrin, uśmiechając się pobłaźliwie. — Zwłaszcza jeżeli chcesz być jego kolacją. Liama z Eldor ogarnęła złość. — To niesprawiedliwe, nie byłem przygotowany. Stoddard i Crandel stanęli za chłopcem. — Na tym polega problem, chłopcze, rozumiesz? — odpo wiedział starszy z rycerzy. — Poza tym nie wypadłbyś dużo lepiej, nawet gdybyś się przygotował. — Nieprawda! — Liam był ciągle wściekły, jeszcze raz rzucił się na Ferrina, ale Stoddard złapał go szybko za ramię i powstrzymał. Crandel chwycił go z drugiej strony, aż wreszcie młodzieniec uspokoił się. — Przykro mi, chłopcze, ale nie mamy więcej czasu. Jest nam potrzebny twój oręż. Najlepiej wiemy, jak zrobić z niego użytek. Pewnie zauważyłeś, że bez stosownego treningu szczere chęci nie wystarczą. Nawet syn Humy Lance musi nabrać do- viadczenia w walce.

Chłopak nie reagował, był ciągle skupiony na Ferrinie i jego lancy.

— Liamie, czy wiesz do czego zmierzam? — starszy rycerz miał nadzieję, że chłopiec wreszcie zrozumiał. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, użyje bardziej brutalnych środków, aby wyperswado wać chłopcu zapał. — Tak, tak, panie — powiedział wreszcie. — Rozumiem. Stoddard skinąwszy głową do Crandela, uwolnił chłopca z uścisku. W czasie kiedy obrażony młodzieniec siedział zapatrzony przed siebie, trzech rycerze zabrali lancę i powoli nieśli ją w stronę smoka.

Widok nadchodzących obudził drzemiącego smoka, w jego oczach pojawił się błysk.

— Ludzie, znaleźliście prawdziwą, zasługującą na szacunek lancę? Nie jest zbyt duża, ale podejrzewam, że wystarczy. — Nie mieli właściwego siodła, ale Ferrin skonstruował zastępcze siodło, nie musiało być przecież idealne. Wszyscy wiedzieli, że jeździec musi raz lub kilka razy

uderzyć smoka, zanim poczwara się wycofa. Zajęci tym wszystkim niemal zapomnieli o Liamie. Stoddard wreszcie obejrzał się za nim i w pierwszej chwili myślał, że młody człowiek uciekł. Liam był jednak zbyt pewny i swojej misji i z lancą czy bez próbował dalej.

Nie mogę nic więcej dla niego zrobić. Biedak upiera się przy szalonym zadaniu, któremu nigdy nie zdoła sprostać, pomyślał Stoddard, martwiąc się o Aramus i jego mieszkańców.

Tak czy inaczej, Liam nie uciekł. Rycerz zobaczył go wreszcie, gdy stał i patrzył na zniszczenia, których dokonał smok Chaosu. W jednej ręce trzymał zardzewiałą szablę. Kiedy Rycerz Róży patrzył, Liam z niesmakiem rzucił miecz na ziemię i usiadł na kolanach, chowając twarz w dłoniach.

Zostawiając chłopca sam na sam z wewnętrznymi rozterkami, weteran odwrócił się do towarzyszy. Całą uwagę skupił teraz na ratowaniu Aramus. — Czy zdołasz zabrać nas trzech? — zapytał Razer. — Mógłbym. To krótki odcinek. Aramus nie jest daleko. Nie wiem tylko, ile zostanie mi sił, aby po podróży stanąć do walki. — Wobec tego pojedzie tylko jeden z nas, ten, który ma lancę. Ferrinie, ty i Crandel zabierzcie resztę koni i dołączcie tak szybko, jak tylko zdołacie. — Panie — przerwał Ferrin, odruchowo mrużąc oczy — pro- i szę, rozpatrz to jeszcze raz. Jestem najłżejszy, byłbym najmniej szym brzemieniem dla smoka. Powinienem jechać zamiast ciebie. — Decyzja zapadła. — Stoddard odwrócił się od rycen i Ferrin niechętnie wyraził aprobatę. Wtedy dowódca pods: bliżej i dodał:

— Mam dla ciebie również inne rozkazy. Zrób dla chłopca wszystko, co możesz. Zabierz go ze sobą. Nie powinien zostawać sam na tym pustkowiu.

Widać było, że nie był to rozkaz, jaki Ferrin chciał usłyszeć i spełnić, ale był lojalnym żołnierzem. — Spróbuję nauczyć go niektórych powinności giermka. Jeśli przetrwamy, może będzie miał szansę zostać żołnierzem. — Bardzo dobrze. — Stoddard wierzył dużo bardziej niż Ferrin, że Liam będzie miał szansę zostać wojownikiem. Jeżeli Rycerz Róży i Razer zawiodą, możliwe że wszyscy zginą już jutro, a najpóźniej w ciągu dwóch dni. — Razer, jesteś gotowy? — Człowieku, jestem gotowy od dawna. Nie mogę się do czekać startu!

Żądza krwi smoka zachęciła wojownika. Potrzebował jego zapachu i mądrości. Ferrin i Crandel zasalutowali. Stoddard odpowiedział i usadowił się na grzbiecie smoka. Lanca i prowizoryczne siodło leżały bezpiecznie. — Lordzie Stoddard!

Dłoń, która dotknęła jego ramienia, była jak bodziec do szybkiego startu. Spojrzał w bok, gdzie stał uparty Liam. Przez chwilę zaskoczony jego obecnością, szybko ocknął się i powiedział: — Stój na uboczu, chłopcze. Musimy ruszać. Zostań z Ferrinem i Crandelem, oni nauczą cię wielu rzeczy. — Musisz mnie wysłuchać. Musisz poznać jedną z tajemnic! — Myślę, że zdradziłeś już nam wystarczająco dużo tajemnic... — Ta dotyczy lancy... — Liam przechylił się bliżej i mru czał pod nosem coś, z czego Stoddard uchwycił tylko część. Kiedy zorientował się, że mówi za cicho, zaczął jeszcze raz. — To jedna z największych smoczyczych lanc, panie. — To jedna z... co?

Stoddard co prawda popatrzył przez chwilę na oręż, ale zaraz zorientował, jak głupio zabrzmiało to, co powiedział. Lanca i przydatnym narzędziem, ale mało prawdopodobne, że rów nież źródłem wiedzy magicznej. Żadna ze smoczyczych lanc, o których słyszał, nie wyglądałaby tak obskurnie i nie byłaby tak zużyta. Oczy Liama były rozpalone, mówił dalej:

— Uwierz mi, to jedna z nielicznych, jakich używał mój ojciec. — Chłopiec zauważył sceptyczne spojrzenie Stoddarda. — Przysięgam, że to prawda. — Świadom, że ciągle go nie przekonał, zgiął się, aby uchwycić lancę. — Kiedy zobaczysz ją w całej okazałości, uwierzysz.

Stoddard podniósł głowę i czekał. Liam ścisnął lancę, gapiąc się w nią, jakby coś miało się wydarzyć. Jednak oręż nie zabłysła blaskiem chwały Paladina. Nie powiększyła się i nie rozpięła ostrzy, którym nawet najdzielniejszy nie stawiałby czoła. Pozostała taką, jaka była, aż nazbyt ziemską.

Rycerz Róży spokojnie odsunął ręce Liama. —Doceniam twoją troskę, chłopcze, ale nie możemy dłużej zwlekać. Zostań z Ferrinem i Crandelem. —Ale... — głos Liama ginął w powietrzu. — Spotkamy się w Aramus. Niech Paladin was strzeże. -I Zasłużony rycerz skinął głową do żołnierzy, którzy zasalutowali mu. — Jestem gotowy — dodał do Razera. —Ludzie, trzymajcie się i odsuńcie na bok!

Już po chwili smok mógł bezpiecznie wystartować i rozpiąć skrzydła, błyskawicznie się wznosząc. Stoddard patrzył, jak sylwetki jego towarzyszy maleją wraz z narastającym dystansem. Wreszcie chmury zasłoniły mu widok. Prosił Paladina nie tylko o bezpieczeństwo jego ludzi, ale również Liama z Eldor i wszystkich mieszkańców Aramus, i dopiero na koniec poprosił o opiekę nad sobą.

Zmagając się ze smokiem, był gotowy przyjąć każdą pomoc, jaką bóg mógłby mu zesłać.

Mimo powagi sytuacji Stoddard dodawał sobie otuchy. Po chwili Razer krzyknął do niego: — Widzę miasto portowe, ale ani śladu bestii! Jego częściowa głuchota i trzepoczące skrzydła utrudnia!)

zrozumienie słów ryczącego Razera. Rycerz pochylił się do przodu i krzyknął: — Jak wygląda miasto? Czy jest dużo zniszczeń? Tym razem głos Razera dobiegł wyraźnie:

— Nie widzę dymu ani ruin. Słońce świeci nisko i jesteśmy ciągle za daleko, aby moje stare oczy widziały więcej szczegółów. Jeszcze chwila lub dwie i powiem więcej.

To jakiś cud, czyżby smok nie zaatakował jeszcze Aramus? Nadzieja rosła w rycerzu. Czekał. Chwilę, która zdawała się wiecznością, przerwał wreszcie ryk smoka.

— Wygląda na całe! Wieże, dachy, a nawet ściany! Widzę statki wpływające do portu.

Dzięki, Paladynie, krzyknął Stoddard w myśli. Liam nie pomylił się co do tego. Chociaż bestia Chaosu z łatwością pokładala rycerzy, najwyraźniej potrzebowała dłuższego odpoczynku, aby zebrać siły do kolejnej wyprawy.

Oczywiście nie dawało to odpowiedzi na pytanie, gdzie znajduje się w tym momencie. Razer obrócił się w stronę Stoddarda. — Czy lądujemy przez bramę miasta?

Skoro w zasięgu miasta nie było smoka Chaosu, Stoddard pomyślał, że najlepiej zrobić to natychmiast.

W ten sposób zdążą ostrzec mieszkańców przed zagrożeniem. Możliwe że Aramus zacznie ewakuację. Ludzie zdecydowanie więcej ryzykują, gdy pozostają w mieście. Zawsze będą mogli powrócić... wrócą z nowymi armiami rycerzy i smoków i w jakiś sposób zwyciężymy. — Tak, podchodź do lądowania.

Razer spojrział przed siebie i zniżył lot, kierując się ku ziemi. Stoddard odetchnął z ulgą. Chciał odwlec walkę ze smokiem. Jego słuch może nigdy nie będzie tak świetny jak kiedyś, ale inne okaleczenia mogły się zagoić.

Razer również nie wzgardziłby kilkudniowym odpoczynkiem. Siedząc na grzbiecie smoka, Stoddard czuł, że jego towarzysz oddycha nierównomiernie. Stara gadzina za wcześniej wybrała się na wyprawę, w której zamierzali ocalić Aramus.

Chociaż słońce jeszcze nie zaszło, z jednej strony nieba pojawiły się gwiazdy. Rycerz przypomniał sobie, że ostatnio smok Chaosu zaatakował ich oddział za dnia. Fakt ten o niczym nie świadczył, ale dawał nadzieję, że będą mieli czas przynajmniej do świtu.

— Trzymaj się tak mocno, jak zdołasz, mam tylko trzy kończy ny zdolne do lądowania. Nie obiecuję, że zrobię to perfekcyjnie.

Stoddard zrobił tak, jak mu polecono, mocno usadowił się w siodle. Na chwilę przypomniał sobie, że nie jadł nic cały dzień, co teraz wyszło mu na korzyść. Lądowanie nie zapowiadało się na

zbyt łagodne. Myśl o wypchanym żołądku...

Ziemia nagle zadrżała i wszystko się zatrzęsło. Razer ledwie zdążył się wzniesć, aby ustrzec się od upadku na drżący pod nimi grunt. Stoddard trzymał się mocno; to wszystko, co mógł robić, aby nie spaść ze smoka, kiedy ten raptownie się wzniosł. Rycerz przelotnie spojrzął na najbliższą część miasta. Mury były już powalone, ale nie mógł dłużej myśleć o Aramus, musiał odnaleźć potwora.

# 41. Smoki chaosu

— Gdzie on jest? Gdzie on jest? — Smok w napięciu uważnie badał otaczającą ich ciemność. — Nigdzie go nie widzę.

Kiedy rycerz odwrócił głowę, zauważył, że na niebie nie było już gwiazd. — Na lewo! — krzyknął nagle. — W górze, po lewej stronie!

Smok Chaosu nie próbował dłużej ukrywać swojej obecności. Chmury się skłębiły i ułożyły w niewyraźny kształt przypominający smoka. Jego błyszczące, bezduszne oczy w skupieniu patrzyły na wrogów, którzy szykowali się do czołowego ataku.

— Przygotuj się, bestio! — wzrastający poziom adrenaliny determinował i pobudzał Stoddarda i Razera. Smok gwałtownie zmniejszył przepaść dzielącą ich od przeciwnika. Zniknął naj mniejszy ślad zmęczenia. Stoddard przygotował lancę. Wystar czy jedno dobre uderzenie.

Smok Chaosu rozdziawił paszczę. Tym razem zamiast ogtu szającego wycia wydobyl z siebie głos: — Zgi-nie-cie. —

Mówiąc to, smok zaatakował Razera. Ogromny przecież Razer małał obok przerażająco wielkiego potwora, ale nie zważając na to, próbował stawić mu czoło. Stoddard wszelkimi siłami starał się utrzymać lancę w równowadze. Niestety, w poruszonym przez smoka powietrzu było to niemożliwe.

Było już po nich. Rycerz wiedział, że wkrótce będą martwi i że po nich ten sam los spotka wszystkich na dole. Mimo największych starań rycerza i smoka, bestia nie miała większych problemów z uzyskaniem przewagi. Zaczaiła się, pozwalając im najpierw uderzyć. Chociaż niewyszukana to była pułapka, para doświadczonych wojowników wpadła w nią.

Smok Chaosu próbował zatopić pazury w gardle przeciwnika, ale doświadczony, przebiegły Razer uniknął tego, trzymając nisko głowę. Niestety, nie udało mu się uchronić skrzydeł i monstrem rozdarło je podczas walki. Coraz trudniej było mu utrzymać się w powietrzu, przy tym Stoddard nie mógł znaleźć pozycji, w której zdołałby swobodnie manewrować lancą.

— Tracę... zdolność... latania — ledwie wystękał Razer. — Przykro mi, Lordzie Stoddard... tak mi przykro.

Co mógł zrobić biedny rycerz? — pozostać zwyczajnie w siodle.

Smok Chaosu zawył na znak zwycięstwa. Zorientował się, że pokonał Razera. Ten jeszcze raz spróbował uderzyć bestię, ale nie bardzo mu się to udało. Razem z rycerzem spadali w dół.

Wspaniały Razer zrobił wszystko, co w jego mocy, aby zamortyzować upadek. Resztkami sił stopniowo hamował prędkość zejścia. Mimo to, kiedy wreszcie uderzyli o ziemię, Stoddard wypadł z siodła i wylądował na ziemi. Kiedy Stoddard opadł na grunt, zataczał się jeszcze chwilę, tanim upadł. Czuł, że ból starych okaleczeń powraca ze stokrotnym nasileniem, aż w końcu tak się spotęgował, że uniemożliwiał oddychanie. Leżąc na plecach, zasłużony wojownik wlepił srok w niebo. Nie widział nic. Czuł tylko ból. Na szczęście stracił przytomność.

Nie później niż po trzech minutach odzyskał świadomość, ie zdołał jednak usiąść. Odnalazł wzrokiem Razera. Stary smok

nie poruszał się, już nie żył, ponieważ spadł z odwróconą głową. Poświęcił się, aby ocalić jeźdźca. Stoddard chciał ponownie stracić przytomność. Nagle nad jego głową przemknął ogromny kształt smoka Chaosu. Zastanawiał się, dlaczego, chociaż bestia była tak blisko, ziemia pozostała nieruchoma.

Jakaś ręka cicho wślizgnęła się pod jego plecy. Z pomocą nieznanego Stoddard usiadł. Zdziwił



się, że nie ma połamanych kości. Już po raz drugi udało mu się przeżyć katastrofę. Nie wiedział, czy ma dziękować za to wyjątkowe szczęście, czyje przeklinać. Znowu cierpiał z powodu klęski. — Przykro mi, Lordzie Stoddard. Zajęło to więcej czasu, niż przewidywałem. Myślę, że pułapka była zastawiona na mnie. Bestia odkryła, że ją ścigam. — Liam? — Znowu? To niemożliwe. Chłopiec powinien być daleko stąd, przy Ferrinie i Crandelu. Stoddard nie słyszał nigdy o koniu, który pokonuje tak duży dystans w tak krótkim czasie. — Tak, panie. Wypij to. — Przytrzymujące go ręce sięgnęły] do przodu i układając przy ustach worek, podały mu wodę.

Stoddard zaczął pić. Nagle jego uwagę przyciągnęły ręca młodzieńca. Pokrywająca je rękawica była mocno zużyta, pordzewiała i ozdobiona godłem koronnym. Doświadczony rycerz zapomniał o okaleczeniach i pragnieniu. — Jak to... — Nie ma czasu, panie — pomocne ręce uwolniły go i przy, akompaniamencie dźwięczącego metalu stanęła przed nim po stać Liama z Eldor. Jego zbroję zdobiły insygnia Rycerzy Koro ny. Były to te same insygnia, które należały kiedyś do jego ojca, Humy Lance. Uniesiona przesłona hełmu odsłaniała poważną, bladą twarz chłopca.

Stoddard miał ochotę płakać. Szalona obsesja tak omotał chłopca, że nie zdawał sobie sprawy z tego, iż igra za śmiercią. Taka zbroja mogła tylko wzbudzić zainteresowanie smoka; zardzewiała, nie wytrzyma ataku.

Właśnie w tym momencie ponownie zobaczyli smoka Chaosu. Kołująca w górze bestia zbliżała się do miasta portowego.

Grzmiące pioruny i oślepiające błyskawice zapraszały do śmiertelnego tańca.

— Muszę go powstrzymać... — Rycerz Róży z całych sił próbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Liam coś powiedział, ale Stoddard usłyszał tylko niewyraźny dźwięk. Niedoświadczony rycerz przybliżył się i pochylił nad nim.

— Czy mówiłem ci, twoja lewa noga krwawi? Rana jest duża, czy nie czujesz? Nie czuł. Noga była odrętwiała.

— Nie powinieneś się poruszać. — Młody mężczyzna cofnął się. — Myślałem, że zdążę przed tobą, ale znowu zawiodłem. — Spojrzał w górę. — Tym razem nie zawiodę, Lordzie Stoddard. Przysięgam na mojego ojca.

Tego było już za wiele. Stoddard miał dosyć wysłuchiwania bzdur obłąkanego chłopca.

— Nie jesteś synem Humy Lance! On żył... wiele wieków temu! Jeśli spróbujesz stanąć w obliczu potwora, zginiesz! Młodzieniec nieprzerwanie patrzył na bestię. — Mój ojciec był rycerzem. Ofiarował życie w obronie innych. Est Sularus oth Mithas. Zawsze chciałem z nim współzawodniczyć. Urodziłem się, aby jak on służyć ludziom i pójść jego śladami. — Posłuchaj mnie, chłopcze! Jesteś... Liam znieruchomiał. Na widok tego, co zobaczył przez ramię rycerza, poszerzyły mu się oczy.

— Czekałem za długo. Bestia zaczyna uderzać w Aramus. To moja ostatnia szansa.

Kiedy Liam szedł w stronę martwego Razera, Stoddard wyciągnął dłoń i chwycił chłopca za kostkę u nogi. — Sam nic nie zrobisz! Pomóż mi dojść do konia i razem dotrzemy do Aramus. Przynajmniej ostrzeżemy ludzi i pokieru jemy ich do ucieczki. — Nie. Muszę uratować miasto, muszę uratować wszystkich. Mimo usilnych starań, Stoddard nie zdołał zatrzymać chłop

ca. Liam pośpiesznie uwolnił się od jego uścisku. Czołgając się i rzucając piorunujące spojrzenie za odważnym, ale obłąkanym chłopcem, Rycerz Róży uparcie próbował nakłonić go do odwrotu. Liam odszukał starą lancę i z zaskakującą łatwością podniósł ją. Gwiżdżąc, przywołał cudownego konia. Mimo dużych rozmiarów lancy, Liam zwinął ją błyskawicznie i położył w bezpiecznym miejscu, po czym wspiął się na ogromnego rumaka. Ostatni raz skruszonym wzrokiem spojrzał na

Stoddarda i odjechał.

— Na Paladina, nie! — Stoddard nieoczekiwanie wstał ostatkiem sił i potykając się, ruszył w stronę chłopca. Dotarł do miejsca, gdzie Razer spadł na ziemię. Postać bohatera stopniowo malała, aż wreszcie zniknęła w przerażającej trąbie powietrznej szalejącej nad miastem, którego los został już przesądzony. Wspaniały materiał na epizod heroicznej powieści... Stoddard był świadomy beznadziejności sytuacji — ani w zniszczeniu Aramus, ani w śmierci chłopca nie będzie nic heroicznego. Bestia może go nawet nie zauważyć, pomyślał Stoddard.

Ledwie to zrobił, kiedy smok jakby podsłuchał jego myśli: niespodziewanie zawirował w powietrzu i odwracając się od Aramus, skierował prosto na Liama z Eldor.

Nieważne, kim naprawdę byli przodkowie Liama, chłopiec przyciągnął uwagę smoka. Rozpromieniony, pełen zapachu potwór pędził jak wygłodniały wilk w stronę samotnej owcy. Odroczył zniszczenie Aramus dla zgładzenia głupiego śmiertelnika, który myślał, że jest rycerzem.

Stoddard wiedział, co może nastąpić, modlił się, żeby nie miał racji. Ogromna bestia nacierała prosto na Liama, który uniósł lancę najwyżej, jak mógł, i pokierował odważnym rumakiem. Smok Chaosu zawył... i nagle cały krajobraz dookoła szczupłej postaci na koniu uległ transformacji. Stare wzniesienia zatoneły, a inne uformowały się nowych miejscach. Bestia ze świeżą dawką furii uderzyła ponownie, potężny trzepot skrzydeł groził wyrwaniem drzew z ziemi.

— Liamie, uciekaj — wyszeptał rycerz. —Przynajmniej się zamachnij! Może go to rozproszy... może straci ochotę. Jednak Liam się nie poruszył. Jego stara i godna pożałowania

lanca na tle wielkiego, strasznego smoka wyglądała na żałośnie małą.

Niespodziewanie wyrastające niespodziewanie wzniesienie odepchnęło ich do tyłu. Koń szamotał się, jakby wznosił się w powietrzu. Jego śmierć była nieunikniona, zabije się, spadając na ziemię. Podrzucił chłopca tak wysoko, jakby przeznaczone mu było spotkanie ze smokiem wysoko wśród chmur.

Stoddard, potykając się, nieznacznie zbliżył się do nich. Zakręciło mu się w głowie i omal nie upadł. Słowa gdzieś się rozplywały, pociemniało mu w oczach. Nie mógł dalej iść, z przerażeniem patrzył, jak Liam upada na ziemię.

Uderzenie błyskawicy pograżyło w mroku ostateczny upadek Liama z Eldor. Wyjąc w kolejnym tryumfie, smok przeleciał tuż nad jego głowami z szeroko rozdziawionymi wolami.

Łzy płynęły po policzkach rycerza. Łzy rozczarowania i zawodu. Liam mógł być obłąkany, ale jego odwagi nie powstydziliby się niejedni rycerz. Jedną z tragedii wojny polegała na tym, że odwaga zwykłego ludu szła często w niepamięć.

Smok Chaosu zawrócił, najwyraźniej nie zrezygnował ze zniszczenia Aramus. Ogrom zbliżającej się rzezi zasmucał Stoddarda jeszcze bardziej niż pewna śmierć Liama.

W głowie Stoddarda rodziło się mnóstwo pytań. Paladynie! Wiem, że walczysz również gdzie indziej, ale czy częśćka twojej boskiej mocy nie może przyczynić się do zachowania Aramus? Czy nie można już nic zrobić?

Błyskawica ponownie rozjaśniła zdewastowany krajobraz, w którym jedna odważna istota usiłowała opóźnić nadciągającą tragedię. Rycerz zmrużył oczy.

Na horyzoncie widniała niewyraźna sylwetka człowieka, który z trudem podnosił lancę. Blask kolejnej błyskawicy rozświetlił człowieka i oręż na horyzoncie. Nagle Stoddard zauważył, że lanca wygląda na dłuższą i bardziej wytrzymałą niż wcześniej.

Smok Chaosu obsesyjnie oglądał się do tyłu, nagle furia się w nim odrodziła. Olbrzymia bestia zawyla i zataczając łuk, skierowała się w stronę marnego robaka, który ciągle jeszcze żył.

Galaktyka gwiazd wirowała wokół smoka, z niezwykłą intensywnością odsłaniając jego

zaciekłość. Przerazający widok podziałał na żołądek Stoddarda. Ile razy musi być świadkiem śmierci młodzieńca?

Liam oparł lancę o ziemię, a następnie chwycił ją tak, jakby chciał nią rzucić w smoka. Nie ulegało wątpliwości, że był obłąkany, ale jednocześnie miał w sobie coś, co było godne syna Humy Lance.

Smok Chaosu z paszczą rozwartą w przerażającym wyciu nacierał na chłopca. Częściowo głuchy Stoddard stał daleko, a mimo to przerażający głos smoka wstrząsnął jego ciałem. Rycerz zastanawiał się, w jaki sposób Liam przeżył ten atak.

Światło błyskawic rozjaśniało jego zbroję i lancę. Wycił smoka nadal rozrywało powietrze.

Długie pazury wysunęły się w stronę Liama. Powietrze było gęste od nienawiści, z jaką atakował smok. Tym razem nie przeżyje, pomyślał Stoddard. Paladynie, strzeż j go!

Czyżby bóg usłyszał jego słowa? Wszystko naokoło Liama i on sam zaczęło ulegać transformacji. Chłopiec opromieniał jeszcze bardziej. Zdawało się, że rośnie i powiększa się na jego oczach. Postać stawała się coraz większa i bardziej lśniąca... zmieniała się. Ciało chłopca migotało srebrzyście. Z pleców wyrastały mu skrzydła; bez trudu przebiły się przez zbroję, jakby była delikatną bibułą.

Młodzieniec zamienił się w lśniącego srebrnego smoka, był tak duży jak Razer. Stał oparty na tylnych łapach, ze skupieniem wpatrywał się w atakującą go poczwarę. Stoddard oniemiał ze zdziwienia. Osłupiały rycerz z podziwem i szacunkiem patrzył na piękną, silną, opływającą blaskiem istotę, która kształtem przypominała pół człowieka pół gada. Jestem owocem ich związku. Jestem ich synem.

Stoddardowi zawirowało w głowie. Zalał go potok zapomnianych, starych opowieści. Również tej o miłości Humy do kobiety elfa, która okazała się srebrnym smokiem o imieniu Heart.

To niemożliwe, powtarzał sobie Stoddard. Liam nie może być tym, za kogo się podaje. Nadzwyczajna transformacja nie ominęła też lancy. W miej

sce starej pojawił się gładki i lśniący oręż, zakończony tak ostro, że z łatwością mógł dotrzeć do najgłębszych zakamarków.

Smocza lanca. Nawet, gdyby nie wysyłała blasku, Stoddard rozpoznałby ją... po tym, co opowiadał Liam.

Nie tylko Stoddard, ale również smok był oszołomiony i zapatrzony w przemienionego Liama. Zatrzymał się w powietrzu i przestał wycić, jakby zastanawiał się, gdzie podziła się jego nieporadna ofiara.

Srebrny smok kończynami przypominającymi ręce uniósł magiczną lancę i rzucił nią w stronę wroga.

Smocza lanca uderzyła sługę Chaosu w piersi, przebijając go prawie na wylot. Potwór z miernym skutkiem próbował wziąć rozmach. Coś, co przypominało ogień i roztopioną lawę, wylało się z rany cierpiącego monstrowa, opryskało stojącego nieopodal smoka. Ziemia i powietrze zadrżały pod nogami, kiedy bestia z bólu potrząsnęła głową.

Nagle srebrny smok, najwyraźniej opętany cierpieniem, stanął na czworakach. Stoddard nie mógł ułożyć wszystkiego w całość. Kiedy to rozważał, smok Chaosu doszedł do siebie na tyle, że spróbował usunąć wbity w jego ciało lancę. Ujrawszy to, srebrny smok wzniósł się ku niebu.

Blask Boga Porządku i zamęt Chaosu walczyły ze sobą, kiedy para smoków zderzyła się tuż nad ziemią. Srebrny wojownik głębiej wbił magiczną lancę. Smok Chaosu zawył przeraźliwie. Kolejna lawina gwałtownie wybuchła z piersi potwora, opryskując twarz nie przygotowanego na atak srebrnego smoka.

Oślepiiony, nie mógł się obronić przed pazurami napastnika, które uderzając w głowę, rozdarły bok szyi Liama. Jego krew spryskała ziemię.

Rana była poważna, ale nie powstrzymało to srebrnego smoka przed dalszą ofensywą. Całym ciałem napierał na smoczą lancę, wbijając ją jeszcze głębiej. Stoddard patrzył w napięciu, dopingując Liama. Bestia Chaosu uniosła głowę, co uwolniło potok ognia i czarnego deszczu, który obmył srebrnego smoka.

Siła napaści odrzuciła srebrnego do tyłu. Spiralnym ruchem opadał w dół, aż wreszcie mocno uderzył o zbocze wzgórza.

Stoddard modlił się, żeby podniósł się jeszcze raz. Ale dzielny | smok leżał nieruchomo.

Po raz ostatni sługa Chaosu miał szansę cieszyć się triumfem, j Ogień i czarny deszcz nie przestawały buchać z jego piersi. ! Usiłował utrzymać się w górze, ale jego lot stawał się coraz bardziej nierówny i chaotyczny. Głęboko wbita lanca torturowała bestię. Pioruny i błyskawice jak echo wtórowały jego przerażającemu skowytowi.

Nagle ognisty piorun podpalił metalową lancę. Bestia zachwiała się. Nastąpiło drugie uderzenie, potem trzecie. Cztery pioruny zgodnie uderzyły w smoczą lancę. Smok Chaosu rozprysnął się w powietrzu.

Siła wybuchającego smoka powaliła Lorda Stoddarda na ziemię. Deszcz ognia wraz z resztkami ciała bestii spadał na ziemię.

Stoddard upadł na twarz, ale hełm nie ocalił go przed zapomnieniem.

Ostre światło wyrwało rycerza z kojącej ciemności. Stoddard otworzył oczy, aby zobaczyć, co spowodowało iluminację na zbezczeszczonym ciele Razera. Ostrożnie dotknął ramienia. Wtedy ktoś zawołał: — Ten wygląda na żywego!

Kilka postaci zamajaczyło w jego polu widzenia. Było ich przynajmniej sześć: trzech mężczyzn w sędziwym już wieku, reszta to młodzi, niepełnoletni jeszcze chłopcy. Domniemany przywódca, starszy, wychudły starzec, który więcej życia spędził na łowieniu ryb niż na wojaczce, zsalutował do Stoddarda i powiedział coś, czego ten nie mógł zrozumieć.

Kiedy mężczyzna zorientował się, że rycerz nie dosłyszał jego słów, powtórzył głośniejszym głosem: — Pytałem, czy było was tutaj więcej? —Drugi... smok... chłopiec — odpowiedział Stoddard.

Szczupły mężczyzna bąknął coś do jednego z młodych towarzyszy. Padła jakaś odpowiedź, ale ranny wojownik jej nie usłyszał. Sfrustrowany próbował się podnieść. Przywódca położył dłoń na jego ramieniu.

Spokojnie. Przykro mi, że nie słyszysz wszystkiego. In-vazja bestii uszkodziła słuch niejednemu z nas. Tak jak powiedział chłopiec, znaleźliśmy tylko ciebie i drugiego rycerza, tamten był Rycerzem Korony. Jest też martwy Razer i porozrzucane kawałki ciała gwiazdzistego potwora. Wycieńczony Stoddard potrząsnął głową. —Nie... — przerwał. Co się stało ze srebrnym smokiem? — Muszę zobaczyć drugiego rycerza. —Jeżeli czujesz, że możesz się poruszać... — Przywódca patrolu pstryknął palcem. Dwóch chłopców pomogło wstać Lor dowi Stoddard. — Przy okazji, jestem Billus, pełnię funkcję wartownika, jestem dowódcą tej skromnej garstki ludzi bronią cych naszego miasta. Ty jesteś... —Lord Stoddard. — W tej chwili nie obchodził go jego wybawca. Całą uwagę skoncentrował na nieruchomym kształcie, do którego się przybliżał dzięki pomocy chłopców. Jeźdźcy z Aramus ułożyli ciała na prowizorycznych saniach przywiąza nych do konia. Chociaż część z nich była przykryta kocem, Stoddard rozpoznał charakterystyczną twarz Liama. Liam w ludz kiej formie. —Znaleźliśmy go na brzegu wzgórza. Miał złamany kręgo słup, nogi i ręce. Prawdopodobnie staczał się ze szczytu wzgórza. Kiedy przybyliśmy, był już martwy.

Liam, który przemienił się w smoka, powrócił do ludzkiej postaci. Chłopiec leżał przed nim tak

jak kiedyś, spowity w antyczną zbroję. Czy to było możliwe? Rycerz patrzył na nieruchome ciało.

— Przykro mi z powodu tego, co się przytrafiło się twojemu przyjacielowi i Razerowi — skomentował Billus, chcąc złago dzić cierpienie Stoddarda. — Wszyscy widzieliśmy walkę od samego początku. Widzieliśmy, że smok i jego jeźdźca robili, co mogli. Kiedy obaj opadli na ziemię, byliśmy pewni, że nadeszła kolej na nas. Wtedy nie bardzo mogliśmy się zorientować, co się dzieje. Razer to dzielne stworzenie, próbował walczyć dalej. Starania ich obu odpowiednio uhonorujemy. — Pełniący funkcję ewodnika westchnął. — Ciągłe nie mogę uwierzyć! Wszystko

wskazywało na to, że jesteśmy straceni, gdy nagle ocalała nas burza. Błyskawice, wyobrażasz sobie? Błyskawice z nieba nieubłagane atakowały bestię. Musiała to być ręka samego Paladina.

Stoddard oderwał wzrok od martwego Liama, gdy zorientował się, co mówi stojący obok niego człowiek.

— To nie był Paladin. To on. Prawdziwym bohaterem tej bitwy był Liam z Eldor, syn Humy Lance.

Wojownicy przerwali wykonywane czynności. Billus zamrugał oczami.

— Chyba naprawdę ogłuchłem po tym wszystkim. Coś ty powiedział? — Spojrzał na ciało. — Kim był ten oto? Zanim Stoddard zorientował się, co robi, rzekł:

— Liam z Eldor. Syn Humy, srebrny smok... — łatwo było to powiedzieć, kiedy widział go pełnego chwały.

Liam mówił prawdę, ale on w to nie wierzył. W jaki sposób wyjaśnić to, czego był świadkiem? Jak inaczej smok Chaosu mógł zostać pokonany?

Chociaż wysłuchali go i przytakiwali, i chociaż zapewniał, że mówi prawdę, tak naprawdę mu nie wierzyli.

Nie pomógł nawet fakt, że Rycerz Solamnii nigdy nie kłamie. Mieli wątpliwości, kiedy historia osiągnęła punkt kulminacyjny. Gdy opowiadał o tym, jak lanca zanurzyła się w piersi potwora. Nie dowierzali, kiedy mówił o walce tytanów i błyskawicach wysyłanych przez smoczą lancę. Wątpili nawet w to, że bestia zabiła śmiałego srebrnego smoka. Słuchali, ale mu nie wierzyli.

— Syn Humy? — Billus rzucił okiem na ciało, po czym sprawdził reakcję swoich towarzyszy. — Kto odpowiada za lancę, którą ocaliliśmy? Młodzieniec wyglądający na kowala zrobił krok do przodu. — Ja, panie.

Dowódca i jego kompani podeszli, aby obejrzeć oręż. Billus przybrał jeszcze bardziej sceptyczny ton.

— Smocza lanca. Zamaszysta, muszę przyznać, ale jest trochę zbyt pordzewiała jak na błogosławioną przez Paladina broń.

Stoddard nie zaprzeczał. Lanca wyglądała tak samo, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Skromna relikwia, podniszczona przez

długą poniewierkę. Nie warto było też szukać wypalonych blizn po błyskawicach.

Rycerz zastanawiał się, czy nie wymyślił całego epizodu. Możliwe że przyśniło mu się to wszystko. Może... Dowódca westchnął.

— No cóż, syn Humy czy nie, wiemy na pewno, że razem z Razerem oddał życie, walcząc ze smokiem. Zostanie w naszej pamięci na zawsze, możesz mi wierzyć. Tymczasem musimy zapewnić ci odpoczynek. Jak najszybciej.

Dalsze przekonywanie ich nie miało sensu. Nigdy nie uwierzą. Może Ferrin i Crandel byliby bardziej otwarci, chociaż i oni najprawdopodobniej będą podejrzewać, że ich przywódca po prostu wyobraził sobie cały spektakl, gdy leżał półprzytomny. On sam zastanawiał się... nie, nie wymyśliłby tego wszystkiego!

— Ceremonia i honorowy pogrzeb twoich towarzyszy odbę dą się prawdopodobnie jutro — rzucił Billus, kiedy strażnicy pomogli zranionemu wspiąć się na konia. — Również jutro oddamy honory Razerowi.

Byli przekonani, że obaj jechali do walki na smoku. Liam zostanie uhonorowany, jak przystało na Rycerza Oddziałów Solamni. Musiało to zadowolić Stoddarda. Tak naprawdę nie jest ważne, czy był synem Humy. Honory zawdzięcza swojej odwadze i największemu poświęceniu, dzięki którym zostanie w pamięci ludu przez wszystkie dni aż do końca świata.

— Est Sularus oth Mithas — wyszeptał Rycerz Róży, kiedy jeden ze strażników zasłonił twarz młodego wojownika. Dużo, dużo więcej walecznych dusz ludzkich i innych stworzeń zosta nie jeszcze poświęconych w strasznej wojnie z Chaosem. Ale dzisiaj jest dzień najbardziej bohaterskiego obrońcy Aramus. Dzisiaj mieszkańcy miasta wysławiają swojego wybawcę.

Liam z Eldor, Rycerza Korony i... co było trochę wątpliwe w opinii Stoddarda, syna Humy.

OSOBISTE PORACHUNKI Kevin T. Stein

— Chcę dostać martwego bandytę, pas należy do ciebie — powiedział Malefiche. — Śmierć złodzieja jest najważniejsza. Pamiętaj o tym, Borac. Zabij go. Jeżeli to zrobisz, przez jakiś czas nie będę potrzebował twojej pomocy.

Borac wędrujący zacienionym chodnikiem zajrzał zza rogu w wąską, zatłoczoną ulicę.

Słowa opiekuna ciągle dźwięczały mu w głowie. Malefiche był urzędnikiem wysokiej rangi, wybrańcem Takhisis. Borac, jako czarny smok, był zobowiązany spełniać jego rozkazy. To, w jaki sposób urzędnik nalegał, aby zabić bandytę, budziło w nim podejrzenia. Postanowił być ostrożny. Malefiche miał władzę i był przebiegły, ale Borac był nie mniej inteligentny.

Poza tym ludziom nie warto ufać. Gdyby tylko mógł przewidzieć ukryte zamiary urzędnika... Od jakiegoś czasu chodziła pogłoska o śmiertelnym „tajemniczym wartowniku”, przez którego nikt nie był bezpieczny — nawet córka Królowej Ciemności. Zginęło również kilka smoków... zagadka mogła zostać rozwiązana już wkrótce.

W tej części miasta panował ruch. Kiedy o określonej godzinie porządni ludzie szli spać, awanturnicy szykowali się do rozrywek. Zabawą określali to, czym się wtedy zajmowali. Jediną rzeczą, w której podzielał ludzkie zainteresowania, był hazard.

Towarzyszący mu dwaj mężczyźni byli prawdziwymi ludźmi, nie tak jak on: smok w ludzkiej formie.

Czekali na niego z tyłu alei, gotowi, aby wykonać rozkazy. Borac nawinął na palec amulet zawieszony na jego szyi. On nadawał mu status człowieka. Pomyślał, że wygląda dużo lepiej od pozostałych, jest silniejszy. Był wysokim brunetem, przystojnym pomimo śmiertelnie białego lewego oka. Żaden z giermków nie wiedział, że Borac był smokiem; fakt ten ujawniłby tylko w odpowiednim momencie.

Miasto przesiąkło zapachem ludzi, ich strachem i nudą. Strach był jedną z wielu ludzkich słabości, którą Borac najbardziej pogardzał. Miał nadzieję, że ci dwaj podporządkowali się jego maksymie: podjęta decyzja wyzwala siłę.

Nie obchodzili go, nie chciał nawet znać ich imion. Nazywał ich Szary i Czarny. Szary był szczupły i średniego wzrostu, miał zgrabne, sprytne ręce. Doskonale radził sobie z czynnościami wymagającymi użycia noża. Czarny był silniejszy od Szarego, miał szersze bary, silne ramiona. Obaj mieli ciemne, króciutko ostrzyżone włosy i ciemne, brązowe oczy. Nosili taki sam rodzaj wytartej odzieży. Trochę odstawali od mieszkańców tego przygranicznego miasta. Mogli uchodzić za handlarzy, wojowników lub podróżnych. Mogli być kimkolwiek. Gdyby ktoś zobaczył ich z zakrwawionymi sztyletami w rękach w czasie wypełniania powinności, nie zidentyfikowałby ich jako

jego... sług ani praktykantów. Zwyczajne anonimowe twarze. Byli ubrani tak samo jak Borac.

Szary i Czarny byli Boraca... dublowcami. Brzydził się traktowaniem ich jak straży przybocznej. Dwaj okresowi żołnierze, którzy bez trudu poradziliby sobie w bójce. Jeżeli sytuacja będzie tego wymagać, Borac bez skrupułów poświęci ich dla ocalenia własnej skóry. Broń, jaką mieli przy sobie, pochodziła z jego własnej zbrojowni, była zaczarowana. Drogocenna, ale nic ponadto, i niespecjalnie przydatna smokom. Chętnie poświęciłby tych dwóch.

Borac gładził amulet, uważnie obserwując drzwi od gospody. Czarny smok nie mógł zmieniać formy, kiedy tylko tego zapragnął, zresztą tak samo inne smoki. Amulet był prezentem дарowanym mu przez Malefiche'a z okazji ich pierwszego przymierza. Czarne smoki były znane ze swej niezależności, więc przymierze miało być jednym z udogodnień. Malefiche wykupił służbę Boraca za amulet, który od dawna był jego wielkim pragnieniem.

Talizman pozwalał Boracowi przybierać ludzką postać, kiedy tylko chciał, ale niestety ciążyła na nim klątwa. Gdy jako człowiek zostanie śmiertelnie zraniony, nigdy nie powróci do ciała smoka, a jednocześnie będzie to jedyny sposób na ocalenie życia. Ogarniało go obrzydzenie, kiedy myślał, że mógłby umrzeć w ludzkiej formie.

Tawerna, którą obserwował, nie miała nazwy. Na wiszącym szyldzie był tylko wygrawerowany ledwie widoczny obrazek przedstawiający dzika biegnącego ze złamaną włócznią. Bandyta —jego „przynęta” — był w pokoju na górze. Borac nie wiedział, jak się nazywa, ale łatwo rozpoznał go po krępej budowie ciała, bujnych czerwonych włosach i girdle otaczającym zbroję, którą miał na sobie. Girdle, chociaż wyglądające zwyczajnie, wykonane ze skóry obrobionej metalem, w rzeczywistości było magiczne.

Borac westchnął. Zabije anonimowego małego bandytę, wypełni misję, jak należy. Zawsze odnosił sukces. Co za marnotrawstwo. Nienawidził Malefiche'a za jego skłonność poświęcania życia smoków w zamian za ludzkie. Nienawidził go też za to, że zawsze realizował wszystko, cokolwiek przyszło mu do głowy. Borac brzydził się ludźmi z powodu ich małostkowości, ambicji i krótkowzroczności.

Zresztą uczucia nie miały wpływu na misję. Nie czuł nienawiści do tego złodzieja ani do żadnych innych, których zabił, służąc Królowej Ciemności. Nienawiść nie była jego... zawodem, jak nazywają to ludzie. Borac znał niebezpieczeństwo indywidualnego zaangażowania się w morderstwo. Kiedy zabójca rzuca się na ofiarę kierowany złością, pełen zemsty albo rozkoszy, jest martwy. Na cmentarzu leżało wielu, którzy słuchali jego nauk, po czym ignorowali to i marnie ginęli. Spojrzał za Szarego i Czarnego, którzy zniecierpliwieni czekali na końcu alei. Mogli być następnymi. Byli ludźmi. Odwrócił się w stronę ulicy. —Czy straciłeś go z oczu? — zapytał cicho Szary. —Nie — rozdrażniony Borac odwrócił się gwałtownie. Je dyny powód do zadawania pytań stanowiła ludzka niecierpliwość.

—Dlaczego pytasz? — Czuł, że mężczyzna w odpowiedzi wzruszył ramionami. —Czekamy już trochę.

Borac skoncentrował się na ludziach wchodzących do tawerny. Wpadł na pomysł, że zapamięta te twarze, na których malowało się doświadczenie, i te, od których biła magia. Ci mogą być niebezpieczni, mogą pogmatwać jego plan. Człowiek z girdle wciąż się nie pojawiał. — Wszystko bez zmian.

Malefiche ostrzegł Boraca, że zabicie złodzieja może sprawić trochę problemów. Magiczne girdle dawało nadzwyczajną siłę temu, kto ją nosił. Śmierć oprawcy była najważniejsza, odzyskanie girdle stanowiło cel drugorzędny. Jego magiczne zabezpieczenie było powodem wynajęcia czarnego smoka do tej roboty. Gdyby sprawa nie była tak trudna, Malefiche wynająłby zwykłego mordercę.

Borac zastanawiał się, w jaki sposób może użyć Szarego i Czarnego, aby ocalić własną skórę, jeżeli zajdzie taka konieczność. Nie odczułby ich straty w tym momencie, zwłaszcza po tym ostatnim głupim pytaniu.

Dwaj mężczyźni przestępowali z nogi na nogę. Borac czuł ich spojrzenia na swoich plecach. Wiedział, że się nieustannie gapią i zniecierpliwieni szemrają jeden do drugiego.

— Dlaczego wam się tak śpieszy? — zażądał odpowiedzi, rozpoznając twarz szczupłej kobiety, której przodek prawdopo dobnie był elfem.

Żaden z mężczyzn się nie odezwał. Borac zwrócił ku nim twarz. Znał odpowiedź, wisiała w powietrzu jak mgła. — Boicie się. Czarny mocno się skrzywił, a Szary zrobił krok do tyłu. Borac machnął wymownie ręką.

— Dobrze znam waszą historię w armii Królowej Ciemno ści. — Spojrzał w oczy Szaremu, a później Czarnemu. — Gdy byście się nie bali, zabiłbym was własnymi rękoma. Człowiek, który nie boi się podczas pierwszej misji, jest albo szalony, albo głupi. — Borac odwrócił się w stronę ulicy. — Dla takich nie mam czasu.

Obaj mężczyźni wrócili w zacienione miejsce i zaniechali tupania nogami. Borac był uradowany, jego słowa uciszyły ich i uspokoiły... przynajmniej na jakiś czas. Pod tym względem ludzie byli jak psy.

Po półgodzinnym czekaniu znużenie zaczęło ogarniać nawet Boraca.

— Nie ma śladu naszej ofiary. Jest już grubo po czasie, w którym miała się pojawić. Wejdźcie do tawerny i sprawdźcie, czy jest w środku.

Szary i Czarny zgodnie przytaknęli. Borac cieszył się, że nie salutowali. Pouczył ich, żeby potwierdzali rozkazy w sposób nie rzucający się w oczy. Gdyby przypadkiem ktoś ich zauważył, nie miałby powodów kojarzyć ich z armią, która została rozbita i rozproszona wiele lat przed Wojną Lanc.

Dwaj mężczyźni szli ulicą, nie budząc podejrzeń. Wyglądali zwyczajnie, chociaż penetrowali okna i aleje. Borac, mając doskonały słuch, wiedział, że rozmawiają o rzeczach, których nikt nie powinien usłyszeć. Upomni ich później, przypomni, że tematu misji nie mogą wplątywać w zwykłe rozmowy. Zanim po jego „pouczeniach” dojdą do siebie, upłynie kilka dni.

Kiedy Szary i Czarny byli w połowie drogi, mężczyzna, którego szukali, właśnie wyszedł z tawerny. Borac nie znał oprawcy, chociaż podejrzewał, że będzie to jakaś znajoma twarz. Każdy, kto okradał urzędnika Takhisis, musiał być najprawdopodobniej człowiekiem z wewnątrz, kimś związanym ze świątynią. Jakiś porucznik albo doradca.

Złodziej, zanim opuścił bezpieczną tawernę, dokładnie rozejrzał się w obie strony. Takie zachowanie nie było czymś wyjątkowym. Ostrożności nigdy za wiele, zwłaszcza w przygranicznym mieście. Wyglądało na to, że nie zauważył Szarego i Czarnego.

Borac, widząc ofiarę, oparł się o ścianę budynku, po czym, zaciskając pięść, opuścił bezpieczny cień i minawszy swoich ludzi, szybko przeszedł na drugą stronę ulicy. Rudowłosy złodziej szedł w kierunku bardziej niebezpiecznej części miasta. Borac pochylił głowę, dając w ten sposób znak Szaremu i Czarnemu, aby szli za nim. Tak też zrobili i zachowując odpowiedni

dystans, kroczyli jego śladami. Borac zastanawiał się, czy rzucić kilka zaklęć i sprawdzić autentyczność magicznego girdle, które miał na sobie mężczyzna. Jednak ryzyko było zbyt duże. W pobliżu może znajdować się jakiś mag, może wyczuć działanie magii i w ten sposób ujawnić swoją obecność.

Borac zastanawiał się nad głupotą złodzieja. Na pewno wiedział, że jego życiu zagraża



niebezpieczeństwo! Chyba że wszystko to było symulowane, chyba że była to... zasadzka.

Smok uśmiechnął się lekko. Przez wiele lat swojej służby spotkał wielu wrogów. W armii Królowej Ciemności, składającej się z rozkapryszonych, niegodnych zaufania ludzi, współzawodnictwo i prywatne porachunki były bardzo rozpowszechnione.

W armii Jej Najwyższej Ciemności mówiło się o honorze i wzajemnej lojalności, ale Borac nie wierzył w ani jedno z tych słów.

Nawet urzędnicy ciemności nie byli wolni od intryg. Malefi-che na przykład ostatnio spoufala się ze szlachtą z północy — tą, której Borac kiedyś zamordował rodzinę. Zawarcie z nimi przymierza kosztowało życie wielu ofiar. Borac obawiał się również, że został poświęcony na zabezpieczenie umowy z nowymi aliantami. Był mordercą, a jednak misja mogła się okazać zasadzką na jego własne życie.

Borac w półuśmiechu odsłonił równe zęby. Jeśli urzędnik zakpił sobie z niego, jeżeli łągał, mówiąc o prawdziwej misji, zemści się na nim. Wpierw jednak musi doprowadzić zadanie do końca, a potem upewni się co do reszty.

Nie chciał mieszać prywatnych porachunków ze sprawami zawodowymi.

Złodziej szedł dalej. Nie robił nic nadzwyczajnego, co mogłoby zwrócić uwagę Boraca. Z ukrycia nie wybiegł żaden łajdak, aby przestrzec go, że jest śledzony. Idący za Borakiem Szary i Czarny zachowywali się dosyć cicho, tylko ich oddechy, przyśpieszone z podniecenia i napięcia, denerwowały Boraca. Niezadowolony zmarszczył brwi.

Złodziej doszedł do skrzyżowania i zatrzymał się. Spojrzał w prawo. Szary i Czarny dogonili Boraca, który wszedł na wy

łożony deskami balkon i odwrócił się twarzą do okna. Wyglądało to tak, jakby zaglądał do środka budowli, podczas gdy tak naprawdę nadal obserwował ofiarę. Jego pomocnicy robili to samo. Do rudowłosego podeszło dwóch podejrzanie wyglądających mężczyzn. Kiedy przywitali się, podając sobie dłonie, Borac zobaczył czarny klejnot wielkości dłoni, który ukradkiem przekładali z rąk do rąk. Czerwony klejnot byłby dla czerwonego smoka, czarny zatem wskazuje na czarnego. — Muszę zabić jednego smoka, tego, który w czasie snu zamordował mojego brata — odezwał się złodziej cicho, ale Borac go usłyszał. — Jest w mieście, został wysłany na zlecenie Malefiche'a. — Jak ma na imię? — zapytał jeden z dziwaków. — Czy go znamy? — Nazywa się Borac. Jego ciało musi wrócić do świątyni, tak jak zwykle.

Borac uważnie przyjrzał się twarzom dwojga mężczyzn. Rozpoznał ich, spotkali się dawno, należeli do świty Malefiche'a. Jego podejrzenia potwierdziły się. Został sprzedany. Jeden z ludzi schował ręce w pelerynie, odsłaniając długą półokrągłą zdobioną wzorami szablę.

Borac dławił się i ledwie łapał powietrze. Chwycił się parapetu, aby nie stracić równowagi. Mocno wbite paznokcie pozostawiły ślady na twardym drewnie. Nawet z tak daleka czuł moc zaczarowanej szabli. Nie wiadomo, jak długo tak stał, zanim krew w żyłach zgęstniała i ostygła i znowu mógł swobodnie oddychać.

— Coś ty narobił, Malefiche'u? — wyszeptał. — Coś ty zrobił?

Szary i Czarny nie poruszyli się. Nie zdradzali podniecenia, mogli nawet nie słyszeć wyszeptanych słów. Poza tym nie mieli pojęcia, o co i o kogo chodzi.

Borac przysłonił dłonią zdrowe oko. Koncentrował się na misji. Jednak skupienie sprawiało mu wiele trudności. Woń żelaza mieszała się zapachem krwi — krwi smoka! — czuł to swoim ludzkim nosem. Mężczyźni mieli przy sobie broń, która była prawdziwą magiczną dragon-bone. Jej wyrób został opisany

w jedynym, pradawnym tomie Draconus Dictum. Księga ta przedstawia, w jaki sposób robi się

broń ciemnej magii, przeznaczoną do zabijania czarnych smoków. Głównym i podstawowym jej składnikiem są kości samych smoków.

Draconus Dictum nie była Boracowi obca, chociaż nie znał wszystkich jej wydań. Dzieło odsłania przed czytelnikiem wiedzę o smokach. Od dawna był przekonany, że księga zaginęła. Z drugiej strony nie mógł zrozumieć, dlaczego Królowa Ciemności udostępniła ludziom zawartą w niej wiedzę. Teraz znał ją nawet Malefiche. Borac zastanawiał się, kogo spośród jego gatunku zamordowano najpierw i wyprodukowano z niego broń. On miał być następny.

— Po tym wszystkim przez jakiś czas nie będę potrzebował twojej pomocy — powiedział Malefiche.

Borac wyszczerzył zęby. Słowa rudowłosego złodzieja wystarczyły, aby potwierdzić jego przypuszczenia, że jest ofiarą dla wzmocnienia nowej ligi. Z jego ciała zrobią materiał na szablę do zabicia kolejnego smoka. — Kim byli ci ludzie? — łagodnie zapytał Szary. — To tajna straż mordercy! — odpowiedział krótko. — Ścigają mnie! — Widział w oknie ich odbicie, martwe spojrzenia wlepione w jego plecy. Jak głosili prorocy przeklętego Paladina: „Zło ostatecznie pokona samo siebie”. Urzędnicy Królowej Ciemności są szkoleni, uzbrajani i zatrudniani do zabijania własnych sprzymierzeńców. Dlaczego? Aby zapewnić lojalność i wpływ w poparcie? Aby mieć pod kontrolą nieposłuszne smoki, takie jak on. Borac parsknął śmiechem.

Łowca smoków i złodziej naradzali się dalej. Złodziej przedstawiał Boraca, zupełnie tak jak wcześniej jemu opisywano złodzieja. — Kończymy misję? — zapytał Czarny.

Borac zastanawiał się nad ucieczką, ale szybko zrozumiał, że nie uchroni go to od pościgu i śledztwa.

Nienawiść razem z palącym kwasem wypływała ustami smoka. Tak bardzo chciał zabić ich wszystkich, nie wykluczając Malefiche'a. Jednak celem jego misji nie było dokonanie morderstwa na nich. Chociaż nie chciał, musiał się do tego przyznać. Był zobowiązany honorem i musiał zakończyć zadanie, którego się podjął. Zdrowym okiem spojrzał na pytającego.

— Oczywiście że nie, ty idioto — syknął. — Kiedy on będzie martwy, nasza misja zostanie zakończona!

Zawstydzony Czarny przytaknął. Borac miał nadzieję, że po tej odpowiedzi nie będą zadawać więcej pytań tego rodzaju. Próbował poukładać myśli.

— Nie powiedziałem Malefiche'owi, że zatrudniłem pomoc, więc nie będą was ścigać.

Szary opuścił ręce wzdłuż ciała, zatrzymując je na pasku, wewnątrz którego trzymał parę noży. — Co zatem robimy?

Borac pochylił się do tyłu w stronę łowcy smoków. Chociaż bardzo się bał, nie okazywał tego. — Zabijcie ich. Zabijcie ich obu, szybko! I przynieście ich broń. Nawet jeżeli jego ludzie poniosą porażkę i jeszcze raz sam będzie musiał stawić czoło bandytom, okaże się to dużo prostsze, gdyż będą osłabieni, może nawet ranni. Im szybciej pozbędzie się zadania, tym szybciej przystąpi do istotniejszej sprawy — poszukiwania Draconus Dictum. Wtedy też zabierze się za Malefiche'a. — Złodziejem zajmę się sam — dodał.

Cała trójka stała jeszcze przez chwilę, po czym rozeszli się — Szary z Czarnym ruszyli za łowcami smoków, a Borac za złodziejem.

Ściganie oprawcy nie było trudne, ponieważ nie posiadał on dragon-bone. Nieszczęśnik wierzył najwyraźniej, że tamci dwaj są godnymi przeciwnikami czarnego smoka. Boraca bardzo to śmieszyło.

Rudowłosy wstąpił do nowej tawerny znajdującej się na jej peryferiach przygranicznego miasta. Karczma wrzała. Borac wmieszał się w tłum, ale ku swojemu niezadowoleniu odkrył, że jego postura odstaje od pozostałych. Był dużo wyższy i silniejszy niż reszta ludzi znajdujących się w tawernie.

Stał poza tłumem, co nie było najlepszym miejscem dla zamachowca.

Karczma była ogromna i dobrze oświetlona. Latarnie wisiały na ścianach i podpierających je belkach. Bar ciągnął się wzdłuż ściany aż do tyłu karczmy, było dużo stołów i krzeseł. Mały interes nakręcał hazard. Borac zastanawiał się, czy po dokonaniu morderstwa znajdzie chwilę, aby ograbić klientów z pieniędzy.

Podszedł do baru. Stąd wyraźnie widział złodzieja, który właśnie zajął miejsce przy karcianym stoliku. Jego rude włosy wyróżniały go z tłumu. Swobodne zachowanie złodzieja wskazywało na to, że wciąż nie zorientował się, iż jest śledzony. Może nawet nie wiedział, że jest przynętą. Powiedział łowcom smoków, że Borac został posłany do miasta z misją, ale nie wiedział, iż on jest jej celem. Takie zachowanie pasuje do pokrętnego Malefiche'a.

Jeden z zabieganych kelnerów rozbił kufel, uderzając nim o łokieć Boraca. Smok, nie oglądając się, wyrzucił kawałki metalu za siebie.

Borac zauważył, że złodziej nie był zbyt dobrym hazardzistą. Pomyślał, że zaczeka na chwilę jego słabości i wykorzysta ją. Niezależnie od magicznej siły, ludzie w rozpaczliwej sytuacji zachowują się nierozważnie. Rudowłosy mężczyzna nie wyglądał na kogoś, kto wygrywa za wszelką cenę. Borac był świadkiem jego kolejnych zwycięstw i porażek i patrzył, jak spokojnie przepija wygraną.

Kiedy po godzinie wyczerpały mu się pieniądze, wstał od stolika. Zdrowe oko Boraca zwięzło się, gdy złodziej, włożywszy monetę pomiędzy palce, wygiął ją i rzucił zaskoczonemu sprzedawcy. Odwrócony tyłem do baru, Borac przytakiwał sam sobie. Zwykły człowiek nie zrobiłby tego. Girdle było naprawdę magiczne. Musi zachować większą ostrożność.

Pijany mężczyzna ruszył w stronę drzwi tawerny. Borac poszedł za nim, jednak po chwili pomyślał, że nie jest to najlepszy pomysł. Zawrócił, wziął do ręki ciężki kufel, po czym szybko go opróżnił. Nie chciał wzbudzać żadnych podejrzeń. Człowiek, który zamówił piwo i go nie wypił, pozostałby w pamięci barmana na dłużej niż tylko jedną noc. Nie robiąc zamieszania, Borac skierował się wreszcie w stro-

nę wahadłowych drzwi karczmy. Zanim zdołał do nich dotrzeć, siedzący nieopodal grubas poderwał się z miejsca i stanął na jego drodze. Najpierw próbował go ominąć, ale pijany awanturnik przestępował z miejsca na miejsce. Rozzłoszczony Borac czuł, że kwas wylewa mu się na koniuszek języka. Wlepił wzrok w oczy grubasa, który spłoszył się, westchnął i opadł z powrotem na krzesło. Borac spojrzał w kierunku drzwi. Zamieszanie zwróciło uwagę rudowłosego. Błady jak trup, patrzył prosto na niego.

— Cholera! — przeklął Borac pod nosem i przecisnął się do wyjścia. Gdy znalazł się na zewnątrz, zdążył zobaczyć złodzieja uciekającego za róg zacienionej ulicy.

Nie czując w powietrzu dragon-bone, Borac zdał się na doświadczenie i ruszył w pościg. Miał nadzieję, że jego ludzie zajęli się łowcami smoków. Podążając tropem złodzieja, skręcił na rogu ulicy. Zobaczył go, jak przepychał się przez rozbawiony tłum; był opętany ludzkim strachem. Biegł za nim, bez trudu odsuwając ludzi na boki. Nie ukrywał swojej obecności. Chciał zakończyć tę misję.

Złodziej rzucił się w otwartą przestrzeń w tłumie. Następnie skręcił na pierwszym rogu, po czym szybko dobiegł do najbliższego ronda i zginął w najciemniejszej części miasta. Smok podążał tuż za nim. Przyspieszył...

Kiedy się ocknął, leżał na ziemi. Czując silny ból szczęki, domyślił się, że wpadł w zasadzkę, a następnie został bezlitośnie skopany. Coś przesunęło się przed jego oczami. Była to uniesiona do góry pięść złodzieja, gotowa do kolejnego ciosu. Borac błyskawicznie przetoczył się na bok. Zobaczywszy, że pięść oprawcy zamieniła kamień chodnika w pył, szybko obrócił się i stanął.

— Nie dorównasz mi! — warknął złodziej. — Nie z magią. Nie uda ci się!

Borac nie próbował się z nim mocować. Jego ludzka forma nie miała szans, aby dorównać mocy giganta. Najpierw pozwolił zaatakować oprawcy. Rozpędzony złodziej całym ciałem rzucił się na Boraca, niestety jego głowa wylądowała na ścianie budynku. Uderzenie było silne i powaliło go na ziemię. — Girdle jak widać silne, ale nie czaszka — powiedział

Borac, dokładnie badając magiczne narzędzie w poszukiwaniu klamry. Chociaż nie widział dobrze w ciemnościach, poradził sobie z rozwiązaniem zapięcia i zdjął ją. Jego ręce zaczęły drżeć, girdle była z pewnością magiczna.

Odrzucił ją na bok. Smok i tak miał przewagę nad ofiarą, jego misja dobiegała końca. Potrząsnął ciałem złodzieja. Chciał go obudzić i zdobyć trochę więcej informacji. — Kto cię wysłał? — zażądał pierwszej odpowiedzi. — Dobrze wiesz, kto mnie wysłał! — Kto? — Borac zapytał ponownie, tym razem trochę brudniej. Zniecierpliwiony chwycił go za koszulę, podciągając bliżej. — Dokładnie? — Ktokolwiek by to był — odpowiedział złodziej — masz moje słowo, że wyśle kolejnych łowców smoków. Borac zmrużył zdrowe oko, ale pohamował złość. — Kto? — zażądał odpowiedzi po raz trzeci. Złodziej roześmiał się i plunął mu w twarz. — Obaj możemy grać — powiedział Borac.

Smocza nienawiść pieniała się w ustach i jedna kropla spadła na piersi złodzieja. Czarny kwas płynął po długiej rudej brodzie, przeżarł cienkie ubranie, zbroję i palił skórę klatki piersiowej. Ku zaskoczeniu Boraca złodziej nie krzychał i nie błagał o litość, a tylko wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu. Smok zapomniał o instrukcjach, jakie dawał Szaremu, Czarnemu i wielu innym, którzy angażują się emocjonalnie: że marnie zginą. Nienawiść pieniała się w jego ustach coraz mocniej. Złodziej wciąż nie reagował.

— No już, zabij mnie! — krzychał w odpowiedzi do ściska jącego go mordercy. — Zamorduj mnie, tak jak kiedyś zabiłeś moich krewnych!

Słowa te brzmiały znajomo, ale nie mógł przywołać związanego z nimi zdarzenia. Nienawiść rosła w nim coraz bardziej, kwas z żołądka wypełnił usta. — Zabrakło ci odwagi? — kpił mężczyzna.

Borac otworzył usta, aby pokazać mu czarną pieniającą się ciecz.

— Na co czekasz? Nienawidzisz mnie! Chcesz mojej śmierci! Zatem zabij!

Szary i Czarny czekali w karczmie oznaczonej dzikiem i oszczepem. Kiedy Borac wszedł do środka, siedzący przy stole przerwali grę w kości i pomachali do niego.

— Nigdy więcej! — syknął pod nosem smok. — Dopóki nie opuścimy miasta, misja nie jest zakończona. Mężczyźni spuścili głowy. Ludzie są takimi głupcami. — Zabiliście dragon-bone... tych morderców? — Tak, zrobiliśmy to — powiedział Szary. — Co z ich bronią? — dopytywał się Borac. Modlił się do Takhisis, aby nie usłyszeć, że łajdaki zgubili ją albo sprzedali. Szybko przerwał modlitwę. Dlaczego miałby się modlić do bo gini, która dawała ludziom zdolność zniszczenia jego gatunku? Musi o tym pomyśleć. Pomijając wszystko, jego modlitwa została wysłuchana. — Starannie zawinęliśmy miecze i włożyliśmy na konie. Wyglądały wyjątkowo. — Gdybyście tylko wiedzieli... — zamruczał Borac. Pod niósł się i wyszedł. — A twoje zadanie? Czy odniosłeś zwycięstwo? — zapytał Czarny.

Borac milczał. Chociaż szczęka nie była złamana, bolała go od silnego uderzenia. Zastanawiał się, jak silna jest jego ludzka forma. Chyba jej nie doceniał.

— Człowiek nie żyje? — zapytał Szary. — Czy musimy go załatwić?

— Nie musicie nic robić — odpowiedział ponuro. Na głowie miał wiele innych spraw. Najmniejszą z nich była konfrontacja z Malefichem i przygotowanie się na kolejnych porywaczy smoków. — Zatem misja jest zakończona? — nalegał Czarny. Borac chwycił wędrowny pakunek. — Zdobyłem pas — powiedział — ale złodziej żyje nadal. Obaj zaskoczeni mężczyźni przewrócili

oczami. Borac od

wrócił się i zatopił w nich spojrzenie. Nie mógł oczekiwać zrozumienia.

— Mogłem go zabić, ale popełniłem błąd, co powstrzymało mnie przed odebraniem mu życia. Jego pomocnicy nadal milczeli.

— On powiedział: „zamorduj mnie tak, jak kiedyś zabiłeś moich krewnych”. — Borac przeczesał ręką czarne włosy. — Znienawidziłem tego człowieczka, tę marną istotę i jego współ ników, którzy moją śmierć traktują jako ostateczną cenę za poświęcenie, że są sprzymierzeńcami. Ale przypomniał mi Oczymś. Przypomniał mi o tym wszystkim, czego was uczyłem. — Gestykulując, dodał do towarzyszy. — Mogłem go zabić, jak zrobiłem to z jego bratem, którego nawet nie pamiętam. Zniena widziłem go. Chciałem, aby zginął z moich rąk. Straciłem kontrolę nad sobą i zawodowy dystans. Szary i Czarny wciąż gapili się zaskoczeni. Borac westchnął. Miał nadzieję, że to, co zamierzał powiedzieć, ostatecznie sprawi, iż zrozumieją.

— Człowiek ten zrobił jedną rzecz, która uniemożliwiła odebranie mu życia. Uczynił sprawę prywatnym porachunkiem.

— OKO SMOKA Adam Lesh

— Przyniesiesz Oko Smoka do mojego chlebodawcy do kanałów ściekowych Palanthas albo dzisiaj o północy twoja żona będzie martwa.

Przekazujący wiadomość mały szczirowaty karzeł imieniem Theiwar patrzył na mnie z przebiegłym uśmiechem, który wyrażał wyższość. Był blady i brudny, tak jak wszyscy z jego gatunku. Miał wylupiaste, białe oczy, zbyt często oblizywał wargi. Chciałem zatrzaskać mu drzwi tuż przed nosem, jednak nie ośmieliłem się. Musiałem dowiedzieć się czegoś więcej. Wciągnąłem ohydne stworzenie do środka. — Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? — zapytałem.

Karzeł uśmiechnął się oblesnie. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej brudną szmatę i podał mi. Rozwinąwszy ją, w pierwszej chwili nie wiedziałem, na co patrzę. Dopiero po jakimś czasie rozpoznałem, że jest to jej kolczyk. Warknąwszy, jedną ręką złapałem go za odzienie i podniosłem do góry, przyciskając do ściany karczmy. Nie był już taki pewny siebie. — Co jej zrobiłeś, ty skurwysynu? — N... nic poza tym. Słowo honoru! — Twój honor — odezwałem się pogardliwie — jest warty mniej niż brud na podłodze.

Zacząłem go kopać i ledwie się powstrzymałem, zresztą tylko dlatego, że pomyślałem, iż może się na niej zemścić. — Twój chlebodawca się grubo pomylił. Oko Smoka jest uznawane za fantastyczny diament. Czy wyglądam na kogoś, kto posiada legendarny diament? — On wie, że go nie masz. — Karzeł złowieszczo wyszcze

rzył zęby. — Oko Smoka znajduje się w Ashton Manor. On chce, żebyś je zdobył. — Dlaczego ja? Dlaczego do tej roboty nie wynajął złodzieja jaszka? — Żaden złodziej nie zbliży się do tego miejsca. Myśleli śmy, że wojownik — zwłaszcza tak szanowany jak ty — ma więcej szans, aby wykraść Oko i uciec cało. — Mogliście mnie po prostu do tego wynająć — zaznaczyłem. — Po co narażać się na takie koszty, skoro możemy mieć twoje usługi za darmo? — karzeł zachichotał ponownie. Patrzyłem na niego, jak kurczył się ze strachu, zasłaniając twarz rękoma. — Nie bij mnie już więcej — lamentował. — Wynos się! I pamiętaj, że rozgrzanymi szczypcami powy rywam ci z ciała wszystkie włosy, jeżeli chociaż jeden spadnie z jej głowy.

Mówiłem jak zuchwalec, w ten sposób ukrywając swój strach. Karzeł zaśmiał się. Wyjął z kieszeni kawałek papieru, rzucił mi go w twarz, po czym uciekł.

Papier opisywał drogę do więzienia mojej żony. Trzymali ją w tajemniczych przejściach, które współtworzyły kanały Palanthas. Starannie schowałem mapę do kieszeni.

Ashton Manor — słyszałem wiele opowieści o tym napełniającym grozą miejscu. Straszne istoty

strzegły tajemnicy pałacu i wszelkimi sposobami odstraszały zakradających się do niego intruzów. Dobrze znana była też historia samego domu. Tak jak powiedział karzeł, złodzieje z Palanthis omijali to miejsce z daleka. Mówiło się, że wielu z nich wybrało się tam, ale ani jeden nie powrócił. Miałem niecałe trzy godziny na odnalezienie diamentu i powrót do Palanthis. Nie bardzo wiedząc, co robić, zacząłem od modlitwy do Paladina. Szybko uzmysłowiłem sobie, że nie ma go już przy mnie. Byłem sam. Ta noc zapowiadała się długa.

Godzinę później stałem na zewnątrz wysokiego żelaznego ogrodzenia, które wyznaczało obwód zanurzonych w mroku

posiadłości. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego tylko najodważniejsi albo najgłupszy złodzieje ośmielali się wejść do środka. Chociaż większość magii zniknęła z Krynnu, z jakiegoś powodu zakęcie wciąż ciążyło na Ashton Manor. Podróżowałem do wielu mrocznych i niebezpiecznych miejsc, ale żadne nie było tak zniechęcające jak to. Po drugiej stronie czekała śmierć i tylko myśl o mojej żonie i grożącym jej niebezpieczeństwie zmusiła mnie do pójścia dalej.

Samo ogrodzenie nie było wielkim wyzwaniem. Konary drzewa sięgały daleko poza barierkę. Wspiąłem się na drzewo i ostrożnie zacząłem studiować terytorium. Szybko przekonałem się, że marnuję czas. Świat za ogrodzeniem przypominał dżunglę — poplątane drzewa, cierniste krzewy, dławiący zapach winnej latorośli, szkaradne kwiaty i przerośnięta trawa. Dochodził do mnie niski głos pomrukującej i warczącej ogromnej bestii, która przechadzała się po grubej warstwie listowia.

Pełzałem po dwóch najbardziej rozrośniętych drzewach i spuściłem się na ziemię. Teren był błotnisty i grząski jak bagno. Powietrze na zewnątrz było suche i zimne. Wewnątrz wysoka temperatura i wilgoć otulały moje ciało niczym mokry koc. i Wkrótce cały byłem zlany potem, zwłaszcza kiedy zanurzyłem się w dzikim lesie. Duszę od smrodu zgnilizny, próchnicy i zapachu pogrzebowych lilii.

Było niesamowicie cicho. Żaden dźwięk, nawet najmniejszego owada ani ptaka nie zakłócał śmiertelnej ciszy. Żadnego szmeru. Odgłos, jaki wydawało miękkie błoto, w którym zanurzałem buty, brzmiał jak walenie w bęben. Warczenie i pomrukiwania ustąpiły. Możliwe że ten, kto je wydawał, czaił się za moimi plecami. Czekałem, aż okrutne pazury rozerwą moje plecy. Posuwałem się do przodu.

# 41. Smoki chaosu

Nagle się zatrzymałem. Przede mną dosyć wyraźnie majaczyły ciemne sylwetki.

Strażnicy, pomyślałem. Czekałem w napięciu, aż zmienią posturunek.

Gdy się nie poruszali, przeczołgałem się do przodu, skąd zobaczyłem, że nigdy nie zmieniają pozycji. To nie byli ludzie, ale

11 s

siedem kamiennych statuetek: trzech ludzi, dwa karły i dwa kendry. Na twarzy każdego z nich, z wyjątkiem kendrów, malował się horror. Widać, że byli kiedyś żywi, czyżby zaatakował ich...

Bazyliszek!

Straszny ryk dobiegł zza wysokiej trawy po prawej stronie. Instynktownie odwróciłem się i spojrzałem prosto w jego oczy. Serce podeszło mi do gardła, ręce i nogi zeszywniały, nie mogłem myśleć. Jeszcze trochę, a tak jak inni uległbym przerażającemu spojrzeniu bestii. Z całych sił starałem się zamknąć powieki. Nic nie widziałem, ale zakłęcie prysnęło. Z nadzieją, że uda mi się schronić w leśnym podszyciu, kierowałem się na lewo. Cios zadany przez masywne pazury otworzył w moim boku trzy rany, które krwawiły. Przytłumiona energia powróciła pod wpływem bólu. Zatoczyłem się na bok, szczęśliwie unikając kolejnego ataku bazyliszka, kiedy ten próbował zanurzyć zęby w moim ciele. Niestety, jego trujący oddech wypełnił mi płuca. Kiedy próbowałem wstać, wszystko przewracało mi się w żołądku. Kiedyś w walce z bazyliszkiem za pomocą magii nakierowywa-łem śmiertelne spojrzenie potwora na niego samego. Ale magia już nie istniała. Kiedy nastały rządy Solinari, zniknęła i nigdy już nie powróci. Nie pozostało mi więc nic innego, jak tylko stanąć do walki.

Zatrucie wywołane oddechem smoka objawiało się coraz wyraźniej. Sztywniały mi kończyny i moja reakcja była spowolniona. Trzymałem w ręce szablę, nie patrząc bestii w oczy i symulując wyczerpanie. Bazyliszek ruszył prosto na mnie, liczył na szybki, nieskomplikowany pojedynek. Wtedy błyskawicznie chwyciłem szablę obiema rękami, uniosłem do góry i wbiłem w jego głowę dokładnie pomiędzy przerażające oczy. Ciało bestii zadrżało i zginęło na zawsze. Bazyliszka prawie zawsze można oszukać.

Ashton Manor była najdziwniejszą posiadłością, jaką kiedykolwiek widziałem. Z konstrukcji o kształcie pięcioboku wyrastały szczyty, wieże i minarety. Nie wiadomo dokładnie, kto stworzył tę zabudowę. Pojawiła się kilkadziesiąt lat temu, w la

tach Wojny Lanc. Pogłoska mówi, że Lord Ashton — tak siebie nazywał — był magiem noszącym czerwone szaty. Prawdopodobnie miał wielką moc, ale był pozbawiony zdrowego rozsądku. Nie domyślał się, że prawdziwy właściciel może śledzić każdy jego krok, nieważne jak często opuszczał dom.

Samo znalezienie drzwi wśród wielu zakamarków, osuwających się skarp i podejrzliwie patrzących chimer zajęło mi zbyt dużo czasu. Kiedy je wreszcie znalazłem, nie mogłem ich otworzyć, a nie wyglądały na wyjątkowo masywne. Nie czułem magii, która trzymałaby je, ani nie widziałem żadnego specjalnego miejsca, w które mógłbym kopnąć czy nacisnąć. Nic nie było w stanie poruszyć ich nawet o centymetr. Na parterze nie było okien.

Rany zadane przez bazyliszka ciągle bolały, chociaż je opatrzyłem. Z powodu utraty krwi było mi słabo. To coś, co muszę zwrócić szefowi Theiwar, pomyślałem, ciągnąc zawieszoną na pasie linę. Po umocowaniu haka kręciłem nią nad głową i zarzuciłem na dach domu. Z niewielkim hałasem wylądowała na kominie. Pociągnąłem nieco linę, aby zabezpieczyć hak, i wtedy komin się rozpadł.

Hak spadł na ziemię. Ponowiłem próbę i tym razem szczęśliwie zaczepiłem ją dookoła szyi chimery.

Po ścianie pałacu wspiałem się na balkon znajdujący się około dwudziestu stóp ponad ziemią. Wczołgawszy się nań, odnalazłem drugie drzwi. Te otworzyłem z łatwością. Chociaż zdawało się, że zapraszają w gościnę, całym sercem pragnąłem odmówić.

Gdy sapiąc z wysiłku, wślizgnąłem się do środka, pot zalewał mi czoło. Na odpoczynek nie było czasu. Wewnątrz znajdowała się pochodnia. Czyżby czekała specjalnie na mnie? Zapaliłem ją. Znajdowałem się na końcu długiego korytarza, na którego ścianach wisiały gobeliny. Zatęskniłem za magią, która jednym zaklęciem mogła zamienić migające światło dymiącej pochodni na delikatne i ciągle.

Po bokach korytarza znajdowały się drzwi. Otworzyłem kilka z nich, uważnie studiując to, co odsłaniały. Nie licząc kawałków mebli i średniowiecznych dzieł sztuki, pomieszczenia były puste. Nie mając pojęcia, gdzie znajduje się diament, wchodziłem do

pałacu z zamiarem przetrząśnięcia go od góry do dołu. Jednak z chwilą kiedy znalazłem się w jego wnętrzu, czułem intuicyjnie, gdzie umieszczone jest Oko Smoka. Na środku korytarza znajdowały się wiodące w dół schody. Ruszyłem nimi.

Parter przypominał jaskinię. Moją uwagę przyciągnęły ściany z ciosanego kamienia. Dopiero po chwili zorientowałem się, że jest to skamieniałe drzewo! Błoto, które pokrywało całą podłogę, przesiąkało mi do butów i utrudniało chodzenie. Gorąco i wilgoć były nie do zniesienia. Otaczała mnie mgła, ledwie widziałem swoje stopy.

Jak wszystkie elfy gardziłem jaskiniami. Chłodna zieleń lasu i nawet zabrudzone ulice miasta były lepsze od śmierdzących stęchlizną, wilgotnych jaskiń.

Nie miałem pojęcia, dokąd idę. Czułem, że Oko Smoka doprowadzi mnie do upadku. Przewróciłem się w błoto, ale szybko wstałem. Pod nogami czułem, jak coś się poruszyło, i usłyszałem delikatny brzęk. Tym razem instynkt mnie nie zawiodł. Przy akompaniamencie dźwięków gwizdzących tuż nad moją głową poderwałem się do przodu, aby zaraz ponownie wylądować w cuchnącym mule. Ból przeszył zraniony bok, kiedy obróciłem się, wstając. Przypuszczałem, że będę wracać tą samą drogą, dlatego postanowiłem zawrócić i upewnić się, że pułapka, z której cudem uszedłem cało, nie zaskoczy mnie jeszcze raz. Odgarnąłem błoto z podłogi i odkryłem, że nacisk na jeden z kamieni uwalnia ze szczeliny dwie strzały skierowane w stronę ścian. Co za ohydna śmierć.

Korytarz prowadził do ogromnej jadalni. Wielki, dębowy, bogato zdobiony stół zajmował środek pokoju. Krzesel nie było. Pomyślałem, że to dobry sposób na oszczędzanie jedzenia — stojący goście konsumują mniej. Wzdłuż ścian, w równym szeregu stały stojaki na wino. Niektóre wciąż trzymały butelki z winem, którego nie tknąłbym nawet za cenę stali całego Flot-sam. Pajęczyny nienormalnej wielkości wisiały wszędzie. Nagle zobaczyłem kokon jedwabnej nici, z którego wystawały nieruchome stopy, co byłem w stanie zobaczyć, kiedy podszedłem bliżej. Wyjąłem szablę i powoli cofając się, oświetliłem pajęczyny.

Gigantyczny pająk z wielkim hałasem przetoczył się przez środek rozświetlonego pokoju. Uciekał przed płomieniami pochodni tak pośpiesznie, że przewrócił mnie, a następnie nogami długości mojego wzrostu przebiegł po moim ciele.

Przypomniało mi się jedno z zaklęć i szybko wypowiedziałem tajemnicze słowa, wykonując jednocześnie skomplikowane ruchy lewą ręką. Nic. Zapomniałem. Nie ma magii.

Zatoczyłem się na bok i spróbowałem wstać. Lawirowałem pomiędzy sieciami, wystawiając ogień w stronę pająka. Dużo wysiłku kosztowało mnie utrzymanie szabli i pochodni, przypłacałem to bólem zranionego boku, jednak nie mogłem pozwolić, aby pochodnia wślizgnęła mi się z dłoni. Raz jeszcze skierowałem łuczywo na pająka i przez kilka minut trzymałem go w zakolu pokoju. Wtedy on



zarzucił włókna swojej sieci, jednak nie na mnie, lecz na pochodnię i wyrwał ją z mojej dłoni. Łuczywo upadło na błotnistą podłogę i przygasło. Musiałem natychmiast je podnieść, aby nie zgasło zupełnie.

Pająk znowu zaatakował. Biegł prosto w moją stronę, aby rozdeptać mnie długimi pazurami. Na szczęście odskoczyłem do tyłu i szczęśliwie prześlizgnąłem się pomiędzy jego kończynami. Wściekły, uderzył jeszcze raz, chciał mnie wykończyć. Uderzenie było silne i rzuciło mnie na stojaki z winem, tłukąc niektóre z butelek. Jednak pająk nie zważał na lejące się wino i uparcie kontynuował atak, wyciągając ociekające trucizną żądła w moim kierunku. Zdażyłem sięgnąć po pochodnię, podnieść ją do góry i podpalić pajaka. Ogień szybko zapalił oblane alkoholem ciało potwora, które błyskawicznie zamieniło się w płonąca pochodnię. Chciałem zejść mu z drogi, ale opierając się o gładkie drzwi, poślizgnąłem się, wpadając prosto pod palące się stworzenie. Martwe ciało przygniotło mnie, łamiąc dwa żebra i sprawiając mi nieznośny ból. Najgorsze było jednak to, że umierający pająk zdażył ugryźć mnie w pierś, mieszając śmiertelną truciznę z moją krwią.

Z całych sił wbiłem miecz, który ciągle trzymałem w ręce, w ciało pajaka. Skurczył się i zginął.

Podniosłem się. Chwiejnym krokiem, schowawszy broń do pochwy, poszedłem w stronę kuchni. Ból i trucizna rozchodziły się po moim ciele. Ogromne drewniane drzwi były wmurowane w kamienną ścianę. Dogorywający ogień zostawiał po sobie czarną sadzę. Kopnąłem cholerne drzwi; były zamknięte.

Kiedy wszedłem do małego przedpokoju, w obolałej głowie dźwięczał jakiś głos. Wynoś się natychmiast albo czeka cię śmierć!

Czekałem na echo, a kiedy się nie pojawiło, byłem pewny, że głos ten był w mojej głowie. Nie odpowiedziałem więc.

Wewnątrz pokoju znajdowały się prowadzące na górę schody, które nie były zakończone ani wejściem, ani wyjściem. Daremnie szukałem ukrytych drzwi. Wyglądało na to, że wieńczy je piedestał, skąd biegły jeszcze jedne schody. Wspiąłem się na niego i wtedy głos odezwał się ponownie: Ostrzegam cię, odejdz albo zginiesz! Zignorowałem to.

Kiedy znalazłem się na półpiętrze, spojrzałem w dół i w podłodze zobaczyłem klamrę. Za późno. Drzwi otworzyły się i pociągnęły mnie za sobą do zsypu. Spadałem w niewiadomy, ale najprawdopodobniej przerażający i zgubny tunel. Nadaremnie starałem się zahamować spadanie, ścianki zsypu były tłuste i ręce tylko ześlizgiwały się po nich. Zrozpaczony ująłem w dłonie kawałki żelaza, które miałem przymocowane do pasa i ocierając nimi o krawędzie zsypu, hamowałem prędkość, aż wreszcie się zatrzymałem. Zawisłem pomiędzy ścianami tunelu, z nogami do dołu. Było wyjątkowo ciemno. Czulem, jak zimne powietrze dmucha mi w stopy. Ból przeszywał moje boki i piersi w miejscu świeżych, otwartych ran. dzielnie to znosiłem. Patrząc w dół, nie widziałem nic. Nie mogłem tak długo wisieć. Po kilku minutach usłyszałem, jak grudka brudu, którą obsunąłem, uderzyła o dno. Moje rany krwawiły.

Wymachując nogami, wyczułem w ścianie stopnie albo była to krawędź szybu górniczego. Wciągnąłem się na stopień. Na krótko przed oczami mignęło mi światło. Utykając, szedłem krawędzią szybu, aż wszedłem do długiego korytarza.

Usłyszałem nad głową gwizd i szelest. Zdażyłem odsunąć się nieco do tyłu i ogromna kamienna płyta spadła tuż za mną, uniemożliwiając powrót.

Zerwałem się na nogi i ruszyłem przed siebie, zostawiając za sobą ścieżkę krwi. Nie, nie! Mówiłem poważnie, zginiesz!

Gdy znalazłem się na końcu korytarza, metalowa krata niespodziewanie wysunęła się z sufitu, spadając w dół. W ostatniej chwili szczęśliwie wśliznąłem się pod nią, ratując sobie życie. Stałem z

wyciągniętym mieczem.

Znajdowałem się w ogromnej, oświetlonej pochodniami izbie. Ściany były ciosane i nierówne — dzieło rzemieślnika o wątpliwym talencie. Gdyby karzeł zobaczył to miejsce, otworzyłby usta z zachwytu. Ze ścian kapąca woda, cierpliwie wyżła-biając ścieżkę w mineralnych złożach skały. Pochodnie na ścianach anemicznie rozświetlały część izby, a jej druga połowa pozostawała zacieniona. Po jednej stronie znajdowały się skrzynie, a po drugiej stół z krzesłami. Dalej, poza zasięgiem kapiącej po ścianie wody, wisiały gobeliny.

— Zawsze ten sam problem z wami, elfami — mówił dobie gający z ciemności głos. — Nigdy nie słuchacie.

Mignęło światło. Na tronie, na środku pokoju siedział najbrzydszy człowiek, jakiego kiedykolwiek widziałem. Siedział dziwnie wygięty, opierając się o prawą stronę krzesła. Nieopodal, na piedestale, błyszczało w świetle pochodni Oko Smoka. Diament był wielkości pięści i promieniał całą gamą kolorów. Kiedy światło odbijało się w samym środku, kamień sprawiał wrażenie mrugającego oka. Legenda mówi, że oko czerwonego smoka zostało usunięte przez maga, który zamienił je w diament. Przed Wojną Chaosu Oko było magicznym przedmiotem i miało moc wywoływania podmuchu, którego siła była równa oddechom wszystkich prawdziwych Smoków z Oręża Krynny. Jak jest teraz, nie wiadomo. Może to tylko kolejna z legend z przesadą wychwalająca diament.

— Zatem przyszedłeś po Oko — powiedziała istota, która głowę i palce miała owinięte szmatą. — Jest tutaj, ale niestety bezużyteczne, wiesz o tym. Cała jego magia prysła.

— Nie będziesz więc miał nic przeciwko temu, że je wezmę? — powiedziałem, posuwając się do przodu. Spojrzał na mnie. — Dobra robota. Bardzo dobrze. Jestem Strażnikiem Oka. Kamień zachował wciąż trochę magii, chociaż nie wiem, jakim sposobem. Muszę go strzec, do czasu, gdy mag je zbada. — Nie mam zamiaru cię skrzywdzić, panie — powiedziałem — ale Oko jest mi naprawdę potrzebne. Stawką jest życie. Człowiek potrząsnął głową.

— Przykro mi. Wszystko jedno, do czego jest ci potrzebne, nie pozwolę go tknąć. Mógłbyś zburzyć Porządek. — Skoro mi go nie dasz, będę musiał wziąć sam. Wyciągnąłem zza pasa krótka metalową laskę — prezent od wdzięcznego skrzata. Nie zamierzałem zabić stróża, dopóki on pierwszy nie przejawiał takiego zamiaru. Mój przeciwnik wstał, poprawił szatę. Był szczupłym, owłosionym człowiekiem, miał sześć stóp wzrostu. Tunika owijała jego ciało od pasa w dół. Miał mały, płaski nos, szerokie usta i wystającą dolną szczękę, co nadawało mu małpi wygląd. Jego bursztynowe oczy zdradzały inteligencję.

Mój przeciwnik chwycił za przedmiot i rozkołysał go nad głową. Mięśnie szczupłego, ale silnego torsu napięły się. W normalnych warunkach uznałbym nas za równych sobie, ale nie tutaj.

Stanęliśmy do walki. Ja, ranny elf, i on, wypoczęty człowiek, zawodowy wojownik. Walczyłem o swoje życie. Strażnik niezwłocznie zaatakował zamachem zza głowy. Chciał mnie wbić na jeden z ostrych, metalowych, wystających haków. Ledwie uniknąłem tego pierwszego ataku, rzucając się do przodu na górną część jego ciała. Dziwaczny człowiek zręcznie uniknął mojej napaści i w odpowiedzi posłał mi całą serię okrutnych pchnięć, łatwo zdobywając przewagę dzięki wspaniałej kondycji. Chciał mnie zniszczyć. Walka z bazyliżką i trucizna wpuszczona przez pajaka dawały się coraz bardziej we znaki. Postanowiłem przyjąć pozycję obronną — trzymałem się jak najdalej od niebezpiecznego haka. Sytuacja była prawie bezna-

dziejna: unikając haka, skazałem się na śmierć zadaną przez jeden z tępych przedmiotów.

Niedługo zorientowałem się, że moja metoda się nie sprawdza. Szybko się męczyłem, podczas

gdy on oszczędzał siły. Zadyszany z wysiłku, wycofałem się. — Czy to konieczne? — zapytałem. — Tak jak powiedziałem, nie chcę cię skrzywdzić, panie, ale muszę mieć Oko. — Będę walczył do upadłego. To mój obowiązek — upierał się Strażnik i zaczął kolejną falę ataku. Próbował wytrącić rai broń. Początkowo stawiałem opór, ale po chwili jedną ręką przejąłem kontrolę nad szablą. Hak nieszkodliwie prześliznął się do samego końca. To wyprowadziło go z równowagi.

Nadeszła kolej na atak z mojej strony. Umieszczając jeden z końców miecza nad podłogą, zamachnąłem się i mocno uderzyłem nogami w jego klatkę piersiową. Przewróciłem go z wielkim rozmachem. Kiedy próbował się podnieść, złapałem nogę stojaka i jego metalową, krótką częścią uderzyłem w podstawę czaszki Strażnika. Był zimny.

Ledwie oddychając, upadłem obok niego. Nie miałem siły. Po chwili ogarnęła mnie ciemność.

Kiedy się ocknąłem, nieprzytomny wróg wciąż leżał obok mnie. Z kieszeni wyjąłem fragmenty liny i mocno go związałem. Dzięki ostrym pazurom szybko się uwolni, aleja będę już daleko.

Zabrałem z piedestału Oko Smoka. Było zwykłym kawałkiem skały. Nie czułem promieniowania magii, tak jak za dawnych czasów. Posypałem je specjalnym pudrem, który wziąłem ze sobą. Puder natychmiast zniknął. Nałożywszy rękawice, wziąłem diament i wsadziłem go do kieszeni.

Szybko odnalazłem wyjście, którego używał stróż. Na zewnątrz, dzięki nowemu księżycowi, który właśnie pojawił się nad Krynem, zorientowałem się, że została mi niecała godzina na powrót do Palanthis i odnalezienie miejsca spotkania. Koń stał na zewnątrz przy ścianie pałacu, dokładnie tam, gdzie go zostawiłem. Ruszyłem na południe, chciałem wejść do miasta od tyłu.

Zbliżając się do Palanthis, zwolniłem. Kilka lat po zakończeniu Wojny Chaosu kilku pomniejszych lordów na krótko objęło kontrolę w mieście. Ostatnim z nich i jak dotąd najsilniejszym był Lord Bryn Mawr, dowódca oddziału liczącego blisko pięćset band i brygad, które nazywał Strażami Miejskimi. Ów lord wprowadził godzinę policyjną, której strzegły zdyscyplinowane oddziały wojskowe. W związku z tym zakradanie się nocą do miasta było wyjątkowo niebezpieczne. Znałem na szczęście jedno miejsce, gdzie za określoną opłatą można było wejść za mury osady.

Konia zostawiłem milę za miastem. Chociaż przydałby mi się, przeprawa się z nim byłaby zbyt ryzykowna.

Kiedy znalazłem się przed murami, skręciłem na północny zachód i idąc wzdłuż murów, dotarłem do morza. Buty włożyłem do worka, a sam wskoczyłem do zimnej wody. Płynąłem około pół mili. Orzeźwiło mnie to i zmyło plamy brudu i krwi z mojego ubrania. Bezszelestnie dopłynąłem do mola jednej z przystani. Kiedy tylko wspiałem się na prowizoryczną drabinę, jakieś dłonie chwyciły mnie za nadgarstki, wciągnęły na górę i zanim usłyszałem jakikolwiek głos, poczułem nóż na gardle. — Hasło, albo obetnę ci głowę, elfie! — Bractwo Złodziei ciągle u władzy. Czy to ci wystarcza, Jednooki Tarle? — odpowiedziałem. — To ty? Przechodź szybko, patrol nadchodzi. — Wielki człowiek z przepaską na oku wreszcie mnie rozpoznał. Pędziłem wzdłuż mola, chowając się do tajemniczego tunelu obok przystani. Zanim patrol odnajdzie mnie, znajdzie pijanego do nieprzytomności, śpiącego w łodzi Tarła. Byłem w mieście.

Wynurzyłem się z tunelu. Skręciłem na rogu ulicy i wpadłem prosto na jednego ze strażników Lorda Bryn Mawr. Poza nami nie było żywej duszy.

Zauważyłem go i na nieszczęście on też mnie zauważył i chwycił za ramię.

— Na bogów, którzy odeszli, mam cię w końcu, ty elfi oprav co...

Nie zwlekając, wyciągnąłem sztylet i wepchnąłem mu go w jelita.

Osunął się martwy. W chwili kiedy padał, inny ze strażników opuścił karczmę i od razu zauważył mnie stojącego nad martwym ciałem jego kolegi. Krzyząc, biegł prosto na mnie z wyciągniętą szablą. Drzwi karczmy otworzyły się i wybiegła z niej cała zgraja strażników.

Biegli przez całą ulicę, depcząc mi po piętach, i dopiero kiedy zmieniłem kierunek, trochę zwolnili — ich zalane piwem brzuchy ciążyły im i ograniczały tempo, jednak krzyki wzbudziły zainteresowanie innych patroli. W biegu wyciągnąłem linę, doczepiłem hak i zarzuciłem ją na dach. Za pierwszym razem udało mi się o coś zaczepić hak i nie zwlekając, tak szybko jak tylko moja kondycja na to pozwoliła, zacząłem się wspinać. Ścigający mnie zjawili się w chwili, kiedy znalazłem się na górze. Schowałem się po drugiej stronie dachu.

Straże nie poddawały się, nie mogłem na to liczyć, ponieważ jeden z nich został zabity.

Cała zgraja sprawdzała wszystkie dachy w mieście. Byli nieubłagani. Jedynym ratunkiem były kanały ściekowe. Do wyznaczonego spotkania została minuta.

Znajdowałem się na dachu gospody o nazwie Pięść i Rękawica. Spuściłem się nieznacznie, mocno chwyciłem się parapetu okna i rozkołysałem, aby wpaść do wnętrza budynku. Przedarłem się przez zasłony i wylądowałem na łóżku zajęтым przez niewysokiego grubasa, który nie bardzo wiedząc, o co chodzi, krzyknął tak głośno, że było to słychać aż w Flotsam.

— Przepraszam, pomyliłem numery — powiedziałem, zeskakując na podłogę.

Nie uratowało to sytuacji. W karczmie wrzało, obudzeni goście wybiegali na korytarz, sprawdzając, co się dzieje.

Nie byli zresztą jedynymi szukającymi sprawcy zamieszania — z głównego wejścia, mojej jedynej możliwej drogi ucieczki, wyszło na korytarz dwóch strażników. Rzuciłem się na schody, przebiegając pomiędzy nimi. Zdezorientowani wpadali jeden na drugiego, aż wreszcie stracili mnie z pola widzenia.

Wbiegłem do jednej z alei prowadzących do kanałów. Co za pech! Jeden ze strażników stał na pokrywie otworu! Czas naglił. Oparłem się na rękach i wykonałem obrót, aby wylądować na nogach i tym razem z pomocą rąk odbiłem się i przekoziółkowałem w powietrzu, uderzając stopami prosto w niego. Ze zgrzytem kości upadł na ziemię.

Przesunąłem ciężkie ciało na bok i zacząłem schodzić po drabinie. Gdy byłem wystarczająco głęboko, przesunąłem kratę na miejsce. Straże mogą znaleźć ciało nieprzytomnego towarzysza i domyśla się, że zszedłem do kanału, ale nie wydawało mi [się, że będą chcieli mnie tam ścigać, w końcu to tylko banda | złodziei, zarządzająca tą częścią miasta.

Kiedy wreszcie znalazłem się na dole drabiny, zapaliłem pochodnię. Sufit w tym miejscu był wyższy niż w innych częściach kanałów. Mogłem więc iść wyprostowany. Sprawdziłem znaki na ścianie — zrobione przez tych, którzy uznali za bezpieczniejsze podróżowanie kanałami niż lądem. Rozwinąłem mapę i skierowałem się do miejsca spotkania. Nie było śladu [życia, nie biorąc pod uwagę szczurów. Nagle z tyłu tunelu dobiegł moich uszu okrutny chichot. Obejrzałem się, ale nic nie I widziałem.

i Po kilku minutach chichot się powtórzył, tym razem usłyszałem również szelest ubrania. [Przyśpieszyłem.

Niespodziewanie znalazłem się w otoczeniu małych paskudnych stworzeń o rozczochranych włosach i brudnych twarzach. Jak na komendę, wydając przeraźliwe wrzaski, otoczyły mnie ze wszystkich stron. — Mamy gościa na obiedzie! Masz ochotę na soczystego szczura? Podziemne karły!

Otaczały mnie ze wszystkich stron. Nie chciałem zabijać żadnego z tych nędznych stworzeń, ale nie miałem też najmniejszej ochoty ani czasu na obiad! Wziąłem szablę do ręki i z nadzieją, że się przestraszą, zdecydowanym gestem odepchnąłem ich od siebie.

Przestraszyły się, ale nie odstąpiły. Na widok nagiej stali zgodnie krzyczały jeszcze bardziej i rzuciły się na mnie, czepiając się rękoma moich nóg, rąk i tułowia. Wrzask był nie do zniesienia.

Moje wymachiwanie szablą okazało się bezsensownym i nie- i skutecznym gestem. Nie miałem

wystarczająco dużo siły, aby odeprzeć tuzin podziemnych karłów. Czuję, że tracę grunt pod nogami. Dopadły mnie i uniemożliwiły jakikolwiek ruch.

Niespodziewanie skuliły się i z nie znanego mi powodu rzuciły mnie w błoto. Spojrzałem w górę, gdzie zobaczyłem olbrzymiego ludojada przepychającego się przez uciekające podziemne karły. — Spóźniłeś się, elfie — powiedział szyderczo.

Bez słowa prowadził mnie korytarzem kanałów do obwarowanych drzwi. Kopnął w nie kilka razy i zawieszona na nich mała zasłona uchyliła się, odsłaniając parę oczu. Drzwi się otworzyły.

Wszedłem do odrażającego, zimnego, kamiennego pokoju. Powietrze było tam stęchłe jak w grobowcu. Wewnątrz znajdował się drugi ludojad, Theiwar i kobieta elf odziana w czarną skórę. Kobieta posłała mi wrogie spojrzenie, jej ciemne oczy zwęziły się. Nie wyglądała na jeńca ani na osobę porwaną. Rozglądałem się dookoła, badając cienie. — Więc je masz, elfie? Oko Smoka? — padło pytanie. Głos był jednocześnie piękny i upiorny. Silvanestyjski tenor połączony z chórem karłów. Złoty smok pływający w mor: krwi. Światło przebijające się w ciemności. Ranił moją duszę.

— Mam! — krzyknąłem, szukając bestii, z którą miałem się spotkać. — Gdzie jest moja żona, czy jest bezpieczna? Kreatura wynurzyła się z cienia. Chłód przeszył moje ciało.

Wśród elfów potwory tego rodzaju nazywano „ikrą Chaosu”, ponieważ zrodziły się po Wojnie Chaosu. Ikra stojący przede mną był krzyżówką gada i ptaka. Wysokości dziewięciu stóp, o mocno czerwonej, łuskowatej skórze, którą przecinały czarne pasy przypominające roztopioną lawę. Głowa potwora była długa i bardzo smukła, oczy umieszczone po obu częściach twarzy bez nosa. Poczwarą otworzyła usta, aby przemówić, odsłaniając

rząd ostrych jak brzytwa zębów, mogących przeszyć na wylot ciało i kości każdej istoty. Stworzenie miało dwie kościste kończyny i dwie dłonie z trzema tylko palcami i pazurami. Powyżej każdej kończyny wyrastały dwa kołyszące się niewinnie czułki. Ikra Chaosu miała dwie nogi, zakończone pazurami wygiętymi do tyłu jak u ptaka. Biorąc pod uwagę jej dziwaczny i niezgrabny wygląd, poruszała się względnie zwinnie i gładko. Wreszcie zobaczyłem Marę.

Jeden z czulek ikry owijał jej ciało. Dłoń miała przystawioną do gardła, a brudna zakrwawiona apaszka zakrywała jej twarz. Mara wyglądała bardziej na złą niż przestraszoną. Potwór wyciągnął przed siebie szponiastą dłoń. — Daj mi Oko Smoka! — Najpierw uwolnij moją żonę. — Nie masz innego wyjścia, daj mi kamień albo rozerwę jej gardło.

Aby przekonać mnie, że nie żartuje, zacisnął pazury na szyi Mary. Zobaczyłem krew. — Dość! Wygrałeś! — krzyknąłem.

Wyjąłem Oko Smoka i wręczyłem go poczwarze dłonią obleczoną w rękawicę. Ikra Chaosu wyrwał kamień i przystawił go do światła.

— Bezwartościowy kamień — powiedziałem z nadzieją, że rozproszę jego uwagę. — Nie jest już magiczny. Kreatura śmiała się przerażająco. — Naprawdę tak myślisz? Głupiec! Nagle ikra Chaosu chwycił się za gardło. Kamień wypadł mu z dłoni. Delikatnie potoczył się po podłodze i leżał tak, nie tknięty przez kogokolwiek. Mara uwolniła się i krzyknęła ostrzegawczo: — Uważaj na elfa, jest za tobą!

Kobieta elf biegła prosto na mnie z wyciągniętą długą szablą. Dobyłem miecza i zmierzyłem się z nią.

Olbrzym, który uratował mnie od pożarcia przez karły, poderwał się i tym razem na pomoc, rozrywając szyję innego olbrzyma. Mara zmagala się z Theiwarem.

Demonstrując rycerskie zdolności, walczyliśmy z ciemnym elfem. Nieopodal zmagalo się dwóch olbrzymów. Mara znalazła się w niebezpieczeństwie.

Rany na moim ciele znowu zaczęły krwawić. Oczy elfa zabłyśły na myśl o zwycięstwie.

Zaatakowała ponownie. Zakręciło mi się w głowie. Po kolejnym uderzeniu szablą wyszła się z nerwowych palców. Opadłem na kolana. Kobieta elf zamachnęła się z zamiarem zadania mi śmiertelnego ciosu. Nagle wykrzywiła się i upadła do tyłu. Nad upadłym elfem stała moja żona. Mara pchnęła Theiwara prosto na plecy kobiety elfa.

Kiedy było już po wszystkim, Mara ściągnęła z głowy brudną apaszkę. — Gdzie byłeś? — żądała odpowiedzi. Zobaczyłem, jak półprzytomny Theiwar przewracał się w drugiej części pomieszczenia.

Tonałem we krwi, w większości była to moja krew. Miałem połamane zębra. Wciąż odczuwałem działanie trucizny. Spojrzałem na swojego partnera.

— Zdażyłem wstąpić do tawerny i opróżnić kilka drinków. Czy oby naprawdę się śpieszyłeś, kochany mężu? Mara zerknęła na odzież, którą miał na sobie. — Nie powiesz o tym nikomu. Obiecałeś — przypomniawsza. Olbrzym, który w rzeczywistości należał do Dragonsbone, którzy walczyli z ikrami Chaosu, zaśmiał się głośno. — Ależ ja nic nie obiecałem. Zgromadziliśmy się nad ciałem potwora. — Czym go poczęstowałeś? — zapytała Mara. — Oprószyłem kamień najmocniej paraliżującą trucizną, ja ką mogłem znaleźć. Dawka, jaką zastosowałem, mogłaby powa lić cały oddział smoków. Mam nadzieję, że go nie zabiłem. — Nie wydaje mi się — odpowiedział olbrzym. — Czy reszta jest na miejscu? — Mała zmiana planu. Zanim pojawiłem się tutaj, wywoła łem lekkie zamieszanie na powierzchni. Ulice są wypełnione policją. Musimy dotrzeć do przystani. Tarł czeka na nas z łodzią. Znasz podziemne przejście.

— Myślisz, że zdołasz dźwigać potwora przez tak długi dystans? — zapytała Mara.

Olbrzym przytaknął i pochylił się nad ikrą Chaosu. Ja delikatnie wyjąłem kamień z dłoni potwora. Olbrzym zaś zarzucił bestię przez ramię. Wracaliśmy podziemnymi kanałami, aż olbrzym oświadczył, że jesteśmy na miejscu. Wtedy wspięliśmy się do góry i wydostaliśmy na zewnątrz. W przystani nie było nikogo, z wyjątkiem czekającego na nas Tarła.

Kiedy wreszcie upewniliśmy się, że kreatura jest wciąż nieprzytomna, olbrzym owinał ją olbrzymim skórzanym workiem i wrzucił do wielkiej skrzyni, którą umieściliśmy na czekającej na nas łodzi. Sięgnąłem do sakiewki i wyciągnąłem kolczyk Mary. Dopasowałem go do tego, który pozostał nietknięty. — Nie wyglądasz najgorzej — odezwałem się. Olbrzym złapał kolczyki i wyrzucił je do morza. — Jaki jest kolejny krok? — zapytał. — Ikra Chaosu zostanie zabrany do wieży. Mędracy zbadają go i opiszą, abyśmy lepiej wiedzieli, czego się spodziewać pod czas ataku na następne. — Nie to miałem na myśli. Pytałem, co ty będziesz dalej robił.

Spojrzałem na Oko Smoka, które trzymałem w odzianej w rękawicę dłoni, i westchnąłem.

— My, członkowie Dragonsbane, nie jesteśmy złodziejami. Muszę to odnieść, skąd wzięłem.

— SZALONY POPŁOCH PRZED NADEJŚCIEM SMOKA Teri McLaren

— No już, Carlana, zawieś klucze na szyi! Przestań stroić miny i przynieś czysty obrus — Frenzill rzędził ledwie słyszał nym głosem, zamykając księgę z przepisami. Następnie, za mknąwszy za sobą drzwi od piwnicy, w której trzymał mocne piwo, odszedł na górę. — Trochę się uśmiechaj, dziewczyno. Cały czas masz niezadowoloną minę. — Ależ, ojciec — Carlana protestowała, przepychając się przez zastawione beczkami i szklankami pomieszczenie. Sięgnę ła wreszcie po obrus, który znajdował się na wyciągnięcie ręki od Frenzilla. Z wielkim wysiłkiem odstawiła na podłogę ogromną tacę, po czym odgarnęła miedziane włosy, odsłaniając bladą twarz. — Pracuję bez wytchnienia cały dzień. — Powiedziałem ci, że masz się uśmiechać — szepnął Frenzill szorstkim głosem. — A teraz zabieraj tę tacę i wracaj do swoich zajęć.

Dziewczyna długo wpatrywała się w twarz ojca. Otarła łzy zalewające niebieskie oczy. Łzy wywołane frustracją. Zawiesiła na szyję łańcuch z ciężkim kluczem od piwnicy, z wielkim wysiłkiem podniosła tacę i, jak wcześniej, odeszła bez uśmiechu.

Frenzill odprowadził ją kosym spojrzeniem i już chyba po raz piąty zabrał się do polerowania tego samego kufla. Energicznie wycierał rozmazane czarne smugi od popiołu niewiadomego pochodzenia. —Tej sadzy jest coraz więcej — westchnął, kiedy spojrzał na rozłożony na stole biały obrus. —Na zewnątrz można się w niej kąpać. — Gisrib śmiał się

zza błyszczącego barowego pulpitu. — Ta dziewczyna ucieknie kiedyś od ciebie. Usłyszysz tylko trzaśnięcie drzwi. —Moja Carlana? O nie, nie ona. Nie odważyłaby się. Pewnego dnia wszystko będzie należeć do niej — bąknął Frenzill, zabijając ścierką latającą nad głową Gisriba ospałą muchę. Mar twy owad wpadł z jękiem prosto do kufla ze spienionym piwem. Gisrib spojrzał na gospodarza, a następnie porozumiewawczo na następny kufel piwa. Frenzill usłuchał go niechętnie, zwłaszcza że poprzednia szklanka była prawie pusta. Ponadto j utro zaczynał się Doroczny Festiwal... Będzie potrzebował wielepiwa... Frenzill wyciągnął dłoń, spodziewając się zapłaty. — Nie przyszedłem tutaj na obiad. Rozumiem więc, że to piwo mam za darmo — protestował Gisrib, wpatrując się w pulchną dłoń Frenzilla. — Powiedz mi, przyjacielu, czy poczęstujesz nas jutro dorocznym letnim piwem? —Tradycja zostanie podtrzymana, Gis — odpowiedział go spodarz rozdrażniony zadaniem pytaniem. Gisrib potrząsnął głową. Znał Frenzilla zbyt dobrze. —Kiedy mieszkałem w Doriett, właściciele tamtejszych karczm dzień przed uroczystościami dawali nam piwo do spróbowania. —Tak, wiem o tym, mówisz mi to co roku — odpowiedział chłodno Frenzill. Gisrib zawsze mówił niepewnie o rodzinnej miejscowości. W Hiddenhaven czuł się wciąż jak nowy. —Muszę już iść. Rozkoszuj się piwem. — Frenzill odstawił wypolerowany kufel pod narzutę i dał znać Carlanie, aby zajęła miejsce za barem. —Daj mi jeszcze jedno piwo, zanim odejdziesz oglądać wojnę. — Gis tym razem ofiarował pieniądze. — Nie pozwól, aby którykolwiek ze smoków wkroczył do miasta — zakończył sucho.

Frenzill jeszcze raz spojrzał na przybysza bladoniebieskimi oczami, posyłając mu pełne nienawiści spojrzenie. Kiedy wreszcie Gis odstawił kufel z nie dopitym piwem, Frenzill wyciągnął z niego zatopioną muchę, uzupełnił go świeżym trunkiem i podał klientowi. Jego twarz miała ten sam, nie zmieniony wyraz. Car

lana w milczeniu obserwowała jego czynności. Wreszcie nie wytrzymała i rzuciwszy tacę, wybiegła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Ukryła się w swoim pokoju, gdzie odetchnęła z ulgą. Gisrib zastanawiał się przez chwilę nad gwałtowną reakcją dziewczyny. Nie mógł jednak odgadnąć przyczyny jej zachowania. Zmarszczył więc tylko brwi i zabrał się za świeży kufel piwa.

Frenzill luźnie włożył pieniądze do kieszeni i wyszedł na zewnątrz. Musiał wykonać jeden z obowiązków, który w jego odczuciu nie należał do przyjemności. Skierował się w stronę miasta, aby przestawić ratuszowy zegar. Powietrze o tej porze dnia było zawsze świeże. Jednak wiejący od wczoraj wiatr przynosił czarną sadzę. Skąd się wzięła ta sadza, nie wiedział. Bitwa nie mogła posunąć się tak daleko, pomyślał.

Idąc spokojnym krokiem w kierunku miasta, zauważył, że drogi Hiddenhaven były wyjątkowo puste. Minął tylko kilka kobiet, pochylonych przy pieleniu społecznych ogrodów. Kiedy robotnice zobaczyły nadchodzącego Frenzilla, zaśmiały się jakby głośniej. Gospodarz karczmy zwrócił się do nich z należnym szacunkiem, kiedy mijała go przejeżdżająca furmanka. Frenzill obejrzał dokładnie swoje spodnie, a następnie płaszcz, upewniając się, czy aby nie były ochlapane błotem.

Gdzie się wszyscy podzieli?, zastanawiał się. Puste ulic przestały go niepokoić, kiedy dojrzał cień miejskiego zegar słonecznego. Cień podpowiadał mu, że zegar jest spóźnion o pół godziny. Również odgłosy bitwy niesione przez popołudniowy wiatr sugerowały, że jest już dosyć późno.

Ciężko sapiąc, wdrapał się na szczyt starej drewnianej bram Hiddenhaven. Oglądał ciężkie

chmury, rozesełane nad miastem jak całun. Od kilku tygodni nie mieli już sztormu ani błyskawic. Wystawił palec, aby sprawdzić powietrze. Jego kwaśny posma wykrzywił zmarszczoną twarz właściciela karczmy. W oddali zobaczył rozpromienione dzieci. Chłopcy biegali, dzierżąc w dłoniach miniaturowe noże i konie. — Czy w naszej okolicy toczy się jakaś bitwa, panie Frenzill?

— krzyknął dziesięcioletni terrorysta, syn piekarza. — Czy możemy wejść na bramę i trochę popatrzeć? Wszyscy mówią o wojnie i o smoku, który się do nas zbliża.

Frenzill spojrział gniewnie na dzieci i zszedł z bramy. Dym jest dużo gęstszy niż wczoraj. Co za udureka.

W dodatku jutro zaczyna się Doroczny Festiwal. Oberżysta oderwał na chwilę wzrok od kłębowiska kurzu i spojrział w stronę pocziwego miasta. Dwadzieścia albo trzydzieści sztandarów zwisało ze świeżo umytych okien, zwiastując jutrzejsze święto. Przy takiej ilości sadzy w ciągu minuty znowu się ubrudzą.

Frenzill patrzył na różane ogrody przed domami mieszkańców. Podziwiał szereg sklepików okalających rynek miasta. Stojąc na najwyższym szczeblu nie otwieranej od lat bramy miejskiej, której zawiasy i kłódka zdążyły zardzewieć, widział zawieszoną na karczmie flagę: „Witamy”. Napis: „Najlepsze piwo na świecie” otaczał wizerunek kufli ze spienionym piwem. Frenzill był z siebie dumny i natychmiast przestał się zastanawiać nad kolorem nieba, a w zamian za to pomyślał o kolorze swego piwa. Jego piwnicę wypełniało piętnaście ogromnych baryłek przejrzystego jak bursztyn, szlachetnego trunku. Mając tak ogromne zapasy, Frenzill mógł się stać najbogatszym człowiekiem w miasteczku. Silna fala czarnej sadzy wpadła do jego nosa. Frenzill kichnął, po czym zszedł po drabinie. Rozejrzał się po okolicy, Zauważył, że chłopak odpowiedzialny za koszenie trawy nie wywiązuje się ze swoich obowiązków. Zamierzał go skarcić przy najbliższej okazji. Frenzill pomyślał, że poza dymem nic nie

wykazuje na nadciągającą bitwę. Ponadto Hiddenhaven było zbyt odseparowane od reszty świata. Przez siedemnaście lat miasto cierpiało z powodu najazdów szaleńczych osadników z drugiej części doliny. Pomijając Gisri- ba, trzech pasterzy i dwie rodziny górników oraz kilku rolników osiadłych przy granicy, Hiddenhaven nie miało obcokrajowców, Sami mieszkańcy również rzadko podróżowali w głąb kraju. Frenzill spojrział po raz ostatni na wschodnią stronę nieba. Jakiś barwny obiekt wyróżniający się spośród pokrytej sadzą trawy przyciągnął jego wzrok.

— Wrota! — usłyszał słaby, stłumiony głos, dobiegający gdzieś z lewej strony.

Zaskoczony Frenzill potknął się, schodząc po drabinie, i odrapał kolana, niszcząc przy okazji wełniane getry. Przekląwszy na głos, rozejrzał się w poszukiwaniu głupca, który go przestraszył. Zobaczył tylko piorące kobiety, ale te były zajęte pracą i znajdowały się zbyt daleko. Woźnica z furmanką załadowaną sianem zajechał właśnie do gospody... Przecież to nie brama mówiła... chyba że ktoś znajduje się za nią. Frenzill otarł wybrudzone kolana i szukał jakiegoś otworu w bramie. Zniechęcony, miał już zamiar odejść, kiedy nagle nieznajomy głos odezwał się ponownie. — Drogi panie, jeżeli wciąż tam jesteś, proszę... Frenzill chrząknął i odwrócił się, a następnie zajrzał przez otwór. — Tutaj, na dole — zadrzał głos.

Frenzill spuścił wzrok. Nie wierzył własnym oczom. W krzakach żywopłotu zobaczył wynędzniałego, nie znanego mu czło wieka.

— Błagam cię, panie... Przepraszam, że cię niepokoję, ale nie miałem nic do jedzenia ani do picia od dwóch dni, kiedy to opuściłem osadę nad rzeką— powiedział nieznajomy. — Jestem bezbronna, panie. Błagam...

Frenzill odsunął na chwilę twarz od otworu i zastanowił się. Musi się pozbyć intruza jak najszybciej. Ponownie przystawił oko do judasza i odezwał się zimno:



— Hej ty, tam na dole, załatwiał swoje sprawy i zabieraj się stąd. Nie chcę patrzeć, jak umierasz w tych ciernistych krzakach — powiedział. Diabeł musiał go tu przysłać, dodał w myślach i wyciągnął z rękawa bogato zdobiony sztylet, na wypadek gdyby się okazało, że musi użyć bardziej drastycznych metod.

Nieznajomy, potykając się, wysunął się z żywopłotu, który ranił jego ciało. Widok ten wzbudził trochę współczucia w duszy Frenzilla, który sam cierpiał z powodu okaleczonych kolan. Oberżysta uchylił bramę, aby dokładniej przyjrzeć się nieznajomemu.

— Dziękuję, panie. Myślałem, że już po mnie. Jesteś pierwszą żywą istotą, którą widzę, od kiedy zaczęła się moja ucieczka. Sam próbowałem otworzyć drzwi, ale były zamknięte — mówił okaleczony człowiek. — Pomyślałem, że zaryglowaliście je z powodu nadciągającej wojny, i domyśliłem się, że wiecie równieź o smoku — nieznajomy nerwowo badał niebo.

Jaki smok?, zastanawiał się Frenzill, obserwując przybysza. Był cały pokryty sadzą. Jego ubranie było przepalone, również skóra i włosy. Twarz pokrywały białe pęcherzyki. Oberżysta mocniej uchylił wrota i mizerna postać wyprostowała się i wyciągnęła na powitanie brudną, gruboskorą dłoń. Środkowe palce miał zawinięte okrwawioną szmatą. Frenzill zignorował gest powitania.

— Jak się nazywasz, przybyszu, i z jaką sprawą przychodzisz? I o co chodzi z tym smokiem? — pytał Frenzill, pełen wątpliwości.

— Nazywam się Harald, panie. Nie chcę cię niepokoić, szukam tylko resztek jedzenia i picia, które dodadzą mi odwagi i wzmocnią moje nogi, pozwalając iść dalej w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca — odpowiedział nieznajomy, z niepokojem obserwując zadymione niebo. Nagle zadrżał i opadł w niegościnne ramiona Frenzilla. Smród spalenizny na jego ciele prawie powalił wątłego oberżystę na ziemię. — Wreszcie odzyskałeś przytomność. Mówiłeś coś o smoku i o tym, że chcesz być bezpieczny... Gdzie się tak oparzyłeś? — Frenzill zabrał spod oka Haraldą ząbek czosnku, który miał zmniejszyć opuchliznę i obrażenia nosa. Oczy poczerwieniły mu i zaszyły wilgocią. Nieznajomy usiadł powoli i rozejrzał się po przytulnym pokoju. — Gdzie ja jestem? — zapytał ochryłym głosem.

— Znajdujesz się w mojej gospodzie. Przywlokłem cię, po nieważ straciłeś przytomność. Zapaskudziłeś przy okazji mnie i moje meble, czy mógłbyś w nagrodę przynajmniej odpowiedzieć na moje pytania? — Frenzill był naprawdę zniecierpliwiony, gdy uderzając palcami w pulpit stołu, ledwie nad sobą panował. Denerwowało go, że Harald lekceważył pytania, chociaż znajdował się pod dachem jego gospody.

— Panie, oczywiście że ci powiem — zaczął Harald głosem prawie niesłyszalnym. — Tylko jestem tak spragniony, proszę...

Frenzill spojrział na niego pochmurnymi oczami, a następnie odezwał się niechętnie.

— Oczywiście, oczywiście. Moja córka przyniesie ci coś, skoro ma to przyspieszyć wydobywanie z ciebie tak podstawowych informacji. Najdoskonalsze piwo, jakie kiedykolwiek piłeś, z pewnością rozwiąże ci język i poczujesz się bezpiecznie — mówił oberżysta. — Przynajmniej ja tak zawsze reaguję — dodał już ciszej i bardziej spokojnym tonem. Niezadowolona mina była jak maska, z którą się nie rozstawał. Spragniony nieznajomy, pomyślał, może oznaczać tylko problemy. Poleciał Carlanie, aby przyniosła Haraldowi wymieszane z wodą piwo, a sam, nie odrywając od niego wzroku, zastanawiał się nad całym zajściem. Od siedemnastu lat nie odwiedził ich żaden obcy człowiek. Co by się stało, gdyby mieszkańcy dowiedzieli się, że wprowadził dziada pod dach swojej gospody? Musiał to jednak zrobić, aby dowiedzieć się czegoś więcej o przyczynie zalewającego ich dymu i sadzy. Zamierzał go przesłuchać i odesłać jak najszybciej i najdalej od ich miasta. Musiał się śpieszyć. Karczma zaczęła się niedługo wypełniać ludźmi. — Czy spotkałeś kogoś,

zanim zawołałeś do mnie? —Fren-zill pomógł Haraldowi przechylić kufel z piwem, który opróżnił się po jednym łyku. Nieznajomy spojrział w górę, myślami był daleko stąd. —Ależ, panie, byłeś jedynym człowiekiem, jakiego spotka łem. Schroniłem się w krzakach żywopłotu tylko na chwilę, żeby odpocząć. Na szczęście ty się pojawiłeś. Panie, spójrz na mnie. Mój wygląd przestraszyłby niejednego. Jestem postrachem dla innych jak potwór z piekielnych otchłani. — Frenzill spojrział uważniej na pokrytego pęcherzami człowieka i na jego czerwoną skórę, po czym przytaknął, potwierdzając usłyszane słowa. —Powiedz mi więc... — zaczął powoli oberżysta, kręcąc nosem od smrodu.

—Panie, powiem wszystko, co zechcesz, tylko proszę o je szcze jedną szklanke, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Twoje piwo jest bardzo dobre, panie. I czy mogę zapalić fajkę? Harald wysunął przed siebie drżące ręce. —Tak. Proszę, zapal fajkę. I poczęstuję cię jeszcze jednym kuflem piwa. — Frenzill pomyślał, że aromat fajki zabije smród osmolonego ciała Haralda. Bezpłatnego piwa nie dawało się zbyt często w tym domu. Oberżysta nie mógł już dłużej czekać, aż usłyszy więcej informacji na temat przybysza, który właśnie opróżnił drugą szklanke. Zrobił to tak samo szybko, jak za pierwszym razem. Otarł usta strzępami rękawa i zaczął mówić: —Przybywam zza wzgórze, z Jasper Ridge. Jestem drwa łem. Nigdy nikomu nie dokuczałem ani nikogo nie dręczyłem. Ot, po prostu ścinałem drzewa, a następnie wypuszczałem je na rzekę, aby płynęły do miasta. Pewnie wiesz, gdzie... —Dorieta, tak. Myślę, że wiem, gdzie to jest. Proszę, mów dalej — rzekł Frenzill. — O jakim niebezpieczeństwie mówiłeś? —Szedłem właśnie do Dorieta, aby odebrać zapłatę z war szta, kiedy go zobaczyłem. — Harald spojrział na oberżystę. Inic mnie nigdy w życiu nie przestraszyło tak bardzo jak... —Jak kto? — Frenzill zatopił wzrok w czarnych oczach Haralda. —Jak smok — dokończył nieznajomy i strzepnął z kapelu sza osiadły na nim pyłek sadzy. Frenzill patrzył, jak płatek sadzy spada miękko na świeżo zamiecioną podłogę jego karczmy. —Czy powiedziałaś... czy mówisz o... o smoku? —Tak. Smok, panie. Olbrzymi czerwony smok. Dezerter wojenny, nie mam wątpliwości. Leciał nade mną, ogień buchał mu z paszczy jak w kuźni kowala. — Harald palił fajkę coraz szybciej. — Kiedy na niego spojrzełem, nie mogłem się poru szyć. To cud, że ocalałem. Uratowało mnie to, że wybrałem okrężną drogę przez las. Drzewa mnie osłaniały, zresztą smok miał wtedy ważniejsze sprawy na głowie.

Smok? Prawdziwy smok? Frenzill z trudem przełknął ślinę. Nie był w stanie myśleć. Przed oczami miał tylko obraz brzydkiego, hałaśliwego, zabloconego Dorieta. Tamtejsi ludzie nie mieli pojęcia o jakości piwa. Pewnie gdybym podał im wodę z kałuży, myśleliby, że to nektar. — Co się stało z miastem? — zapytał. —To było przerażające, panie. Nie zostało po nim nic, tylko popiół. Kiedy odzyskałem świadomość, poszedłem, aby się przeko nać na własne oczy, co smok zrobił z naszą osadą. Przerażony obrazem zniszczenia, zacząłem uciekać z tamtego miejsca tak szybko, jak się tam znalazłem. Później zobaczyłem ciebie stojącego przy bramie. Miałem szczęście, że zauważyłeś mnie wśród tych wiel kich krzaków. Przysięgam, nie niepokoilibym cię w innej sytuacji, ale bez twojej pomocy byłbym już pewnie martwy. Myślałem, że już wiesz o smoku i o pożarze przez niego wywołanym. Obawia łem się, iż nie spotkam nikogo, że wszyscy już uciekli. Przynaj mniej mogę ci się odplacić za opiekę, ostrzegając cię, panie. —Przed czym chcesz nas ostrzegać? I o jakim pożarze mó wisz? —Panie, nie mogę tu dłużej zostać. Chociaż tak bardzo bym chciał, bo miła jest twoja gospoda i słodkie piwo. Jestem przeko nany, że smok podąza w tym kierunku. Jeżeli nie dotrze tutaj, miasto dosięgnie ogień pożaru, który on wznieca. Wszystko zależy oczywiście od kierunku wiatru. Czuję się już dużo lepiej, panie, i będę się zbierał do wyjścia, jeżeli pozwolisz. Miło mi będzie, jeżeli zdecydujecie się pójść ze mną. — Nieznajomy spojrział na Carlanę i Frenzilla pytającym wzrokiem. Dziewczyna odwzajemniła spojrzenie, ale nie odezwała się — w nieodległych

jaskiniach jest wystarczająco dużo miejsca dla nas wszystkich. Myślę, że dotrzemy tam przed nocą. Czas nagli.

Harald, nie słysząc odpowiedzi, strzepnął resztę popiołu, oczyszczając kapelusz zrobiony z wiotkiego materiału, i rozejrzał się po gościnnym pokoiku. Uśmiechnął się, dziękując Carlanie, i skierował w stronę wyjścia. Frenzill spojrział za nim z przerażeniem. —Chcesz, żebym opuścił Hiddenhaven? Chyba nie mówisz poważnie. Jutro jest Doroczny Festiwal. —Opuścić, a co z moim piwem... moje pieniądze... — Oberżysta bełkotał tak cicho, jakby mówił sam do siebie, aż

zobaczył, że Harald się zatrzymał. W jego ciemnych oczach były troska i współczucie. —Cóż, panie, niech bóg ma cię w opiece. Nie będę wracał tą drogą, nie mam po co. W Jasper Ridge nie zostało ani jedno drzewo do ścięcia, a i tutaj wkrótce znikną wszystkie. Dziękuję uprzejmie za gościnność, jaką okazaliście nieznanemu. Niech bogowie pobłogosławią ci za twoją hojność. — Nie odchodź, Harald, proszę, zaczekaj. Umm, powiedz mi więcej o smoku, jeżeli możesz — nalegał gospodarz. —Panie, myślę, że wiesz, jak bestie nienawidzą miast i tym podobnych rzeczy. Naprawdę, myślę, że powinienem już iść, zanim smok lub pożar wywołany przez niego osiągnie twojego dobrego miasta. Zdecydowanie nie mam ochoty jeszcze raz być

tego świadkiem. — Harald pokuśtykał w stronę drzwi. — Nie możesz teraz odejść, Haraldzie, musisz powiedzieć mi, jak przetrwałeś i co dokładnie wydarzyło się w Doriett. Czy | naprawdę wszyscy... — Frenzill nalegał. Harald, nie tracąc cierpliwości, zwrócił twarz w jego stronę, ale widać było, że wolałby być pięć kroków dalej, daleko za drzwiami.

— Czy wszyscy zginęli? Co do jednego. Widziałem to na własne oczy. Ocalałem czystym przypadkiem, panie, i dzięki opiece bogów, którzy zesłali uczciwego pielgrzyma. Potwór nie uważał mnie, bo ukrywałem się wśród zgliszczy spalonego lasu. Zauważyłem, że z jakiegoś powodu zawiał się na miasta. Nie, panie, nie mogę zostać dłużej, chociaż nie ukrywam, że bardzo bym chciał. Byłeś dla mnie bardzo dobry. O, byłbym zapomniiał zapłacić. Znalazłem to na ulicy Doriett. Ma trochę stopione brzegi, ale ciągle ma wartość srebra.

Harald wyciągnął zawiniątko i podał gospodarzowi zniekształconą monetę.

— Ciężar warty jest miary — powiedział i po raz kolejny otrzepał kapelusz. — Sam odnajdę wyjście.

— Z przyjemnością ci je wskażę — bąknęła Carlana, ofiaro wując mu drżącą dłoń. Na oszpeconej twarzy Haralda pojawiły

się uśmiech i zaskoczenie. Rękę dziewczyny chwycił delikatnie i ostrożnie, nie chcąc ubrudzić jej sadzą.

—Umm... Czy możesz mi dokładnie opowiedzieć, co wi działaś? O tym, jak smok zaatakował miasto? — przerwał Frenzill, chcąc wyciągnąć z Haralda tak dużo, jak tylko się da. — Czy walczyliście z nim? Dlaczego nie zdołaliście go pokonać? —Podejrzewam, że nikt nie ostrzegł mieszkańców, panie. Nie mogli nic zrobić. — Po tych słowach Harald zniknął w tylnym wyjściu tawerny. Utykając i wspierając się na ramieniu Carlany, odszedł w chłodny i gęsty od dymu zmrok.

Wściekły Frenzill mocno uderzył pięścią o wypolerowany stół. Próbował pozbierać myśli, zastanawiając się, co robić dalej.

— Frenzill, przyjacielu, skąd taka sroga mina? Obsłuż klientów i zagramy — donośny głos dobiegał z drzwi po przeciwnej stronie. —I skąd ten smród? Musisz wyczyścić komin — dodał burmistrz. —Ha, chyba nawet wszyscy powinniśmy to zrobić. Nie wydaje ci się, że powietrze od jakiegoś czasu jest nie do zniesienia?

Frenzill przytaknął. Nie przestawał myśleć o zagrażającym niebezpieczeństwie i utracie wszystkiego, na co ty le lat pracował. Musi powiedzieć burmistrzowi o Haraldzie i jego opowieści.

—Panie, wydarzyło się coś nieprawdopodobnego... —Chodzi ci o tego przybłądę, którego przyprowadził Henrich? Ledwie zdołałem przebić się przez tłum, aby go zaarresto wać — powiedział rozbawionym głosem burmistrz. — Jest mi przykro z powodu jego rodziny, jeżeli można wierzyć jego opowiadaniu. Myślę, że jest trochę obrażony, wiesz coś o tym? Zakradał się z owcą! Stuknięty! — dotknął porośniętej jasnymi włosami skroni, przewracając jednocześnie oczami okrytymi ciężkimi powiekami. Frenzill oparł ręce na jednej z pustych szklanek. —Chcesz powiedzieć, panie, że w mieście znajduje się obcy człowiek? Gdzie jest w tej chwili? —Pod osłoną mojego aresztu, oczywiście. I tak nikt nie używa w tej chwili więzienia, więc je zamknąłem. Nie mogłem wypuścić go na wolność i spokojnie rozmawiać z mieszkańcami, Jeżeli dobrze pamiętam, dzisiaj była twoja kolej na przestawienie zegara, czy nie tak? Myślałem więc, że go widziałeś, a przynajmniej tłum, który zgromadził się, kiedy Henrich przyprowadził

AA

przybłądę do mnie. — Zza kufła ze spienionym piwem burmistrz przyjrzał się uważnie Frenzillowi.

— A tak, to była moja kolej. I zrobiłem to, możesz mi wierzyć. Ale odsunąłem się na bok, widząc narastający tłum. Ten ogrodnik! — Frenzill łgał nerwowo. Wreszcie zrozumiał, gdzie była reszta mieszkańców, kiedy on znalazł Haralda.

Burmistrz wziął spory łyk piwa i potrząsnął głową. Wyraźnie bardziej zastanawiał się nad nowiną, którą obwieścił gospodarzowi, niż nad wykrętnymi odpowiedziami Frenzilla.

— Dobrze, wbrew temu, co mówi stary Gisrib. Mam nadzieję, że towary w tym roku będą takie jak zwykle. A wracając do sprawy, Henrich przyprowadził mężczyznę prosto do mnie i w tej chwili rozpędza tłum. Jest naprawdę gorąco. Lud jest podekscytowany i chce opuścić miasto. Kilku wariatów zdołało już uciec tylną bramą. To prawdziwe zagrożenie dla Dorocznego Festiwalu. Muszę dopilnować, aby jeszcze dzisiaj po zapadnięciu zmierzchu został odesłany z odpowiednim zapasem jedzenia wystarczająco silnym kopnięciem jak najdalej stąd, zapominając o naszym mieście i nie mając ochoty powracać nigdy więcej. Mówił dziwne rzeczy. Opowiadał o czerwonym smoku. Wyobrażasz to sobie? Jak można coś takiego wymyślić? Człowiek oszalał ze strachu, jestem pewny, że jest obłąkany — mamrotał burmistrz. Frenzill z trudem przełknął ślinę.

— Zatrószczę się o posiłek dla niego — powiedział gościn nie i bez dalszych wyjaśnień wybiegł z kuchni, zostawiając burmistrza z pustym krzesłem.

Złapawszy zwiędłą rzepę i skórę chleba, Frenzill włożył na siebie płaszcz i pobiegł do więzienia. Kiedy dobiegł do małego, zbudowanego z kamieni budynku na końcu najbardziej obskurnej ulicy miasta, spotkał niewielki tłum. Ludzie szeptali zaniepokojeni, ich twarze były ponure. Widać Henrich nie wypełnił swojego obowiązku i do tego uciekł na wzgórze. —...nie możemy zostać tutaj. Najwyraźniej mówi prawdę! — ze spanikowanego tłumu dobiegł czyjś głos. — Niezwłocznie zabieram rodzinę i za pięć minut spotkamy

# 41. Smoki chaosu

się przy bramie prowadzącej do statków, jeżeli chcesz iść z nami. Nie mam zamiaru zwlekać, aż zobaczę smoka, wtedy będzie już za późno — powiedział inny głos. —Ale dokąd pójdziemy? —Pod osłoną lasu możemy dojść do wzgórza. Pośpiesz się!

Tłum natychmiast zaczął się rozpraszać. Ludzie, śpiesząc się do domów po żywność, nieopatrznie wpadali na Frenzilla. Nie zważając na nic, karczmarz odepchnął motłoch od siebie i kiedy dotarł do tylnego wejścia do lochów, wśliznął się do środka. Odnalazł zawieszony na ścianie łuczywo i zapaliwszy je, uniósł do góry, schodząc ciemnym korytarzem. Kiedy skulony na brudnej słomie, kołyszący się na piętach w tył i przód i mamroczący coś mężczyzna zobaczył Frenzilla, odruchowo odwrócił głowę od rażącego światła i jęknął cicho. —Spokojnie, dobry człowieku. To tylko ja, stary Frenzill, przyniosłem ci trochę jedzenia. Uspokój się i powiedz mi, co cię tak przerażyło — mówiąc to, oberzysta przez więzienną barierkę rzucił rzepę i skórę chleba. Młody człowiek łypnął spod kaptura obłąkanymi oczami na stojącego przed nim dobroczyńcę. Miał nienaturalnie bladą twarz, całą pokrytą sadzą. —Już po mnie! Smok nadchodzi i wszyscy zginiemy! Proszę, pozwól mi odejść. Muszę się stąd wydostać — obłąkany krzyczał, stopniowo podnosząc głos. —Spokojnie, kolego, najpierw opowiedz mi o smoku, a po tem ja się upewnię, czy on zostawi cię w spokoju, dobrze? W rzeczy samej, to najbezpieczniejsze miejsce w mieście

zakpił Frenzill, delikatnie uderzając butem w ohydną ścianę.

Solidne, mocne kamienie nad tobą i dookoła ciebie stanowią najlepsze zabezpieczenie przed smokiem.

Słowa te, jak się zdawało, pocieszyły nieco młodego człowieka, bo zaczął mówić.

— Panie, nazywam się Simon Bell i przybyłem z Wellshim-mer. Moja rodzina została spalona żywcem podczas ataku. Tylko ja ocalałem. Kiedy smok... — złapał oddech na jego wspomnienie, ale zaraz kontynuował dalej. Frenzill udobruchał go, zdobył jego zaufanie. — Kiedy smok się pojawił, tak się przeląknęłam, że

nie mogłam zrobić jednego kroku. Biegając, przewróciłem się i uderzyłem w głowę. — Opowiadający dotknął odrażającego, purpurowego siniaka na skroni. — Kiedy doszedłem do siebie, wszyscy byli martwi, rozerwane ciała moich rodziców leżały na mnie i ogień pożerał resztki jedyne go domu, jaki kiedykolwiek miałem... — Młody człowiek przeczołgał się w stronę barierki, jego pełen przerażenia wzrok ogarniał miejsca daleko stąd. — Muszę uciekać! Byłem taki głodny i zmęczony. — Sięgnął po chleb, usta wykrzywiły się w uśmiechu, kiedy zanurzył zęby w twardej skórce chleba. — Dziękuję, dobry człowieku. Niech bogowie ci wynagrodzą twoją uprzejmość.

Frenzill długo rozważał opowieść Bella, obserwując, jak ten zмага się z pożywieniem. Po chwili odwrócił się i zostawił bełkoczącego człowieka samego w ciemnej celi. Wspiął się kamiennymi schodami do wyjścia prowadzącego na chłodne popołudniowe powietrze. Zawiesił łuczywo na haku obok kluczy i powoli odszedł w kierunku Domu Dobrych Duchów.

Wellshimmer znajdowało się zaledwie kilka dni na wschód, pomyślał. Doriett było oddalone o następne dwa dni. Smok jest pogromcą cywilizacji w dolinie, nie ulega wątpliwości. Najwyraźniej posuwa się równomiernie na zachód. Muszę powiedzieć o tym burmistrzowi. Muszę ostrzec wszystkich. A co z moim piwem? Frenzill zacisnął kościste ręce, jego serce wypełniło się dziwnym przeczuciem.

Doroczny Festiwal zaczyna się jutro. Smok może się pojawić w każdej chwili. Poza tym ludzie już opuszczali miasto.

Frenzill potarł brew, łagodząc emocje. Wiedział, że najłatwiej jest rozwiązać problemy bez paniki.

Oberżysta nie wiedział jeszcze o trzecim obcym człowieku, który pojawił się w mieście.

Przed gospodą w otoczeniu burmistrza i niespokojnej grupy mieszkańców stał strzelec w zielonym odzieniu.

— Ale co będziemy robić? — krzyczał jeden z kupców, który właśnie zainwestował oszczędności całego życia w powiększenie sklepu.

— Co mówiłeś, jak duży był? — piszczący kobiecy głos dobiegł z tyłu tłumu. — Przecież biegleś, czy jest tak blisko? — krzyknął Gisrib, trzymając w ręce pustą szklanę.

Strzelec miał około pięćdziesięciu lat, jego tunika była mokra od potu. Powyżej gęstej, siwiejącej brody twarz mężczyzny poczerwieniała, gdy uniósł ręce do góry, domagając się milczenia.

— Ludzie, nie mam czasu na wyjaśnienia. Chciałem tylko was ostrzec. Tak jak powiedziałem, najlepiej jeżeli pobiegniecie na wzgórze razem ze mną. Jestem jedynym z mojej załogi, który ocalał. Kiedy na firmamencie zobaczycie przerażające stworze nie, będzie za późno, żeby uciekać. Sparaliżowani strachem, tak jak moi współtowarzysze, zginiecie na miejscu. Obmywając twarz, zobaczyłem w wodzie odbicie smoka, który znajdował się tuż nad moim ramieniem. Z ogromnych nozdrzy buchał ogień, jego jaskrawoczerwone łuski sprawiały, że wyglądał jak palący się diament. Wyładował całą wściekłość na naszym obozie i moich towarzyszach; po nieszczęśliwach pozostała tylko góra popiołu i spalonych kości. Dobrze wam radzę, musi cie uciekać albo podzielicie ich los! Bestia może nadlecieć w każdej chwili!

Z chwilą kiedy strzelec zakończył opowieść, połowa spanikowanych mieszkańców pośpieszyła w stronę wyjściowej bramy miasta. Nie zważając na pozostawione w domu dobra, dla ratowania życia poświęcili wszystko.

Nagle Frenzill krzyknął, nawołując do spokoju. Nigdy nie zdobyłby się na taki ton, gdyby nie rozpaczliwa sytuacja i po=~~o~~-myśl, jaki pojawił się w jego głowie.

— Uspokójcie się wszyscy! — wrzasnął do tych, którzy zostali. Jego niewielkie ciało drżało. — Mam pomysł. Schrońmy się w lochach, są mocne i na tyle bezpieczne, że pozwolą przetrwać atak, jeżeli ten nastąpi, a może nawet tym sposobem sprawimy, że bestia, nie widząc nikogo, ominie nas. Smok pomyśli, że wszyscy opuściliśmy Hiddenhaven, i zostawi nasz miasto w spokoju. Zaraz potem zabiorę się do sprzedawania piwa, pomyślał

i sprzedam je po podwójnej cenie. W podzięce za to, że ocaliłem wam życie, zapłacicie mi nawet więcej, niż zażądam.

Strzelec się odwrócił. Wśród gromady rozpromienionych ludzi jego bystry wzrok odnalazł Frenzilla. — Panie, to jest znakomita i warta uwagi myśl. Nie mamy zbyt dużo czasu, niebo wygląda dokładnie tak jak wtedy, kiedy potwór zaatakował obóz moich współtowarzyszy. Prowadź nas tam, gdzie będziemy bezpieczni. — Tak, powinniśmy posłuchać Frenzilla — dodał burmistrz i cały tłum gwałtownie skierował się w stronę miejskich lochów. Ludzie w panicznym pośpiechu wpadali jeden na drugiego, trając przy okazji Frenzilla, który dzięki pomocnej ręce strzelca nie upadł na ziemię i nie został stratowany przez ćwiekowane obuwie bliźniaczych synów kowala. — Już w porządku, dobry panie. Ostrożnie, towarzysze! Ten człowiek nas ocalił! — krzyczał oburzony strzelec. Frenzill za chwiał się i raz jeszcze upadł, rozcierając odbite na jego ramieniu ślady ćwieków. Gdy ulica opustoszała, nowa myśl pojawiła się w głowie Frenzilla.

Jego własna piwnica była zamknięta. Nie mógł nigdzie zobaczyć śladu Carlany ani kluczy. Na niebie kłębiły się ciemne chmury. Deszcz sadzy spadał na ziemię, delikatne drobiny tańczyły nad głową. Nie byłoczasu na szukanie córki. Musi uciekać do najbezpieczniejszego miejsca w mieście.

Do lochów aresztu.

Wzrokiem napotkał strzelca, który cicho i starannie pokrytymi sadzą rękoma oczyszczał kołnierz jego płaszcza.

— Dziękuję za pomoc, żołnierzu. Musiałem się upewnić, że moi ludzie są bezpieczni. Jestem przecież ich oberżystą. Szczęśliwej podróży i niech ci bogowie błogosławią, zsyłając jak największą szybkość. — Uśmiechnął się, szczerząc zęby i starając się uwolnić płaszcz z brudnej dłoni strzelca. Jednak ten nie chciał zostawić go w spokoju.

— Panie — odezwał się — miałem nadzieję, że schronię się z tobą. Przebyłem długą drogę, aby ostrzec wasze miasto i teraz jeden z najbardziej szanowanych jego mieszkańców chce zostawić mnie sam na sam ze smokiem.—Żołnierz nie dowierzał oberżystcie.

— Przykro mi, obcy przybyszu — powiedział Frenzill, a jego głos był ostry jak nóż — nie ma tu dla ciebie miejsca. Sami musimy się zabezpieczyć.

Oszołomiony strzelec potrząsnął głową i puścił płaszcz Frenzilla w momencie, kiedy pędzone przez smoka chmury wtoczyły się ponad mury miasta. Wojownik, nie zważając na przestrogi, pąbiegł za oberżystą. Dogonił go tuż przed wejściem do aresztu.

— Panie, jesteś właścicielem gospody, czy na pewno nie masz dla mnie miejsca? Inni już są bezpieczni — strzelec błagał, dławiąc się sadzą.

Frenzill bez słowa wypchnął samotnego Simona Bella za drzwi aresztu i z rozmachem zatrzasnął za nim drzwi.

— Ja również zostałem wyrzucony za drzwi, panie — krzy czał Simon Bell. — Co teraz zrobimy?

Na twarzy strzelca pojawił się szeroki uśmiech, zdjął wiszący na gwoździu klucz i włożył go w zamek. Pasował idealnie. Przekręcił raz, zamek zadzwieczał. —Zabierajmy się do Dorocznego Festiwalu. Wiem, gdzie czeka na nas słynne piwo. — Głos strzelca dobiegał zza ciężkich żelaznych drzwi, wprowadzając w osłupienie starego Frenzilla, wyglądającego przez małe więzienne okno. — Rouber, czy mam zawołać Guylera? — zapytał drugi głos, kiedy oberżysta wyprostował się i zaczął wycierać osiadłą na twarzy sadzę. —Owszem, Kevo, powiedz mu, żeby załadował piwo i otworzył zardzewiałe wrota — zarządził strzelec. — Musimy przez nie przeprowadzić wóz. —Moje piwo? Jaki wóz? Kim jesteście? — krzy czał Frenzill z najbezpieczniejszej kryjówki w całym mieście.

— Braćmi Cobbin z Doriett — odpowiedział strzelec, zdejmując czapkę i odrywając sztuczną brodę. — Z Doriett, które cały czas stoi i rozwija się całkiem nieźle. Prosperuje tak dobrze, że aby to uczcić, wyskoczyliśmy na piwo. — Usta Roubena rozszerzyły się w uśmiechu, który był szerszy niż najbardziej udawany uśmiech Frenzilla podczas publicznych wystąpień.

— Nie możecie mnie tak zostawić! — powiedział Frenzill. — Nie ma tu nic do jedzenia!

— O, niezupełnie, dobry panie, zostawiłem ci trochę rzepy i skóry chleba — krzyknał Kevo i zadzwonił kluczami. — Dobroć okazana innym zawsze wraca do właściciela. —Nigdy nie uda ci się wykraść mojego piwa. Nie masz kluczy do piwnicy — krzy czał wściekły oberżysta. —Przykro mi, ojczy, ale mylisz się, te klucze również po siada — powiedział słodki, ale zmęczony głos, dobiegający gdzieś zza żelaznych drzwi. Carlana uniosła zakurzony, starannie zawinięty plik zapisanych papierów na wysokość więziennego okienka. —Moja receptura! Carlana, jak mogłaś? — Frenzill walił w nieubłaganie zatrzaśnięte drzwi. —Zawsze mówiłaś, że to mój posag. Cóż, wypada cię poinformować, że wychodzę za mąż, ojczy. Gisrib zjawi się za dzień lub dwa i uwolni cię. Jeżeli będzie w stanie wybaczyć ci całe to zajście z jego piwem — krzyknała dziewczyna, zawieszając rękę na ramieniu Guylera.

— Carlana! — oberzysta wołał za nią, ale ciężkie więzienne [ drzwi zatrzasnęły się przed jego nosem.

— Och, Frenzill — śmiał się Gisrib, umyślnie brzęcząc klucza mi — nie martw się, zostawimy ci trochę odpadków. O, i szczęśliwego Dorocznego Festiwalu.

— OPOWIEŚCI ZASŁYSZANE W KARCZMIE Jean Rabę

—CorobiszMaquestoKar-Thon? — skrzat mówił tak szybko, że słowa zlewały się w jedno i brzęczały nad jego białą głową jak owad. Smukłe palce o skórze koloru brązowego orzecha ułożył w pięść i założywszy je na biodra, wpatrywał się w swego towarzysza. —Pytamjesczerazorobisz? — Widać było, że skrzat jest strapiony, ale to nie smutek powodował, iż jego słowa zlewały się w jedno. Taką już miał naturę: zawsze mówił szybko. —Nic, co dotyczy ciebie — padła chłodna odpowiedź. —AleżMaquestoKar-Thon... —Lendle, pilnuję, aby towar został w całości załadowany na Perechon — tym razem głos był spokojny, choć stanowczy. — Zrobiliby to dużo szybciej, gdyby na pokładzie nie było twojej maszyny. Muszą pracować podwójnie. —Nietomiałemnamyśli! — Czubek głowy skrzata ledwie sięgał do bioder Maquesta.

Kapitan Perechonu, Maq, była wysoką, smukłą, na pół morską barbarzynką o hebanowej skórze, ciemnych oczach i falujących na wietrze kruczonych włosach. Płynęła w niej krew elfia i człowiecza. Miała uszy gładkie jak morze podczas bezwietrznej nocy. Przyciął je jej ojciec wiele lat temu, kiedy na Wyspie Krwawego Morza polowano na elfy.

Kapitan wciągnęła słone morskie powietrze, przeciągnęła się i zimnym, beznamiętnym wzrokiem spojrzała z góry na karła.

— Nie mam dzisiaj czasu, aby się z tobą droczyć. Zanim odpłyniemy, muszę załatwić w mieście kilka spraw...

—Mówięcizenieotomichodzi. — Skrzat kołysał się w tył i przód na poduszkach małych stopek, nerwowo przekręcając perłowy guzik swej czerwonej bluzki. — Czywieszcorobiszpodpisujactenkontrakt? — przerwał na chwilę. — Niebezpiecznytointeresostrzegamcię. Niebezpieczny. Zdecydowanie-jesttonajlepszyczasna... —Uspokój się, Lendle. Z trudem mogę rozumieć, co mówisz — powiedziała kapitan, zaciskając wargi i układając ręce na biodrach. Ciemny wzrok zatopiła w jednym z jej lilipucich rozmiarów przyjaciół. Lendle był kucharzem, maszynistą i upar tym majsterkowiczem.

Pytałem, czy wiesz, co robisz, podpisując kontrakt na ten przewóz, Maquesto Kar-Thon? —jak zawsze zwrócił się do niej formalnie. Chociaż się męczył, mówił powoli, szanując prośbę kapitana. — Nie jest to najlepsza pora, aby zapuszczać się na Krwawe Morze. Zostańmy w porcie, przeczekamy wojnę, a potem, kiedy wszystko się unormuje i nastanie pokój, podpiszemy kontrakt albo nawet dwa. Czy zauważyłaś, że w porcie nie ma innych statków ładujących towar?

— Wszystkie pozostałe statki to łodzie rybackie; przygoto wują się do połowu. — Przecież trwa wojna — wybąkał skrzat. — Wojna. — Maquesta zmrużyła oczy.

— W Abyss — powiedział, starannie wymawiając każde słowo pojedynczo — słyszeliśmy o tym wczoraj w nocy podczas kolacji.

— W tawernie — powtórzyła Maquesta, wolno wypuszczając powietrze z płuc. Uniosła dłoń i skierowała ją w stronę wybrzeża. — Późno w nocy.

— Pewien człowiek mówił o zagorzalej bitwie, bogowie i ludzie spierają się o losy Krynnu. Walczą wszyscy, smoki i czarodzieje.

— Nie zapomnij, że słyszałeś o tym w karczmie, Lendle. To była karczemna opowieść, efekt zbyt wielu piw i zbyt wielu rozwianych języków. Potrzebujemy pieniędzy i zabierając skrzynie Mit-hasa Brandy'ego z południa na Cuda, mamy szansę trochę zarobić.



—Moglibyśmy to zrobić za kilka tygodni albo miesięcy. Moglibyśmy... —Ja jestem kapitanem. Kontrakt jest podpisany — urwała Maq. —Kto zapłaci za towar? — skrzat, chociaż niepewnie, mówił dalej. — Nie dostaniemy forsy, dopóki nie dostarczymy towaru. Jeżeli w Abyss naprawdę trwa wojna, bogowie i rycerze ostrzegają... —Zatem Kryn zostanie zniszczony — raz jeszcze przerwa no Lendle'owi. —Do tego zmierzałem — powiedział skrzat. —Jeśli Kryn jest zniszczony, nigdy więcej nie będziesz musiał się martwić o pieniądze — Maq odpowiedziała bez namiętnie. —To żadne pocieszenie. —Zabieraj więc swoją maszynę i zostań na ładzie. Bez tego urzędnika, zawałającego ładownię, będzie nam lżej w następnym porcie — kapitan mówiła poważnie i skrzat dobrze wiedział, co oznacza ten lodowaty ton. Transport był dla niej najważniejszy, zawsze tak było i tak pozostanie. Kiedy Maquesta podjęła decyzję, była nieugięta. — Z tobą lub bez ciebie opuszczamy port za godzinę. —Wkońcuniemusimisietopodobać — odchodząc, skomen tował skrzat.

Perechon punktualnie opuścił przystań i na pełnych obrotach wypłynął na głębokie morze. Lendle spojrział ponuro na wzburzoną odpływem wodę w porcie. Zacisnął silne palce na poręczy burty tak mocno, że skóra wokół kłykci zbielała. —Jeżeli wojna nie jest wystarczającym powodem do zmar twień, kapitanie Maquesto Kar-Thon, mamy jeszcze Maelstrom — niezadowolony skrzat mówił sam do siebie. Wir wodny Krwa wego Morza znajdował się na zachodzie, zatroskany skrzat wy obrażał sobie jego przerażające rozmiary. — Wojna. Wir wodny. Powinniśmy poczekać — dodał zaniepokojony. —Kof jest bardzo ostrożny — rzekła Maq. Cicho jakby na kocich łapkach kapitan znalazła się tuż za nim. — Nie chciała

bym się znaleźć w pobliżu Maelstromu. Perechon jest zbyt wartościowy, nie mogę ryzykować na takiej wodzie. Będziemy się trzymać brzegu Mithas, następnie miniemy Oko Byka, po czym sięgniemy południowej części Kothas i tam dostarczymy ładunek. Proste. Zatrzymamy się na dzień w największym porcie Kothas, gdzie załoga będzie mogła się zabawić.

Skrzat spojrział w dal i zatrzymał wzrok na sterze statku. Wielkie dłonie Kofa okręcały szprychy królewskiego koła steru. Sternik był skoncentrowany na punkcie tuż ponad Perechonem — dziobie statku przyozdobionym smokiem. Kof — albo Bas Ohn-Koraf, jak nazywał go skrzat — był minotaurom o rogatej jak byk głowie, masywnych ramionach i mocno umięśnionych nogach, zakończonych czarnymi lśniącoymi kopytami. Jego ciało pokrywały grube, czerwono-brązowe włosy, a dopełnieniem tego wszystkiego był nieodłączny, specyficzny zapach. Minotaur był pierwszym pomocnikiem Maquesty i jej najbardziej zaufanym przyjacielem. Doskonale dawał sobie radę z niedoścignionym dwumasztowcem. —Lepiej niech utrzyma kurs, a zachowa Perechon w całości — Lendle był lekko zirytowany, niechętnie zabrał ręce z poręczy balustrady i odszedł w stronę minotaura. —Jestem za stary, aby szukać pracy gdzie indziej, ale i za młody, żeby wciągnął mnie wir wodny i żeby poszedł na dno morza — zwrócił się skrzat do pierwszego pomocnika. —Przestań się tak zamartwiać — łagodnie zbeształ go Kof. —Ja miałbym się martwić? —Za to ja muszę przyznać, że się niepokoję — powiedział minotaur, i jego bycza twarz nagle spowaźniała, a okrągłe oczy ożywiły się. — Przyznaję, że martwi mnie, co będzie na kolację. Kiszki grają mi marsza.

— Włócznik. — Skrzat niespodziewanie odwrócił się. — ! Już go przygotowuję.

Kiedy załoga jadła kolację, Lendle zajął się reperowaniem wioślarskiej maszyny znajdującej się w ładowni statku. Pusta mosiężna kula wyglądała jak przewrócony sagan, który migotał delikatnie w przyćmionym świetle latarki skrzata. Czubek zakry

ty był miedzianą osłoną, którą przecinały przewody dwójakiego rodzaju, wyrastające z nieparzystej liczby narożników znajdujących się około dwóch stóp przed złączem w białego młotkiem metalowego cylindra, który prowadził do wielkiej klapy w podłodze. Drzwi prowadziły z ładowni na wyższą platformę, gdzie karzeł skonstruował swoją maszynę. Oznacza to, że musiał również

stworzyć system lin, które umożliwiły załodze Perechonowi ładowanie cargo naokoło maszyny.

Maszynę otaczało mnóstwo skrzyń zabezpieczonych systemem lin, które ciągnęły się aż do zaciętego zakątka ładowni. Każda skrzynia była wyraźnie oznaczona etykietką: Mithas Spiced Brandy albo Mithas Mulled Brandy. Lendle, podważając pokrywę jednej ze skrzyń, domyślił się, że w każdej ze stu dwudziestu czterech skrzyń znajdowało się dwanaście butelek. Butelki były starannie zapakowane, owinięte słomą, a korki zalane woskiem. Skrzat złapał za jedną z butelek i gotowy do spożycia lepkiej jak smar, zaprawionej wonnymi korzeniami brandy, usiadł przy mosiężnej kuli, gdzie przypadkowo zachowała się wolna przestrzeń. Sztywne druciane przedłużenia nadawały wynalazkowi nieco archaiczny wygląd. Zwoje drutów biegły pomiędzy kratami, po przekątnej ładowni i na końcach owijały uchwyty wiosła.

Obok mosiężnej kuli znajdował się mały ceglany kominek, który był niedużo większy od krat. Aby rozniecić ogień, który produkował parę, Lendle używał starego kowalskiego miecha. Para powstawała w przypominającym gigantyczny czajnik urządzeniu, następnie z czajnika za pomocą rur była tłoczona do kuli. To para nadawała moc trybom znajdującym się w maszynie, które napędzały obroty spirali drutów i w ten sposób wiosła się poruszały.

Ostatnio wszystko funkcjonowało prawidłowo; właściwie maszyna pracowała tylko dwa razy. Ponad siedem miesięcy temu pracowała nieustannie przez trzy dni, aż zaczęła dymić i wydawać dziwne dźwięki, wreszcie wyrzuciła z siebie wszystkie tryby i zatrzymała się. Lendle nie był pewien, co spowodowało jej zepsucie ani co ma zrobić, aby przywrócić ją do pracy. Myślał o tym codziennie, przeglądał rozklekotane tryby, układał je

w szeregu, obracał spiralę, czyścił kulę... Wiedział, że wcześniej czy później przywróci ją do pracy i zapewni tym Perechonowi możliwość kontynuowania kursu, w sytuacji gdy morze będzie spokojne i nie będzie wiatru.

Lendle przeciągnął się i wziął łyk brandy. Ku jego satysfakcji butelka wciąż była wypełniona do połowy. Nie marnował więc tego, co zostało. Lepki płyn zwilżał mu usta, czuł, jak spływa do gardła, a następnie do żołądka. Usiadł pomiędzy spiralą drutów, opierając się o skrzynię, i spokojnie wsłuchiwał się w jęki wydawane przez belki rusztowania statku i delikatnie, monotonicznie odbijające się o pokład krople wody. Jeszcze raz sięgnął po butelkę.

Domyślał się, że zbliża się północ. Zamknął oczy i spokojnie dopijał brandy. Musiał przyznać, że smakowała wyjątkowo. Powodowała przyjemne mrowienie palców i pocenie się stóp. Nie dziwił go fakt, że kupcy z Cuda płacili za nią tak wysoką cenę. Wyssał ostatnią kroplę, wetknął korek z powrotem do butelki, ogniem z kominka roztopił wosk otaczający zamknięcie i włożył butelkę do środka skrzyni. Skrzynię rozpieczętowywał bardzo ostrożnie, nie pozostawiając żadnych śladów. Kupcy w Cuda pomyślą, że jedna z butelek albo nawet dwie lub trzy z jakiegoś powodu przeciekały i cała zawartość wypłynęła.

Skrzat skoncentrował się na dźwięku spadających kropli wody. Zanim wróci na dół i zacznie przygotowywać śniadanie, dobrze mu zrobi kilka godzin odpoczynku. Jajka i gulasz z włókniaka będą mieli na jutro, zdecydował. Zgasił ogień na kominku, poklepał maszynę na dobranoc i po wyciągnięciu latarki był gotowy do odejścia. Przysadziste nogi wiodły go najpierw przez wolne przestrzenie pomiędzy skrzyniami, a następnie do góry, skąd niedaleko od dziobu statku mała kłapa osłaniała zejście w dół.

Zadużowypileś, łajał sam siebie, kiedy zakołysał się w tył i przód, próbując złapać drabinę. Palce nie natrafiły na szczebel, na który spoglądał. Skrzat upadł na ziemię, uderzył nosem o podłogę ładowni i zgubił latarkę. Wyglądał jak nieszczęście, jego widok rozbawiłby niejednego. Nigdywiecej Mithas Brandy, oświadczył, kiedy podniósł się

na kolana, i wyciągnął odnalezioną latarkę. Postanowił zatrzymać się na chwilę na powierzchni pokładu, zanim ponownie spróbuje złapać drabinę. Obmywając głowę w deszczu, chciał pozbyć się nieprzyjemnych skutków wypicia brandy. Chwycił się mocno najniżej poręczy, kiedy poczuł, że pada na lewo.

Zaraz! Wcale nie jestem pijany!, wystękał resztkami sił, po czym dodał wolniej. To statek się kołysze. Przynajmniej wiem, że nie „jestem aż tak pijany.

To, co zapowiadało mały, ciepły deszczyk, szybko zamieniło się w niosącą chłód ulewę. Maquesta wyteęzała wzrok, aby utrzymać ster w równowadze. Znajdujący się nad nią żagiel, mocno szarpany przez zmienny wiatr, stopniowo opadał. Maszty protestowały, skrzypiąc, dźwięk ten wirował dookoła i mieszał się jej z innymi odgłosami przypominającymi klepanie stopami o gładki pokład. Załoga robiła, co mogła, aby utrzymać konstrukcję w całości. Wszystko starannie przywiązywano linami.

— Kof! Złap tę linę! — krzyknęła kapitan. Masztowa lina poluzowała się i jak zwariowana smagała dookoła powietrze, grożąc zerwaniem najniższego żagla.

Skrzat wyrzwał na zewnątrz przez szczelinę w klapie. Zobaczył nieopodal śpieszącego Bas Ohn-Korafę. Jego duże dłonie złapały zwisającą linę. Na pokładzie było ciemno. Minotaur wyglądał jak cień w ciemnym lesie. Widać było, że silny Kof nie radzi sobie z liną.

Skrzat czuł, że statek jakby na grzbiecie przybrzeżnej fali podnosi się do góry, na szczęście po chwili opada z powrotem, lekko przechylając się na bok. Słyszał, jak fale uderzają o boki statku. Skrzywił się, kiedy fala obmyła pokład i zmoczyła go, wdzierając się przez szczeliny w klapie. W odpowiedzi zdenerwowany skrzat rzucił stek przekleństw i pchnął drzwi, otwierając je na całą szerokość. Właśnie się wspinał, kiedy dziób Perechonu jeszcze raz uniósł się ponad poziom pozostałej części statku. Podolał temu niełatwemu zadaniu, mimo wypicia całej butelki brandy. Kiedy znalazł się na pokładzie, ruszył ostrożnie, za wszelką cenę starając się nie stracić gruntu pod stopami.

— Cosiedzieje Maquesto Kar-Thon? — zapytał, kiedy zna lał się w jej pobliżu. — Sztorm! — usłyszał odpowiedź. — Zerwał się, nie wia domo skąd!

Niespodziewanie burta statku niedaleko steru zapadła się, pociągając za sobą Maquestę. Lendle owinał ręce dookoła jej nogi i w ten sposób uratował ją przed upadkiem. — Ledwiewidzę! — krzyknął. Mroczne niebo koloru szaro-czarnego przysłoniło trzy księżycy Krynnu. Podczas sztormu wywołanego burzą, zwłaszcza kiedy nie było widać ani jednej gwiazdy, łatwo było zabłądzić, skrzat był tego świadomy. Roz gniewany spojrzął na Maquestę. — Nie podoba mi się to ani trochę — wystękał niezadowo lony. — Ani trochę. — Ani mnie — odpowiedziała surowym głosem kapitan. — I nikomu na pokładzie. Nie musisz mi o tym mówić... Zbliżył się do nich Kof, przerywając jej w połowie zdania. — Lina przywiązana, miejmy nadzieję, że będzie dobrze służyć. Niższy żagiel zerwany. Nie ma mowy o naprawieniu go w trakcie nawałnicy. Zawołałem Rogana z kruczego gniazda. — Zadbam o ster — zarządziła Maquesta. — Ty weź Rogana i raz jeszcze przejdź się po statku. Upewnij się, czy wszystko jest mocno poprzywiązywane i potem... — tym razem przerwał jej dziwny dźwięk, głośny gwizd, przenikliwy skowyt, któremu wtórował ryk rosnący w tempie narastającego bicia przerażonych serc. Maq spojrzała w stronę nieodległej burty steru. Wzrok Lendle'a i Kofa podążyły jej śladem.

Morskie fale ograniczały widoczność, były ciemne jak atrament, ale nie tak ciemne jak niebo. Elfi wzrok Maquesty pozwolił jej z łatwością odnaleźć horyzont oddzielający morze od nieba. — No już — szeptała. — Gdzie jesteś? — Nic niewidzę ciemno! — krzyknął skrzat. — Coto jest? Maquesta wreszcie to zobaczyła. Znajdowało się około stu jardów od jej okrętu. Było wyższe niż Perechon i rozciągało się poza krawędziami jej pola widzenia. Ściana wody napierała 1 w ich kierunku.

—Nawałnica! — wrzasnęła kapitan, mocno skręcając ster w stronę burty. — Sprowadź wszystkich na pokład, natychmiast! Uważajcie na żagle! Natychmiast! — Ponagliła, zapędzając Kofa i Lendle'a do akcji. Kof zakręcił się na kopytach i skierował ku rufie. Idąc, wydawał rozkazy. — Jak najdalej od poręczy! Nawałnica! Zapiąć się! Chwycić się lin! —Nawałnica? Tylko nie to! — Lendle zwolnił od uścisku nogę Maquesty i pobiegł ku klapie na tyle statku, która prowa dziła do szalup załogi. Miał zamiar pomóc się wydostać ludziom, którzy być może ciągle śpią, pomimo całego zamieszania. Po drodze zobaczył dwóch majtków przywiązujących się do głów nego masztu. Ktoś inny chwycił się konstrukcji ożaglowania.

Lendle pływał na morzach od ponad dziesięciu lat i miał okazję przeżyć wszelkie możliwe do wyobrażenia rodzaje pogody. Tylko nawałnicy w błogosławiony sposób uniknął — do dzisiaj. Nawałnice były rzadkie i niebezpieczne. Wywoływały je zmiany temperatury i kierunku wiatru. Wiatry mogą przekroczyć szesnaście węzłów i być prawie tak niebezpieczne jak cyklon, chociaż nie trwają długo. Mogą również powodować ogromne fale. —Ster na fale, kapitanie! — wołał sternik do Maquesty. W hałasie czynionym przez wodę i wiatr jego słowa brzmiały jak szept. —Nie w tę fale! — odpowiedziała Maq. Mocno przekręciła ster w kierunku, w którym zmierzała fala.

Pomimo najlepszych starań, nie zdołała zachować odpowiedniego dystansu między falą a Perechonem.

Małutkie usta Lendle'a rozwarły się, niezdolne do wydobycia choćby jednego słowa, kiedy zobaczył, jak ściana wody naciera na brzeg okrętu. Deszcz zmienił kierunek, silny wiatr sprawił, że padał ukosem, bombardując skrzata i boleśnie kłując jego twarz i ręce. Woda była wszędzie, słychać było tylko huk fali.

— Pokonamy ją — mówiła Maquesta, dodając sobie otuchy. — Prędeż, prędeż! Nie! Ściana wody dosięgła Perechonu. Pochłonęła ich ciemna jak

smoła fala, która bezlitośnie unosiła statek, a towarzyszył temu zagłuszający wszystko dźwięk, który brzmiał jak uderzenie wielkiego młota w maszty i pokład.

Powietrze szybko opuszczało płuca Lendle'a. Czuł, że się unosi, a jego usta i płuca są pełne słonej wody.

Lekkie ciało skrzata zatrzymało się na poręczy statku. Jego ręce zwisały na zewnątrz, panicznie poszukując punktu zaczepienia. Wisiał tak przez chwilę, która wydawała się wiecznością, aż wreszcie owinął się wokół poręczy.

W tym samym czasie Maquesta zacisnęła ręce na kole steru. Głową natrafiła na królewską szprychę, a piersi oparła na sterze, naciskając wilgotne imadło. Walczyła, by nie stracić świadomości i kontroli nad sytuacją, gdy nagle okrutna fala zbombardowała ją po raz kolejny. ; Kof z drżącym sercem ostrzegał ludzi, ale jego słowa ginęły w hałasie spowodowanym przez fale. Uderzająca w niego woda powaliła go na pokład. Na szczęście zdążył się złapać kabestanu. Cięższy od fali obiekt uderzył w plecy minotaura, rozluźniając jego palce. Cokolwiek to było, przygwoździło go do pokładu, trzymając jego głowę pod wodą. Uniósł szeroko otwarte oczy i naprężył mięśnie, próbując się wynurzyć, aby móc oddychać.

Perechon kołysał się w rytm fali. Rozbujany został wyniesiony do góry, aby już zaraz zacząć opadać. Zapadał się w szalonym tempie, poczynając od lewej burty, dalej pociągając za sobą sterburtę i zagrażając wywróceniem. Wtedy kolejna wielka fala przetoczyła się przez pokład. Rozkołysany statek niespodziewanie podniósł się wyżej, a tym samym dał leżącym na pokładzie szansę złapania powietrza.

— Kof! — Maq przekrzykiwała ostry wiatr. — Niech mi ktoś 'pomoże!

Nie minęła chwila, gdy deszcz rozszalał się ponownie. Lendle rozluźnił palce, którymi trzymał

się poręczy. Mocno kaszłał, oczyszczając płuca, i spojrział w stronę rufy, gdzie złamana część głównego masztu przygniatała minotaura. Zanim doczołgał się tam na czworakach, kilka innych rąk zmagало się z ciężką belką, próbując uwolnić pierwszego majtka. Lendle, wsłuchując się w rzucane nawzajem nakazy, zauważył, że ich głosy zanikały w narastającym od strony morza hałasie. W ich kierunku zmierzała kolejna ciężka fala.

Skrzat, sapiąc i chrząkając, drobnymi rękoma przyłączył się do pomocy. Właśnie chwycił za złamany maszt, aby ratować cenne życie, kiedy uderzyła w nich kolejna ściana wody. Majtek, który znajdował się tuż obok niego, został zmyty z pokładu, Lendle zdążył tylko poczuć na swoich krótkich nogach muśnięcie jego rąk. Kiedy fala się wycofała, tym razem majtkowie z powodzeniem zebrali się i podnieśli przygniatający minotaura fragment masztu. Kof ledwie zdążył stanąć na kopyta, gdy woda wypchnęła Perechon na szczyt grzbietu kolejnej fali. W tym samym momencie wiatr porwał pokręcone żagle masztu i z pomocą fali przewracał statek na bok. Kilku żeglarzy ześlizgnęło się po pokładzie, wypadając za burtę i błyskawicznie znikając z pola widzenia.

Po kilku minutach okręt częściowo odzyskał równowagę, jednak aby nie wpaść do morza, ci, którzy przetrwali, musieli uchwycić się jakiś przedmiotów. —Okręt wypełnia się wodą! — krzyczał jakiś majtek, kto remu się udało wydostać spod pokładu szalupy i wspiąć się na konstrukcję żagla. — Przewracamy się! — wrzeszczał inny. Krzyk ten prześliznął się po pokładzie i dotarł do uszu Maquesty. —Perechon tonie!

Fala na chwilę się oddaliła. Minotaur wykorzystał ten moment i rozejrzał się dookoła, sprawdzając ludzi. Trzymając się dużymi rękoma kabestanu, był gotowy stawić czoło następnemu przyływowi. Mocno wciągał powietrze, jego szeroka klatka piersiowa szybko rosła i opadała.

— Maq, nie mamy szans, aby uratować Perechon — wiatr niósł słowa wypowiedziane silnym głosem do uszu kapitan. Przytaknęła, wskazując na śródkręcie.

— Barki — wołał Kof do Rogana. — Spuść je na wodę. Szybko. I upewnij się, że Maq weszła do jednej z nich. Ja zadbam o resztę ludzi.

— —Barkipowiedział? — wybełkotał uczepiony złamanego masztu Lendle. — Barki, przewrócony statek, toniemy, jesteśmy... —Porzucać statek! — krzyczała Maquesta. Kiedy wypowiedziała te słowa, serce waliło jej jak młotem. Nikt jej nie obserwował, więc bez wstydu uroniła kilka łez, które i tak wymieszały się z deszczem. — Niech wszyscy opuszczą statek! Drobną, zaczerwienioną od napięcia twarz skrzata gwałtownie pobladła. Wciągnął powietrze, czuł, że drżą mu ręce. —Tojestmójdom! Waszdom! Nieporzucęstatku! —Wszyscy za burtę! — krzyk Kofa wtórował jak echo. Minotaur wielkimi ramionami kierował ludzi ku barkom. —Czy ktoś tam jeszcze pozostał? — Odwrócił się w stronę nadbiegają cego majtka.

Marynarz tylko wzruszył ramionami i pobiegł, aby zająć miejsce na jednej z łodzi ratunkowych. Minotaur ruszył w stronę kłapy prowadzącej do szalup.

— Lendle, do łodzi — wołał zza włochatych ramion. — W tej chwili!

Skrzat, nie odpowiadając, zwiesił luźno szczękę na widok pierwszej łodzi, spuszczonej z niebezpiecznie przechylonego Perechonu.

— Kofniemożemyopuścićstatku! — zawołał. Ale minotaura nie było już na pokładzie. Lendle obrócił się dookoła i zobaczył Maquestę, zajętą prowadzeniem majtków do dziobu statku. Wyglądała jak ktoś, kto poniósł porażkę. Jak przygarbiony cień pomiędzy zburzonymi konstrukcjami i uciekającą w panice za łogą. Słyszał, jak wydała Roganowi polecenie opuszczenia Perechona. Rogan był jej drugim pomocnikiem, nie chciał opuścić statku, do czasu aż zrobi to sama kapitan. Po kilkakrotnym naleganiu poddał się. Maquesta spojrzała w górę, szybko odna laźła skrzata i wskazała ręką na łodzi. Lendle zaprzeczył ruchem głowy.

— Mojamaszyna! — krzyknął z całych sił, aby pokonać huk wiatru. — Muszę ocalić chociaż jej części. — Nie czekał na odpowiedź. Rozpychając połamane maszty, pobiegł w kierunku klapy prowadzącej do ładowni. Zazwyczaj otwarcie drzwi z tej

— części pokładu nie było łatwe, ale ponieważ statek pochylił się jeszcze bardziej w stronę lewej burty, drzwi zwisały otwarte i skrzat razem z częściami żagla wpadł do środka.

Chwilę później z szalupy wynurzył się Kof. Holując za sobą kilku marynarzy, powiedział z ulgą do Maquesty: — Teraz j už wszyscy! — Do barek! — Oczy minotaura zaczerwieniły się, kiedy po raz ostatni spojrzął na rozpadający się Perechon. Szybko się odwrócił, gdy uparta Maq odmawiała zejścia. — Najpierw ty! — rozkazała. — Ja z Lendlem pójdziemy za tobą! — Nerwowo biegała palcami po sterze, j akby przeczuwała, że więcej się nie spotkają. Potem prędko pobiegła w stronę wjazdu prowadzącego do ładowni.

Spadając, Lendle zatrzymał się na twardych i nieruchomych skrzyniach wypełnionych Brandy Mithas. Stękając, szybko wy- i gramolił się spomiędzy nich i ostrożnie, centymetr po centymetrze, lawirował między nimi, szukając swojego wynalazku. W ładowni było czarno jak o północy, nie widział nawet wyciągniętych przed siebie palców. Na szczęście znał na pamięć każdy jej zakątek. Głową zaczepił o maszt, który wpadając, musiał zahaczyć o cylinder jego cennej maszyny do wiosłowania. Kiedy zrobił jeszcze kilka kroków i poczuł przed sobą kulę, woda sięgała mu do kostek. Pogodził się z tym, że Perechon zginie, ale jego maszyna była czymś specjalnym, z taką stratą nie mógł się pogodzić. Po ogólnym oglądzie maszyna nie wydawała się uszkodzona. Kiedy wodził rękoma, badając wszystkie elementy, jego stopy zaplątały się w nasadkach spirali.

— Niejestwy gięta — zauważył. — Bardzodobrzedobrzedo-brze. — Mosiężna kula, na niej najbardziej mu zależało. To ją chciał ocalić; była najwartościowszą częścią urządzenia. Przez wiele lat z wielką ostrożnością gromadził tryby, które umieścił w jej wnętrzu. Zwojnica nadaje się do wymiany, ale to łatwa robota i kosztuje niewiele.

Po omacku odnalazł drogę do małego pieca. Prędko rozpalil ogień i wyprostował przyrząd przypominający czajnik. Następ

nie upewnił się, czy rura, przez którą tłoczy się parę do kuli, jest wciąż przymocowana. Potem wyjął z kominka mały kawałek żaru, aby lepiej zlokalizować dyndający żagiel. Zerwawszy płótno, przystanął na chwilę, uważnie nasłuchując. Zdawało mu się, że słyszał, jak ktoś woła jego imię. — Totylkowiatr — powiedział i oderwał resztę dużego płót na z żagla, a następnie zaczepił nim o podstawę kuli. Do przerywania zwojów używał kuchennego noża, który znalazł w kiesze ni. Płótnem przymocował drut do podstawy kuli, po czym rozej rzał się za skrzynią brandy. — Podgrzanabyłbynaj lepsza — zamyślił się. — Takteż- powinnodziałać. Powinnobyćwporządku. — Lendle! — Maquesta wejrzała do wnętrza ładowni i po wtórzyła imię skrzata. Zauważyła błysk żaru i rozpryskujące dookoła wodę poszarpane strzępy żagla. — Staw się natych miast! To rozkaz!

Kapitan wyciągnęła się w stronę czegoś, co było kiedyś głównym masztem, zamierzała złapać wiszącą linę i rzucić ją skrzatowi. Niestety, w tym momencie kolejna fala zalała pokład, pociągając ją ze sobą, i wywróciła go na bok.

Kof z łodzią na brzegu statku wciąż czekał na Maq i Lendle'a. Widząc, że kapitan Perechonu została porwana przez wzburzoną falę, wyciągnął długie ramiona, rozpaczliwie próbując ją złapać. Niestety, zagarnął tylko wodę, szczęśliwie unikając przy tym śmierci za burtą dzięki jednemu z majtków, który złapał jego ciężkie ciało i wholował je do wnętrza barki.

— Posuń łódź bliżej — wydierał się minotaur. Woda była ciemna i nic nie widział. — Maq!

Maquesta walczyła, aby utrzymać głowę na powierzchni wody. Kiedy znalazła się na grzbiecie fali, zauważyła Kofa i innych marynarzy, wiosłujących w jej kierunku. — Nie poddawaj się, Maq! —

krzyczał minotaur. Krzyknął też coś jeszcze, ale tego już nie usłyszała. Jego mocny głos tonął w ogromnym hałasie wody i wiatru. W stronę Perechonu nadciągała kolejna góra wody. Wyglądała tak samo groźnie jak poprzednia, tyle że płynęła z innego kierunku. Maq

nerwowo wierzgała kończynami, za wszelką cenę starając się utrzymać na powierzchni wody i w odpowiednim momencie zdążyć wypełnić powietrzem płuca. Mimo że była dobrym pływakiem, jej starania zdawały się bezowocne. Wtedy zobaczyła wychylającego się z barki Kofa, poczuła już dotyk jego umięśnionych ramion, ale nagle została porwana i z prądem wody odpłynęła w tak atramentową ciemność, że nawet jej elfi wzrok nie zdołał jej przeniknąć. Woda zalała jej gardło. Wierzgała kończynami, chcąc się wydostać na powierzchnię, wciągała powietrze najgłębiej, jak tylko mogła, wstrzymując oddech, kiedy napływała kolejna, spychająca ją w dół fala.

Wzburzone morze rozszalało się na dobre. Nagle ogromny grzmot, brzmiący jak odgłos trzęsienia ziemi, przerwał huk wiatru i wody.

Grzmot powtórzył się, prawie kompletnie zagłuszył odgłos hulającego wiatru. Woda przez brzegi wdzierала się do barek, grożąc ich przewróceniem.

— Wyczerpać wodę! — rozkazał Kof. — Szybciej, towarzysze, albo jak kotwica pójdziemy na dno! — Marynarze za pomocą rąk i czapek ledwie nadążali wylewać wodę za burtę. Kof widział, że Maq dwukrotnie zniknęła pod powierzchnią wody. Niebo zwiastowało pierwsze od początku sztormu wytchnienie — mała przestrzeń w chmurach wystarczyła, aby odsłonić kilka gwiazd, które rzuciły światło na Maq przytuloną do czegoś, co wyglądało jak skalista rafa koralowca.

— Maq żyje! — krzyknął do kolegów. — Bliżej! O tak, dobrze. Zabierzcie ją!

Maquesta była wycieńczona i poobijana. Półprzytomna, resztkami sił złapała rękę Kofa i odepchnęła się od koralu, kalecząc nogę o jego ostry grzbiet. Kiedy silne ramiona minotaura wciągnęły ją na brzeg łodzi, poczuła, jak pada na jej drewnianą podłogę. Ulga nie trwała długo, bo zaraz uderzyła w nich kolejna fala, spychając barkę w kierunku tylnej części Perechonu. Woda na dobre wtargnęła do środka, okładając jej i tak już obolałe ciało. Nagle, zupełnie niespodziewanie, fala zawróciła tak szybko, jak się pojawiła. Minotaur pomógł Maqueście wstać, podczas gdy

pozostali zajęli się osuszaniem łodzi. Maq odgarnęła z twarzy mokre loki i rozejrzała się uważnie.

— Kof! — wybełkotała. — Perechon wciąż tam jest! Jakimś sposobem fale wyprostowały go! — Chwała Habbakukowi — odetchnął jeden z marynarzy. Okrągłe oczy minotaura uważnie przenikały ciemność, aż dojrzały zmaltretowany statek. Był poważnie uszkodzony, miał przewracane maszty. Rozesłane na pokładzie podarte żagle wyglądały jak całun. Mizzenmaszt był cały, ale lekko pochylony. W ogromnych piersiach minotaura pojawiła się iskierka nadziei.

— Nie zatonął — wyszeptał, przypominając sobie historię statku, który rok temu wciągnięty w wir Maelstromu został cudem wyrzucony na długie wybrzeże. Chwała Habbakukowi, zaiste.

— Trzymaj mocno! — krzyczała Maq, chwytając się mocno boków, kiedy mała łódź niesiona prądem uderzyła w bok Perechonu. Widząc, że inne barki też wracają, odetchnęła z ulgą. Jedne płynęły kierowane wiatrem, a inne własnym napędem.

Po kilku minutach marynarze byli już na pokładzie. Chociaż wycieńczeni, żwawo zabrali się do reperowania masztów.

— Przyciąć mizzenżagiel! — kapitan próbowała przekrzy czeć rozdzierające powietrze grzmoty. — Czy coś z niego pozo stało? — zapytała, kiedy wraz z Kofem zbliżyli się do steru. Minotaur podniósł głowę.

— Ten hałas — powiedział zaniepokojony. — Myślę, że nadciąga kolejna fala. Powinniśmy się skierować na wschód. — Jesteśmy gdzieś niedaleko Kothas. Maquesta skinieniem głowy przyznała

mu rację.

— Jeśli tylko natrafimy na mieliznę, wślizgniemy się nań i przeczekamy tę pogodę, a potem... Na bogów! Czy nie ma temu końca? Kof, zabierz ludzi na dół, do wiosła.

Gdy minotaur, podążając za wzrokiem Maq, odnalazł przyczynę jej niepokoju, zamarł w bezdechu. Kilkaset jardów od dziobu Perechonu, ocean zamieniał się w przeraźliwy wodospad. Rozszczepione morze wyglądało jak wole ogromnej bestii. Czarna, kolosalna przepaść rozszczepienia wodnego była otoczona

przez pierścień spadającej w dół wody. Perechon płynął prosto na nią. — Nie po raz pierwszy płynę tym morzem — powiedziała Maq zbyt cicho, aby ktokolwiek mógł ją usłyszeć. — Nie spotkałam nigdy czegoś podobnego. — Wiosła! Marynarze! — wydierał się Kof. Mocno wrył kopyta w podłogę i stanowczym głosem zwrócił się do kilku nieruchomych marynarzy: — Ruszać się! Na dół i chwytać za wiosła! — Na mocne ramiona Habbakuka! — krzyczał Rogan. — Jesteśmy straceni! — Na pewno będziemy straceni, jeżeli nie będziemy nic robić! — odpowiedział Kof lakonicznie. — Chwytać za wiosła!

Szepecząc modlitwy do swoich bogów, szybko zabrali się do zadania. Zanim jednak zaczęli cokolwiek robić, rozległo się dziwne charczenie, jęk, czkanie, trzask i dzwonienie, najpierw delikatne, ale już zaraz silniejsze, a wtórował temu trzask belek, jakby pokład miał się za chwilę rozsypać. Trociny pryskały we wszystkich kierunkach. — Na imiona wszystkich bogów! — krzyknął jeden z żegla rzy. — Co to jest? — To Lendle! — odpowiedział Rogan.

Minotaur patrzył na otwór w pokładzie. Na początku to, co sil z niego wynurzyło, wyglądało jak zrobione z dyni widmo. Ale, dziwna rzecz, rosło i rosło, aż zaczęło przypominać wykonany z płóciennego żagla balon. Pod balonem wisiała kula z prętami, a z dziwacznych rogów wystawały cylindry. Wreszcie na samym dole, w zawieszanej skrzyni oznaczonej etykietą z napisem Mithas Mulled Brandy, siedział skrzat. W jednej dłoni trzymał otwartą butelkę brandy, drugą operował ledwie widocznym zza skrzyni, czujnikowym przyrządem. Prawą ręką dolewał do czajnika brandy, która automatycznie zamieniała się w parę i była tłoczona do kuli. Z ust skrzata biegła lina podłączona do żagla-balonu. Każde szarpnięcie liny sprawiało, że mechanizm wiosła unosił go wyżej.

— Myślałem, że opuściliście statek! — zawołał. — Zdawało mi się, że powiedzieliście, iż Perechon tonie!

— Statek się wyprostował! — odpowiedział Rogan. — Ale już niedługo pójdziemy na dno! — dodał drugi po mocnik, spoglądając w stronę nacierającej fali i przerażającego rozszczepienia w morzu. — Zdumiewające! — Oczy skrzata się rozszerzyły. — Cie kaw jestem, skąd się to wzięło. Nigdy tego nie widziałem, a prze mierzalem te strony niejeden raz. Zdumiewające! — Chodź tutaj, Lendle! — krzyknął minotaur, kiedy dołączył do ludzi udających się pod pokład. Lendle raz jeszcze potrząsnął głową.

— Zdecydowanie nie widziałem niczego podobnego! Wo dospad na środku oceanu! Zdumiewające.

Latająca maszyna napędzająca wiosła dotknęła pokładu. Nieprawdopodobne zjawisko rozproszyło uwagę skrzata i stracił on kontrolę nad sterem maszyny, która zachwiała się i zaczęła warczeć.

— Odolichaodolicha! — jęknął, wlewając do czajnika więcej brandy. — Niemądrzezrobiłem! — Wyrzucił opróżnioną butelkę i sięgnął po następną. — Więcej mocy! Muszę się przebić! — Czajnik gwizdał piskliwie, również inne hałasy wydobywały się z maszyny Lendle'a. — Musisz zwiększyć moc! — Jednak latająca maszyna traciła moc. — Więcej! — Opróżnił drugą butelkę,



sięgnął po trzecią. Jej wilgotna od deszczu szyjka wysliznęła się z silnych palców, upadła na piec i rozbiła się. — Więcej... oops. Ogień!

W nieprzebytych ciemnościach żeglarze szli po omacku, ostrożnie pomiędzy skrzyniami, rozbitymi butelkami i porozrywanymi elementami maszyny Lendle 'a.

— Niech każdy odnajdzie wiosło i zabierajcie się do nich! — krzyknął pierwszy pomocnik kapitana. — Jeżeli chcecie żyć, dajcie z siebie wszystko! — Każdy z nich po omacku szukał pustej ławki, chwycił za rękojeść wiosła i zabierał się do pracy. — Raz, dwa, trzy! — wołał minotaur, nadając rytm coraz większej gromadce ludzi.

— Bogowie zesłali ten sztorm! — słyszał wołanie jednego z majtków. — Bogowie chcą zgładzić nas wszystkich.

—  
— Nie bogowie, a jakiś bóg ciemności — odpowiedział inny głos. — Jestem pewien, że to Takhisis, Królowa Ciemności.

Na pokładzie została tylko Maq. Walcząc z wiatrem, kręciła sterem, wszystkimi siłami próbując zmienić kierunek statku. Rozpraszał ją hałas sztormu. Deszcz ciął bezlitośnie i razem z wyjąłym wiatrem pochylał Perechon na bok. Chociaż coraz więcej ludzi siedziało przy wiosłach, Maq ledwie wyczuwała, że statek się porusza. Wiedziała, że sami nie dadzą rady. Mieli za mało ludzi, wiosła i czasu. Maq zamknęła oczy i pomyślała o Kofie, Lendle'u, jej ojcu, który wiele lat temu uczył ją żeglugi i sprawił, że pokochała morze bardziej niż własne życie. Kochała ciężkie życie. Z trudem pracowała na szacunek członków załogi. Życie na morzu nie oszczędzało nikogo.

— Pożar! — krzyczał nieprzerwanie Lendle. Jego słaby głos ginął wśród wyjącego wiatru, uderzających fal i nieustannego turkotu maszyny. Pomimo deszczu pożar się rozprzestrzenił. Pochłonął już komin, zapalił spodnie skrzata i sięgnął po żagiel-balon. Płomienie lizały pozostałe butelki brandy, które Lendle zabrał na pokład. Szkło trzeszczało, Lendle krzyknął z przerażeniem i wtedy nastąpił wielki wybuch.

Oczy Maq otworzyły się dopiero, kiedy oderwana od steru wylądowała pod burtą statku, uderzając głową o pobliski siup. Potrząsała głową, mrugała powiekami, kiedy silny prąd powietrza uderzał w jej twarz.

Statek, napędzany siłą wybuchu maszyny Lendle'a, leciał w powietrzu. Wystrzelony jak z procy kierował się w otchłań spienionej wody.

Maq doczołgała się do steru, wstała i złapała szprychy. Statek zachwiał się i wreszcie gwałtownie zatrzymał. — Na imię... co się... — Maq! — zawołał Kof, potykając się i rozglądając dookoła, szedł w jej kierunku. — Lendle! — Na pokładzie wałały się odłamki miedzi i mo siądku, rozbite butelki po brandy, zniszczony czajnik. Pomędzy tymi przedmiotami leżała kompletnie zwęglona bryła, przypomi najęca skrzata.

Bryła powoli podniosła głowę. Twarz Lendle'a była czarna i gładko ogolona. Włosy i broda zostały zupełnie spalone.

— Mojabiednamaszyna — wybełkotał, po czym stracił przytomność.

Deszcz słabł, aż zamienił się w delikatną mżawkę. Chmury nad ich głowami rozpierzchnęły się po niebie, odsłaniając błękit. Pływały teraz spokojnie, popędzane leniwym wietrzykiem. Nie było śladu po wichurze. Rogan ostrożnie zabrał Lendle'a pod pokład. Maquesta z kamiennym wyrazem twarzy cicho prosiła bogów, aby ocalili jej małego, dzielnego przyjaciela.

Kof stał przy poręczy lewej burty i obserwował, jak w tajemniczy sposób samoistnie zniknęła morska szczelina. Po chwili wszystko wyglądało tak, jakby dziwny wodospad pojawił się tylko we śnie. Tafla morza wygładziła się, niebo było zupełnie czyste. — Mieliliśmy szczęście — powiedział

Rogan, dołączywszy do Maq i pierwszego pomocnika. — Bogowie uśmiechnęli się do nas. Mieliśmy wielkie szczęście. — Czy aby na pewno? — dziwiła się na głos Maq ze wzrokiem wlepionym w spokojne morze.

Powierzchnia wody była gładka jak szkło, odbijały się w niej gwiazdy i samotny, blady, wiszący nad horyzontem okrągły księżyc.

Dwa tygodnie później Perechon dobił do portu w Cuda, położonym na południowo-zachodnim wybrzeżu Kothas. Jedna trzecia brandy ocalała i została rozładowana pod baczynym okiem Maquesty i oczywiście przy asystujących jej pogwizdywaniach Lendle'a. Skrzat wygiął się na sterce ładunku i potrząsnął głową. — Moja maszyna — narzekał. — Będę musiał zacząć od początku. — Twoja maszyna pracowała wystarczająco długo — po wiedziała równym głosem Maq. — Uratowała Perechon. — Mam za mało forsy, żeby kupić części potrzebne do nowej. Straciliśmy dwie trzecie naszego towaru, dwie trzecie zarobku. Mam na to lekarstwo. — Jej ciemne oczy napotkały paciorkowe oczy skrzata. — Właśnie załatwiłam kontrakt na nowy ładunek i transport wełny na północ do Karthay. Ładowa nie zaczniemy za godzinę. A ponieważ nie mamy w ładowni maszyny, możemy wypełnić ją całkowicie. Zarobek jest niezły — połowę dostaniemy z góry. — Dlaczego nie odłożymy tego na przyszły dzień, przyszły miesiąc, Maquesto Kar-Thon? Na niebie świeci tylko jeden księżyc; prądy są inne, całe morze jest inne. Powinniśmy zaciekać w porcie, dopóki wszystko się nie wyjaśni, dopóki nie będziemy wiedzieli, czego się możemy spodziewać, z czym mamy do czynienia, dopóki nie będą znane rezultaty wojny. Dlaczego ostatnio w karczmie mówiono o... — Umowa jest już podpisana. — Możemy ją trochę opóźnić, Maquesto Kar-Thon. — Pieniądze za ten kontrakt są zbyt kuszące, aby odmówić. — To może kuszące... ale... — Wynoś się więc na brzeg — mówiła ostro, a oczy jej błyszczały. — Zbuduj swoją maszynę na innym statku.

Inne ładownie wypełniaj śmiesznym wynalazkiem. — Ściągnęła usta, układając je w cienką linię. — Dobre pieniądze, huh? Przydałby się nowy komin — przyznał skrzat. — Mógłbym dorzucić kilka miedzianych prętów do wiślanej maszyny. Grube przewody, lejek i... A co z opowieścią w gospodzie? Maq posłała mu gniewne spojrzenie. — Wiem, wiem — powiedział Lendle, wzdychając. — Gdy Krynn zostanie zniszczony, nie będę musiał się martwić o nic więcej. — Nachmurzył się i zniknął pod pokładem. — Za godzinę — Maq krzyknęła za nim, a jej oczy płonęły. Kiedy została sama, na jej twarzy zagościł rzadki uśmiech.

#### STUDNIA SMOKA Janet Pack

— Starcze, co mówi twoja wizja? Czy widzisz dzisiaj wodę?

Śmiech i gwizdy podążały za wysokim, zgarbionym, posiwiałym starym człowiekiem, kiedy przeszedł przez Gurnn. Jak zwykle przyjaźnie kiwał głową, uśmiechał się i machał ręką, tą, w której nie ścisnął cennej laski ani sponiewieranej starej szufli. Tarris Canrilan szedł przez wysuszone słonecznym żarem miasto, ciągnąc za sobą bezwładne kolano.

Starzec, dawniej tkacz miejski, zaczynał zwykle przechadzkę po gminie w połowie dnia i kontynuował do czasu, gdy wyczerpany usiadł do skromnego południowego posiłku. Był bezgranicznie uprzejmy, a jego zdawałoby się nonsensowne powiedzenia były jak drogocenny skarb dla tych, którzy zdołali go słuchać.

Dzisiaj Tarris wyglądał inaczej, jego kroki były rytmiczne i stanowcze, a w matowozielonych oczach widać było błysk niecierpliwości. Nie wszyscy mieszkańcy gnębnego gorącego miasta widzieli tę różnicę. Wśród ściśniętych w małym kawałku cienia i pomrukujących na siebie nawzajem spoconych ludzi znajdowała się Reldonas Fittering, była woźna sądowa tego miasta. Ona zauważyła odmienny stan staruszka.

# 41. Smoki chaosu

Była nałogowym zbieraczem plotek i swój dziób wciskała we wszystko, co uznała za interesujące. Jej wyjątkowo bystry słuch łączył czasami dwa rozbieżne fakty i tworzyła historię, która graniczyła z rzeczywistą prawdą. Przysłoniła ręką oczy i obserwowała Tarrisa do momentu, kiedy minąwszy kilka budynków, zniknął z jej pola widzenia.

Nie odkryła powodu zachowania starca, dopóki gorące słońce nie oparzyło dłoni przysłaniającej oczy. Posunęła się do zacie

nionej ściany, automatycznie odczuwając ulgę od nieubłaganych promieni. Poruszenie ramion przywołało w jej pamięci tegoroczną wiosnę w Gurnm. Tylko w części susza spowodowana była zmianami w pracy Roku Chaosu. Wspomnienie to zrodziło w jej głowie pewien pomysł.

Dzień zapowiadał się podniecający. Czekwała na tę chwilę przez wiele miesięcy.

Fittering niezwłocznie pobiegła do biura Elothur, przywódcy miasta Gurnm. Źle dopasowane drzwi zatrzeszczały, kiedy zapukała w nie kościstymi dłońmi. — Wejdz.

W głosie przywódcy miasta odbiła się frustracja, smutek i kompletny brak nadziei, spowodowany trzecim rokiem nieustannej suszy. Był chyba jedynym człowiekiem w mieście, który normalnie funkcjonował i udawał, że nic się nie zmieniło. Chodził codziennie do pracy, zajmował się spiętrzonymi na biurku plikami papierów, zachowywał nie zmieniony tryb życia. Burmistrz podniósł głowę, spoglądając na gościa. — Czego chcesz? — rzucił oschle, zanim zdążył przybrać przyjemny wyraz twarzy. — Przywódczo Miasta — sapała Reldonas. Miała pospolitą, zaczerwienioną od słońca i wysiłku twarz. — Przynoszę wiadomość. Tarris Canrilan miał czwartą wizję! — I co z tego? — Elothur usiadł wygodnie na krześle i patrzył pytająco na stojącą przed nim pokraczną kobietę. Jego przekrwione brązowe oczy otaczały zmarszczki spowodowane częstym przebywaniem na słońcu. — Ale jaki ma to związek ze mną? — Jest w drodze do zagajnika na południu miasta. Znowu będzie kopał — odpowiedziała. Kurz unosił się z jej krótko przystrzyżonych włosów, zabarwionych na brązowo iłem żywej kiedyś ziemi leżącej trzy dni od Palanthas.

Przywódczo oparł mocno opalone ręce na popękany drewniany stół i zamyślił się. Stół ten był kiedyś wartościowy, ale susza i upał zniszczyły go, podobnie zresztą jak inne kosztowne przedmioty będące własnością miasta. Wszystko było na skraj nędzy i załamania.

— Wierzę, że mówisz prawdę, Reldonas — powiedział bez zainteresowania Elothur. — Dziękuję za wiadomość — dodał i wrócił do pracy. — Nie zamierzasz podjąć żadnych działań? — kobieta bełkotała dalej. — Co chcesz, żebym zrobił? — mówił jak do upartego dziecka. — Nie mogę wysłać do niego jedynej obstawy, jaką mam, i posłać ich rodzin na żebrę — westchnął. — Wszyscy, których znam, mają swoje obowiązki. Zrobiłbym coś, ale... — Jestem sama, Przywódczo Miasta, mogłabym go pilnować. — Myślałem, że opiekujesz się Delphas, matką Gwillara... O, zapomniałem, przecież zmarła w czasie ostatniego nawrotu choroby.

Burmistrz wyjrzał przez szczelinę pomiędzy okiennicami i ponownie westchnął. Niebo jak zwykle było błękitne, słońce rzucało ostry odblask. Już od kilku miesięcy nie widział ani skrawka obłoku. Trzy lata nieustannej suszy doprowadziły wszystkich, których znał, na krawędź rozpacz. Najpierw zmarniały plony i całe pola pokryły się kurzem. Potem zaczęły padać zwierzęta hodowane na mięso. Ich żebra i grzbiety sterczały przez skórę, a kiedy zdechły, ich ciała szybko rozkładały się tam, gdzie upadły. Przez kilka tygodni w całej okolicy panował potworny smród, aż wreszcie wywołał choroby, których uzdrowiciele nie umieli rozpoznać. Zachorowała połowa mieszkańców miasta, zmarła jedna czwarta. Wśród nich była przybrana matka byłej woźnej sądowej, Delphas,

ukochana żona Tarrisa, Reny-alen, oraz wielu innych. Niektórzy mieszkańcy miasta nazywali Renyalen ostatnim spoiwem rozsądku. —Bardzo dobrze — Przywódca Miasta zwrócił się w stronę gościa. — Od jak dawna Tarris twierdzi, że ma wizje i za pomocą cudownej laski kopie doły, przyciągając uwagę obywateli? Nie pogardzilibyśmy nowym źródłem wody, zwłaszcza że stary zbiornik jest prawie pusty. Obliczyłem, że wystarczy nam wody najwyżej na dwa tygodnie. Masz więc pozwolenie, Reldonas. —Będę składała raport kilka razy na dzień — zapowie działa.

—Nie jest to konieczne. Melduj tylko ważne posunięcia, wtedy przychodź natychmiast. — Dobrze! Dziękuję, Przywódcu Miasta. —I... Reldonas? —Tak? —Postaraj się zakopywać dziury, które kopie starzec. Ktoś może się okaleczyć. —Dobrze, proszę pana!

Dawna woźna sądowa miasta, mianowana dzisiaj detektywem, wybiegła pośpiesznie z biura burmistrza na wypalone przez słońce powietrze. Chociaż utykała na jedną nogę, szła naprawdę szybko. Zatrzymała się przy domu Gwillara, aby pożyczyć worek wody i suche jedzenie. Zapłaci za wszystko najszybciej, jak będzie mogła. Obiecała i rzeczywiście miała zamiar tak zrobić, chociaż była znana z niedotrzymywania słowa. Nie marnując więcej czasu, skierowała się na południe i podążała do zagajnika, w którym wśród umierających drzew pracował Tarris Carrilan.

Najpierw zobaczyła unoszącą się chmurę kurzu, a dopiero potem starca zanurzonego po pas w dole. W miarowym tempie, za każdym razem, kiedy pełna łopata wynurzała się na powierzchnię ziemi, brązowa mgiełka pyłu uderzała w gorący wiatr. Urywane trzeszczenie szkieletów umierających drzew towarzyszyło pomrukiwaniu starca.

— Smok powiedział: kopać w tym miejscu, woda będzie na dnie. Smok powiedział...

Reldonas przykuśtykała bliżej. Tarris nie zwracał na nią uwagi.

— Ładny dzień, Mistrzu Tkaczu — powiedziała. — Mam dla ciebie wiadomość od Elothura, Przywódcy Miasta.

Starzec oparł się o łopatę i spojrzał żywymi jak nigdy wcześniej, zielonymi oczami. —Wiem, co to jest — odpowiedział, a jego bystrość zasko czyła kobietę. — Chce, abym zakopał dziury. — Tarris zabrał się znowu do kopania. — Powiedz mu, że jest mi przykro, ale nie ma czasu do stracenia, nie ma czasu. —Dlaczego? — zapytała.

—Ponieważ niedługo woda wytryśnie z ziemi. Obiecał to mój smok. Stanie się to już niedługo. Muszę być gotowy. —Na co masz się przygotować? —Na kolejną wizję, oczywiście. — Tarris znowu przerwał pracę, rozważył w myśli jej wiadomość i wy dostał się na górę. Oparł szufłę o pień drzewa.

Dziwne, pomyślała Reldonas, zachowuje się, jakby wszystko było normalnie. Był chyba najbardziej szalony z nich wszystkich. Wszyscy mieszkańcy miasta nieco się zmienili. Zmienili tryb życia, pracę, nawet ich rozumy jakby wyparowały w palącym słońcu. Ona się nie zmieniła. Cały czas w głowie miała intrygi i odczuwała nieustanną tęsknotę za sensacją. Otarła z czoła pot, zostawiając smugę brudu. — Kiedy będziesz miał kolejną wizję? Starzec zaśmiał się. Brzmiało to jak suchy podmuch wiatru.

— Smok zadecyduje, kiedy będzie ku temu odpowiednia pora — powiedział i podniósł „palec” leszczynowego kija. Deli katnie trzymając widlasty koniec w wykrzywionych palcach, powoli szedł przez zagajnik.

Grubsza część kija, rozmiarów kciuka starego człowieka, była wygładzona i odrapana z kory. Pojedynczy koniec leszczyny Tarris trzymał przed sobą. Reldonas Fittering nie mogła zrozumieć, w jaki sposób skromna gałązka może wskazać obecność wody. Niezależnie od tego, patrzyła zafascynowana.

Leszczynowa pałka zadrżała. Tarris zatrzymał się, cofnął o kilka kroków i jeszcze raz

przemierzył ten sam teren. Nic.

Nagle prosty koniec kija wygiął się w dół. Starzec palcem narysował w tym miejscu znak i ostrożnie odłożył laskę. Odnalazł szpadel i zaczął kopać. Kurz znowu przeppełnił gorące powietrze.

Reldonas, wielce zaintrygowana całą sytuacją, pokuśtykała w głąb zagajnika i usiadłszy w cieniu, zamyśliła się. Czy to możliwe, że wizje starego głupca są prawdziwe? Czy rzeczywiście pod grubą warstwą piasku była woda, która mogła ocalić Gurnn?

Wrodzona ciekawość zmuszała Reldonas do rozwiązania zagadki. Kobieta rozejrzała się dookoła i nagle zorientowała się,

że tylko drzewa oddalone od miejsca, w którym kopał Tarris, umierają. Oznaczało to, że w pobliżu musi być zasilająca je woda. Kto wie, może nadzieja Gurnn leżała w wizji szalonego starca?

Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, cicho podeszła do pierwszego z dołów i nie wiedząc, czego się spodziewać, zajrzała do jego wnętrza.

Cierpliwie zaczekała, aż oślepienie słonecznym blaskiem oczy przystosują się do nowych warunków. Ciągłe nie była pewna, czy widzi sączącą się powoli wodę, czy to tylko zwodnicza ciemność ziemi. Westchnęła i postanowiła zejść na dół.

— Błoto! — Czują to na własnym palcu. — Prawdziwe błoto. — Czują, jak jej skórę otula wilgoć i chłód.

Aby udowodnić, że starzec miał słuszość, uformowała w dłoniach małą kulę i zawinęła ją w obszyte szaty, którą miała na sobie. Następnie zaczęła się rozglądać, w jaki sposób może wydostać się na zewnątrz.

Pierwsze dwie próby nie były udane — spadła na dół z bólem. Zdeterminowana niepowodzeniem zebrała siły i tym razem osiągnęła powierzchnię. Kiedy tylko się wydostała, bez słowa, tak szybko jak tylko mogła, pobiegła w stronę miasta. Pochmurnego Elothura znalazła w biurze. Siedział z głową ukrytą w dłoniach. Odślonił ją powoli, jakby dawał do zrozumienia, że nie chce stawiać czoła nowym problemom. — Nowina? Tak szybko?

Reldonas z dumą w głosie jednym tchem opowiedziała całą historię. — Widziałam, jak kij Tarrisa wskazywał wodę! — zakończyła opowieść. — Wszystko, co mówił, jest prawdą. Patrz! rozpakowała zawiniętą w szatę kulę błota i pokazała ją Przy wódcy Miasta. — Nie wszystkie drzewa w zagajniku umierają. Jeżeli woda znajduje się w jednym miejscu, z pewnością będzie też w innych. — Przypuszczam, że to możliwe. — Szturchnął kulę od niechcenia, a kiedy przekonał się, że to prawdziwe błoto, dotknął go zaskoczony. — Mam inną wiadomość, niezależnie od twojej.

— Twarz Elothura zamieniła się w maskę. — Thienborg Skopas zakopał dzisiaj jeden z dołów Tarrisa. Jest posiniaczony i dopomina się odszkodowania. — Zwołaj miejską radę dzisiaj po południu. — Reldonas pomyślała, że o najgorętszej porze dnia wszyscy będą rozdrażnieni i będą się niecierpliwić w oczekiwaniu na nową wiadomość. — Kiedy przedstawię im raport, spojrzą na Tarrisa innymi oczami! — Bardzo dobrze! — odpowiedział burmistrz. — Czy mo żesz porozmawiać z tkaczem i przyprowadzić go na umówioną godzinę? — Tarris był znany z niepunktualności, od kiedy zmarła jego żona. — Spróbuję. Nie będzie to łatwe, jest zbyt skoncentrowany na misji. Czy wzięłes pod uwagę, że Thienborg mógł sam spowodować wypadek i szuka kozła ofiarnego, na którego mógłby zwalić całą winę? — Przewidziałem to. — Delikatny uśmiech wykrzywił ją ciki spękanych ust. — Twoja praca okazała się owocna. Jak zwykle. Dziękuję. — Cieszę się, że to doceniasz, Przywódcu Miasta. Dawna woźna sądowa opuściła zakurzone biuro, czuła, że jej praca nie jest zakończona, udała się bezpośrednio do zacisznego, ocienionego, schronienia Thienborga Skopasa, oskarżyciela Tarrisa Canrilana.

— Przyjdź do mnie, smoku, przyjdź. Już pora, czas już dobiega końca! — Tarris podśpiewywał

podczas kopania. Próbował w ten sposób zwabić szlachetne bestie. Bał się pomyśleć, że ostatnia wizja zabrała od niego smoki bezpowrotnie.

Nie raz mówiono mu, że smoki go nie opuszczą. Ich metaliczne odcienie w jego pamięci pozostaną na zawsze. Pojawiały się wszędzie, niezależnie od tego, czy szedł, czy spał. Pora dnia nie ma dla smoków znaczenia. To była trójca, jeden złoty, jeden brązowy i jeden srebrny — kiedy się zjawiały, z daleka widział ich ogromne zwinięte skrzydła i ostro zakończone ogony. Wynurzały się jeden za drugim i podchodząc coraz bliżej, przyglądały się Tarrisowi, podczas gdy on sycił oczy ich widokiem. Mówiąc, nigdy nie otwierały ust. Ich słowa odbijały się w jego głowie. Nie mówiąc ani słowa, czuł, że wiedzą i rozumieją wszystko, co go dotyczy.

Podczas pierwszego snu smoki mówiły o jałowej ziemi Kryn nu i o ukrytych zdolnościach Tarrisa, który przez odkrycie źródła wody za pomocą kija, może ocalić ludzi przed suszą. Na początku bał się, że zgłupiał, ale kiedy zaczął szukać obiecującego, prostego narzędzia, przekonał się, iż ma do spełnienia misję.

Znalezienie widlasto zakończonego kija nie było trudne, ale prawdziwa różga musiała pochodzić z odpowiednio „czującego” drzewa. Odrzucał więc patyki jeden po drugim, aż trafił na starą leszczynową różgę, wyblakłą prawie do białości. Zacisnął na niej palce i zabrał ze sobą do domu. Druga wizja nastąpiła jeszcze w to samo południe. Na trzecią czekał ponad siedem dni, aż zaskoczyła go w biały dzień, kiedy szedł drogą, sprawdzając czucie leszczynowego kija.

Długo uczył się, jak swobodnie trzymać przed sobą zakończony czułkami kij. Za każdym razem, kiedy wyginał się do ziemi, Tarris zaznaczał miejsce kamykiem lub patyczkiem, a następnie kopał tam dół. Jeżeli zgubił któreś z zaznaczonych miejsc, nie przejmował się tym, ponieważ była to tylko praktyka kija — „cennej zdobyczy”. Smoki poinformowały go, że na pewno znajdzie wodę, jeżeli swoją pracę będzie wykonywał sumiennie i z wiarą.

Po czwartych odwiedzinach smoków oprócz leszczyny zabierał ze sobą metalowy szpadel i małą butelkę wody oraz worek z mięsną konserwą i owocami. Wszędzie tam, gdzie patyk się wygiął, kopał dół, wkładając w to całą energię i poświęcenie. Na początku ludzie z miasta rzucali nań zazdrosne spojrzenia, ale kiedy nie znalazł wody, a doły zaczęły się pojawiać w całej okolicy, odsunęli się od niego.

Tarris przerwał pracę, rękoma pokrytymi bąblami pocierał gładką powierzchnię drewnianego uchwytu szpadla. Wspominał dawne, ładne Gurnn i porównał z obecnym, wyblakłym do koloni kości. Myślał o zbrązowiałych pod karzącym niebem pastwiskach i o ludziach wyczerpanych pracą i wątłą nadzieją na deszcz. Myślał też o tych, którzy stracili zupełnie nadzieję i nie robiąc nic, pełni współczucia dla siebie, całymi dniami wylegiwali się w cieniu.

Wielu ludzi unika mnie. Mam nawet kilku wyraźnych wrogów. Ale nie mogę pozwolić, żeby przerwało to moją pracę. O nie, takie błażostki nie mogą przerwać mojej misji.

Ludzie, którzy dawniej, za czasów, kiedy był jeszcze tkaczem, przyjaźnili się z nim, obecnie nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Tak bardzo tęsknił za dobrym sąsiedztwem, które utrzymywał prawie ze wszystkimi w gminie. Niestety, dokonał wyboru, poświęcił się misji.

Kiedy ludzie wykluczyli go ze społeczności, smoki stały się jego jedynymi przyjaciółmi.

Często z nimi rozmawiał, nawet wtedy, kiedy ich nie widział. Nawyk ten zbudował jeszcze większą barierę między nim a mieszkańcami Gurnn. — Kiedy znajdę wodę, przekonam się, że warto się było poświęcać i pracować — mówił sam do siebie. — Woda wytrysnie spod ziemi, tak mi powiedziały. Muszę ją znaleźć. Nie zapominajcie o mnie, moje smoki. — Mistrzu Tkaczu, Elothur,

Kiedy ludzie wykluczyli go ze społeczności, smoki stały się jego jedynymi przyjaciółmi. Często z nimi rozmawiał, nawet wtedy, kiedy ich nie widział. Nawyk ten zbudował jeszcze większą barierę między nim a mieszkańcami Gurnn. — Kiedy znajdę wodę, przekonam się, że warto się było poświęcać i pracować — mówił sam do siebie. — Woda wytrysnie spod ziemi, tak mi powiedziały. Muszę ją znaleźć. Nie zapominajcie o mnie, moje smoki. — Mistrzu Tkaczu, Elothur,

Przywódcą Miasta, żąda twojej obecności. —Kto tam? — Tarris spojrział podejrzliwie przez gałęzie drzewa. —Reldonas Fittering. Byłam tu dzisiaj rano. —Nie mogę. Muszę kopać. — Zabrał się do pracy z pod wójną energią. —Widziałam twoje smoki — Fittering podburzała go. —Co? — Starzec przestał wyrzucać ziemię i rozejrzał się dookoła. — Gdzie je widziałas? —Na rynku. Czy przyjdiesz? —Nie zmieściłyby się tam, rynek jest za mały dla trzech smoków. —Chciały, żebym cię odnalazła. —Moje smoki? — zapytał zdziwiony. — Rozmawiały z tobą?

—Powiedziały, abys przyszedł na rynek. Proszę, to nie zajmie dużo czasu. —No cóż, myślę, że to jest do zrobienia.—Powiedziawszy to, wynurzył się z płytkiego dołu, zarzucił szpadel na ramię i wziął do ręki „cenną zdobycz”. — Nie mogę zostawić pracy na długo, piąta wizja pojawi się wkrótce.

Reldonas, gadając coś bezmyślnie, prowadziła go drogą do i Gurnn. Starzec milczał; nawet kiedy zobaczył tłum wypełniający rynek miasta, nie odezwał się ani słowem. Przystanął na chwilę, wciągał głęboko gorące powietrze, jakby znajdował w nim potrzebną mu odwagę i zrobił jeszcze kilka kroków.

Kiedy stanął przy ramieniu Elothura, czuł za sobą drwiące szepty ściśniętych w dusznym skrawku cienia mieszkańców miasta. Oblana potem twarz przywódcy miasta była obojętna. Przy jego ramieniu stanęła Reldonas. Jej ptasie oczy płonęły. —Nie ma tu moich smoków. Muszę wracać do pracy. — Niech ciebie i twoją głupią... robotę! — zaczął człowiek ! stojący za Elothurem. — Utrudniasz nam tylko życie. O mało się nie zabiłem, wpadając do jednego z twoich dołów! Jestem okropnie pobijany i ty za to odpowiadasz. —Wygnać go! — krzyczał tłum, nie oszczędzając wizjone rowi przekleństw. Zakłopotany Tarris zmarszczył brwi i spojrział twardym wzrokiem na narzekającego. — Kim jesteś? — zapytał. —Thienborg Skopas — powiedział Elothur głosem zabarwionym złością i emocjami. — Jest obywatelem, członkiem towarzystwa. Thienborg chce, abys przerwał kopanie, bo twoje doły są publicznie niebezpieczne. — Powiedziawszy to, Przywódca Miasta zwrócił się w stronę zgromadzonych i podniósł głos. — Tarris jest jedyną osobą, która próbuje coś zrobić, abyśmy przetrwali suszę. Spójrzcie, co odkrył dzisiaj rano. — Mieszkańcy pchali się, aby zobaczyć wzruszającą kulę błota, ulepioną przez Reldonas. — Oto dowód na istnienie wody. Woda oznacza życie. Czy naprawdę chcecie powstrzymać jedyne spośród nas, który poszukuje wody?

—Jeżeli on jest naszą jedyną nadzieją, jesteśmy straceni! — krzyknęła kobieta, która straciła syna i męża podczas ostatniej fali choroby. —Wykopywanie błota nie uratuje nas! — krzyknął ktoś inny. —A co z przekłętymi dołami? — warknął Thienborg. — Należy mi się odszkodowanie za moje okaleczenie.

Przywódcą Miasta pochylił się w jego stronę i otworzył usta, jakby chciał wygłosić mowę. I nagle, jakby słońce wyssało z niego całą energię, opuścił ramiona, machnął zrezygnowany ręką i odszedł bez słowa.

Nieprzyjemną atmosferę zaostrzał nieustępliwy suchy wiatr. Mściwy wzrok Thienborga nie opuszczał sylwetki starca, chociaż ten tego nie odczuwał. Patrzył na horyzont, daleko poza tłum. — Należy coś z nim zrobić! — wściekłość kipiała w Thien-

gu. Ręce, nogi i reszta ciała drżały w napięciu. Poparło go kilku z jego przyjaciół.

Tarris, wsłuchując się w całe to zamieszanie, opuścił smutne oczy. —Przepraszam —powiedział, ale jego przeprosiny zginęły w hałasie. — Nie ma tu moich smoków. Muszę więc je odnaleźć. — Zróbmy coś, żeby przestał mówić o tych smokach! — zawołał Thienborg. —no i niech zaniecha kopania. Proponuję raz jeszcze wyrzucić go z miasta. Niech gdzie indziej kopie doły i niepokoi innych!

Złowrogie okrzyki sływały po Tarrisie jak woda po rynnie. Dawny tkacz musiał wypełnić misję.

Resztę dnia Tarris spędził na dalszym kopaniu w miejscach wskazanych przez leszczynową różgę. Przed zachodem słońca zdążył wykopać osiem dołów. Zadowolony z pracowitego dnia, zabrał się do jedzenia suchych owoców i mięsa, popijając je trzema łykami wody.

Nie chciał wracać na noc do dusznego, nie uporządkowanego mieszkania. Nie chciał również wracać do zastraszającej atmo-

sfery miasta. Chciał zostać tutaj, gdzie w oddali znajdowało się zaledwie kilka domów, gdzie gwiazdy mrugały przyjaźnie, gdzie przy świetle księżyca mógł kontynuować pracę.

Był spokojniejszy niż przez ostatnie dni. Zagajnik był prawdziwym wytchnieniem po napiętej atmosferze w Gumn. Jego dusza śpiewała, nadzieja wypełniała serce. Znajdzie wodę, wie o tym! j

Wizja pojawiła się nagle. Niedaleko zobaczył zbliżającą się trójcę smoków: złotego, srebrnego i brązowego. Ospałym ruchem rozpięły skrzydła, rozluźniając każdy mięsień wspaniałego, pokrytego piękną skórą ciała. Wywijały ogonami, rytmicznie przecinając powietrze.

Starzec patrzył z podziwem na zadziwiająco piękną scenę.; Powoli zaczęły go dostrzegać. Pierwszy był brązowy, skierował głowę w jego stronę i przyspieszył. Srebrny przyjrzał się uważnie, skinął głową i podążył za tamtym. Pierwsze dwa posunęły się do przodu, złoty zwlekał z jakiegoś powodu.

Utkwiły spojrzenie w oczach starca, w milczeniu przedarły się przez jego ludzką skorupę do wnętrza duszy. Tarris nie czekał na słowa, sercem czuł, co mówią. —Wykopałem wiele dołów wczoraj i dzisiaj. W mieście było zebranie zwołane w związku z moją robotą. —Wiemy o tym — odpowiedział srebrny smok, kiwając' porozumiewawczo głową. — Zachowałeś się właściwie. — Jeden z Judzi okaleczył się, wpadając do dołu. Winił za to mnie, mówił też, że moje wizje są głupie. — Twarz i oczy starca płonęły. — Ja jednak wiedziałem, że jesteście prawdziwe. —To przeświadczenie czyni cię człowiekiem godnym misji — oświadczył brązowy, podchodząc bliżej do Tarrisa. — Jesteś jednym z tych, którzy nie zważając na nic, zmierzają do zrealizowania godnego poświęceń celu. Ogromne oczy srebrnego przylgnęły do tkacza. — Nie wydaje ci się, że inni są zazdrośni? Tarris opuścił głowę na znak zgody.

— Nie powinienem się o nic martwić. Wiedliście mnie przez cały czas — powiedział Tarris, prostując się jak żołnierz na komendę, i odrzucając ramiona do tyłu, kontynuował. — Co

dziennie ćwiczyłem z leszczynowym kijem, postępowałem do-| kładnie tak, jak mi poleciliście — z podniecenia zaczął mówić nieco szybciej. — W jednym z dołów, który wykopałem dzisiaj, grunt jest trochę wilgotny. Brązowy pokiwał twierdząco głową.

— Od tego się zaczyna. Czasami odnalezienie właściwego I miejsca trwa dłużej, niżby się chciało. —Pamiętaj, że musisz być cierpliwy — dodał srebrny. — Cierpliwość jest kluczem do rozwiązania zadania. —Tak, tak — starzec mówił pełen zapału. — Jestem cierp liwy, wiecie o tym. Ale reszta mieszkańców nie jest. —Tak, wiemy o tym — dodał brązowy. —Mamy dla ciebie ostatnią instrukcję — złoty smok ode zwał się po raz pierwszy. —Wreszcie! — wykrzyknął Tarris, a serce zaczęło mu bić żwawiej. — Jestem gotów. —Na wschód od miasta znajdziesz małą dolinę — zaczął brązowy smok. Starzec zrobił niewyraźną minę.

— Tę z piramidą skał na skraju czy tę z popękanyimi drze wami? — Tę z piramidą skał. Srebrny smok przejął inicjatywę. —Idź wzdłuż doliny, aż dotrzesz do podstawy kamienia odkrywkowego. Zauważysz to, jest specyficzny, to pierwotny gład doliny. Kiedy dojdiesz do końca wąwozu, będziesz wie dział, że jesteś na miejscu. Odmierz siedemnaście kroków na lewo, tam rośnie skarłowaciałe drzewo. —Odpoczywaj teraz. Spróbuj dotrzeć tam, zanim upłynie poranek. W dolinie znajdziesz cenną wodę. Komunikujemy się z tobą po raz ostatni.

.. i nagle smoki zniknęły z wyobraźni Tarrisa. Bańka prysła, na nocnym niebie znowu pojawiły



się gwiazdy. Starzec drgnął.

— Wiem już, gdzie szukać wody! — śpiewał, prawie tań cząc z podniecenia. — Wiem, wiem! Dziękuję ci, Paladynie, i wam, wszyscy bogowie dobra!

—  
Uradowany i zmęczony Tarris skulił się na ziemi i zasnął. Szufla odpoczywała na prawo od wyrzuconej z dołu ziemi. Cenny leszczynowy kij leżał pod dłonią staruszka. Uśmiech szczęścia zagościł na jego ustach, wygładzając starcze zmarszczki na czole.

Zasnął szybko i we śnie odpłynął do swoich smoków. Za bajeczną trójcą znajdowały się kaskady, którymi woda spływała do cudownych, otoczonych zieloną trawą i paprociami, sadzawek. Przez szum wody przebijały się krzyki szczęśliwych, rozkoszujących się cennym darem ludzi z Gurnn.

Tarris zbudził się, kiedy resztki nocnego mroku ustępowały porankowi następnego dnia. Podekscytowany, nie miał ochoty na jedzenie, jednak rozsądek podpowiadał mu, że ponieważ będzie potrzebował energii, musi zjeść skromne śniadanie. Opłukał usta resztkami wody. Pocziwy starzec nigdy nie narzekał na jej nieprzyjemny smak, a dzisiaj, podniecony dobiegającą końca misją, pił cenną, chociaż wymieszaną z błotem, wodę jak stare dobre wino. Również wyschnięte owoce były słodsze niż zwykle.

Zarzucił szuflę na ramię, ścisnął w dłoni „zdobytą” różgę i ruszył w kierunku doliny z piramidą skał. Musiał przebyć spory kawałek drogi, ale nie miał nic przeciwko temu. Jego serce śpiewało razem z witającymi poranek ptakami. Bez względu na chore kolano, tempo miał nie najgorsze i doszedł na miejsce, jeszcze zanim poranek dobiegł końca.

Prawie przez cały czas słyszał za sobą szuranie nogami i odgłos poślizgnięć. Nie musiał się oglądać, wiedział, że była to Reldonas Fittering. Szła za nim, powłócząc kulawą nogą najszybciej, jak tylko mogła. Staruszek uśmiechnął się pod nosem. Przegapiła wizję, ale ma szczęście zostać bezpośrednim świadkiem przebijania się wody przez wysuszoną ziemię.

Tarris powoli wchodził w dolinę. Leszczynowy kij trzymał przed sobą w pogotowiu, nie chciał przegapić ukrytego źródła. Wiedziony przez laskę, mijał gładkie wapienne skały, kierując się w głąb doliny.

— Jest tak, jak powiedziały smoki — zamruczał. Wapienne ściany zwięzały się. Reldonas nie przestawała go śledzić, ale starzec nie zwracał sobie nią głowy. W pewnym momencie dolina znowu się poszerzyła. Tarris był skoncentrowany, myślał tylko o ukrytej pod ziemią wodzie.

Wreszcie leszczynowy kij przyprowadził go do odkrywkowej skały na końcu doliny. Uśmiechnął się zadowolony i obniżywszy laskę, powiedział głośno, chcąc mieć pewność, że Rel-donas go usłyszy.

— Siedemnaście kroków na lewo od skarłowaciałego drze wa. — Rozejrzał się dookoła. — Gdzie jest to drzewo?

Drzewo, skarłowaciałe czy nie, rośło w miejscu, które wskazał smok. Przez lata wyschło kompletnie i przewróciło się. Po-blakło, wyglądało jak jeden z martwych kamieni leżących u podstawy odkrywkowej skały.

Tarris zatrzymał się, potrzebował natchnienia. Zmrużonymi, zmęczonymi słońcem oczami szukał znaku na skale.

— Musi być tutaj. Musi gdzieś być! — Jego głos odbijał się echem w tę i z powrotem, razem z odgłosem kroków zbliżającej się woźnej sądowej dźwięczał w jego uszach. Hałas narastał; teraz zdawało się, że słowa te wypowiada nie jeden człowiek, lecz cały tłum. — Smoki mi obiecały. Nie mogły skłamać.

Cofnął się o krok, potem dwa. Piętą sandała zahaczył o duży kamień i upadł do tyłu.

Nagrzane od słońca skały paliły go przez ubranie, obił sobie ramię, uderzając nim o łopatę. Kurz dostał mu się do nosa i ust. Zakasłał. Przysłaniając załzawione oko, z wielką nadzieją sięgnął po leszczynową łaskę i jeszcze raz, teraz już uważniej, przyjrzał się skalnej ścianie. — Tutaj! To musi być to. — Z samego środka skały wystawał niewyraźny kształt drzewa. Było widoczne tylko z odpowiedniego miejsca. Starzec wgramolił się na górę, aby dotknąć rękami poszukiwanego przedmiotu. — Dziękuję, smoki — wybełkotał z sercem pełnym wdzięczności i odwrócił się w lewo. — Siedemnaście kroków od tego miejsca. — Ostrożnie odmierzał każdy krok, nieustannie trzymając przed sobą „cenną zdobycz”. Leszczyna nie drgnęła do momentu, kiedy Tarris odmierzył siódmy krok.

Różga wygięła się tak gwałtownie, że przeraziło to staruszkę. Szarpnięcie było silne i pokłoniło go aż ku skalnej podstawie. Podniecenie rosło w nim gwałtownie. Tarris odłożył leszczynę, a w zamian za to wziął do ręki szpadę i zaczął kopać.

— Niewiarygodne! To, czego dokonał ten kij, było naprawdę zdumiewające. — Dawna woźna sądowa usadowiła się na; szczycie-ogromnego kamienia, niedaleko jego ramienia. Tarris nie marnował energii na odpowiedź. Klęcząc, odsuwał kamie nie najdalej, jak tylko zdołał. Stare mięśnie z wielkim trudem dźwigały pełną kamieni łopatę. Pot spływał po jego czole. Gardło paliło z pragnienia, ale nie przerywał pracy. Obiecał sobie, że nie tknie żadnego napoju, dopóki nie odkryje nowej studni.

Po raz pierwszy dobiegły do niego inne głosy, kiedy jego dół sięgał po kolana. Zlekceważył tajemniczy gwar i odgłosy szurania nogami, myśląc, że to echo albo dźwięk poruszającej się na skale Reldonas. Kiedy jednak hałas narastał, spojrział w górę.

— Dobry dzień — powiedział uprzejmie, przerywając na chwilę pracę. Stała nad nim gromada mieszkańców z jego miasta.

— Patrzcie, smoki powiedziały, abym tutaj wykopał studnię. Na pamiątkę nazwałem ją Studnią Smoków.

Nikt nie odpowiedział na jego przyjazne powitanie, a szczególnie nie zamierzał tego zrobić Thienborg Skopas, który z załzawionymi na piersiach rękoma stał na krawędzi dołu i mierzył starca wzrokiem tak zimnym jak kamień pod jego stopami. — Przepraszam — powiedział Tarris. Popękane pęcherze na jego rękach krwawiły. — Mam dużo pracy. — Twoja praca nie ma żadnego znaczenia, szalony starcze: — oschle rzucił Thienborg. — Nie miałeś żadnej wizji i nie ma tu żadnej wody. Nigdy nie było i nie będzie. Tarris zatrzymał się znowu: — Smoki powiedziały mi... — Smoki? — zadrwił rozmówca. — Powiedziałem ci, nie ma tu żadnej wody.

— Moje smoki nie kłamią! — zaprotestował Tarris i zwrócił się do innych: — Wszyscy mnie znacie od wielu lat. Czy kiedykolwiek was okłamałem?

Tarris z trudem złapał powietrze, jakby coś uderzyło go w plecy. Słusznie przeczuwał, uderzył go kamień, po nim pojawił się jeszcze jeden, następny i kolejny — deszcz twardych i bolesnych kamieni spadł na niego. Po chwili uderzenia stały się łagodne i coraz bardziej miękkie. Wkrótce przestał je czuć. Spróbował przemówić jeszcze raz. Jego usta się poruszały, ale żadne słowa nie wydobywały się z nich. Upuścił gdzieś szpadel. Jeszcze próbował go znaleźć, kiedy więcej kamieni uderzyło w jego głowę. Kolana się pod nim ugięły, osunął się na skałę i wpadł do dołu, który sam wykopał. Upadł twarzą zwróconą do jasnego słońca. Wiatr uniósł przeraźliwy jęk Reldonas. — Sam sobie wykopał grób — zadrwił Thienborg. — Dostał to, na co zasłużył. — Stój!

Tłum odwrócił się w stronę dobiegającego głosu. Przywódca Miasta, Elothur, i dwóch jego strażników, biegli wzdłuż doliny. Wszyscy trzej zatrzymali się gwałtownie, widząc przerażający obraz.

— Nie — wyszeptał Elothur, potrząsając głową. — O nie. Nie wierzę, że stało się to naprawdę.

Nie przestając poruszać głową, burmistrz zszedł w dół, do grcbru. Ukłąkł, ocierając kolana o kamienie, i łagodnie oparł głowę o zakurzoną szatę Tarrisa. Umierający starzec otworzył zamglone oczy.

— Mój przyjacielu — wyszeptał, kiedy Elothur pochylił się nad nim. — Czy widzisz je? Moje smoki! Ciesz się ze mną. Znalazłem wodę dla miasta. Znalazłem ją...

Jego głos załamał się. Zanim światło zgasło w oczach starca, utkwiał wzrok daleko przed siebie. Uśmiech pozostał na jego twarzy na zawsze.

Elothur poczuł się tak stary jak sam Ansalon. Zasmucony, położył na ziemi głowę Tarrisa i podniósł się powoli.

— Wykopał dla siebie grób — nieustannie powtarzał jeden z tłumu. Burmistrz kipiał ze złości. — Wczoraj wieczorem smoki obiecały mi, że znajdzie wodę i rzeczywiście tego dokonał. — Przewidział swoją śmierć, nic więcej — drwił Thienborg. — Więcej niż to — podkreślił Elothur. Wszyscy patrzyli. Coś zabulgotało pod ciałem starca.

Całe zgromadzenie patrzyło z zapartym tchem, jak cenna i woda sączy się spod zakurzonej szaty Tarrisa. Przywódca Miasta zanurzył w niej palec i wyciągnął przed siebie. — Tak jak obiecał, spod ziemi płynie woda — ogłosił srogim głosem. — Spróbujmy jej więc! — krzyknęła Reldonas, przygląda jąca się bacznie zza jego pleców całemu zająsciui, po czym spu ściła się w dół ze skały. — Nie — Elothur próbował udaremnić jej zamiar. — Woda jest skażona. Potępiliśmy jej dawcę, unikaliśmy, aż wreszcie zamordowaliśmy go... naszego brata. Nikt nie ośmielił się pić tej wody. — Dlaczego nie? — zapytała Reldonas Fittering. Elothur pokazał tłumowi mokry palec. Pochylił się przysunął bliżej, tak aby wszyscy mogli zobaczyć.

W kropli krystalicznej wody widać było domieszkę ciemnej i krwi staruszka.

DWOJE WSPANIAŁYCH NickCDonohoe

Suchy, zdradziecki wiatr gwizdał dookoła doliny, której od dawna nikt nie uprawiał. Choć było bardzo gorąco, Harri mocno naciągnął płaszcz, daremnie próbując osłonić się od kurzu.

O mało nie przegapił gospody. Podstępny wiatr podpowiadał mu, że poza polem jego widzenia musi znajdować się budynek. Odsunął kaptur i spojrzał przed siebie.

Szyldy były popękane i brudne, przez ich szczeliny przeciekłby najmniejszy deszcz. Napis był skromny, ale czytelny i wystarczająco zniszczony, aby zdradzić brutalne zachowanie odwiedzających. Pod napisem znajdowała się półka i wieszaki na szable, siekiery, buławy i inne mniej znane narzędzia. Stojak koronowała czaszka, zaznaczając, że również walka na topory zdarzała się w tym miejscu. Widać było, że karczma jest pełna, ale wieszak był pusty. Obejrząwszy uważnie wieszak, Harri starannie zakrył szablę płaszczem i wetknął za pas zwój papieru, ) czym otworzył drzwi. Wszystkie twarze zwróciły się w jego stronę, ale nie na długo, ebezpieczne lata nauczyły ludzi ostrożnos'ci i po chwili biesiadnicy, zasłaniając twarze, wrócili do swoich rozmów. Harri uśmiechnął się do gospodyni baru (było zbyt późno, aby nyśleć, że była pomocą barmana). Potężna, ale wciąż piękna bieta o czerwonej twarzy i z włosami upiętymi do góry, tak że śc z nich swobodnie opadała, nie zdradzając nutki sympatii, witała przybysza. , — Witamy w Peacedale. ' — Ładna nazwa — odrzekł, rozglądając się dookoła i pró

bując się zorientować, gdzie klienci trzymają swojąbroń. Strzepnął kurz z siwiejących włosów. — Coś do oczyszczenia się z kurzu? — Coś do oczyszczenia się z pieniędzy? — Kobieta wyciągnęła dłoń.

Uśmiechnął się i postawił plecak na krześle; w ten sposób nie musiał się schylać. Pokłonił się w stronę wszystkich zajętych stolików. Na chwilę zatrzymał wzrok na młodym wątlým blondynie, który

siedział na krześle opartym o ścianę i z zainteresowaniem obserwował go. Oderwał wzrok i spojrzał na stolik, przy którym siedziało czterech przygarbionych mężczyzn, odzianych w sfatygowane płaszcze i udających, że nie widzą przybysza.

Z niektórymi osobami mógł mieć kiedyś do czynienia. Rzucił gospodyni baru monetę i nie zdziwił się, widząc, że sprawdzają nożem. Zabrał się do ofiarowanego mu piwa. Zdążył opróżnić kufel do połowy, a barmanka nie przestawała na niego patrzeć. Uśmiechnął się do niej. — Trzeba przyznać, że intrygują cię nowe twarze. Potrząsnęła głową bez uśmiechu i bez niezadowolenia. — Nie jesteś kupcem. — Nie mówiła głośno, ale tylko niektóre głowy się odwróciły. — Nie jesteś biurokratą i, na Paladina, nie jesteś rolnikiem. Co cię do nas sprowadza? — Zmiana otoczenia — odpowiedział uprzejmie. — Pomyślałem, że wycieczka w góry dobrze mi zrobi. Raz jeszcze powoli pokręciła głową. Harri westchnął. — Chcesz znać prawdę? Skinęła twierdząco.

— No dobrze. Kilka miesięcy temu — zwrócił się do niej, ale mówił wystarczająco głośno, żeby inni też mogli słyszeć — kilka miesięcy temu dolina Rockhaven, na północ stąd, została zaatakowana przez czerwonego smoka. — Harri widział kątem oka lekko potakujące głowy. — Miasto — ciągnął dalej — zostało zniszczone prawie w całości, ludzie stracili majątek. Smok najprawdopodobniej działał na zlecenie Ciemnych Rycerzy Takhisis i miał zamiar oddać im całe bogactwo. Na pomoc

100

krainie przybyli Rycerze Solamnii w towarzystwie smoków. Zaraz po nich pojawili się Rycerze Ciemności i wszczęła się bijatyka. — Wzruszył ramionami. — Niby nic, ale potyczka z czasem zamieniła się w wojnę. Przebiegłe smoki ukryły zagrabione skarby w górach, oznaczyły miejsce, zostawiając znaki na kamieniach i dołączyły do bitwy. — Harri zbadał reakcje klientów. Opowieść nikogo specjalnie nie poruszyła. Zнали ją doskonale. — Walka była okrutna. Później skały zaczęły się kołysać i ześlizgując się, spadały. — Mówiąc to, przeciągnął palcem po stole i odsłonił blat pod smugami kurzu. — Zwłaszcza że było tak sucho, i trawa, i krzewy uschły. Lawina pochłonięła skarby smoków — zakończył lekceważąco, przypuszczał, że ostatnie zdanie nie miało większego znaczenia. — Słuchałam tej opowieści przez całe lato — barmanka odezwała się zmęczonym głosem. — Opowiadali ją marzyciele, złodzieje, górnicy i nawet kilku karłów, ale nie miało to najmniej szego sensu, bo nie wkładali w nią żadnej energii. Dlaczego twoja wersja ma być lepsza? — Smok powraca.

Wąty blondyn wyprostował się. Fala niepokoju przeszła przez pomieszczenie.

— Nazywa się Auris. Porzucił służbę u Pani Ciemności, co oznacza, że zjawi się tutaj niedługo. Będzie szukał swoich skarłów, nawet gdyby miał rozerwać Rockhaven na kawałki. Klienci spoglądali po sobie ukradkiem. — Smoki — beznamiętnie powiedziała barmanka — nie sprzyjają interesom. — Jeżeli zdążę odnaleźć skarb, zaczekam na niego tutaj. Kiedy się pojawi... — Spojrzał dookoła wyzywającym wzrokiem, po czym westchnął. — No cóż. — I robiłbyś to z czystej dobroci serca? Harri uśmiechnął się niewyraźnie.

— Jesteś rycerzem? — Przeszedłem szkolenie na jednego z nich. Gospodyni karczmy spojrzała na niego, nie ukrywając wątpliwości.

— Nawet krowa może twierdzić, że jest koniem.

— Tak, dopóki ma siodło na karku. — Przybysz pogrzebał w plecaku. — Gdybym kłamał, mówiąc, że jestem rycerzem, nie nosiłbym tego oto połamanego kawałka pancerza.

Uniósł do góry kawałek metalu tak, żeby wszyscy mogli zobaczyć wygrawerowany napis: Est Sularus oth Mithas.

— Honor jest moim życiem — powiedział uroczyście i przejmująco, po czym pochylił się i szepnął: — Sprzedam go po odpowiedniej cenie. Barowa otworzyła gębę. — Twój honor? — Nie, nie

— powiedział zirytowany. — Pancierz. Nawet go najpierw wypoleruję. — Harri zwrócił uwagę, że patrzy na niego wąty blondyn. — Przedsięwzięcie, którego się podejmuję, sporo kosztuje. Poświęcenia nigdy za dużo. — Czy aby na pewno zdobyłeś to, będąc jednym z Rycerzy Solamni? Harri odpowiedział ucziwie: — To prezent od brata rycerza, który już go nie potrzebował. — Porzucił rycerski stan? Zanim odpowiedział, odruchowo spojrzął na bliznę na przedramieniu i zawiesił wzrok w dali karczmy. — Stał się pacyfistą. — To poważna zmiana w jego życiu. — Największa. — Zatem to nie był twój pancierz? — odezwał się wąty blondyn. Miał zadziwiająco wysoki głos. — Nie od początku był moją własnością — Harri nadal odpowiadał lekkomyślnie. — Rycerz, który mi go podarował, powiedział, że Auris zaznaczył kryjówkę dwoma liniami na kamieniu w lewym rogu. Jeżeli spojrzysz na linie z dołu, zbiegną się i wskażą kryjówkę. Barowa westchnęła. — Po wojnie z powodu lawiny znaki zginęły — powiedziała.

— Jesteś pewna? — zapytał. — A co z historią, o której wspomniał jeden z nich? — Rozejrzał się dookoła, dotykając

— zwoju za pasem. — Powiedz mi... — Machnął lekceważąco ręką i dopił piwo. — To tylko opowiadanie.

— My też będziemy opowiadać o tobie, kiedy umrzesz i nie zostanie po tobie żaden ślad, Harri Gundervall — ktoś wtrącił się do rozmowy.

Harri odwrócił się do tyłu karczmy. Spotkał spojrzenie czterech mężczyzn siedzących przy stole na końcu. Jeden z nich, człowiek ogromnych rozmiarów o prostych, brązowych włosach dodał ochryplym głosem: — Nie zamierzasz chyba walczyć ze smokiem w pojedynkę? — Zerknął w stronę drzwi. — Chyba że na zewnątrz masz oddział ludzi.

Ukrywając jedną ręką pod peleryną, Harri odpowiedział bez namysłu:

— Zazwyczaj pracuję sam. — Już zaraz żałował tego, co powiedział. Próbował rozładować sytuację miłym uśmiechem. — Spotkaliśmy się kiedyś? — Patrzyli na niego kamiennym wzrokiem. — Korespondowaliśmy ostatnio? — dodał mocniej, znowu dotykając zwoju.

Mężczyzna o brązowych włosach potrząsnął powoli głową i wyszczerzył zepsute zęby. — Twoje imię znajduje się na naszej liście porachunków. Harri drgnął. — Nazywają cię również Harri Human Kender, czy nie tak? — Człowiek o wielkiej posturze podniósł się powoli. — To stare przezwisko.

— Harri Gundervall: szermierz, instruktor szermierki, wyra chowany bandyta — mężczyzna mówił głosem pełnym słodyczy. A — Kolejność niezupełnie taka. Człowiek promieniał z radości: — Jest za ciebie nagroda.

Pozostali trzej również wstali od stołu, ich ręce znajdowały się poza zasięgiem wzroku.

— Jestem pokojowo nastawionym człowiekiem — powie dział Harri i wykonał ruch ręką, pokazując, że jest pusta. Drugą trzymał w pobliżu zwoju.

—

Wszyscy trzej zachichotali, a brązowowłosy odezwał się znowu: — Zobaczymy, jaki z ciebie pokojowy człowiek.

Kiedy cała czwórka podniosła się z ławki, odrzucając płaszcze, wąty blondyn również prędko wstał i odsunął się na tyt karczmy. Jeden z nich wyciągnął miecz, drugi buławę, a dwaj pozostali zniszczone i przebarwione topory.

— Bez zabijania — powiedziała niespokojnie barowa. Przy ciągnęła do siebie małe dziecko i ściskając je, ukryła w piersiach i fartuchu.

To, co wydarzyło się potem, stało się bardzo szybko. Bez wahania Harri rzucił płaszcz na głowę jednego z awanturników i pociągnął w dół, tłukąc jego głową o stół. Następnie kopnął ławkę, która wyleciała w powietrze, uderzając drugiego z nich. Kiedy padał z jękiem, Harri złapał pod pachę

kolejnego, który próbując ratować przyjaciela, wypuścił z rąk szablę. Trzeci z hełmem na głowie, upadając, zadźwięczał jak bęben. Cała trójka leżała nieruchomo. Rozlane z pucharów wino spływało ze stołu. Nagle Harri usłyszał za plecami nieartykułowany jęk i łomot. Odwrócił się i po raz pierwszy złapał za szablę, wysuwając przed siebie ostrze.

Na podłodze leżał wplątany w linę mężczyzna i wypuściwszy z przerażenia siekiere, błagał o litość.

Znalazł się tam za sprawą wątlęgo blondyna, który sprytnie i umiejętnie przewiązał linę pomiędzy nogami dwóch stołów, pokonując w ten sposób czwartego napastnika.

Harri uniósł miecz, a następnie, zorientowawszy się, że wszyscy w gospodzie patrzą w jego stronę, podniósł brwi i zwrócił się do barowej: — Powiedziałaś, bez zabijania. Przytaknęła, mocniej przyciągając do siebie dziecko.

— Prawdziwy rycerz — powiedział uroczyście — ma litość nad ofiarą.

Pochylił się nad leżącym na podłodze mężczyzną i uderzył ciałem o stół, pozorując wypadek. Stół wywrócił się, rogiem uderzając w czoło mężczyzny.

— Oj. To musiało zboleć. — Uniósł powieki nieprzytomnego mężczyzny i przyjrzał się szklanym oczom. — Ocknie się wkrótce. Muszę sprawdzić okaleczenia — powiedział i pstryknął palcem. — Poproszę ręczniki.

Mocniej pochylił się nad ciałami, delikatnie badając rany. Zaskoczeni sytuacją gapie nie zorientowali się, że w tym czasie zniknęły trzy sakiewki. Harri owinał głowę nieprzytomnego ręcznikiem, podniósł się i pocierając rękoma, zrobił krok do tyłu, po czym zwrócił się do młodego sprzymierzeńca: — Poradziłbym sobie z nimi — zaczął i przerwał. Wątlý blondyn okazał się mocno umięśnioną, zahartowaną kobietą. — Nie byłam pewna. Czy naprawdę zamierzasz polować na Aurisa? — odpowiedziała spokojnie. Przytaknął ruchem głowy. — Niezależnie od tego, jak długo to potrwa — oświadczył i dodał zdawkowo: — jest przekonany, że wróci po złoto, dlatego nie mogę czekać, aż on... — resztę zdania pozostawił nie dokończoną. — Pójdę z tobą. — Kobieta zarzuciła linę na plecy i dodała: — jestem zainteresowana wyłącznie pieniędzmi, ale oczywiście pomogę w walce ze smokiem. Harri stanowczo zaprzeczył ruchem głowy. — Działam w pojedynkę — odpowiedział, ale zaintrygowała go jej chęć wyruszenia z nim. Pomijając wszystko, była dość sprytna i siedziała z tyłu karczmy, więc miała na oku główne i tylne wyjście. Ponadto nawet Harri nie zauważył, że była uzbrojona. — Potrzebna ci pomoc. — Patrzyła mu uparcie w oczy. — Ryzykujesz życie — odpowiedział. Energicznie skinęła głową. — I będziesz musiała spełniać rozkazy. Tym razem głowa poruszyła się wolniej. — Zrobię, co do mnie należy. Wyciągnął prawą dłoń. — Masz moje słowo. Impulsywnie ścisnęła jego wysuniętą dłoń obiema rękami. — Nazywam się Gem. Z nieco mniejszym zapalem Harri wysunął lewą pięść i wy-

mierzył ją w brodę dziewczyny. Kiedy omdlała pod wpływem silnego uderzenia i padała na ziemię, złapał ją w ramiona. Starannie usadowił ją na krześle i wyciągnął sakiewkę.

— Tutaj będzie bardziej bezpieczna, biedna... barowo. Ile za wodę, kiedy się ocknie? Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy. — Cała przyjemność po mojej stronie. — Dobra kobieta. — Harri pokłonił się uprzejmie i skierował w stronę wyjścia, delikatnie stąpając, tak aby nie dźwięczały skradzione monety. Chociaż przegapił umówione w karczmie spotkanie, opłacało się w niej zatrzymać.

Droga do Rockhaven prowadziła przez wąski wąwóz i była oznaczona koleinami furmanki. Szedł zwawo, w każdym kamieniu i korzeniu, który mijał, widział ukryte złoto. Pogwizdywał wesoło, cała droga należała do niego.

No, prawie cała. Po kilku godzinach przez ramię zobaczył postać odzianą w zniszczony płaszcz.

Lawirowała pomiędzy głazami, wymykając się z zasięgu jego wzroku. Przyjrzał się jej uważnie, myśląc, że tego nie zauważy, i skręcił na najbliższym rozdrożu, przez chwilę szedł prosto, po czym znowu skręcił.

Tam się zatrzymał, stojąc na widoku. Umyślnie wyciągnął zwój, który miał ze sobą w karczmie i zaczął czytać:

„Wiesz o jednym ze znaków zostawionych przez smoka Aurisa. Ja wiem, gdzie znajduje się drugi z nich. Spotkajmy się w karczmie Peacedale”.

Schował zwój i zniknął za rogiem. Wgramolił się na skald czając się na idącą za nim osobę. Kopnął ją kilkakrotnie i zacisnął ręce na plecach ofiary. — Łatwo cię zaskoczyć, Gem. — Nie jestem zaskoczona. Chciałam, żebyś mnie zauważył, — Następny razem rób to lepiej.

Zaśmiała się niewinnie, po czym uniosła kolana tak szybko, że Harri nie wiedział, kiedy odskoczył w powietrze. Zanim się

zorientował, ich role się odwróciły, teraz ona trzymała go, przyciskając kolanami. — Samemu nigdy ci się nie uda — powiedziała. — Nigdy nie miałem takiego zamiaru. Ktoś przysłał mi wiadomość... — urwał w pół zdania, zaskoczony okropnym podejrzeniem, które pojawiło się w jego głowie. Gem spojrzała na niego. — Kto? — wstała i odwróciła się.

Usiadł, długo i ciężko patrzył na nią, zanim odwrócił się i potrząsnął głową. — List był podpisany... — Każdy może podpisać list. — i zapieczętowany... — Aha. To co innego. — Przez szeryfa Rockhaven. — Szeryfa! — ledwie to wymówiła. — A to półgłówek, tak jak ty. Interesują mnie wyłącznie pieniądze — pochyliła się do przodu. — Musisz coś wiedzieć o znakach, inaczej nie zwracał byś sobie głowy przychodzeniem tutaj. — Przybyłem, aby zabić smoka — rzucił zirytowany Harri. — To może okazać się naprawdę trudnym zadaniem. Smok musi być olbrzymi, inaczej nie złupiłby całego złota. Harri zadrżał. — Co powiedziałaś o złocie, zanim opuściłaś gospodę? Kobieta uważnie popatrzyła w dół wzgórza, skąd przyszli. Ogromna chmura kurzu wypełniała drogę po brzegi. — Może...

Zanim dziewczyna skończyła zdanie, Harri biegł, chowając się za wyższe wzniesienie. Obok niego śpieszyła sapiąca Gem. Nadciągająca chmura kurzu rozdzieliła się na kilka linii i teraz można już było rozpoznać biegnących uzbrojonych mężczyzn.

Harri znajdował się na zboczu nieco powyżej niej. Badał popękane na krawędziach skały, następnie z worka wyciągnął skórzaną sakiewkę. Ostrożnie wysypał strumień krwawoczerwonych kamyków na rozpadliny skalne. Zafascynowana tym Gem podeszła do niego na palcach.

— Co masz zamiar z tym robić? Harri uderzył krzesiwem o leżący na płótnie miecz. — Wybuchnie, jeżeli uda mi się to podpalić. — Dostałeś to od magów?

— Od skrzatów. Gem odsunęła się do tyłu, gdyż jak jej się zdawało, rzemyk zaczynał płonąć. Patrzyła ze zdziwieniem i politowaniem. — Kupiłeś od karłów nieużyteczny materiał wybuchowy? — Niezupełnie kupiłem. I niezupełnie jest on nieużyteczny. Wybuchł, kiedy go wypróbowali. — Mówisz, że wybuchł. Czy nie wiesz, że zawsze coś wybuchy, kiedy skrzaty to wypróbują? Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Tamto próbowali przy mnie. — Wskazał na drugą sakiewkę, ta zawierała fioletowy proszek. — Miał wydłużać pamięć, ale po dokonaniu próby wszyscy zapomnieli o tej idei i o tym, co robili — powiedział i ponownie pochylił się nad płótnem.

Wściekły dmuchał na zwęgloną tkaninę, podtrzymując dogasającą iskrę. Płótno zaczerwieniło się i wybuchło płomieniem. Gem oderwała od niego wzrok i przyjrzała się tumanowi kurzu, który był coraz bliżej nich. — W Peacedale pokonaliśmy tylko czterech. Wygląda na to, że mają przyjaciół. — Mówi się, że dzisiaj niełatwo znaleźć przyjaciół — wy-stękał, dmuchając w dogasające plecione

plótno. Nie było czasu do stracenia. Harri wskazał na tuman kurzu. Teraz wszystko było wyraźne i widoczne. Biegli, zachowując odpowiednią odległość, tak aby jeden drugiemu nie kurzył.

— Kiedy się zbliżą, zapal mały skręt szmaty. — Zszedł ze zbocza i pobiegł w drugą stronę.

Ukrył się na przeciwległym zboczu. Banda właśnie przebiegała obok niego. Prowadził ich człowiek, którego hełm z głuchym dźwiękiem uderzał o głowę. Harri zauważył, że był kompletnie łysy, bezzębny i w okropnym stroju. Nagle Harri poczuł, że jego kieszeń jest pusta, skradzione pieniądze zniknęły. Tym

czasem Gem zarzuciła koniec liny na trzy gałęzie i zawisała nad wzgórzem, poniżej którego znajdowali się intruzi.

Spojrzeni na nią. Harri patrzył również, odrywając się myślami od tego, co tak bardzo chciał zobaczyć: mały dym wydobywający się z miejsca, które opuściła Gem.

Kiedy ponownie spojrzął w tamtą stronę, dym znajdował się tuż przy materiale wybuchowym. Harri opadł na ziemię, zakrywając uszy.

Nic się nie wydarzyło. Podniósł się, kiedy Gem spuściła się na linie i kopnęła jeden z wielkich głazów, który spadając, uderzył w trzy inne kamienie, a te pociągnęły za sobą osiem kolejnych, a następnie dalsze dwanaście. Spadające kamienie huczały, odbijając się echem w wąwozie. Przestraszona banda odwróciła się i patrzyła z przerażeniem, jak osuwające się po zboczu wzgórze kamienie z narastającą chmurą kurzu toczą się prosto na nich. Uciekali najszybciej, jak tylko mogli, ale zabłądzili w kurzu.

Na dole zbocza, tuż za bałwanem kurzu, Harri z wyciągniętą szablą czekał już na nich, gotowy do ataku. Pierwszy z kaszlących intruzów wpadł prosto na ostrze Harriego. Drugiego, nie przygotowanego na atak, spotkał podobny los. Trzeci potknął się o poprzednich. Reszta była lepiej przygotowana na atak, ale wciąż wynurzali się z mgły pojedynczo.

Po zabiciu ponad tuzina uzbrojonych ludzi Harri przerwał. Chociaż nikt nie nadchodził, czekał w pogotowiu, z trudem łapiąc powietrze.

Wreszcie dwie kolejne postacie wynurzyły się z kurzu. Były uzbrojone od stóp do głów. Nadciągały zwartą grupą, osłaniając się nawzajem.

Otoczony ze wszystkich stron Harri, obracał się dookoła. Niespodziewane wycie dobiegające gdzieś z góry odbiło się echem, wprowadzając napastników w zakłopotanie.

Gem leciała prosto na nich. Nogi miała podciągnięte i wyprostowała je dopiero, kiedy dosięgnęła jednego z najbliższych stojących ludzi. Butami złamała mu zębra.

Upadł na ziemię. Gem rozhuśtała się w kierunku drugiego z nich. Chociaż ten zamierzył się na nią, sprytnie wytrąciła mu miecz, a następnie drugim kopnięciem w głowę powaliła go na bok.

Gem spuściła się po linie na ziemię i obracała niespokojnie dookoła. Stojący samotnie Harri wycierał ostrze miecza. — Dzięki — rzucił do niej. Wpatrywała się oszołomiona w otaczające go ciała. Wreszcie powiedziała miękko, jakby do siebie: —Zabiłeś wszystkich. —Czasami jest to konieczne. — Spojrzął na nią. — Nie jest to tak przyjemne jak uprawianie ziemi, co? Stali, z trudem łapiąc oddech. Kurz dookoła nich powoli opadał. Gem odezwała się z napięciem w głosie: — Co powiedziałeś? Podniósł linę szablą.

— Pociągnęłaś to tak mocno jak bramę i huśtałaś się na niej jak na powrozie. Kimkolwiek jesteś teraz, kiedyś byłaś rolnikiem. Popatrzyła na zwłoki. — Już nie.

Harri i Gem wynurzyli się z wąskiego przejścia do doliny Rockhaven. W dolinie pełno było małych, wyschniętych poletek, Na końcu doliny, na jej wzniesieniu, zupełnie niedaleko przejścia, stała wyschnięta studnia i kilka domów. Co najmniej połowa z nich wyglądała jak usypisko gruzu. Zwiędłe, żółte liście pół-martwych drzew harmonizowały z kolorem włosów Gem. Harri z



zainteresowaniem obserwował zmianę na jej twarzy, kiedy z wielkim uczuciem wpatrywała się w Rockhaven. Harri strzepnął kurz i potrząsając głową, powiedział: — Jak można tutaj mieszkać? — Większość farmerów ma inną pracę — powiedziała. Harri szeroko się uśmiechnął, po czym spojrzawszy na wzno szącą się naprzeciw nich górę, dodał:

— Muszą być myśliwymi polującymi na złoto — powie dział. — Uważaj, abyś tym razem nie wygadała się o... Ale Gem pobiegła przed siebie. Harri zmarszczył brwi i po

# 41. Smoki chaosu

śpieszył za nią, myśląc, nie po raz pierwszy, że było z nią więcej problemów niż pożytku.

Dogonił ją. Szła ze starym człowiekiem opartym o jej ramię i tłumem pełnych szacunku mieszkańców miasta. Stary człowiek pokłonił się Harriemu. — Jestem Caranis. Dziękuję w imieniu całego Rockhaven. — Drobnostka — powiedział skromnie Harri. — Dziękuję ci za co? — Nie tylko obronisz nas przed Aurisem, ale jeszcze od zyskasz nasze skarby. — Ruchem ręki wskazał na drogę, którą przyszli. — I do tego rozbiłeś połowę bandy najeźdźców Robleda. — Co zrobiłem? — Jego oczy zwięzły się. Uśmiech Caranisa Eldera był wymieszany z bólem. — Banda ta od miesiący łupi nasze domy i pali plony w poszukiwaniu zaginionych znaków skarbu. Dzisiaj, tak jak zwykle, od samego rana badają góry z samym Robledem. — Nigdy nie słyszałem o Robledzie — odezwał się. Podczas podróży spotykał wielu sławnych złodziei i najeźdźców. — Jest umięśniony jak karzeł, ma jaskraworude włosy i jest zawsze zły — oznajmił starzec, zwracając oczy ku górze.

Zazwyczaj widzimy jego ludzi. Banda Robleda opuszcza góry tylko wtedy, kiedy chce zadać pytania albo zaatakować nasze domy, aby zabrać jedzenie.

Harri przyjrzał się stojącej za Caranidem gawiedzi, przenosząc wzrok z jednej wychudzonej twarzy na drugą. — Gdzie on tutaj znajdzie jedzenie? Starzec wzruszył ramionami. Harri odwzajemnił ten gest. — Skoro mowa o norze smoka — celowo unikał słowa „skarb” — czy możesz mi powiedzieć, gdzie zostawił znaki? zapytał beztrąsko. — Oczywiście, jeżeli to możliwe. — Jak wszyscy, którzy tu mieszkają, nie wiemy nic o żadnym z nich. — Wskazał na górę. — Smok ukrył złoto tutaj, i w zachodnim paśmie gór. Możesz pójść tą ścieżką i przekonać się, czy są tam jakieś ślady albo skarb. Jedyne, co znajdziesz na pewno, to reszta bandy Robleda i on sam. Ciągłe szukają skarbu.

— Teraz wiem, dlaczego chcieli mnie zabić — burknął Hani Caranis głośno się zaśmiały. — Oczywiście, nie mogli cię pokonać. — Starzec uwolnił się od ramienia Gem. — Szeryf opowiedziała mi o twoich zdolnościach i odwadze... — Szeryf? Gem uśmiechnęła się pogodnie.

— Pamiętasz, jak ci mówiłam, że rolnicy wykonują obecnie dwa zawody? — Jej oczy wciąż wyglądały niewinnie. Harri patrzył wściekły i odpowiedział twardo. — Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym w gospodzie? — Musiałam się upewnić, że jesteś właściwym człowiekiem. Musiałam również przekonać się, jak sobie radzisz w walce. ; — Dlatego sprowokowałaś ludzi w karczmie, aby poszli za mną. — Nie trzeba było ich specjalnie prowokować. Radość Caranisa przygasła i potrząsnęła głową, mówiąc po-j kornie:

— Przepraszam, pani szeryf, ale ja mogłem znieść więc«J prowokacji. Spojrzeli na siebie, po czym Gem odezwała się. — Spróbujemy, Harri? Przeniósł wzrok z niej na Caranisa i powiedział niepewnie: — Dlaczego nie? Gem ścisnęła ramię Harriego z zaskakującą siłą i szepnęła: — Niech Huma nas ma w opiece. — Będzie dobrze — powiedział spokojnie Harri, ale wyglądał na strapionego.

Kiedy opuszczali dolinę, Harri zwrócił się do Gem, pytając zjadliwie: — Naprawdę wiesz, gdzie znajduje się jeden ze znaków, czy też było to czyste kłamstwo? — Tak naprawdę nie kłamałam. Chcę odnaleźć pieniądze — Uśmiechnęła się. — Nie ma innego powodu, dla którego miałabym ci zaufać.

— Mówiłem prawdę, przyszedłem z polecenia mężczyzny, który do mnie napisał... — Szeryfa — poprawiła go. — I nie mężczyzny. — Jak mnie odnalazłaś? Wzruszyła ramionami.

— Bandy ci nie są jedynymi, którzy wiedzą o cenie za twoją giowę. Pytałeś zbyt wielu ludzi o skarby ukryte w Rockhaven. Podrapał się w głowę.

— Matka zawsze mi powtarzała, że gadatliwe usta dostarczą mi tylko kłopotów. Właściwie mówiła to w bardziej skomplikowany sposób. Mówiła coś o rodzie karłów próbujących oleju Kenderyjczyków, ale sprowadzało się to do tego samego. Kobieta zmarszczyła czoło i bacznie mu się przyjrzała. — Jest jedna rzecz, co do której nie kłamałeś, inaczej nigdy nie przyszedłbyś tutaj. Wiesz o jednym ze znaków. — Tak jak ty. — Harri zastanawiał się przez moment, czy aby nie znają położenia tej samej linii. — Wspomniałeś, że byłeś rycerzem. — Uczyłem kilku, jak walczyć. — To nie to samo. Rycerze mają honor. — Chcesz znać prawdę o rycerzach i honorze? — Harri, wyraźnie rozgniewany, podał jej pancerz, który pokazał w barze. Odwrócił go, aby pokazać wyrytą ostrzem mapę. — Rycerz, który go nosił, narysował mapę we wnętrzu puklerza. — Wskazat. — Rokhaven, góry i jeden ze znaków. Przyjrzała mu się z twarzą promieniejącą jak złoto. Szybko wyrwała mu pancerz z rąk. — Więc to jest znak, o którym wiesz? — Zmarszczyła brwi, spoglądając na niego z dziwnym podejrzeniem. — Nie miałeś zamiaru tego sprzedać. — Barowej? Oczywiście że miałem. Łatwo zapamiętałbym mapę i trochę pieniędzy by nie zawadziło. — Patrzył na nią przebiegle. — Co jeszcze cię niepokoi? Strapiona Gem nie mogła wydobyć słowa.

— Skoro mapa jest prawdziwa, czy rycerz nie przekazałby jej swojemu...

— Swojemu dowódcy? — Harri uśmiechnął się i powiedział raz jeszcze: — Oczywiście. — Wyglądał jak ktoś, kto opowiada dowcip. — Od kiedy narysował tę mapę, jak pewnie się domyślasz, nie nosił już zbroi. — Gdzie go spotkałeś? — zapytała słabym głosem. — Na drodze, kilka miesięcy temu. Kiedyś byłem nauczycielem. On próbował zebrać pieniądze na wyprawę do Rockhaven... okradając mnie. Głupak z niego i niewdzięcznik, biorąc pod uwagę, jak wiele go nauczyłem. Gdyby nie wspomniał o skarbach Aurisa, nigdy nie sięgnąłbym po mapę bez porozu mienia z nim. Przez dłuższą chwilę milczeli. Wreszcie Gem powiedziała: — Najpierw sprawdzimy twój znak. — Nie, twój. — Może powinnam cię po prostu zabić i zabrać pancerz. — Bądź moim gościem — odpowiedział. — Możesz mnie zabić w walce z waszymi grabieżcami. Nie był do końca pewny, czy nie wyciągnie za chwilę miecza. Jednak już po chwili przekonał się, że tylko się zaśmiała.

— Pokażę ci mój znak pierwsza, przekonam się, dokąd zmierzasz. I... — mówiła poważnie — jeżeli mnie nie zabijesz, będę za tobą.

Szli przez wieś w dół, ku dolinom. Otaczały ich kamienne ściany. Iniegościnną wysuszoną ziemią. Po drodze Gem odezwała się:

— Gdybym ci nie dała szansy, nie miałbyś możliwości wydobycia dobra, które się w tobie znajduje.

Harri nie odpowiedział. Był przekonany, że Gem przeceniała drzemiący w nim potencjał dobra.

Przed nimi rozciągały się pola i mały, prawie wyschnięty strumyk. Gem szła lekko, tak że nawet Kenderyjczyk zagwizdałby z podziwu. Potykając się i przeklinając, szedł za nią Harri.

Gem pobiegła w stronę południowej ściany. Stękając i naprężając się, naciskała na kamienie. Wapienna skała na początku opierała się, ale po chwili powoli się przesunęła. Z wielkim zapędem odpychała na boki kamienie leżące u podstawy skały.

— Jesteś pewna, że to tutaj? — Harri zapytał pełen wątpliwości. Nagle go olśniło. — Sama ukryłaś znak podczas walki smoków.

Przytaknęła, szczerząc zęby w uśmiechu. Harri ukląkł i nie zastanawiając się dłużej, zabrał się do odrzucania kamieni.

Stali, wpatrując się w starannie wyrytą na kamieniu linię. Oczami wiedli po dalszej części ściany, powoli zwrócili się w stronę zbocza i odruchowo ruszyli tak, jak wiodła ich linia.

— Kto ukrył drugi znak? — zapytał Harri w połowie drogi j do wzgórza.

— Spadające skały. Chyba że zrobił to twój student-rycerz. Zanim zdążyłam zakraść się w góry,

drugi znak zniknął.

Wreszcie Harri się zatrzymał, odwrócił pancerz w odpowiedni sposób i po chwili ogłosił: — To tutaj.

Szybko rozkopywali górkę z kamieni, które ukrywały drugi znak. Wreszcie skończyli i mogli już zestawić ze sobą dwie odkryte linie. Znaki wskazywały na to, że powinni iść setki stóp w górę, w stronę szczytu. Harri zazwyczaj patrzył na stopy, wszelkimi sposobami unikając osuwających się kamieni. — Od czasu do czasu patrz w górę — ostrzegła go Gem. Pamiętasz, co powiedział stary człowiek, w okolicy czai się [ reszta bandy Robleda.

Harri przewrócił oczami, ale mimo wszystko położył jedną I rękę na mieczu.

Szybciej, niż się spodziewali, natknęli się na martwe ciało — człowiek ten został zabity ciosem w głowę.

Nieopodal leżało drugie ciało z prawie zupełnie ściętą głową. | Zaniepokoiłi się. Kiedy minęli piąte ciało, przepołowione, Gem odezwała się: — Zaczekaj.

Harri właśnie zamierzał zapytać ją, czy się boi. Ale ona wspięła się na sople skały i stała, z trudem utrzymując równowagę. Podpierając się na jego ramieniu, powiedziała: — Przed nami co najmniej dziesięć innych ciał. — Wygląda na to, że nie my jedni zaszliśmy tak daleko.

— Może nawet wszyscy poszukiwacze skarbu są martwi. Harri uważnie spojrział do tyłu wzdłuż linii zwłok, żadne z ciał nie miało rudych włosów. — Wszyscy poza rudowłosym — powiedział rozważnie. — Jak daleko może się posunąć w swoim okrucieństwie? — Ich zapytaj. — Harri wskazał na leżące przed nimi ciała.

Po tym krótkim odpoczynku ruszyli dalej. Droga nie była łatwa, a ciała, jakie cały czas napotykali, zniechęcały do dalszej wędrówki.

Usiedli na głazie nad Rockhaven. Pod nimi rozciągały się połacie jałowych pól usłane odpryskami wyschniętych wapiennych skał. — Ta ziemia jest straszna. — Nie wyobrażasz sobie, jak piękna staje się po wiosennym deszczu, kiedy jest cała w kwiatach. — Będę daleko stąd, zanim to nastąpi.

Gem śmiała się. Harri, pamiętając jej poprzedni uśmiech, pomyślał, że ten mu się nie podoba.

Po długiej wędrówce przez całe popołudnie, Gem nagle powiedziała:

— To tutaj. — Wskazała na kamienną ścianę nieopodal nich i odwróciła się do tyłu. Byli na właściwym miejscu, znaki prowa dziły dokładnie do szpary utworzonej po niedawno osuniętej skale.

Harri mrugnął okiem i odsłonił linię, a obsunięcie ziemi zniknęło. Wrócił na poprzednie miejsce i odnalazł je znowu: było prawie niewidoczne.

Zaczął odrzucać jeden kamień po drugim. Niebezpiecznie spadały w dół.

Zmęczeni, oparli się o głazy. Kiedy słońce było bliskie zachodowi, Gem zapytała:

— Masz jeszcze trochę wybuchowego pudru? Wypróbujmy go znowu. Jeśli nie działa, możemy spróbować tego fioletowego prochu pamięci. Wyciągnął oba worki, rozważnie je ważąc. — Powinno zadziałać. Dwa niewielkie stopy czerwonego i fioletowego proszku, tysiące iskier, a po nich dużo hałasu i nic poza tym. Ich cierpliwość i pomysłowość były na wyczerpaniu. — Chyba jednak nie zadziała — powiedział Harri.

Nagle, niespodziewanie spadło kilka głazów. Gem odskoczyła. Głazy pociągnęły za sobą inne mniejsze kamienie. Tunel został odsłonięty na wysokość człowieka. Gem patrzyła podejrzliwie.

— Tak bardzo chciałabym mieć pewność, że nie zapieczę tuje jaskini kolejna lawina. Harri uśmiechał się do niej.

— Jedno z nas może zostać na zewnątrz. — Nastawił uszu, wsłuchując się w narastające za nimi głosy. — Myślę, że proch jest nam już niepotrzebny. Spadające kamienie wywołały huk. Kolejna fala

osunięcia otworzyła jaskinię jeszcze bardziej, otwór był teraz ogromny. — Rzeczywiście. — Harri złapał ją za ramię, pociągając w tył ścieżki. — Biegnij do Rockhaven. Zorganizuj wóz i coś, co może go uciągnąć. Dwa konie byłyby idealne. — Spojrzał na słońce. Odnalezienie jaskini zabrało im za dużo czasu. — Dwie krowy też wystarczą. — Skąd wiem, że mogę ci zaufać? — Jak chcesz zabrać skarby do miasta, jeśli tego nie zrobisz? Trochę się wahała, zanim zawróciła i zaczęła biec ścieżką w dół. Harri patrzył za nią zadowolony. Rozejrzał się dookoła za olbrzymim, rudowłosym mężczyzną, który mógłby nadejść z góry i z łatwością wśliznąć się do jaskini.

Harri zrobił niezadowoloną minę. Rudowłosy mężczyzna, Robled, był ostatnim z poszukiwaczy skarbu, w którym trzeba było się porachować. Sprawdził ostrze „nieobecnej” szabli, po czym zamiast szabli zawiesił na ramieniu płaszcz i z groźną miną wszedł do jaskini.

Szybko się cofnął, nie chciał odsłonięty wchodzić do wnętrza. Opadł na ziemię i przy ścianie tunelu, na pół czołgając się, wchodził coraz głębiej. Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, spojrzał w dal... i wtedy otworzył usta. Mało brakowało, a upuściłby szablę.

Światło odbijało się w stosie złotych pieniędzy, otoczonych trzema górami kosztownych bransolet. Reszta przedmiotów była rozsypana po podłodze jaskini.

Wolną ręką podniósł ciężki złoty świecznik. Patrzył nań z uśmiechem, jakiego nie było na jego twarzy od czasów, kiedy był małym chłopcem i wujek Benbow za dobre zachowanie podarował mu prawdziwy nóż o podwójnym ostrzu.

Nagle złoto przykrył cień. Umięśniony mężczyzna cicho wszedł do wnętrza, rozglądając się. Harri cofnął się i przywarł do ściany. — Robled? Usłyszał głośny śmiech. — To tylko jedno z imion.

— Zabijeś całą swoją bandę — powiedział Harri, szukając jakiejś dodatkowej broni. Nie było nic, tylko złoto. — To za- i chłanność sprawiła, że zabijeś pomocników.

— Nie byli zbyt pomocni. Poza tym nie potrzebowałem ich, od kiedy ty prowadziłeś mnie do celu. Tobie pierwszemu pozwo liłem odnaleźć skarb, oszczędzając sobie w ten sposób dużo pracy, Harri Gundervall. Harri błyskawicznie schował się za sopol.

— Skąd znasz moje imię? I nawet gdybym nim był, co nie znaczy, że nim nie jestem, dlaczego miałbym się ciebie bać? Mężczyzna przysunął się bliżej wyjścia i jakby się powiększył.

— Nie ma żadnego powodu. — Zachichotał, zmieniając nagle ton. Nie. Głos należał do kogoś innego.

Harri czuł, że zaschło mu w gardle, a nogi, częściowo zanurzone w wodzie, zeszywniały. Czuł inny zapach własnego potu. Był to strach przed smokiem.

Sylwetka w wejściu rosła i rosła, aż zasłoniła prawie całe światło. Jej oczy świeciły, bacznie badając ciemność.

— Nie ma żadnego powodu poza tym, że zamierzam cię zabić. — Postać posunęła się do przodu, pazury drapały podłogę jaskini. Smok, to był prawdziwy smok. Stał przed nim Auris w całej swojej nieprzyjaznej okazałości.

—  
Drżąc w nie kontrolowany sposób, pozbawiony nadziei Harri spojrzał na świecznik, który trzymał w lewej dłoni, i na szablę w prawej. Nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o słonecznym wyjściu, które smok pozostawił za sobą. Cisnął świecznik w błyszczące prawe oko Aurisa. Smok zawył, chowając głowę. Wtedy Harri zaatakował go.

Kiedy ostrze szabli wśliznęło się w piersi Aurisa, odsłaniając jego kości, smok zawył jeszcze głośniejszym, zagłuszającym całą okolicę. Miecz drżał niepewnie w dłoni Harriego, ale ciągle miał nad nim kontrolę. Nagle jedno trzepnięcie pazurami smoka rzuciło go o ścianę.

— Teraz, złodziejaszku — Auris wył triumfalnie — po raz ostatni w twoim marnym życiu,

pomarz sobie o promiennej karierze! — Jego nozdrza rozwarły się, tors zaś uniósł, gotowy do śmiertelnego oddechu. Harri, z trudem łapiąc powietrze, cały posiniaczony, leżał wtulony w ścianę jaskini i czekał.

Nagle usłyszał odgłos dławiącej się istoty. Spojrzał w górę i zobaczył Aurisa, który chwycił się za gardło. Do jaskini wbiegła Gem, rzucając coś w stronę wyjścia. Nim ktokolwiek zdążył się zorientować, wywinęła w powietrzu grubym końcem liny i zarzuciła na szczękę Aurisa, zaciskając ją najmocniej, jak zdołała.

Wystraszona, szybko spojrzała w stronę Harriego, który I krzyknął: Nie!, ale Gem wskoczyła już na smoka i zaczepiając ; o pobliski sopel, zarzuciła drugą linę dookoła szyi Aurisa. Smok I był przygwożdżony do miejsca, na którym stał.

W zdrowym oku Aurisa pojawiła się złość wywołana skrępowaniem całego ciała. Gem wirowała w powietrzu pomiędzy ścianami jaskini.

Harri wygiął się do przodu i złapał linę, na której wisiała Gem. Kobieta upadła i leżała nieruchomo. Wówczas zaplątany w liny Auris odwrócił się i zionął ogniem prosto w nich.

Jaskinię wypełnił ogłuszający hałas. Z paszczy smoka wydostały się zjadliwe, niebieskozielone płomienie, a zaraz potem smok wyleciał tyłem, pozostawiając po sobie okropny siarczany smród i dziurę w ścianie, która była odwzorowaniem jego sylwetki. Harri odrzucił szablę i pośpieszył ku Gem, próbując ją ocucić.

Kiedy tylko odzyskała przytomność, spojrzała, ciągle odurzona, w górę i odezwała się chrapliwym głosem: —Wspaniałe jest walczyć u boku bohatera. —Muszę powiedzieć to samo. —Wyleciał stąd? — zapytała. —Wiedziałaś, że to robi. Z przesadną szczerością, jak na jego gust, dodała:

— Miałam ogromną nadzieję, że to nastąpi. Pomyślałam, że możemy liczyć tylko na ognisty oddech smoka i w ten sposób spowodować wybuch.

Próbowała wstać, ale bez pomocy upadła, mamrocząc o pół-elfach rodzaju żeńskiego i o ich uprzedzeniach do wynalazków skrzatów. Harri pomógł jej dojść do wejścia jaskini i razem spojrzeli na białą, zarysowaną na firmamencie nieba smugę dymu. Smok odlatywał na południe. Gem odezwała się głosem pełnym strachu: —Ile potrzeba siły, aby zabić jednego z nich? —Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał się o tym prze konać. — Patrzył, jak dezorientowany Auris dryfował z boku na bok. — Zapomniał o nas. To proch pamięci? —I wybuchł. Wygląda na to, że działają tylko wtedy, kiedy są połączone.

Harri powłóczył nogami w stronę szarego popiołu — pozostałości po prochu.

— Cieszę się, że w ogóle działają. Szkoda że nie udała ci się wcześniejsza próba. —Sam go wypróbowałeś — przypomniała Gem. Harri mrugnął okiem. —Wcześniej, kiedy próbowaliśmy przesunąć kamienie?

— Tak. — Skrzywiła się. — Gdybym wymierzyła dawki poprawnie, odszedłbyś obłąkany i wszystko byłoby dużo prost sze, no, może wszystko poza zabiciem smoka. Harri patrzył na rozpraszającą się chmurę dymu. Spojrzał na złoto, po czym przeniósł podejrzliwy wzrok na Gem. — Nie pozwolisz mi tego tak po prostu wziąć. —Nie — odpowiedziała. — Nie pozwolę. Nie bez walki.

Wykrzywił usta. —To dużo złota. Walka mogłaby być nie byle jaka. —Umrę, a nie pozwolę ci zabrać wszystkiego. —Zginę, a nie zostawię tego za sobą — powiedział, ale po chwili się poprawił. — Chyba że zginie kto inny.

Harri zauważył, że szeryf przy wiązała kamień do jednego z końców tego, co zostało z jej liny. Szykowała się do zarzucenia jej. Harri położył rękę na mieczu, nie chciał robić tego, co musiał.

Zamieszanie napływające z zewnątrz powstrzymało ich oboje. Harri nadstawił ucha. Gem zasnuwała usta. Szczęśliwe głosy były coraz bliżej. — Wcześniej zaplanowałaś umowny znak? — Było pewne, że zwyciężysz. Caranis wkroczył do wnętrza jaskini.

— Wiedziałem, że zwycięży człowiek taki jak ty. — Rozło żył ręce. — Co możemy ci dać w podziękowaniu?

Harri spojrzał do tyłu na mieniący się w słońcu skarb i zmusił się do uśmiechu. — Nie trzeba zapłaty. Dzieło jest skończone. Pochlebne głosy odbijały się na zewnątrz jaskini. Harri podszedł do wyjścia i zmrużył porażone światłem oczy. Przybysze trzymali w dłoniach puste torby, otwarte szkatułki, małe zużyte portmonetki ze zwisającymi luźno, pustymi podszewkami. Zrezygnowany Harri odezwał się wreszcie:

— Nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyście pozwolili wypełnić mi... przynajmniej kieszenie. Caranis spojrzał ze zdziwieniem. — Nikt mu nie powiedział?

Zanim się zorientował, że pytanie było zaadresowane do Gem, minęła dobra chwila.

Stary człowiek szeroko rozłożył ręce i zwrócił się do niego błagalnym tonem.

— Czasy są niebezpieczne. U nas się mówi, że są teraz żniwa złych ludzi. Spójrz tylko, co się stało z Peacedale. Poza tym chodzi pogłoska o wojnach w całym Krynnie. W takich czasach kradzież płeni się jak zaraza.

— Harri założył ręce na piersi, jakby gotowy do ofensywy. — Ale... — zaczął. — Zatem potrzebny jest nam zdolny i odważny wojownik. Jesteśmy gotowi dobrze zapłacić.

Harri stał z na wpół otwartymi ustami i nie wydusił z siebie ani słowa.

— Plus — zaznaczyła Gem — cena, jaką ofiarują za twoją głowę. Byłbyś tutaj naprawdę bezpieczny. — Pracowałbyś dla szeryfa — zakończył Caranis. Harri wreszcie odzyskał głos i zwrócił się do Gem: — To byłaby poważna zmiana w życiu.

— „Bądź hojnym zwycięzcą”, powiedziałeś kiedyś — stwierdziła Gem. — Bierz się do podawania skarbów, ja dopilnuję reszty. — Ścisnęła zebra po lewej stronie i chwiejąc się, wstała.

Ustawieni w rzędzie mieszkańcy doliny z szerokim uśmiechem na twarzach wolno posuwali się w stronę wejścia do jaskini. Harri chował się i wynurzał, dźwigając rękoma górki złota tak pełne, że niektóre drobne kawałki spadały nie zauważone na ziemię. Również rozpromieniona Gem zdrową ręką pomagała dzielić skarby. Harri kłaniał się oschle do kobiet i mężczyzn.

— Nie dziękujcie mi — mówił, lewą stopą zrzucając kawałki, które upadały do skalnej szczeliny. — To moja powinność.

Kiedy ostatni z mieszkańców odszedł z wypełnioną po brzegi torbą, Gem pozbierała rozsypane kawałki drogocennych przedmiotów. Wiedział, że nie dostrzegła wszystkiego. Przeraził się, kiedy zobaczył, jak wypełnia nimi swoje kieszenie. — Ej, a co ze mną? Gem uśmiechnęła się. — Powinnam mieć jakiś posąg, nie wydaje ci się?

Harri otworzył usta, chcąc odpowiedzieć, ale pomyślał, że lepiej zostawić to tak, jak jest, i nie odezwał się wcale. Posłał jej tylko piorunujące spojrzenie i oświadczył stanowczo: — Pracuję sam.

Zresztą wszystko jedno, znając Gem, wiedział, jak się to skończy.

PO DRUGIEJ STRONIE ZNAJDUJE SIĘ INNE WYBRZEŻE Roger E. Moore

Zbudziło mnie chrapanie i pomrukiwanie wyjątkowo niewybrednych przekleństw Kapitana Hayrna. Była upalna, przygnębiająca noc. Ledwie zdołałem zasnąć po godzinnych staraniach. Nie było to łatwe w tak dusznym powietrzu, nawet pomimo spokojnego jak ziemia oceanu. Wiedziałem, że nie zasnę znowu tak prędko. Jęknąłem ze złości i otworzyłem oczy, a w głowie kotłowało mi się od wściekłych myśli.

Czułem, że jest około północy. Goły jak niemowlę leżałem na plecach na rozgrzanym gładkim

położył Latającego Kraba, od strony dziobu. Nade mną sterczał czarny maszt, skierowany w stronę dziewiczego, pełnego mrugających gwiazd morza. W każdą inną noc atmosferę taką uznałbym za romantyczną i piękną, ale nie teraz. Stary Kapitan nie zachował się uprzejmie, budząc mnie, chociaż naprawdę był bardzo miłym człowiekiem. K'łka lat temu dał mi pracę. Nie było wtedy łatwo o robotę, ale on nauczył mnie żeglować, a w ciężkich chwilach nawet pożyczał pieniądze. Było za gorąco, aby rozczulać się nad wszystkim. Uniosłem się na łokciach i w świetle gwiazd spojrzałem na swoje I ciało.

Skóra była brązowa jak skórka od chleba. Długie włosy wyblakły jak skrzydła mewy, co zresztą pasowało do mojego imienia, Gullwing, które dosłownie to oznacza. A wszystko to z powodu długich godzin pracy na słońcu. Jestem i człowiekiem, i elfem. Szczęję się tym. (Nigdy nie nazwałem siebie półelfem — nie ma nic hańbiącego w byciu „nie w pełni człowiekiem”). Czasami mogę być elfem, a w inne dni młodą mężczyzną;

zależy to tylko od ubioru i zachowania. Mam kościste i umięśnione kończyny. Mówię trochę w języku Kenderyjczyków, a kiedy zepnę włosy w kok albo warkocz, wyglądam jak jeden z nich, tylko jestem trochę wyższy. Częsta zmiana mojego wyglądu nie stanowi problemu w życiu towarzyskim, a może nawet mu sprzyja. Podobają mi się kobiety i ja im. Kapitan Hayrn w każdym porcie ma niezły ubaw, kiedy wbiegam na statek prosto z sypialni

Pot spływał mi po twarzy, czułem jego słony zapach. Nerwowo wodziłem oczami. Mrugnąłem i jeszcze raz spojrzałem w górę. Niebo było bezchmurne, świeciły na nim trzy księżycy, woda była przejrzysta. Znajdowaliśmy się dwa dni drogi na północ od Palanthis, naszego rodzinnego miasta. Polowaliśmy na gigantyczne moonfins, ale nic nie złowiliśmy. W ciągu dnia ukrywały się przed upałem na dnie oceanu, ale dlaczego nie było ich również w nocy?

Brak ryb oznaczał na rynku w Palanthis brak pieniędzy. Trwało to już ponad rok. Kapitan Hayrn nie miał już prawie forsy, aby mi płacić, ale nie obchodziło mnie to. Fakt, że byłem splukany z pieniędzy, nie miał dla mnie znaczenia tak długo, dopóki miałem morze i coś do czytania. Co do jedzenia, znałem wielu ludzi, którzy zawsze mi czegoś użyczyli, a jeśli potrzebowałem więcej, znałem miejsca, skąd łatwo było coś ukraść.

Stary Kapitan Hayrn również umiał sobie poradzić. Był wspaniałym towarzyszem, naprawdę — starzec z Północnej Er-gothian był cierpliwy aż do przesady. Latający Krab — jego statek — był dla niego wszystkim, dbał o niego jak o syna — pod warunkiem że nie był pijany. Powiedział mi, że kiedyś stracił rodzinę i mnóstwo miedziaków, ale kiedy zapytałem, jak się to stało, po chwili wahania odpowiedział, że „to były dawne czasy” — nic więcej. Podejrzywałem, że Wojna Lanc albo samo pijaństwo Hayrna miało z tym coś wspólnego. Nie pytałem go o to więcej.

Moje myśli rozproszył błysk jaskrawego światła, który zauważyłem po lewej stronie. Zaskoczony odwróciłem się, wyjrzałem za lewą burzę, ale nie widziałem nic, tylko ciemność i gładką

powierzchnię wody. Czy mi się zdawało? Nie mogłem pojąć, jak to możliwe — na niebie nie było żadnej deszczowej chmury. Szkoda że nie pojawia się dzisiaj biały księżyc Solinari — mógłbym wyciągnąć z kabiny swoje szpargały i trochę poczytać. Najwięcej miałem zapisków historycznych i legend, uwielbiałem je. Coś mi mówiło, abym odsunął się od balustrady. Instynktownie czułem, że z wody wynurza się coś nienaturalnego, coś niewidzialnego i kieruje się prosto na mnie. Musiałem uciekać, bo inaczej...

Nagle gorący wiatr przebiegł przez pokład i oparzył całe moje odsłonięte ciało. Myślałem, że spalił mi twarz. Nie wiedziałem dokładnie, co się stało, więc upadłem na kolana, chwyciłem się balustrady lewej burty i zawołałem kapitana. Czułem, że znajduję się w samym środku pożaru, a moje ciało jest strasznie poparzone. Ból był ogromny. Stary statek skrzypiał. Osmalający podmuch wiatru



zarzucał nim. Leciałem do tyłu i wtedy musiałem uderzyć o balustradę. Nie wiem, jakim cudem nie wpadłem do wody.

Przez kilka minut nie widziałem nic; byłem przekonany, że gorący wiatr wypalił mi oczy. Hayrn krzychał coś do mnie z dołu pokładu. Narzędzia, sieci, łańcuchy i beczki uderzały o siebie, aż wreszcie Latający Krab wyprostowywał się. Pomyślałem, że stary człowiek zostanie zmiażdżony przez spadający ładunek i tryby.

Kiedy wreszcie wiatr ustał, statek odzyskał równowagę. Wrócił mi wzrok, chociaż widziałem przez mgłę i bolały mnie oczy. Wkrótce pojawił się kolejny błysk światła. Próbowałem zasłonić twarz, bo bałem się, że znowu zostanie oparzony, ale tym razem nic się nie wydarzyło.

Kolejne błyski przypominające pioruny pojawiały się szybko, jeden po drugim. Nie towarzyszyły im grzmoty i nie miały one określonej formy. Podniosłem głowę, przez załzawione oczy zauważyłem, że daleko na horyzoncie błyski te giną wraz z rozpraszającymi się chmurami. Zapanowała cisza.

Klęknąłem, jedną ręką trzymając się balustrady, i próbowałem się uspokoić. Błyski zniknęły, a zamiast nich pojawiła się żółta luna oblewająca blaskiem dolną partię nieba. Długie, kręcone, pomarańczowoczerwone języki ognia wyglądały jak oświetlona fontanna. Wielkie płomienie były dość blisko, tańczyły, zmieniając kolory, i delikatnie dotknęły naszej łodzi.

Przypomniałem sobie, że około pięciu czy sześciu mil w kierunku wielkiego ognia znajdowała się wyspa. Gdyby było to późne popołudnie, widziałbym ją i pewnie łowilibyśmy tam na rafie w nadziei, że znajdziemy gigantyczną moonfins. Skoncentrowałem się i zobaczyłem ją. Była jednym wielkim pożarem. Na moich oczach wspaniałe drzewa zamieniły się w ogniste kule. — ZebyZeboim!

Odkoczyłem przerażony, ale to był Kapitan Hayrn. Nadszedł z góry i dlatego go nie zauważyłem. — Litości! — krzychał kapitan. — Wulkan!

Jeżeli na wyspie wybuchł wulkan, będziemy martwi za kilka sekund, pomyślałem. Wierzyłem mu częściowo, chociaż czułem, że coś tu nie gra. Na wyspie nie było gór ani niczego podobnego do wulkanów, jakie widziałem wzdłuż wybrzeża górzistej Wyspy Sancrist.

Kapitan Hayrn bębnił o pokład stopami, kiedy zmierzał ku rufie, gdzie znajdowała się korba kotwicy.

— Ciągnij i uciekajmy, chłopcze, albo zginiemy! — wrzeszczał drżącym ze strachu głosem. — Ciągnij i uciekajmy albo zginiemy!

Komenda Hayrna wyrwała mnie z osłupienia i chwiejnym krokiem, potykając się, pobiegłem w kierunku głównego masztu.

Dosięgnąłem dźwigni głównego pokrętła. Przekonałem się wtedy, że moje oparzenia nie są tak rozległe, jak się tego obawiałem. Drżąc, spojrzałem ukradkiem na olbrzymie płomienie. Widok ten zmroził mnie na kilka minut.

Na morzu pojawiła się ogromna ognista postać, przypominająca kształtami człowieka. Zaskoczony patrzyłem, jak w niepojęty sposób rośnie w moich oczach. Jej włosy i brodę tworzyły płomienie. Klatkę piersiową przysłaniała lśniąca jak olbrzymie zwierciadło zbroja. Płomienny olbrzym podniósł rękę, dotknął chmur i zniknął. Musiał to być bóg albo jakiś potwór z Abyss. Kimkolwiek

był, okazał się bardziej niebezpieczny niż wulkan. Obsesyjnie rzuciłem się do pracy. Obolałymi ramionami obracałem korbę, stawiając żagiel. Spojrzałem w kierunku wyspy, gdzie znajdował się płomienny olbrzym. Przez chwilę miałem wrażenie, że odwrócił się i skierował... w naszym kierunku.

Nagle dobiegł nas głośny grzmot. Szybko zorientowałem się, że był to głos ognistego tytana. Pomyślałem, że się śmiał, chociaż rozpoznawałem też jakieś zniekształcone przez odległość słowa.

Ton był zdecydowanie triumfujący.

Kiedy Hayrn pośpiesznie wyciągnął za pomocą lin zanurzoną w morzu kotwicę, nasz statek się zachwiał. Płonący olbrzym zmierzał w naszym kierunku. Nie ulegało wątpliwości, że nas widział. Spojrzałem w czarne jak noc oczy olbrzyma i z przerażenia straciłem głowę. Korba naciągająca główny maszt wyslizgnęła się z mojej ręki. Odkręciła się. Moje kończyny były jak sparaliżowane; co za przerażające uczucie! Nie mogłem spojrzeć w dal ani uciekać, ani krzyczeć.

Olbrzym uniósł płonące ręce i wyciągnął je w naszym kierunku. Z czubków palców wyleciały koziółkujące pierścienie małych płomyków, które błyskawicznie się powiększały i leciały w naszą stronę. Przerażające i nieprawdopodobne. Czekałem, aż pochłonie mnie piekło.

Hayrn złapał mnie za ramię i potrząsnął gwałtownie. Oprzy-omniałem. Jego pomarszczona ciemna twarz i krótka biała broda wyglądały dziwnie obco, zupełnie jakbym wpadł na jakąś obcą osobę na rynku w Palanthas. Hayrn obejrzał się i zobaczył, że wirujący płonący krąg jest tuż nad nami, gwałtownie rzucił mnie więc na pokład pod trzepoczący, na pół zwinięty żagiel, tuż obok wielkiej skrzyni.

Dookoła statku narastał ogłuszający skowyt. Czulem, że znaleźliśmy się w samym sercu tajfunu, wobec którego nasz statek był marnym piórkiem. Przeszliśmy dokładnie przez środek płonącego kręgu. Łódź zachwiała się gwałtownie. Skrzynia stojąca się obok mnie ześlizgnęła się i uderzyła mnie mocno w czoło, i wtedy pochłonęła mnie noc tak ciemna, jakiej nigdy nie mogłem sobie wyobrazić.

—Hayrn — wyszeptalem. —Guli, zbudź się — chłodne wilgotne płótno dotknęło mojego czoła. Błogosławiona woda płynęła po oparzonej twarzy.

Otworzyłem oczy. Na niebieskim niebie były białe obłoki i żółte słońce.

— Dzięki, bogowie! — krzyknął Hayrn. Pochylił się nade mną i podniósł mnie. — Bałem się, że umrzesz! Dzięki wszystkim bogom na ziemi i w niebie!

Jeszcze przez kilka minut byłem ciągle zdezorientowany. Stary Hayrn płakał, chwalił bogów i wreszcie powiedział mi, że jest poranek następnego dnia po spotkaniu z płonącym olbrzymem. Straciłem nieprzytomność od uderzenia w głowę. Odpoczywałem jeszcze przez godzinę i wreszcie usiadłem.

Moja skóra była poraniona i spalona, łuszczyła się w niektórych miejscach. Zaczerwienienie było inne niż po oparzeniu słońcem. Najdelikatniejszy dotyk był nie do zniesienia. Wstałem i zaciskając z bólu zęby, podciągnąłem za luźne spodnie.

Przez cały czas, kiedy byłem nieprzytomny, stary Hayrn opiekował się mną. Kiedy doszedłem do siebie, pokazał mi linę dryfkotwy. Była przecięta na pół tak gładko, jakby za pomocą brzytwy. Kotwica zniknęła. Zaciągnęliśmy żagle i kiedy tylko złapaliśmy wiatr, skierowaliśmy się na południe w stronę Palan-thas, do domu.

Później stałem na pokładzie, wpatrując się w horyzont. Nie mogłem uwierzyć, że to, co się wydarzyło wczoraj, było prawdą. Wspomnienie przerażało nawet za dnia, było jak mroczny, zły sen.

— Może to był bóg — powiedział Hayrn. Siedział na beczce z wodą, ściskając w rękach splecione sieci. Zauważyłem, że nie posunął się zbyt daleko w reperowaniu połamanych stojaków na sieci. Zmarszczyłem brwi i odwróciwszy się, spojrzałem na niego.

— Jaki bóg? — szukałem w pamięci opisu któregoś z bogów Krynnu, naszego świata, o którym czytałem albo słyszałem i który by odpowiadał wyglądowni ognistego olbrzyma.

Hayrn zacisnął usta. Zatopił wzrok w trzymanyh sieciach, jakby zapomniał, o co pytałem. Nie domagałem się odpowiedzi

Żagiel trzepotał i wiatr pociągał go ze sobą. Gorący wiatr sprawił, że upalny dzień stał się nie do

zniesienia. Coś mną wstrząsnęło i dokładniej przyjrzałem się horyzontowi. Biały księżyc Solinari pojawił się jak zwykle na wschodzie. Odwróciłem się.

Coś było nie w porządku. Co takiego? Znowu spojrzałem na księżyc, tym razem dłużej mu się przyglądając.

— Kapitanie Hayrn — rzekłem. Rzadko zwracałem się do niego w ten sposób.

Chrząknął i dopiero po chwili podniósł się i podszedł do mnie. Stał przy balustradzie. Zobaczył księżyc. Wziął głęboki oddech i wyszeptał: — Na imiona wszystkich bogów! Po bezksiężycowej nocy, zanim wzejdzie biały księżyc, pojawia się czerwony. Czerwony księżyc, Lunitari, nie powinien świecić tamtego dnia. Żeglarze Krynnu wiedzieli o tym. W dodatku biały księżyc nie był księżycem Solinari. Nowy księżyc był ogromny, dużo większy niż Solinari. Wynurzał się zza morza jak inny, obcy świat, przerażał samym [ rozmiarem. Bałem się, że spadnie na nas, ale się nie poruszał. Po chwili zauważyłem, że nie był wcale biały, miał delikatny nie-t bieski odcień. Dziwoląg był tak obcy jak dwugłowa ryba albo I czerwone słońce.

Wpatrując się w niego, dostrzegłem inne oryginalne właściwości ogromnego, niebieskiego księżycyca. Miał na środku ciemną amę, z której promieniowały wyblakłe linie, docierając prawie do obręczy księżycyca. Nie od razu zidentyfikowałem rzecz, którą [ mi przypominał. Nowy księżyc wyglądał jak źrenica i tęczę oka.

Wrota Paladina ukazały się przed naszymi oczami na drugi I dzień po południu. Upał był straszny. Nowy księżyc zaszedł i pojawił się znowu, był zawsze zwrócony w naszą stronę. Nie rozmawialiśmy ze sobą zbyt dużo. Naprawialiśmy sieci i liny, jedliśmy posiłki, piliśmy wodę i wpatrywali w samotny księżyc, unikając komentarzy na jego temat. Minęliśmy ławice olbrzy

mich moonfins, ale nigdy nie rzucaliśmy ani sieci, ani nawet kotwicy. Chcieliśmy być w domu.

Kiedy się zbliżyliśmy, wyglądałem górzystego wejścia do wielkiej Zatoki Branchala. Zachodnia Brama Paladina znajduje się dużo wyżej niż wschodnia. Pierwsza z nich jest najdalej wysuniętym na północ punktem Gór Vingaard. Zalesione zbocza wschodniej Bramy były oddalone o dwa tysiące stóp od najniższego wzniesienia.

Czułem, że coś się nie zgadza, wschodnie wejście było inne, kiedy je opuszczaliśmy. Dostrzegłem więcej drzew. Niziny schodzące do wybrzeża również były szersze, niż pamiętałem. Nie mogłem tego pojąć ani sobie wytłumaczyć, zacząłem więc szukać innych statków. Przybrzeżni handlarze i rybacy powinni być w taki dzień na morzu.

Zauważyłem dwa statki podobne do naszego. Znajdowały się kilka mil dalej, musiałem zmrużyć oczy, aby je zidentyfikować. Z jakiegoś powodu nie rozpoznałem żadnego z nich, chociaż jeden wyglądał jak łódka z Hylo. Większość moich przyjaciół Kenderyjczyków w Palanthas pochodziło z Hylo i kilku z nich było żeglarzami. Wytężałem wzrok, aby zidentyfikować znaki na małej łodzi. Kiedy podpłynęliśmy bliżej, rozpoznałem na maszcie parę skrzyżowanych mieczy i wyeksponowany wizerunek otwartego oka. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego modelu.

Spojrzałem na południe, w stronę zatoki, i dostrzegłem większy statek. Miał pełne ozaglowanie i był wyposażony w kuchnię. Zmierzał ku Wrotom, płynął otwartym morzem. Musiał opuścić Palanthas około trzy godziny temu. Dałem znak Kapitanowi, który zbliżył się i stanął obok mnie z niezadowoloną miną. Nie miał tak dobrego wzroku jak ja, ale znał wszystkie statki na świecie, żagle i insygnia. Nie powiedział nic, widząc zbliżający się żaglowiec.

Na głównym żaglu było wymalowane ogromne bladoniebieskie oko, otoczone klejnotami i jaśniejące jak słońce. W milczeniu patrzyliśmy, jak wielki statek mijał port oddalony od nas ni< więcej niż 100 jardów. Wzburzone fale rozkołysały Latającego

Kraba. Załoga przepływającego żaglowca patrzyła w naszą stronę z ogromnym

zainteresowaniem, po czym zabrała się do pracy.

— To musi być nowy statek — wymamrotał Hayrn, wyraźnie zdezorientowany. — Może z Kalaman, powstała tam nowa firma handlowa. Dziwaczne żagle... — przerwał i rozejrzał się dookoła, badając wzrokiem wybrzeże Zatoki Branchala z narastającą podej-izliwością i nieufnością. Skupił wzrok na czymś, co znajdowało się za mną. Z przerażenia otworzył usta. Szybko się odwróciłem. I Nie było Pękniętej Skąły. W czasie Katakliizmu, prawie czte-rysta lat temu, Prawdziwi Bogowie ukarali Kingpriesta z Istar za to, że ośmielił się wydawać im polecenia i zbezcześcił ich kult. Rzucili na miasto ogromną ognistą górę i zgładzili śmiałka, spychając go z całym królestwem Istar na dno Krwawego Morza, kilkaset mil na wschód. Wstrząsnęło to całym światem, zwisające skały oderwały się od gór i wpadły do zatoki. Ogromna góra rozszczepiła się na pół, kiedy uderzyła o dno zatoki, i pozostała tam na zawsze z charakterystyczną szeroką szczeliną od góry do dołu, wystarczająco dużą, aby zobaczyć ją daleka. Było to doskonałe miejsce do polowania na kraby. Pęknięta Skąła zniknęła, a w tym miejscu znajdowało się wielkie urwisko, wystawało z góry jak dawniej. Patrzyłem na zbocze i uderzającą w nie wodę i raziła mnie nienormalność wszystkiego dookoła. Co się dzieje ze światem? Czegoś brakowało? Czy dopłynęliśmy za daleko?, pytałem sam siebie. — Guli, uszczypnij mnie i zbudź, jeśli śpię. — Czarna twarz Hayrna jakby poszarzała. Chwiał się i trzymał poręczy, żeby utrzymać równowagę. Ja również nie stałem pewnie na nogach. — To nie może się dziać naprawdę — mówił dalej niskim głosem.—Ja... może to halucynacje, może jeden z czarodziej rzucił

ar. Tak, to pewnie to. A nowy statek musi pochodzić z Kalaman albo z południa. — Przysłonił ręką oczy, aby przyjrzeć mu się [dokładniej. — Tak, to to. No to po wszystkim, przyjacielu. Jego słowa miały sens. Uspokoilem się trochę. Po chwili przypomniałem sobie o wizerunku błękitnego oka żaglowcu. I o księżycu. Spojrzałem na ogromny, spokojne spoglądający na nas, nowy

księżyc. Żadne z zaklęć, o jakich wiedziałem, nie zamieniłoby trzech księżyców w jeden. Zastanawiałem się, czy nowy księżyc widzi mnie. Nie był to dziwaczny pomysł. Trzęsąc się ze strachu, spojrzałem w dal.

Płynęliśmy dalej. Po godzinie minęliśmy przybrzeżne miasto. Miało szare obwarowania, okrągłe, białe, kopulaste dachy budowli. Miasto rozpościerało się wzdłuż nowego urwiska. Jeszcze raz przysłoniłem ręką oczy i spojrzałem na plamę na horyzoncie. W ciągu zaledwie kilku dni rybackie miasteczko pokryło się skałami i wyglądało jak dżungla. W miejscu, gdzie znajdowały się szare ściany, nie było śladu dawnej osady.

Hayrn, spoglądając na miasto, wybełkotał imię Paladina, Zeboim i jeszcze kilku innych bogów. Zacisnął wyblakłe ręce na poręczy łodzi. Kłykcie rąk były prawie białe. Trzy godziny później zobaczyliśmy Palanthas.

Palanthas było ogromne, dużo większe niż w dniu, w którym je opuszczaliśmy. Na wyniosłym szczycie przed miastem wyrosła wielka wieża na kształt latarni z wielką kulą. Myślę, że miała przynajmniej dwieście stóp wysokości. W przystani było mnóstwo statków, dużo więcej, niż kiedykolwiek widziałem na jawie albo we śnie. Nad wodą unosiło się zawodzenie syren i bicie dzwonów wymieszane z urywanymi przekleństwami i krzykami. Nad naszymi głowami krzyczały mewy. Fale uderzały o statek. Na pokładach i ścianach potężnego miasta trzepotały flagi we wszystkich kolorach tęczy.

Unieśliśmy zadziwione oczy i zobaczyliśmy zatłoczone « karawan, szerokie, brukowane, kamienne drogi, prowadzące dc Gór Vingaard. Domy i ogrody były wszędzie. Wyższe, trzypiętrowe, stały samotnie, dalej, jakby poza miastem. Wszędzie panował hałas, ruch i przepych kolorów. Wrzało tutaj jak w Pa-lanthas, znanym z dzieciństwa. —Statki minotaurów — powiedział kapitan. Nie

miałem zamiaru ich szukać, ale zobaczyłem, że ma rację. — Nie widać Ergothians ani skrzacich parowców. Myślę, u większość z nich należy do elfów.

— Tutaj. — Wskazałem na niedaleki maszt. — Co to za znak, te złamane łańcuchy na żaglu? — Poprzerywane łańcuchy otaczały oko, ale tego nie powiedziałem.

Hayrn miał mocno zaciśnięte usta. Potrząsnął głową, oczy zwięziły mu się, jego spojrzenie było surowe.

Mała łódź bez żagli dopłynęła do nas z zadziwiającą prędkością. Była pomalowana na żółto i miała żółte proporce, które trzepotały na czubku niewysokiego masztu kabiny. Na szczycie masztu znajdowała się mała niebieska kula. Łysy mężczyzna w żółtych pantalonach i białej bluzce machał do nas ręką, po czym przyłożył do ust tubę i krzyknął do nas. Zrozumiałem, że zostaliśmy skierowani do przystani, aby rozładować nasz statek, ale to, co powiedział gospodarz przystani, chociaż brzmiało jak słowa, w rzeczywistości nie było tą mową, którą zazwyczaj słyszałem w Palanthas. Jego solamijski akcent był umiarkowany, mówił starannie i budował zdania przesycone poleceniami. Zjadał samogłoski, słowa wymawiał, jakby był obcokrajowcem, który nauczył się naszego języka od innego obcokrajowca.

Hayrn przełknął ślinę, a potem podniósł ręce, potwierdzając to, o co był proszony. Portowy zwrócił się w naszą stronę, a po chwili odwrócił się i zawołał kogoś z kabiny. Człowiek o szczupłych kończynach w białej tunice—podejrzywałem, że to około dwudziestoletnia kobieta — wyszedł z kabiny i przysłonił oczy, spoglądając w naszym kierunku. Szybko odwrócił się do portowego i wzruszywszy ramionami, wrócił do kabiny, dokąd łysy człowiek odprowadził go machnięciem ręki. Portowy machał do nas znowu, rozglądając się za innymi statkami, które mogłyby gdzieś skierować, aż wreszcie żółta łódź odplynęła. Oddalała się szybko i bezdźwięcznie, najwyraźniej napędzała ją jakaś magiczna siła.

Ale to nie magiczny napęd łodzi sprawił, że żołądek mi się skurczył i wykrzywiły usta.

— Ona miała obrozę — powiedział z niedowierzaniem Hayrn. — Miała na szyi żelazną obrozę, jakby była niewolnicą.

W Palanthas nie było niewolników. Niewolnictwo było nielegalne w całej Solamii już od setek lat, zostało zniesione jeszcze przed Katakлизmem.

Tak jak większość statków, skierowani do niezbyt gościnnej zatoki płynęliśmy do portu.

Trafiliśmy na kiepski moment, kiedy przystąpiliśmy do cumowania. Kobieta o kamiennej twarzy z plikiem papierów w ręce zażądała od nas opłaty za postój. Hayrn posłał mi zakłopotane spojrzenie, a następnie oczyściwszy gardło, wszedł do swojej kabiny, aby wrócić po chwili z kilkoma miedzakami. Zrobiłem niewyraźną minę, wiedziałem, że były to prawie wszystkie pieniądze, jakie mieliśmy. Podał je kobiecie, która spojrzała nań z obrzydzeniem. Rozzłoszczona rzuciła je pod stopy Hayrnowi. — Prawdziwe pieniądze — syknęła.

Spojrzelśmy po sobie. Kapitan powoli pozbierał monety i wrócił do kabiny pod pokładem. Kiedy się z niej wynurzył, trzymał coś w zaciśniętej pięści. Podał to kobiecie i zobaczyłem, że był to złoty, delikatny łańcuszek, coś, co nosił na szczęście za każdym razem, kiedy zatrzymywaliśmy się w mieście.

Nieugięta kobieta wsunęła łańcuszek do kieszeni i niezadowolona szybko mówiła coś do Hayrna. Zrozumiałem zaledwie połowę z tego, co powiedziała. Miała dosyć zbierania błahych przedmiotów od prostackich rybaków z zaniedbanych, przybrzeżnych miasteczek, którzy nie umieli się ucywilizować przynajmniej do tego stopnia, aby wprowadzić prawdziwą walutę. Nazwała Hayrna bezwstydnym gwałcicielem władzy Wielkiego Ergotha i oznajmiła, że może zostać trzy dni, ale nie dłużej. W tym czasie może sprzedać połowy w Abyss, nic więcej ją nie obchodziło. Odwróciła się

na pięcie i odeszła, nie oglądając się.

Władza Wielkiego Ergotha? Hayrn patrzył na mnie zupełnie ogłupiały, aż wreszcie zaczął oglądać przystań. Pracujący nieustannie przy wyładowywaniu ryb robotnicy zerkali na nas ukradkiem. Wszyscy nosili na szyjach żelazne obroże. Większość z nich była mężczyznami, było kilka karłów i półelfów, nawet kobiety i jeden mały skrzat. Mieli spuszczone oczy, nasze spojrzenia nigdy się nie spotkały.

Niewolnicy, to musieli być niewolnicy. O mało nie powiedziałem czegoś do Hayrna, ale zdecydowałem, że nie byłoby to

rozważne posunięcie. Tak jak mój Kapitan penetrowałem wzrokiem port. Miasto oglądane z bliska było tak samo obce, jak widziane z daleka. Zmienił się styl ubierania. Mężczyźni — ludzie i elfy — nosili luźne spodnie. Kobiety miały długie sukienki, którymi zamiatały podłogę. Kolory były przytłumione, ale w przeróżnych odcieniach. Ludzie, elfy, karły tu i tam... ale ani jednego Kenderyjczyka. Dziwne. Zawsze nie można było się od nich opędzić, pierwsi chcieli dotrzeć do każdej łodzi, aby dokładnie ją spenetrować. Wielu Kenderyjczyków było moimi przyjaciółmi, chociaż denerwowali Hayrna. Nie widziałem ani jednego z nich.

Nagle przyszło mi do głowy, że rybacka łódź, którą widziałem u wejścia do portu, ta, o której pomyśleliśmy, że pochodzi z Hylo, miała załogę złożoną z ludzi. Byłem tego pewien. Mieszkańcy Hylo, pomyślałem, byli narodem Kenderyjczyków, pochodzącym z jednej z dużych wyspy na północnym Ergoth, na wschód od Palanthis. Pomyślałem, że mogli to być ludzie z So-lamni, którzy pomagali rybackim rodzinom Hylo w czasie lata. Ale Kenderyjczycy też powinni być na pokładzie. Zawsze rzucali się w oczy z powodu specyficznego wzrostu i zwierzęcego zapachu. Teraz nie było żadnego.

Moje spojrzenie spoczęło na malutkim skrzacie z ogromną żelazną obrożą na szyi, który spokojnie zmagął się z wielkim koszem ryb. Sięgnąłem wzrokiem dalej i w centrum małego otwartego placu dojrzałem bezzębnego, starego człowieka. Za pomocą obroży, którą miał na szyi, był przywiązany do grubego drewnianego słupa. Siwą brodą zakrywał twarz przed kamieniami — mi rzucanymi przez nieczułe dzieci.

Gdzieś trzaskał bicz, jakaś kobieta krzyczała w boleściach. Nikt nie wyglądał na zaskoczonego, zupełnie jakby nie stało się nic nienormalnego.

— Chętnie rozejrzałbym się dokładniej po okolicy — oznajmił kapitan. Przytaknąłem. Zaczumowanego Latającego Kraba zostawiliśmy za sobą i niepewnie ruszyliśmy do nowego, obcego miasta. L Chociaż nazywaliśmy je Palanthis, zdecydowanie nim nie było. Tu i ówdzie rozpoznawałem znajome budynki, widząc inne,

krzywiłem się. Ulice były prawie, ale nie całkiem, takie same. Mieszkańcy nosili inne stroje. Zdobyłem kilka skórzanych sakiewek — sztuczki tej nauczył mnie kilka lat temu jeden z kolegów Kenderyjczyków. Dźwięczały w nich pieniądze, schowałem je za pas na później. Najlepiej nie pokazywać tego Hayrnowi, stary człowiek nie potrzebował dodatkowej dawki emocji. Jeszcze ważniejsze było to, aby nie pokazać miedziaków policji, która bezlitośnie wrzuciłaby mnie do więzienia jak złodzieja.

Musieliśmy coś zjeść. Wyciągnąłem dwie srebrne monety i powiedziałem Hayrnowi, że znalazłem je na ziemi. Wziął je z wdzięcznością i wskazał na małą karczmę o nazwie Joyous Sirine; szyld zawieszony nad drzwiami zdobił wizerunek nagiej, zielonej kobiety. Podłoga była wyłożona słomą i śmierdziało tam potem, heblowanym drewnem i tanim piwem. Nieobca temu miejscu była też woń wymiocin i śmierdzących odchodów z ustępu. Wewnątrz było pełno ludzi, elfów i półelfów. Większość z nich spojrzała na nas z zainteresowaniem. Klienci byli brudni, ale ich ubrania wyglądały

na dobrze uszyte, dużo lepiej niż zazwyczaj spotykało się w Palanthas — naszym starym Pa-lanthas. Usiedliśmy przy stole w kąci z tyłu karczmy. Obok znajdowało się okno, przez które mogliśmy spoglądać na zadrzewioną aleję. — Nie rozumiem — Hayrn odezwał się, ukrywając usta w ciemnych, złączonych rękach. Kiedy czekaliśmy na obsługę, nerwowo szarpał bokobrody. — Co to za rodzaj władzy? — szepnąłem. Hayrn patrzył przez okno na ścianę drzew, długo wahając się, zanim odważył się odezwać. — Obywatele mają tylko połowę władzy. Jej pełnię ma I absolutny gubernator i grono jego sprzymierzeńców. — Ergoth nigdy nie był zwolennikiem powierzenia władzy! innym — dodałem. Czytałem dużo opowieści w wolnych chwiliach. — Zauważyłeś, że nie ma tutaj Kenderyjczyków? Hayrn spojrzał na mnie zaskoczony. — Cóż... — mruknął, rozglądając się dookoła. — Zwróć i na to uwagę. Może miejsce to było dla nich po prostu zbyt nudne w tym tygodniu. — Jeszcze nie skończył mówić, kiedy podszedł do nas karzeł odziany w paskudny strój.

Karzeł wyglądał na pijanego. Miał niepewny krok i czerwoną, spuchniętą twarz. Wyglądał staro. Jego szurzą, czarną brodę pokrywały pasy siwizny. Spod długiej brody wystawała wyjątkowo gruba metalowa obroża. Na rękach miał przewieszane małe ścierki, które oferował nam, kiedy podszedł do stołu. Nie patrzyliśmy na niego. Wzięliśmy ścierki, aby wytrzeć ręce przed jedzeniem... i nagle zamarliśmy.

Dłonie karła wiele lat temu zostały odcięte przy nadgarstkach. Każdy kikut był zawinięty szmatą, przytrzymywaną przez skórzane opaski ciasno przylegające do przedramion. Z prawego kikuta wystawał wąski miedziany haczyk.

Zniżając ręce, karzeł wybełkotał coś, czego ani ja, ani Hayrn nie byliśmy w stanie zrozumieć. Pochyliłem się ku niemu. Stary człowiek wciągnął powietrze i powtórzył w języku solarnijskim, ale z dziwnym akcentem. Jego oddech był gorszy od zapachu gnijącego konia. — Zapytał nas, co chcemy zamówić — objaśniłem Hayrnowi. Kapitan przełknął ślinę i poprosił o dwa piwa. Karzeł odszedł, pozostawiając nas z burzą myśli wirujących w naszych głowach. Dwa kufle piwa ścisnął przy piersi za pomocą przedramion. Nie pewnie przechodził dookoła innych klientów, którzy ignorowali go, i wreszcie niezgrabnie uderzył w nasz stół. Część piwa rozlała się najego rękawy. Sfrustrowany i zażenowany karzeł przygryzł wargę. — Dziękuję — powiedziałem niskim głosem, kiedy kufle były na stole i karzeł odwrócił się, aby odejść. Zrobił krok do przodu, zatrzymał się, później odwrócił i przytaknął, nie patrząc na mnie. Przez moment miał nienormalny dla tej krainy kontakt z godnością. Wziął ofiarowaną przez Hayrna monetę, mamrocząc coś pod nosem, po czym odszedł. — Co on powiedział? — zapytał Hayrn, marszcząc brwi. Obserwowałem chód karła. Coś mnie zaniepokoiło.

— Powiedział, że nazywa się Duggin i że zaprasza nas, abyśmy zostali dłużej. Zastanawiałem się, co zaintrygowało mnie w tej istocie.

Nagle doznałem olśnienia. Karzeł powiedział: „Znajdziesz u nas wszystko, czego potrzebujesz, a nawet więcej.” Było to rozpowszechnione powiedzenie w mowie kender, w dodatku wyraził się w tym języku, używanym przez mieszkańców Hylo i w innych miejscach, gdzie gromadzili się Kenderyjczycy. Słyszałem to po raz pierwszy w nowym Palanthas.

Wstałem, próbując zachować spokój, bo nie chciałem się rzucić w oczy. Karzeł zniknął za drzwiami, prawdopodobnie wszedł do kuchni.

— Natura wzywa. Wracam za chwilę — powiedziałem do Kapitana. Stary Hayrn nie odpowiedział. Wyciągnął pozostałe monety, jakie mu dałem i wpatrywał się w nie.

Odszedłem, zastanawiając się, w jaki sposób mogę dotrzeć do karła i na osobności zadać mu kilka ważnych pytań. Pomyślałem, że ustęp powinien znajdować się w zaułku za kanałem ściekowym, jeżeli to Palanthas było chociaż trochę podobne do starego. Drzwi były otwarte...

Zasłaniając się ciałem, tak żeby nikt nie zapamiętał mojej twarzy, ruszyłem w tę stronę. — Toalety — wyszeptałem w języku kender.

Stary karzeł spojrzał na mnie ciemnymi, zaczerwienionymi oczami. Głową wskazałem na drzwi prowadzące do toalet, po czym śmiało skręciłem w ich kierunku. W ręce trzymałem pusty kufel i miałem nadzieję, że nikt mnie nie zauważył.

Zapach wydostający się na zewnątrz podpowiadał mi, że trafiłem do ustępu. W ziemi znajdowała się wąska dziura, prawdopodobnie gliniane rury prowadziły stąd do kanałów ściekowych. Przyłgnąłem do ściany i czekałem.



# 41. Smoki chaosu

Karzeł nie pojawił się przez kilka minut. Już chciałem zrezygnować, kiedy ten wynurzył się zza rogu i zbliżył do mnie ostrożnie. Wyciągnął pozbawioną dłoni rękę, wskazując na kufel.

— Nie widziałem wielu Kenderyjczyków w okolicy, Duggin — cicho powiedziałem w języku kender, podając karłowi pusty kufel. Nie odpowiedział nic. Ledwie wziął naczynie i trzymając je przy piersi za pomocą jednej ręki, patrzył na mnie bez wyrazu. Może powinienem spróbować w inny sposób, pomyślałem.

— Nie jestem stąd — powiedziałem, wciąż używając mowy kender. — Ja i kapitan chcemy dowiedzieć się trochę o mieście. Nie znamy tutejszych zwyczajów i pomyślałem, że może być...

— Dosyc — przerwał mi karzeł. Mówił bełkotliwie, ale poprawnie w języku kender. — Jesteś szaleńcem i głupcem, używając tego języka tak swobodnie. Ktoś mógłby podsłuchać.

Nie komentując, przyjrzałem mu się bliżej. Nawet pijany mówił z pewnym autorytetem w głosie, który wyczuwałem, chociaż, jak twierdził, byłem trochę głupcem.

Karzeł obejrzał mnie od stóp do głów. Miałem wrażenie, że stał bardziej wyprostowany.

— Skąd pochodzisz? — zapytał, wymawiając słowa z więk szą dbałością. Nie odpowiedziałem od razu. — Palanthas — powiedziałem w końcu w solamnijskim. Jesteśmy z Palanthas. Powiedziałeś do mnie coś, co tylko Ken...

Karzeł wyciągnął rękę, aby mnie powstrzymać. Jego oczy zwięziły się i lekko potrząsnął głową, jakby był przekonany, że kłamię.

— Ja również byłem głupcem. Wracaj do domu i zapomnij, zeznasz ten język, jeżeli ocalejesz — wyszeptał w solamnijskim. Zawrócił w kierunku tawerny.

— Duggin! — Chwyciłem go za ramię. — Gdzie my jesteś my? Co się dzieje?

Karzeł odwrócił się. Spojrzał zimno na moje dłonie. Pozwoliłem mu odejść. Odpowiedział, nie patrząc na mnie.

— Nie możesz być takim prostakiem — stwierdził bez złości w głosie. — Ale nawet jeżeli nim jesteś, zasługujesz na odpowiedź. Jesteś w Palanthas, stolicy państwa Solamnia pod panowaniem Władcy Świata Istar. Wracaj do domu — rozkazał i wszedł do tawerny, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Państwo Solamnia? Władcy Świata... Istar? Istar nie istniało od ponad czterech stuleci, zostało zniszczone, kiedy bogowie zemścili się na Kingprieście za jego bluźnierstwa i próbę przejęcia nad nimi kontroli. Co to za idiotyczny żart? Wróciłem do tawerny, czatując na karła. Kiedy wchodziłem

do środka, czekał na mnie stary Hayrn. Złapał za ramię i podstawił monetę przed moją twarz. Wziąłem ją i przyjrzałem się bliżej.

Jedna strona srebrnej monety pokazywała mapę, którą nie od razu zdołałem rozpoznać. Słowa „Zwycięski Istar” były ostemplowane dookoła brzegu w oficjalnie używanym języku solamnijskim. Przyglądając się uważnie monecie, nagle uzmysłowiłem sobie, że znam wygrawerowaną na niej mapę. To mapa Ansalo-nu, naszego rodzinnego kontynentu, tyle, że w latach sprzed straszego Katakliizmu, który zniekształcił krajobraz. Doskonale pamiętam kształt Ansalonu z map historycznych, jakie kiedyś oglądałem. Północna i południowa Ergoth oraz większość zachodnich wysp zmieniały kształt przez wypadek królestwa Er-goth. Na środku Krwawego Morza znajdowała się kraina Istar. Wielkie gwiazdy określały lokalizację stolicy. Spokojnie odwróciłem monetę. Patrzyło na mnie otwarte oko.

Opuściliśmy tawernę i ruszyliśmy chodnikiem, wołali za nami sprzedawcy owoców i garnków.

Nie miałem pojęcia, dokąd iść. —Istar — powiedział Hayrn, nie dowierzając. Biegał wzrokiem dookoła, obserwował uliczne sceny. Byliśmy świadkami milionów obcych dla nas wydarzeń. — Cofnęliśmy się do czasów Istar.

Nie mówiłem nic. Nie mogłem uwierzyć, że to prawda. T(\* musiała być iluzja, czar albo jeszcze coś innego. Wszystko by się zgadzało, gdyby nie księżyc, wizerunek oka i rozmiary Palan-thas. Palan-thas nie było nigdy tak duże jak to tutaj, nawet w latach przed Katakлизmem, który zmył jego część z powierzchni, tę od strony morza, gdzie zostało zatopione miasto. Królestwa Sola-mnia i Ergoth nigdy nie były częścią Istar, a przynajmniej nie w legendach i opowiadaniach, które czytałem i słyszałem.

— Jesteśmy w przeszłości — Hayrn mówił sam do siebie, — Ponad czterysta lat wstecz — milczał przez chwilę, a potem dodał: — To wina monstrum, ognistego człowieka, który rzucił zaklęcie i cofnął nas w czasie.

Historyjka miała sens, niezależnie od tego, jak była nieprawdopodobna. Zdecydowanie za całym tym zamieszaniem stał ognisty olbrzym. Ale... cofnięcie w czasie? Katakлизm nastąpił w pierwszym roku naszej ery, obecnie był trzysta osiemdziesiąty trzeci. Jeżeli Kapitan miał rację, byliśmy przynajmniej trzysta osiemdziesiąt trzy lata wcześniej. —Xak Tsaroth. — Hayrn stanął jak wryty. — Co? — Rozejrzałem się. Kapitan patrzył na mijający nas konny wagon z drewnianymi skrzyniami opakowanymi słomą. Na każdej ze skrzyń znajdowała się okrągła etykieta z wizerunkiem miasta z czarnym obeliskiem w centrum. Naokoło, na brzegach symbolu widniały starannie wytłoczone słowa, które mówiły „Xak Tsaroth Czerwone Wino, rocznik 375”. Patrzyliśmy na odjeżdżający z łoskotem wagon. —Wino Xak Tsaroth — powtórzyłem histerycznym tonem. — Właściwie dlaczego nie? Jeżeli cofnęliśmy się w czasie, miasto Xak Tsaroth nie zostało jeszcze zniszczone przez Kata klizm, więc wciąż sprzedaje się tam wino... —Rok — wyszeptał Hayrn. W jego głosie było coś, co kazało mi zamilknąć, w jego oczach dostrzegłem nie znany mi blask. Nagle stary Kapitan podszedł do mężczyzny, który wyglądał w oknie piekarni. Podążyłem za nim. —Przepraszam — zagaił, wymawiając słowa z wielką dbałością. Mężczyzna w oknie i tak nie omieszkał go obejrzeć. Wybacz mi, panie, ale nie jestem najlepszy w zestawianiu cyfr. Widziałem mijający nas wagon z butelkami wina z trzysta siedemdziesiątego piątego roku. Czy powiedziałbyś mi, jak stare jest to wino? Człowiek, który — sądząc po ubraniu i gruboskórych dłoniach — był rolnikiem, podrapał się w ogoloną brodę. Popatrzył następnie na palce i liczył, zginając je.

— Osiem lat — powiedział, patrząc w górę. — Teraz mamy rok trzysta osiemdziesiąty trzeci Zwycięskiego Istar, chwała za to Godking, zatem wino ma osiem lat. Powinno być gotowe dla naszych podniebień? — mrugnął, kiwnął ręką na pożegnanie i odszedł do sklepu.

—Trzysta osiemdziesiąty trzeci. — Hayrn był oszołomiony. — To jest... —Co on powiedział, Godking? — zapytałem miękko. — Chwała Godking? Czy to Paladin? — W mojej głowie układał się nowy możliwy wariant wydarzeń, w jakie zostaliśmy wplątani. Taka sama myśl uderzyła do głowy Hayrnowi. — Och... odezwałem się. Spojrzałem w górę na Kapitana, po czym jeszcze raz rozejrzałem się dookoła na zabiegane, nienormalne, zdumie wajaco nie tknięte przez Katakлизm i wojnę Palan-thas. Zobaczyłem je nowymi oczami.

Zauważyłem, że nie cofnęliśmy się w czasie w ogóle. Rok był ten sam, w którym Hayrn i ja po raz ostatni wypłynęliśmy z Palan-thas, to znaczy trzysta osiemdziesiąty trzeci.

Tyle że Ansalon był cały, tak jakby Katakлизm nigdy nie] nastąpił. Triumfował Istar, władca świata, królestwa Solamnia i Ergoth były jego dominium. Nie czas się zmienił, ale historia.

— Paladin i Takhisis przeklęli nas — stwierdził Hayrn, a słowa wychodziły z niego jak ostatni oddech.

Kilku przechodniów podsłuchało jego wypowiedź. Zrobili niezadowolone miny i odwrócili się rozdrażnieni. — Pogański bluźnierca — bąknął jeden z nich. Ruszyliśmy dalej powolnym tempem, nie zmierając do żadnego szczególnego miejsca. Ulica zakręcała w lewo.

Rozpoznałem nazwę ulicy i wiedziałem, że idziemy prosto do miejsca, gdzie powinna znajdować się Wielka Świątynia Paladina. Oczywiście została wybudowana dopiero po Wojnie Lanc. W tym świecie prawdopodobnie nie było Wojny Lanc. Nie wiedziałem nawet, czy był w nim sam Paladin.

Ciągle nie miałem pojęcia, kim był Godking. Nie umiałem pozbierać myśli.

Jakiś obiekt wyłonił się nad dachami budowli. Był tak biały jak inne otaczające nas murowane budynki, z tym tylko wyjątkiem, że zdobiły go grube czerwone pasy. Obaj to zauważyliśmy i wiedzieliśmy, co to takiego. Mimo to poszliśmy dalej. Ulicę osłaniały wysokie drzewa i wieże z minaretami po obu stronach,

Szliśmy do końca alei, wreszcie zatrzymaliśmy się i patrzyliśmy zdziwieni.

Poprzedzający nas ludzie i elfy bez najmniejszego strachu szli do Shoikan Grove, aż do samego końca Wieży Najwyższego Czarnoksiężstwa Palanthas. Zielone dęby gaju szeleściły w letnim wietrze, ich gałęzie błogosławiły niebo i chmury. Pamiętam, że gaj został przeklęty za czasów Katakliizmu. Ciężące na nim przekleństwo było tak straszne, że żadne rozumne stworzenie nie ośmieliłoby się postawić nawet stopy na tej ziemi. Tymczasem powróciła nawet biel ścian wieży. Przekleństwo rzucił zły czarownik, kiedy tuż przed Kataklizmem ostatni król z linii Istar ośmielił się sięgnąć po jego siłę. Wszyscy w Palanthas znali wiele historii na temat wieży.

Dzisiaj nie było śladu przekleństwa. Prawie uwierzyłem, że wróciliśmy do czasów przed przeklęciem wieży, ale nagle spojrzałem w górę i na najwyższym minarecie dojrzałem symbol, którego nie zdołałem sprecyzować dokładnie, dopóki nie okrążyliśmy wieży. Już po chwili rozpoznałem, że było to niebieskie oko. To samo oko, które widziałem na żaglach, wagonach oraz wielu innych przedmiotach i miejscach. Prawdopodobnie było to to samo oko, które spoglądało na ziemię z jedyne księżycy Krynny.

Jedna z legend mówiła, że Kingpriest z Istar miał oczy koloru błękitnej wody.

- No cóż, udało ci się wreszcie odzyskać wieżę — powiedziałem w końcu, nie adresując zdania do nikogo w szczególności.

Kiedy byłem mały, rodzice bawili się ze mną w grę nazywaną “co by było gdyby”. Co by było, gdyby mój ojciec poprosił bogów, żeby słońce było zielone? Jak wyglądałby świat w kolorze zielonym? Co by było, gdyby wełna rosła na drzewach? Co by było, gdyby ptaki pływały, a ryby latały? Co by było, gdyby owady umiały mówić? Co by było, gdyby nie wydarzył się Katakliizm?

Matka zadawała mi takie pytania: Co by było, gdyby Kingpriest był dobrym człowiekiem i nie próbował zniewalać lub

kierować bogami Krynny? Jaki byłby świat, gdyby Kingpriest nie brał w niewolę i nie zabijał ludzi i elfów? Co by było, gdyby nie próbował gwałcić wolnej woli ludzi? Tak trudne pytania tylko mieszały mi w głowie. Będąc dzieckiem, pozwalałem, aby to matka skończyła malowanie świata, w którym owady umieją mówić.

Nigdy jednak nie przyszło nam do głowy pytanie: Co by było, gdyby Kingpriest jakimś sposobem zawładnął bogami? Albo nawet sam siebie ogłosił bogiem i wyruszył na podbój całego świata pod sztandarem Istar?

Takie pytanie nigdy nie pojawiło się w naszych głowach. Dzisiaj obaj z Kapitanem znalazłbyśmy odpowiedź.

Bąłem się, że zemdleję. Zachwiałem się na nogach, ale na szczęście złapał mnie Kapitan i chociaż ręce mu zdrząły, nie upadłem na ziemię. Zanim odnaleźliśmy Joyous Sirine wśród krętych

uliczek, minęły dwie godziny. Za zachodnimi szczytami, naokoło zatoki, słońce już zachodziło. Niebo było jednak ciągle jasne, a sklepy — wypełnione ludźmi. — Powinniśmy wracać na statek — wymamrotał kapitan. — Nie chciałbym wpakować się w żadne kłopoty. Powinniśmy się przenieść gdzie indziej. — Ale dokąd pójdziemy? — zapytałem złośliwie. — Istar włada całym światem. Gdzie... wiem, jest tu jedna gospoda. — Na zachodnią część wyspy — oznajmił, zniżając głos, kiedy zbliżyliśmy się. — Północne Ergoth... och... — Ergoth było ciągle częścią kontynentu Ansałońskiego, nie zostało rozszczepione na wyspy. Czy to możliwe, żeby było już po Katakli zmie? — Ta część była wyspą i jest nią nadal.

Wchodząc do gospody, napotkaliśmy ludzi o twarzach bez wyrazu, za to o silnych umięśnionych ciałach. Miejsc było tak samo niewiele jak wcześniej, a karczma była jeszcze bardziej zatłoczona. Łojowe świece paliły się dookoła, dodając do cuchnącego powietrza specyficzny odór. Dwa elfy cicho wstały i odeszły od stołu, kiedy weszliśmy. Zajęliśmy ich miejsca i czekaliśmy.

— Ten karzeł, Duggin — zaczął Hayrn. — Ciii. — Nigdzie go nie widziałem.

Stary Hayrn zagryzł wargi i rozejrzał się po tłumie. Ludzie zerkali na nas od czasu do czasu, ale nie intrygowaliśmy ich w sposób szczególny.

Karzeł z żelazną obrozą wkrótce się pojawił, niosąc kufle dla klientów. Zdawało mi się, że złapałem jego spojrzenie, ale nie reagował, wrócił do kuchni po resztę piwa. Czekaliśmy w napięciu, w milczeniu oglądając stoły i ściany. Wreszcie Duggin wrócił i zatrzymał się przy naszym stole. Jak wcześniej ofiarował nam ścierki do otarcia rąk i czekał na zamówienie.

— Chwała Godking — powiedziałem, starając się, aby za brzmiało to jak najbardziej naturalnie. Po bijącym sercu rozpoznałem, że był to poważny błąd. Kilku klientów spojrzało na mnie ze zdziwieniem i podejrzliwością. Karzeł nie robił nic. Śpieszyłem się, aby zatuszować potknięcie. — Poproszę... hm, piwo i trochę mięsa, i chleba. Pozostali klienci wykrzywili twarze i wrócili do swoich zajęć. Duggin obejrzał mnie dokładnie. Wyglądał na bardzo smutnego. Jego blade usta poruszyły się. — Powinieneś być odejść — wyszeptał. Kapitan pochylił się, ignorując smród jego oddechu i ciała.

— Nie wiemy, dokąd iść — powiedział tak łagodnie, że jego słowa łatwo tonęły w gwarze gospody. — Nie jesteśmy z tego świata. To nie jest... Urwał, rozglądając się sfrustrowany. — Jeśli jesteś z Palanthas — powiedział w końcu Duggin — to jest twój świat. — Nie! — odparł Hayrn. — To nie jest mój świat, och, co za bezsens. — Ukrył twarz w dłoniach i westchnął. — Guli, powinniśmy wracać na statek. Może kiedy odnajdziemy płonącego olbrzyma, tym razem skieruje nas z powrotem do prawdziwego świata. Duggin przenosił wzrok z Hayrna na mnie, ze mnie na Hayrna.

— Płonący olbrzym? — powiedział w solamijskim, z uszczypliwością w głosie. — Który płonący olbrzym?

—

— Duggin! — Zaskoczeni odwróciliśmy się i zobaczyliśmy łysego, krzepkiego mężczyznę w poplamionym kuchennym fartuchu, przepychającego się przez popołudniowy tłum. — Duggin, do cholery, ludzie czekają! Ruszaj swoją małą śmierdzącą dupę!

Kiedy nas zauważył, zatrzymał na mnie wzrok. Wyraz jego twarzy zmienił się. Jakbym czytał w jego myślach.

— To ty! — krzyknął. — Wy dwaj wydaliście tutaj skradzione pieniądze! Złodzieje! Złodzieje!

Nie miałem pojęcia, jak rozpoznali, że pieniądze były skradzione, ale nie miało to większego znaczenia.

Siedziałem bliżej krzepkiego mężczyzny. Ześliznąłem się z krzesła, złapałem jego oparcie dwoma rękoma i trzasnąłem nadchodzącego prosto w twarz. Stare krzesło rozsypało się na kawałki, ale

udało mi się przycisnąć jego ciało plecami do stołu. Niechcący uderzyłem też kilku innych klientów. Szarpnąłem stół, przy którym siedzieliśmy, wyciągając go spod łokci Hayrna, i zaryglowałem nim drzwi tawerny. Nie raz braliśmy udział w karczemnych bijatykach i wiedzieliśmy, kiedy trzeba uciekać.

Ale zanim dotarliśmy do wyjścia, ktoś już na nas czekał. Dwa elfy, które wcześniej ustąpiły nam miejsca, wróciły z grupą kolegów. Byli ubrani w białe szaty narzucone na lekką metalową zbroję. Z przodu szat mieli emblemat słońca, nad którym widniał wizerunek błękitnego oka. Ludzie Godkinga. Walczyliśmy jak wściekłe psy, ale i tak nas pojмали.

W lochach najwyższego sędziego nie mieliśmy specjalnie dużo roboty. Stary Hayrn oberwał najwięcej, ale nigdy nie narzekał. Podniósł czarne oczy otoczone wieloma siniakami i bliznami po potłuczeniach. Na czole miał rany zadane nożem. Krew przeciekała przez brudny bandaż. Podczas bitwy trzymał się na nogach dłużej ode mnie. Bolała mnie głowa, wymiotowałem pomimo pustego żołądka. Wymiociny nie pogorszyły ani nie poprawiły zapachu w celi. Duggina wrzucili razem z nami. Zamknęli go pod zarzutem

udzielania wsparcia złodziejom i potworom oraz prawdopodobnie za nieposłuszeństwo. Sędzia, mówiąc o potworach, miał na uwadze mnie, myślał, że jestem Kenderyjczykiem. Odkryli później, że jednak nim nie jestem, ale ciągle pozostałem „złodziejem, brudasem, bezbożnym i śmieciem”, tak przynajmniej nazwali mnie dozorca, wpychając do małej celi. Jeden z elfów, który ustąpił nam miejsca przy stole, z powodu warkocza zidentyfikował mnie jako Kenderyjczyka. Dozorca wyjaśnił mi, że jako elf zasługuję na więcej łaski. Przynajmniej zrozumiałem, dlaczego nie było w okolicy Kenderyjczyków.

Stałem tak, rzygając, albo leżałem na plecach na ohydnej słomie, wpatrując się w brudny drewniany sufit celi. Jeżeli przestanie mnie boleć głowa, jest szansa, że będę żył do czasu stracenia. — Powiedziałeś coś o płonącym olbrzymie — odezwał się Duggin. Siedział obok mnie, zastanawiając się, czy znowu będę rzygał. — Zapomnij o tym — wybełkotał stary Kapitan. Siedział po mojej drugiej stronie, patrząc na zamknięte drzwi celi. — Stary człowieku — powiedział zirytowany Duggin. Nie jestem tak głupi, jak ci się wydaje. Myślisz, że jestem głupi z powodu tego... — Nie mogłem zobaczyć, co Duggin robił, ale i tak wiedziałem, że wysunął ręce, odsłaniając kikuty. — Czy dlatego jestem głupcem? Czy jestem głupcem, ponieważ zostałem niewolnikiem? Opowiedz mi o płonącym olbrzymie. — Nie uwierzysz — odparł Hayrn. — Sam w to nie wierzę. — Spróbuj. — Łowiliśmy moonfins — zacząłem. Mówienie potęgowało mój ból głowy, ale ogarnęła mnie ochota opowiedzenia całej historii. Nawet Hayrn wtrącał swoje dygresje. Mówiliśmy przez godzinę lub dwie. Tymczasem ból głowy złagodniał i ustąpiły problemy z żołądkiem. — To nie jest nasz świat — podsumowałem. — Wrzucił nas do niego ognisty olbrzym. Istar zostało zniszczone w czasie Kataklyzmu, a Kingpriest zabity przez bogów. Ansalon jest po dzielony i rządzą w nim prawdziwi bogowie — kontynuowałem i nagle zapytałem Duggina: — Czy bogowie dobra też są tutaj?

Duggin zacisnął zęby. Patrzył na swoje kikuty.

— Są żywi — powiedział powoli — ale nie są teraz bogami. Kingpriest stracił ich z tronu. Bogiem jest teraz on. Wszyscy pozostali są w niewoli.

Zaschło mi w gardle. Odwróciłem się, żeby spojrzeć na Duggina. — Bogowie dobra w niewoli? — Nie są już bogami — oznajmił karzeł monotonnym głosem. — Aczkolwiek pozostali nieśmiertelni. Mają ludzką formę, wszyscy są niewolnikami. Większość jest w Istar, tak myślę. Nie wiem, co ich teraz spotkało. — Przełknął ślinę. — Zeboim, ona nigdy nie stała się dobrym niewolnikiem. Słyszałem, że holowano ją po morzu za pomocą żaglowca i zatapiano do połowy przez kilka tygodni. Gilean... Gilean został oślepiiony i spalono jego biblioteki. Jest w Istar, raczej bezpieczny. Takhi-

była... otruta, nie wiem, gdzie jest obecnie. Była w Kalamán, ale... zmuszano ją do podróży i występów — głos karła słabił coraz bardziej. — A Paladín? — zapytał łagodnie Hayrn. Wyraz twarzy Duggina zmienił się. Zaciął zęby, ciemne oczy błysnęły. Nie powiedział nic, tylko pochylił głowę. — Jak to się stało? — zapytałem. — Kingpriest był tylko człowiekiem. Wiem, że był duchownym, ale to wciąż tylko człowiek. Sam nie mógł pokonać bogów. Duggin spojrzał na ciężkie drzwi celi i wąziutkie okna, przez które wpadało światło latarni. — Był tylko człowiekiem, ale uzyskał pomoc. — Czy płomienny olbrzym ma z tym coś wspólnego? — zapytałem. Brzmiało to głupio, ale nie gorzej niż pozostałe historie.

Duggin szybko odwrócił się i zerwał na nogi. Zadał nam wiele pytań dotyczących olbrzymia i wyspy, w pobliżu której łowiliśmy.

— Musimy się stąd wydostać — oświadczył, idąc w stronę drzwi. — Musimy wydostać się stąd i odnaleźć miejsce, w którym widzieliście płomiennego olbrzymia. Nie mamy dużo czasu.

— — Zapukaj, może straż przyniesie nam kolację — zaproponował Hayrn sarkastycznie. — Może wrzucą nas do morza i pozwolą dopłynąć do... — Zamknij się. — Duggin podsunął jeden z nadgarstków-kikutów do jego twarzy. Na początku nie wiedziałem, co robi. Potem spostrzegłem, że jego głowa odsuwa się w taki sposób, jakby coś ciągnął. Używając prawego nadgarstka, wyciągał mnie dziany hak. — Co robisz? — zapytał Kapitan.

Duggin zignorował go. Usiadłem, opierając się na łokciach, i obserwowałem go. Karzeł stał przy drzwiach, odwrócony do nas plecami i pracował nad czymś z wielkim zaangażowaniem.

Minęła zaledwie minuta i usłyszałem zgrzytnięcie, potem drugie.

Drzwi zaskrzypiały. Były uchylone. — Chodźmy — powiedział. — Straży nie ma w pobliżu. Hayrn i ja wstaliśmy, zbyt zadziwieni, aby pytać albo prote stować. Duggin obdarzył nas wściekłym spojrzeniem. — Ruszać się — rozkazał chłodno. Poszliśmy za nim. Popatrzyłem na drzwi pozostające za nami. Ogromna kłódka wisząca za zewnątrz drzwi została otwarta z wielkim trzaskiem. W jaki sposób? Spojrzałem jeszcze raz na pozbawionego dłoni karła, ale był prawie poza zasięgiem światła helowej latarni. Hayrn z wielkim wysiłkiem usiłował nadążyć za nami.

Nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, ale już kilka minut później znaleźliśmy się na ciemnej ulicy. Nie było tu nikogo poza zabłąkanymi kotami i psami. Spojrzałem na marmurowy budynek sądu. Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek nas widział.

— Nasz statek znajduje się na drugiej przystani, po lewej stronie, trzeci albo czwarty — wyszeptał nerwowo Hayrn. — Jednomasztowa łódź rybacka, nazywa się Latający Krab.

Duggin nie odpowiadał. Prowadził nas aleją, której w życiu nie widziałem, a szedł tak szybko, jakby od zawsze mieszkał w tym mieście. Nie mogłem uwierzyć, że to ten sam obdarty karzeł, który serwował nam piwo dzisiaj w południe. Dziwiło

mnie trochę, że jak sam powiedział, zanim go złapano, nie był niewolnikiem, ale był kaleką. — Trzymajcie się z dala od światła księżycy — ostrzegł karzeł. — Aby nikt nas nie zauważył? — zapytał Hayrn. Rozzłoszczony Duggin odwrócił się i popatrzył na Hayrna. — Księżyc. — Potrząsnął głową. — Księżyc cię zobaczy. Nie bądź głupcem. — Księżyc? — Hayrn powtórzył, nie dowierzając. — Kapitanie — odezwałem się, pociągając go za rękaw. — Chodzi mu o to, że Kingpriest może widzieć nas za pomocą oka, które umieścił na księżycu. Prawdopodobnie pozbył się pozostałych księżyców, tak jak bogów. — Ale... ale — Hayrn protestował i zamilkł. Duggin nie poprawił mnie. Biegł dalej w ciemności.

Dodarliśmy do portu, gdzie karzeł kazał nam zatrzymać się na chwilę w cieniu wyłożonego deskami magazynu. Patrzył na wybrukowany kamieniami plac, który prowadził do wielkich pokładów. W powietrzu czuć było bliskość morza. Słyszałem, jak fale uderzają o drewniane mola. W

świetle księżycy, nie dalej niż sto stóp od nas, rozmawiali ze sobą strażnicy.

Duggin patrzył w głąb placu. Przez dłuższą chwilę nasłuchiwał, czy ktoś nadchodzi. Po chwili odwrócił się do nas i kikutami zaczął szarpać naszą odzież. —Naciągnij coś na głowę — polecił. — Nie, nie to. Zaczekaj. — Oddalił się od nas i złapał kikutem kilka niezgrabnie splecionych worków i żeglarskich prześcieradeł. — Włóżcie to na głowy. — Rzucił worki pod nasze stopy. — Zróbcie otwory na ręce. Nie są mocne, były wyrzucone. O, tak lepiej. — Z moją pomocą owinęliśmy również głowę karła. —Straże i tak nas nie rozpoznają — stwierdził Hayrn. —Ale Godking rozpozna — odparł Duggin. — Pewnie śledził was od chwili, kiedy wylądowaliście w porcie.

Kapitan odwrócił się, aby coś powiedzieć, ale tylko westchnął ciężko i dokończył maskowanie swojego ciała. Na znak Duggina spokojnie ruszyliśmy w świetle księżycy w stronę naszego statku. Ścieżka, którą szliśmy, zaprowadziła do miejsca, z którego

widziałem przywiązanego do słupa, starego brodatego mężczyznę. Miałem na tyle dobry wzrok, aby dojrzeć, że wciąż tam był. Leżał na ziemi, możliwe, że spał. Dookoła było pełno drobnych kamieni, zdechłych ryb i zepsutych owoców. Kiedy zbliżyliśmy się, poczułem również zapach jego skóry.

— Gdy dam znać — wyszeptał Duggin — biegnijcie naj szybciej, jak potraficie, uciekajcie jak przed pożarem. —Powie dziawszy to, skierował się na prawo, w stronę przywiązanego łańcuchami starego człowieka.

Czułem, że Duggin chce zrobić coś niezgodnego z prawem. Stary niewolnik był najwyraźniej ukarany za jakieś poważne przestępstwo i nikt nie powinien się do niego zbliżać ani okazywać mu jakiegokolwiek uprzejmości. Rozejrzałem się za strażą, która odwiodłaby go od tego pomysłu, ale w bladym świetle nie dostrzegłem nikogo. Z zatoki powiało zimnem, które ochłodziło nasze twarze.

Duggin upadł na kolana. Pochylił się nad leżącą postacią i ostrożnie podniósł jej głowę. Jednym kikutem podtrzymał jej szyję, a drugim dotknął policzka, szepcząc coś przy tym. Nic nie słyszałem, więc posunąłem się bliżej. — Hej — mówił Duggin. — Jest mi potrzebny kamień. Usta starca poruszyły się, ale ciągle spał.

— Zbudź się — nalegał trochę już rozgniewany Duggin. — Kamień. Jest mi natychmiast potrzebny kamień.

Oczy staruszka otworzyły się, patrzył zdezorientowany, I a w końcu uważniej przyjrzał się karłowi. —Dugg'n Reh-ammer — odezwał się wreszcie. Ciężko sapał i jego słowa zlewały się w niezrozumiały ciąg. — Zajet dzi skuśnia? —O tak, bardzo duży ruch — powiedział czule Duggin. Bardzo duży ruch. Jest mi potrzebny kamień, Fiz. Zwiędły starzec uśmiechnął się szeroko. Wyglądał makabrycznie.

— Gałkana drzwiach — oznajmił. — Dałeś to dla Lunitari. Onaznikneła.

Duggin cierpliwie przytaknął. Jego twarz była zaledwie kilka centymetrów od głowy starego człowieka.

— Dawno temu — dodał karzeł. — To było dawno temu. Jest mi potrzebny kamień, Fizzie. Pośpiesz się. Zamień to z po wrotem, muszę go mieć. — Ale ja go nie mam — odparł trochę głośniejsze. Duggin ponaglał go. — Teraz, Fizban — nalegał. — Muszę go mieć natychmiast, i Zrób to. — Głupi Dougan — powiedział starzec, wymawiając jego imię nieco inaczej. — Głupi Dougan Redhammer. Dlaczego nie pozwalasz mi spać? Gałkana drzwi. Jeststracony. — Podciągnął się na jednym łokciu, opierając się na ramieniu Duggina i wstał niepewnie. Mógł upaść w każdej chwili. — Tutaj. — Spojrzał na chodnik, po czym ostrożnie położył kościstą dłoń na okrągłym chodnikowym kamieniu. — Tutaj — powtórzył. — Głupie Istra nigdy nieznaleźli. Jeden włożyłemna prawo. Głupi Kin'pressed nigdy nie zauważyli tego. Duża gałka drzwi.

Kiedy tak mówił, okrągły płaski kamień zmieniał kształt. Błyskawicznie stał się dużym, szarym, w kształcie kryształu klejnotem wielkości melona, jakiego można znaleźć na rynku. Siedział w brudnym małym dołku obok innych ułożonych na ulicy kamieni. Hayrn i ja gapiliśmy się z otwartymi buziami. Wyczerpany starzec wrócił na swoje miejsce. W cieniu wyglądał naprawdę przerażająco. Jego łańcuch brzęczał przez chwilę, ale zaraz zapanowała cisza, i — Czy to Szary Klejnot? — Hayrn zapytał dziwnym głosem. — Czy to Szary Klejnot... — Zamknij się! — warknął Duggin. Szybko złapał wielokąt-ny kamień pomiędzy kikuty i przytrzymując go ramieniem, schował pod odzienie. — Dziękuję, stary przyjacielu — raz jeszcze zwrócił się do starego człowieka. Ułożył go na ziemi i ucałował w czoło. — Śpij w pokoju. Wstał. Po jego ciemnej brodzie spływały łzy.

— Fizban — odezwałem się. Przygotowałem się na kolejny szok, ale się myliłem. — To Fizban? Szalony czarnoksiężnik?

Karzeł spojrział na mnie pełen złości, wyraźnie się dystansując.

— Skąd na Abyss możesz wiedzieć cokolwiek o Fizbanie? — Wojna Lanc! — rzuciłem. — Fizban był czarodziejem, który pomagał Bohaterom Lancy! Pamiętasz... o, do licha!

przypomniałem sobie za późno, że w tym świecie nie było tej wojny. Nawet Godking ani upadli bogowie nic o niej nie wiedzą. W tym Krynnie wydarzenie to nigdy nie nastąpiło.

Spojrzałem uważniej na bezzębego, obrośniętego, śpiącego na kamieniach starego człowieka. Czułem tak wielki ból i zarazem przerażenie, że przez chwilę myślałem, iż umrę.

— To Fizban — powiedziałem. — Uwolnijmy go i zabierz my ze sobą! Duggin złapał mnie za ramię i pociągnął w stronę pokładów. — Nie możesz dla niego nic zrobić, chłopcze — oświadczył twardo i stanowczo. — Kingpriest otruli go. Zniszczyli jego rozum. Ocalało w nim tylko trochę magii. Zostaw go w spokoju i pozwól... — Duggin — odezwał się niespokojnie Kapitan. — Straże! — Hej! — ktoś krzyknął.

Rzuciłem spojrzenie w kierunku na który wskazał Hayrn. Rozpoznali nas. Trzech strażników biegło w naszym kierunku. Dwóch z nich w trakcie biegu sięgnęło po krótkie miecze. — Stać! — wrzeszczał dowódca oddalony od nas zaledwie dwieście stóp. — Nie ruszać się z miejsca! — Uciekajmy! — rozkazał Duggin i prysnął w kierunku, który mu wcześniej wskazaliśmy, do miejsca postoju Latającego Kraba.

Był najszybszym karłem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Bez broni nie mieliśmy szans w walce. Wskoczyliśmy do naszej rybackiej łodzi tak szybko, jak tylko zdołaliśmy. Trzej strażnicy byli tuż za nami. Trzymając w rękach obnażone szable, przeklinali nas w imię Godkinga. W ostatnim momencie zdołałem odwiązać maszt i przymocowane do mola liny. Słyszałem, jak Duggin krzyknął: — Sam się zatrzymaj!

Wtedy błysnęło dziwne światło. Zaskoczony upuściłem tyczkę do odepchnięcia się od mola. Szybko ją jednak złapałem, chociaż prawie wylądowałem za burtą. Kiedy byłem gotowy, zobaczyłem, że trzej strażnicy stali, jakby zamarli w trakcie biegu. Nie poruszali się. Nad ich głowami promieniowała aureola magicznego światła.

Obejrzałem się. Duggin trzymał w kikutach wielokąt-ny, szary kamień, nakierowany prosto w strażę. Usiadł po chwili, pomrukując coś sam do siebie, i próbował schować kamień z powrotem pod pelerynę. Kamień wyslizgnął mu się i upadł na pokład. Niezadowolony karzeł wstał.

— Abyss z tobą — powiedział zły, kiedy wyprowadziłem statek na otwartą wodę. Hayrn zaciągnął żagiel, ale wiatr pchał nas z powrotem w stronę wybrzeża.

Duggin rozejrzał się dookoła. Widział nasze niepewne miny. Pochylił się ostrożnie, aby podnieść kamień.

— Wietrze, dmij! — krzyknął, trzymając kamień w kierunku ku żagla. Usłyszałem więcej stóp



uderzających o pokład mola, ale w tym czasie zadął wiatr i wypełnił żagiel. Łódź się zachwia ła. Przewróciłem się, wypuszczając tyczkę, która wpadła do zatoki. Wiatr porywał nas miarowo w daleką, rozciągającą się przed nami przestrzeń. Kierowaliśmy się na północ ku Wrotom Paladina.

Duggin usiadł na pokładzie, kamień położył obok siebie. W słabym świetle księżyca ledwie widziałem żelazną obrożę na jego szyi. Westchnął głośno, kiedy spojrzał na biały księżyc i patrzące na nas szeroko otwarte oko. Po chwili wyszczerzył zęby.

— Odzyskałem go, Kingprieście — stwierdził. — Odzyska łem go, ty zdradziecka, samolubna kreaturo. Ty nędzna kulo obłąkanego półbożka! Ty... —jego przekleństwa z każdą minutą stawały się coraz bardziej okrutne, zawzięte i szokujące. Parzyły mnie w uszy. Nikt w świecie nie przeklinał z takim zaangażowa niem, jak Duggin tamtej nocy.

Wreszcie zabrakło mu powietrza i zadyszany położył się na plecach. Leżący obok niego Szary Klejnot emanował monotonnym blaskiem. — Wspaniały Reorx! — wykrzyknąłem. Słyszac te słowa, karzeł podniósł się i spojrzał na mnie

W księżycowym świetle jego twarz wyglądała blado. W ciągu kilku godzin postarzał się o sto lat, przynajmniej tak wyglądał.

— Miło mi, że ktoś o mnie pamięta — powiedział. Zamknął oczy i odpłynął w głęboki sen. Wiatr niósł nas na głębokie morze i w ciemną noc, jak najdalej od nowego Palanthas.

Przez cały dzień i noc płynęliśmy na północ. Goniło nas kilka statków, ale za każdym razem sprzyjający wiatr, wzywany mocą klejnotu Duggina, szczęśliwie pozwalał nam uciec przed patrolami. Tej samej nocy, której opuściliśmy miasto, księżyc przestał się poruszać, ale nadal wisiał na niebie, pilnując nas dniem i nocą. Przestałem traktować Duggina jako Duggina.

— Dziękuję — powiedział, kiedy dałem mu kubek świeżej wody. Zauważył, że patrzyłem na niego w inny sposób. Odłożył kubek i unosząc czarne brwi, odwzajemnił moje spojrzenie. — Jak powinienem cię nazywać? — zapytałem. Karzeł chrząknął i napił się wody. —Dougan Redhammer nie brzmi źle. — Napił się znowu i odstawił kubek na podłogę. — Tak, byłem kiedyś Reorxem, ale za sprawą Kingpriesta nie jestem już bogiem, nie ma więc powodu, aby traktować mnie w specjalny sposób. Dougan Red hammer podoba mi się. Było to moje wcielenie, kiedy wszystko uległo zmianie. Dougan będzie dobrze. —Dougan — powtórzyłem, wracając do łowienia ryb. Mu sieliśmy coś jeść w drodze na wyspę. —Opowiedz o płonącym olbrzymie — poprosił Hayrn. Był spokojny, tak jak ja, okazując szacunek naszemu gościowi prawdopodobnie patronowi złodziei. Słuchałem, nie przerywając pracy.

Duggin zaśmiał się krótko, chociaż nie uważałem, że temat był zabawny.

— To musi być on, chłopcy — oznajmił ponuro. — On sam, nikt inny. I w naszym, i waszym kraju na tej wyspie mieszka Idra. Niewielu z nich mieszka na Krynnie, moim Krynnie, zakładając, że wy i ja pochodzimy z innych Krynnów. To był przeklęty, szalony pomysł. Wyspa Idra jest teraz największą zagadką. Tak

— czy inaczej, myślę, że wasza Idra pokrywa się z naszą wersją świata. — Pieścił leżący przy nim Szary Kamień. — Szary Kamień albo Szary Klejnot Gargath wiele lat temu zamienił Krynn w chaos, wprowadzając w świecie wiele zmian. Szary Klejnot był magiczny i miał zmienną naturę. Przekształcał krajobraz, rodził potwory, minotaury, karły i Kenderyjczyków.

Przypomniałem sobie, że czytałem kiedyś o tym, jak bóg Reorx zapomniał kiedyś Szarego Klejnotu. Był to wyjątkowy przypadek. Dougan wziął głęboki oddech.

— Przeklęty Idra musiał odgadnąć, w jaki sposób się go otwiera. To on musiał poplątać światy. — Skrzywił się, mówiąc Otyrn. — Nie zrobiłby tego żaden inny bóg. Nie chciałbym być świadkiem rozdarcia się.

— Dlaczego? — zapytałem. Zupełnie zapomniałem o łowie niu ryb. Dougan się zawahał:

— He... — Podrapał się kikutem w bokobrody. — No cóż, widzisz, kiedy utworzyliśmy Szary Kamień, miał te... te... inni mogą wejść do jego wnętrza. Możliwe że drugi bóg uwolnił się lwyszedł na zewnątrz. — Dougan spojrział na mnie z prawdziwym współczuciem. — Jeżeli naprawdę przytrafiło się to w naszym Krynnie, jeżeli Szary Kamień został złamany i otwarty, wątpię, czy macie dom, do którego możecie powrócić. Stary Hayrn i ja chłonęliśmy każde słowo,

— Ach — westchnąłem. — Płomienny olbrzym to bóg, który znajduje się wewnątrz Szarego Klejnotu, ten, którego na zywiasz „on sam”. Dougan przytaknął, patrząc daleko na północ.

— Gdyby wyszedł na wolność — rzekł Hayrn ostrożnie — co by zrobił? Dougan potarł twarz i przełknął ślinę.

— Obawiam się, że nic dobrego — odpowiedział krótko. — Nic dobrego. On... no cóż... był zły, siedząc zamknięty w Gray-gem. Niepotrzebnie z nim zaczynał. Mmm, może nie było to miłe z naszej strony. Szykował na nas... zemstę, jestem o tym prze- j konany, i...

— Miał zatem więcej mocy niż ty? — zapytał wprost Hayrn. Myśl ta krążyła również w mojej głowie.

Czarnobrody karzeł milczał. Wpatrywał się w horyzont, po czym zerknął na kikuty, zanim włożył je pod pachy, jakby chciał je rozgrzać.

Nie rozmawialiśmy przez kolejne kilka godzin. Na obiad jedliśmy rybę. Kładąc wiklinowy talerz na podłogę, zagadnąłem.

— Więc nasz świat został zniszczony? Wyleciał w powietrze albo coś innego?

Nikt się nie odzywał. Wstałem i przeszedłem na drugi koniec statku, gdzie usiadłem i zacząłem płakać. Myślę, że płakałem kilka godzin. Podeszedł do mnie wreszcie Dougan i usiadł obok.

— Nie mam pojęcia, co stało się z twoim Krynem — powiedział szlachetnie, zażenowany. — Nie mam pojęcia i nie ma żadnego sposobu, aby się tego dowiedzieć. — Co teraz zrobimy, Dougan? — zapytałem, kaszląc i wycierając oczy. — Co będziemy robić, kiedy odnajdziemy wyspę? Karzeł spuścił wzrok. Czułem, że dopiero teraz się nad tym zastanawia. Nie miał pojęcia, co robić, kiedy dotrzemy na wyspę.

— No cóż — stwierdził Dougan, chrząkając. — Idra ma magiczną moc. Ja mogę użyć tylko siły Szarego Kamienia. Zdołam też wypowiedzieć kilka zaklęć, ale myślę, że przy pomocy Idron mogę odzyskać dawną moc. Nie całą, ale wystarczająco dużo. Mogłoby jej wystarczyć. Nowy bóg... ten Godking, zabija frynn. Wszystkie rasy zostały zniszczone. Wybite co do jednej osoby w ciągu trzystu osiemdziesięciu lat. — Znowu zaczerpnął powietrza. — Nie ma ani jednego Kenderyjczyka, minotaura czy chochlika, wszyscy wyginęli wiele lat temu. Skrzaty prawdopodobnie będą następne. Karły są ostatnie w kolejce, ale zginą na pewno. Wszelkie nacje na wszystkich wyspach są niewolnikami. Wydaje się, że reszta ludu to wolni, ale nawet ludzie i elfy są więźniami kaprysów Godkinga. Żyjemy pod wodzą najgorszego tyrana w historii świata, jednego z wielu światów. Musimy coś zrobić, aby to powstrzymać. Nawet jeżeli sami zginiemy, musi my spróbować, inaczej zginie cały Kryn. Siedział ze mną jeszcze przez chwilę i rozmawialiśmy. Za

pytaliśmy z Hayrnem o historię jego Krynny, opowiedział wszystko po kolei. Mówił o horrorze, jaki panował w czasie Lat Pogoni, jakim rasom zagrażała śmierć; kiedy armie ludobójców ściagały ludzi i zabijały bezlitośnie. Mówił, jak Rycerze Solamnii zorganizowali powstanie, ale zostało ono stłumione przez magów partii Godkinga. Opowiadał o nocy, w której czarownicy zostali pozbawieni mocy. Stało się to, kiedy Godking połączył trzy księżyce w jeden, niszcząc w ten sposób źródła czarnoksięstwa. Opowiedział, jak poprzedni bogowie, którzy zrzucili go wiele lat temu, zostali

wzięci do niewoli, dręczeni, znieważani i okaleczeni. Dougan wiedział, jaki los spotkał większość starych bogów. Kiedy wspominał tamte dni, na jego twarzy malowała się wściekłość. Zasmucał go nawet los złych bogów. Byli jak zgniłe jabłka, ale wciąż należeli do tej samej jabłoni.

Stary Hayrn i ja obiecaliśmy pomóc i zrobić wszystko, cc w naszej mocy. Chcieliśmy przywrócić porządek na świecie, zreperować go, uczynić cokolwiek. Nie powiedziałem, że po straceniu naszego świata nie mamy innego zajęcia. I tak byłem wystarczająco szczery.

Wyspa Irda pojawiła się przed nami dopiero na drugi dzień. Z trudem pokonałem napełniający mnie lęk, kiedy zbliżyliśmy się do niej. Nie mieliśmy wyboru. Hayrn przywiązał zawieszoną na linie starą kotwicę do skały na wodzie płytkiego zalewu. Wyruszyliśmy w poszukiwaniu mieszkańców wyspy. Dougan wrzucił Szary Klejnot do worka i razem umocowaliśmy go na pasie, przykrywając wypuszczoną na zewnątrz koszulą. Niebyt to głupi pomysł, chociaż wyglądał, jakby miał brzuch od picia dużych ilości piwa.

— Klucze do Irdy — oznajmił Dougan, drapiąc nadgarstkiem bokobrody, kiedy szliśmy przez zarośla — nie wyglądają tak, jak się nam wydaje. Zgodnie z legendą powinni być piękni, ale mogą pojawić się w obrzydliwej jak najgorszy grzech postaci i nigdy byś się nie domyślił, że to Irda. Są potężni, dokuczliwi, ale sprytni. Mogą być ludźmi, zwierzętami, czymkolwiek. Miejcie oczy otwarte.

— Ślady stóp — powiedział Hayrn, niecałą minutę później. Wskazał na znajdujące się przed nami błoto i rzeczywiście, zobaczyliśmy tam mnóstwo śladów stóp. Były dość małych rozmiarów. Wyglądały na stare. — Irda — rzekł Dougan z wyraźną ulgą. — Na moją brodę. Powinni być...

Nie dokończył zdania. Właśnie weszliśmy na wzgórze i zobaczyliśmy miasteczko Irda. Zamurowało nas.

Trudno opisać, jak wyglądały ich domy, bo były doszczętnie zniszczone. Trudno też powiedzieć, jak wyglądali mieszkańcy Irdy, pozostały po nich tylko białe kości. Obejrzałem się, idąc w kierunku jednej z klatek z zamkniętymi w niej żebrami. Musieli być ludźmi wielkich rozmiarów. Nie wiadomo, co jeszcze charakteryzowało ich za życia; teraz nie było nic pięknego w leżących przede mną ich nagich szkieletach.

Dougan rozłożył ręce, nadgarstkami dotknął Hayrna. Cofnąłem się o krok.

— Chłopcy — powiedział czarnobrody karzeł — musimy wynieść się stąd jak najszybciej.

Instynkt mi podpowiadał, że ma rację. Odwróciłem się, aby ruszyć w stronę statku.

— Ale dokąd pójdziecie, Reorksie? — zapytał głos ukryty w nieruchomym powietrzu.

Zerwaliśmy się, jakby zimna ręka dotknęła każdego z nas w tym samym momencie. Rozglądaliśmy się na wszystkie strony, ale nikogo nie widzieliśmy. — Dokąd chcesz iść, Reorksie? — głos zapytał ponownie. Wydawało się, że był to głos mężczyzny, starszego mężczyzny. Brzmiał dość szlachetnie i spokojnie. Niepokoił mnie. — Nie biegnijcie, chłopcy! — krzyknął Dougan. — Stójcie, przy mnie, blisko mnie. Nie możemy go prześcignąć. Stójcie przy mnie i rozmawiajmy. To wszystko, co możemy zrobić. — Doskonała rada, nie wiem, czy nie ostatnia — odparł głos. i Na prawo zobaczyłem coś jasnego. Odwróciłem się. Pomiędzy kośćmi mieszkańców Irdy stał stary, ogolony na łyso mężczyzna. Promienie słońca odbijały się w nim jak w lustrze. Przysłoniłem

ręką oczy, ale zaraz ją opuściłem. Stał w odległości piętnastu stóp. Miał na sobie bladożółte szaty z wizerunkiem róży albo słońca na piersi, z którego promienie rozchodziły się we wszystkich kierunkach. Jego twarz pokrywały zmarszczki, w głębokich liniach odbijały się lata udręki i smartwień. Pomyślałem, że bycie bogiem nie jest tak przyjemne, jak to sobie wyobrażałem. Jednak w błękitnych oczach widziałem blask triumfu. Ostatecznie wszystko działało się na jego korzyść.

— Czy przyniosłeś to, Reorksie? — zapytał mężczyzna w szatach.

—; Nie mam nic dla ciebie — odparł karzeł. Zgarbił się i skrzyżował na brzuchu pozbawione dłoni ręce. — Absolutnie nic. — Kłamiesz, Reorksie — stwierdził człowiek. — Zasmuca mnie fakt, że mnie okłamujesz. Czy to twoi współnicy od kra dzieży? — Błękitne oczy spoczęły przez chwilę na mnie i prze szły na Hayrna, po czym wróciły do karła. — Skąd ich wzięłeś? Nie widziałem nigdy wcześniej tych rybaków. Pojawili się zni kąd na otwartym morzu mojego świata. Znam twarz każdej istoty w moim świecie, Reorksie, każdej ale nie tych dwóch. Skąd ich wzięłeś? — Nie wzięłem ich, ale nawet gdybym wziął, nie twój pie przony interes, ty stary, zwiotczały zjadaczu gnoju! — warknął karzeł. — Skocz do Abyss, jeżeli chcesz się dowiedzieć. Człowiek w błękitnych szatach powoli poruszył głową, wyrażając dezaprobatę.

— Twoje zachowanie nie poprawiło się od czasu kapitulacji. Najwyraźniej byłem zbyt łagodny przy wyborze kary, po tym jak wykradłeś mi Szary Klejnot.

Wiedziałem, że Godking — człowiek w szatach — zauważył moje szeroko otwarte oczy, gdy to usłyszałem. Posłał mi delikatny uśmiezek.

— Więc ci kolesie nie byli świadomi twoich wcześniejszych przestępstw? Nie powiedziałeś im, że zabrałeś mi Szary Klejnot, chociaż użyłem jego mocy do zniszczenia zła, pokonania fałszy wych bogów i podniesienia siebie na właściwą pozycję w niebie?

— Trzeba przyznać, że bez Szarego Klejnotu niczego byś nie dokonał. Dziwne, że kamień wrócił do mnie, zanim zwołałem starych bogów Istar i poleciłem im, aby na nowo uformowali świat. Nie wydaje ci się, że kamień ma swój rozum? Starzy bogowie próbowali mnie pokonać i zniszczyć moje królestwo, moją prawdziwą rasę, moich poddanych, ale ostatecznie to oni zostali straceni, nie ja. Szary Klejnot przywrócił mi moc. Szkoda że odbiło się to ujemnie na tobie. Biedny Kaleka, o, nieszczęsny Robotnik Kowal. Jedynym dźwiękiem, który słyszałem przez kilka kolejnych minut, był ciężki oddech karła.

— Nienawidzę cię — oznajmił Dougan niskim głosem, któ ry brzmiał, jakby był bliski płaczu. — O, jak bardzo cię nienawi dzę, ty przekłety psie, sługo zła. Człowiek w szatach pociągnął nosem. — Zła, istotnie — powiedział. Szedł w naszym kierunku, jego stopy były niewidzialnie pod bladeżółtymi szatami. Oddaj mi Szary Klejnot, Reorksie. — Skąd wiedziałeś, że przyjdziemy? — zapytałem. Musia łem coś powiedzieć, cokolwiek, odroczyć to, co miało nastąpić.

Człowiek w szatach zatrzymał się i popatrzył na mnie zaskoczony, jakbym mówił od rzeczy. — Widzę wszystko — odparł. — Patrzę na świat przez cały dzień i całą noc, nic nie ujdzie mojej uwagi. Nie zauważyłeś mojego księżyca z wielkim okiem? Myślę, że będziesz chciał wrócić do domu, gdziekolwiek on jest. Czy jest pod ziemią? Czy może w gwiazdnej przestrzeni? W innym wymiarze albo na innej planecie czy świecie, a może w innym czasie? Nieważne. Pojawiłem się tutaj przed tobą i... zrobiłem porządek. Zablokowałem też wszystkie wyjścia z mojego świata. Zostaniesz tutaj na zawsze. — Zostanę i zginę — dodałem.

Starzec popatrzył na mnie jak na dziecko, które powiedziało prostą i oczywistą rzecz. — A co będzie z targiem? — zapytałem. Usychało mi w gardle. Oczy starca rozszerzyły się. Podniósł dłoń, aby poprawić bokobrody. — Targiem? — zapytał. — Chyba żartujesz. —

Spojrzałem na Dougana, który zwrócił się w moją stronę. Nie miał czasu rozczułać się nad tym, co zamierzałem zrobić.

Uniosłem prawą stopę, obróciłem się na lewej i kopnąłem Dougana w plecy. Niespodziewany cios pozbawił go powietrza i powalił na ziemię. Wlazałem na niego. Krzyk starego Hayrna dźwięczał mi w uszach. Błyskawicznie rozdarłem sznur trzymający kamień pod koszulą Dougana, bez palców karzeł nie mógł złapać worka. Cofnąłem się, przyciskając worek do piersi.

— Dam ci ten worek i jego tajemnicę, jeżeli zachowasz nas trzech przy życiu — powiedziałem

do Godkinga. — Nie możesz nas zranić w żaden sposób ani wysłać gdzieś, gdzie skrzywdzi nas ktoś inny. Zrobisz to albo nigdy nie dostaniesz worka.

Przez chwilę ochryple kasłanie Dougana było jedynym słyszalnym dźwiękiem. Dławił się, próbując złapać powietrze. Kiedy przytuliłem worek z Szarym Klejnotem, zacząłem odczuwać coś dziwnego. Pragnąłem go posiąść na zawsze. Byłem po prostu bezmyślnym głupcem, oddając go Godkingowi. Czułem, że za pomocą Klejnotu mogę pokonać Godkinga. — Myślę, że łatwiej będzie, jeżeli po prostu wezmę go sobie i ukarzę cię za arogancję — stwierdził Godking. W jego głosie nie było przekonania ani dowcipu. — Gdybyś mógł, dawno byś to zrobił — szybko odpowie działem. — Nie bawiłbyś się z nami. Chociaż jesteś jedynym bogiem, który pozostał na tym świecie, nie dostaniesz ode ranie Szarego Klejnotu. Nie wiesz, jaką dokładnie ma moc, podobnie jak ja. Uwierź mi jednak, że jeżeli nas zranisz, wypróbuję ją!

Nagle poczułem nieodpartą chęć wypróbowania go. Chciałem przekląć Godkinga. Był tylko człowiekiem, który uczynił siebie bogiem. Ja miałem Kamień. Mógłbym sprawić, że wyglądałby jak spalony kawałek kurczaka.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę która wydawała się wiekiem. Nigdy nie ryzykowałem tak bardzo jak w tamtej chwili, Nie mogłem przegrać. Chociaż wiedziałem, że to nie moja moc ale Szarego Klejnotu, nie mogłem przestać myśleć o tym, a jestem niepokonany.

Odrzuciłem myśli o Szarym Klejnocie. Wiedziałem, co mam robić. — Twoje słowo, że nie tkniesz nas i będziesz... to m-m-iał. — Nie! — wrzeszczał Dougan, odpychając Hayrna i sięgając w moim kierunku. Odsunąłem się i karzeł upadł na ziemię, jeszcze raz jęcząc z bólu wywołanego ciosem, jaki mu zadałem. — Nie wiesz co ro... — urwał, kaszląc. — Nie mogę ci pozwolić odejść w świat, wiesz o tym — oświadczył Godking, ignorując lamentej karła. — Nie mogę nikomu powiedzieć, że targowałem się ze śmiertelnikiem. To nie przejdzie. Ale możesz odpłynąć na północ, gdzie na dziewiczych wyspach będziesz się czuł jak w niebie. Kiedyś mieszkały tam smoki, ale kilka lat temu usunąłem je, tak jak wczoraj musiałem oczyścić tę wyspę. Możesz zabrać swoją łódź i wynieść się na północ, ale jeżeli kiedykolwiek przeniesiesz się na inną wyspę, zabiję cię i... twoich towarzyszy również. Skończę z wami na zawsze.

Pomyślałem o tym. Nie patrzyłem na Dougana i Hayrna. W głowie czułem dziwne szeptanie Szarego Klejnotu.

— Zga-dzam się — oznajmiłem. Nie mogłem pokonać jąka nia. — Kie-kie-kiedy dam ci w-w-worek, z-zostaw nas tutaj. Zostaniemy sami. S-se-sekret polega... — przerwałem. Zakreśliłem dookoła nas wielkie koło i wystawiłem worek w stronę Godkinga. Kiedy się zgiął, aby go wziąć, rozkazałem Kamienio wi zamienić głupiego starca w chmurę krwi. Zamknąłem oczy, zacisnąłem zęby i zmuszałem się do wypowiedzenia słów, które miałem w głowie, tak żeby Godking mógł je usłyszeć.

Poczułem wielką ulgę. Odsunąłem się od worka, pozwalając, aby Godking go zabrał. Uśmiechnął się do nas po raz ostatni i — przepadł.

Krzyk Dougana odbijał się echem na pustej wyspie jeszcze przez godzinę.

Dougan nie odzywał się do mnie po tym, co zrobiłem. Nie odzywał się też do Hayrna. Kiedy próbowaliśmy się zbliżyć do niego, wystawiał bezbronne kikuty i krzyczał do utraty tchu.

Zostawiliśmy go zwiniętego w kłębek pod małym jodłowym drzewem. — Frankly — odezwał się Hayrn. Mówiąc do mnie, miał palce zwinięte w pięść. — W jego imieniu powyrywałbym ci nogi. — Wchodź do łodzi — powiedziałem zmęczony, zły i nie w nastroju do sprzeczek. Byłem wściekły, że oddałem Szary Klejnot, ale jednocześnie czułem wielką ulgę. — Jeżeli nie uda się nam zabrać Dougana, możemy zostawić go tutaj, chociaż wolałbym tego nie robić. Tutaj może nie być bezpieczny i najle piej by było... — Niech cię otchłań Abyss pochłonie! — wrzasnął stary Kapitan. —

Zdradziłeś nas! Zdradziłeś świat! — Ocaliłem twój tyłek! — krzyknąłem w odpowiedzi. Stra cilem nad sobą kontrolę. — Ocaliłem twój głupi tyłek, jego też i całego świata! Godking za sprawą swojego oka na księżycu widzi wszystko, co robimy, ale nie słyszy naszych myśli! Nie słyszał tego, co mówiłem do Kamienia. Nie wie nic o Szarym Kamieniu! Nie ma pojęcia, co to jest! Nic nie wie! Kompletnie nic! Obruszony Hayrn spojrział groźnie. — Nie wie nic o czym? — zapytał. Błysnęło.

Coś nadciągało ze wschodu. Obróciliśmy się i przysłoniliśmy oczy przed blaskiem południowego słońca. Chwilę później nagle ciepło napłynęło mi do twarzy i rąk. Musiało przejść całą drogę aż od głównej świątyni Godkinga, ale i tak czułem jego ciepło. Cieszyłem się, że nie byliśmy bliżej. Już raz przekonałem się, jak to jest.

Razem z Hayrnem obserwowaliśmy horyzont na wschodzie. Pojawiało się coraz więcej błysków. Narastały miarowo, jaśniejsze i bardziej wyraźne za każdym razem. Zaraz potem powietrze zabarwił czerwony piorun. — Biegnij po Dougana! — krzyknąłem. — Ja odwiążę łódź! Hayrn spojrział na mnie zdezorientowany. — Co się dzieje? Co on zrobił? — pytał. Nagle załapał. —

To ty!... — wykrzyknął i zakołysał się, patrząc na mnie wielkimi oczami. — Powiedziałaś mi, aby otworzył wrota!

— Biegnij po Dougana, idioto! — krzyczałem. — Zanim się upieczemy!

Już po chwili prowadził Dougana, który był osobliwie milczący i nie reagował na nic. Kiedy wrócili, łódź była przygotowana i szybko odbiliśmy od brzegu, wiosłując coraz szybciej z minuty na minutę. Nie obroniłoby to nas, gdyby Godking powrócił, ale musieliśmy mieć nadzieję.

Czerwień na horyzoncie powiększała się. Błyskawice nienaturalnych rozmiarów strzelały na tle czerwonego nieba. Rozrywane potężnym wiatrem chmury, wielkimi falami toczyły się od horyzontu coraz wyżej, zasłaniając błękit. Dougan siedział na pokładzie, w milczeniu obserwując narastającą potężną manifestację. Odezwał się tylko jeden raz, kiedy rzuciłem mu koc.

— To On Sam i Kingpriest — szepnął, jakby zdradzał mi wielką tajemnicę. — Chcesz się założyć, kto zwycięży? — Uśmiechnął się i z twarzą bez wyrazu wrócił do oglądania chmur.

Robiło mi się gorąco. Strasznie gorąco. Razem z Hayrnem pokryliśmy statek kocami, nasączając wodą wszystko, co było na powierzchni pokładu. Wciągnęliśmy Dougana pod pokład. Wyrzuciłem za burtę wszystkie palne materiały, jakie mogłem znaleźć — oliwną lampę, papiery, strzępy sznurów i drewna.

Wreszcie dołączyłem do dwóch ukrytych na dole staruszków. Wyspa Irda płonęła już w niektórych miejscach. Para unosiła się z morza, przysłaniała nam obraz świata. I pomyśleć, że ja to spowodowałem. Dougan był przekonany, że bóg z wnętrza Szarego Klejnotu sprzyja mu i prawdopodobnie innym bogom. Ale bóg Kamienia mógł również być przyjazny dla Godkinga. Siedzieliśmy w malutkiej kabinie. Modliłem się do wszystkiego, co mogło mnie wysłuchać, aby ogień nie trwał za długo i nie był zbyt wielki.

Czułem, że wreszcie zrozumiałem, dlaczego ja i Kapitan zostaliśmy rzućni w ten świat. Szary Klejnot chciał tylko zemsty na tych, którzy zamknęli go w kamieniu. Nie mógł wymyślić lepszej zemsty niż złamanie wszystkich Szarych Klejnotów, na wszystkich Krynnach na każdej linii historii, i uwolnienie

więźniów. Aby wykonać tę misję, ognisty tytan wybrał nas. Skąd wiedział, że zdołamy tego dokonać? Czy to możliwe, że zostaną też wybrani inni z innych Krynnów i będą wysłani do innych światów, aby złamać więcej Szarych Klejnotów, uwalniając tym samym więcej bogów i niszcząc kolejne Krynn? Rozbijając je jeden po drugim jak klocki padające w niewinnych, dziecinnych zabawach w wojnę? Kłębilo się zbyt wiele myśli i było za gorąco, aby się martwić.

# 41. Smoki chaosu

Słyszeliśmy rosnące jak lawina grzmoty. Drewniana podłoga zaczęła dymić od gorącego powietrza. Zrywaliśmy ubranie i siadaliśmy na nim, aby zabezpieczyć nogi przed gorącą podłogą. Polałem nas wodą, którą wcześniej napełniliśmy beczki. Wkrótce poczułem prawdziwy dym. Wiedziałem, że wyższy pokład Latającego Krabu zapalił się. Zbliżał się koniec.

Nagle światło na zewnątrz zgasło. Zapadła ciemność, nie rozpoznawałem kolorów. Ustały również grzmoty. Temperatura się obniżyła i zimne powietrze ochłodziło nasze bijące serca. Było cicho, wstrzymaliśmy oddechy.

Dougan usiadł i spojrzał na mnie. Widziałem go niewyraźnie, ale było w jego twarzy coś, co wywoływało lęk. Odsunąłem się.

— Guli — rzekł i podniósł rękę. Z jego kikutów promienio wał blask, jakby płonęły. — Czuję w sobie magię — oświadczył karzeł. — Przyszła od Szarego Klejnotu. Weź ją i wracaj do domu.

Zawyły wszelakie huragany. Miotają nami na wszystkie strony. Szalony wiatr przewrócił łódź na bok. Upadłem na plecy, uderzając o ścianę. Przygniotło mnie coś ciężkiego. Słyszałem, jak woda wtargnęła do ładowni. — Guli — powtórzył karzeł, który był bogiem, i mówił, jakby nic się nie stało. — Obudź się i wracaj do domu. W obłąkanej ciemności, jaka mogła być tylko na końcu świata, coś dotknęło mojego czoła. Chwilę później i obłęd, i świat zniknęły. — Hayrn — wyszeptalem. — Guli, obudź się. — Zimna, mokra szmata dotykała moje go czoła. Woda spływała po oparzonej twarzy.

Otworzyłem oczy. Niebo było niebieskie, chmury białe, słońce żółte.

— Dzięki bogom! — krzyknął stary Hayrn. Pochylił się nade mną i złapał mnie, ściskając w ramionach. — Myślałem, że umrzesz! Dzięki wszystkim bogom na niebie i na ziemi!

Przez kilka minut byłem zdezorientowany. Próbowałem zrozumieć, w którym świecie jesteśmy. Hayrn płakał i wychwalał bogów i wreszcie powiedział mi, że był poranek następnego dnia, od kiedy widzieliśmy płomiennego olbrzyma. Straciłem przytomność od uderzenia w głowę. Miałem gorączkę, pocilem się. I majaczyłem.

— Mówiłeś niestworzone rzeczy — powiedział rozpromieniony Hayrn i z ulgą w głosie podał mi kubek z wodą. — Już po wszystkim. Odpoczywaj. Odpoczywaj teraz.

Próbowałem usiąść, ale kręciło mi się w głowie. Położyłem się i zamknąłem oczy. Tak bardzo chciałem spać, ale musiałem się wcześniej dowiedzieć... — Księżycy — spytałem. — Gdzie są? — Śpij — polecił mi Hayrn. — Księżycy jeszcze nie wze szły. — Zbudź mnie, kiedy się pojawią — szepnąłem, czując, jak zapadam w sen. — Zbudź mnie koniecznie.

— Dobrze — odpowiedział. Dom. Modliłem się, żeby to był dom. Mój dom. Wreszcie otoczyła mnie ciemność i spokój. Spałem długo i nie śniłem o niczym.

PIERWSZY RUCH OPORU PRYMITYWNYCH SKRZATÓW Chris Pierson

Skromna garstka stałych bywalców Broken Spar spoglądała zza drinków w pijackim otumanieniu. Na ich twarzach malował się strach i nędza, które kontrastowały z nastrojem chełpliwego Gella MarBoretha, Rycerza Lilii. Kiedy kroczył przez środek gospody w kierunku stolika, który zawsze zajmował, reszta pośpiesznie odsuwała się na boki. Nikt nie miał ani odwagi, ani ochoty napotkać jego hardego spojrzenia. Jak zwykle barowy z nadzwyczajną prędkością podał wypełnioną piwem szklankę. Potem jak zwykle odszedł, nie prosząc nawet o jednego miedziaka. Przywileje takie mieli tylko członkowie podbijających armii.

Kilka nocy temu Gell długo rozmawiał z Rancisem Lavie-nem, współnikiem od bójek i nieodłącznym towarzyszem do picia. Rancis jak zawsze szczyrzył zęby, witając go z daleka.

— Wiem, dlaczego jestem w armii Rycerzy Takhsis: aby pić za darmo — stwierdził.

Gell się zaśmiał, a kiedy jego przyjaciel łyknął Lemish, białe wino, potrząsnął głową. — To nie tak — oznajmił. — To szacunek, jaki nam okazują. Ci ludzie wiedzą, kim jesteśmy i co możemy zrobić, co moglibyśmy zrobić, gdyby nas zlekceważyli. Nie chcą tego, więc spełniają nasze życzenia. — To nie szacunek — Rancis zaprzeczył ceremonialnie. — To terror. Gell wzruszył ramionami i dokończył piwo. — Czy to oznacza... Czy naprawdę chcesz, żeby te prostytutki nas lubiły?

Rancis ściągnął brwi i zwrócił się do Gella z dobrotliwym wyrazem twarzy, który zawsze zwiastował jakąś głębszą treść.

— Niezupełnie — odpowiedział. — Czy naprawdę chcesz, żeby nas nienawidzili?

Gell zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym porzucił te rozmyślenia.

Dzisiaj Rancis witał przyjaciela, salutując, kiedy ten odsuwał krzesło. Chociaż zachowywał pozory, w powietrzu czuć było, że kpi z Gella. Rozwścieczyłoby to Gella, gdyby robił to ktoś inny. Znali się od wielu lat, kiedy Lord Ariakan wdrożył ich obu do służby dla Królowej Ciemności. Gell wiedział, że manieri jego przyjaciela nie oznaczały tak naprawdę braku szacunku. Jego myśli były szybsze, a słowa ostrzejsze niż smaganie mieczem.

— Niech mi pierwszemu przypadnie zaszczyt złożyć szczere gratulacje z okazji twojej promocji, panie — Rancis oświadczył donośnym głosem, wyrażającym prawie boską cześć. Jego oczy błyszczały.

Gell czuł, że się czerwieni. Zachowanie Rancisa przyciągnęło spojrzenia gapiów. Pośpiesznie zasalutował. — Nie rób tego nigdy więcej — rzekł krótko, kiedy obaj usiedli. — Jesteś jednym z tych, których darzy się szacunkiem — rzucił Rancis w odpowiedzi. Bawił się kieliszkiem wina; dzisiaj delektował się czerwonym winem, Ergothian. Jego wzrok spo czywał jednak na Gellu. — Poza tym, naprawdę cieszę się z zaszczytu, jaki cię spotkał, rycerzu-wojowniku MarBoreth. Brzmi nieźle, nie uważasz?

Gell wzruszył ramionami. Oczywiście rozpierała go duma, ale Rancis nigdy się o tym nie dowie, za nic w świecie nie da mu tej satysfakcji.

Gell był jednym z bohaterów Bitwy pod Caergoth. Zawsze walczył do ostatniego tchu, tak jak wtedy, kiedy zostali zmasakrowani przez Rycerzy Solammii. Gell podtrzymywał bitwę do czasu, kiedy dowódca Athgar zasilił ich oddziały. Walcząc jedną

ręką, położył w bitwie dwunastu rycerzy. Sam dowódca Athgar wychwalał jego waleczność. Promocja była zasłużoną nagrodą.

Rancis również zasłużył się, walcząc przy boku Gella, ale nie dostąpił takich samych honorów. Nie pozwolił również Gellowi głośno sławić swego imienia. Do czego, na imię Ciemnego Rycerza, potrzebna mi promocja?, zapytał. Jestem szczęśliwy, tam gdzie jestem.

Taki był Rancis, zupełnie inny niż Gell, którego niezmiernie radowało podniesienie rangi wojskowej. Chciał samodzielnie dowodzić oddziałem wojska. Po tylu latach miał wreszcie taką szansę. Oddział nie był duży — miał do dyspozycji kilkunastu szczególnie okrutnych pieszych żołnierzy. Zresztą to dopiero początek. — Zatem, młody dygnitarzu wojskowy — zaznaczył Rancis — czy otrzymałeś już pierwszą misję? — Gell przytaknął. — Dowódca Athgar wydał rozkazy dziś po południu. Doszły go słuchy o buntach niedaleko wybrzeża. Chce, abym je stłumił. Szczerze zachwycony Rancis gwizdnął z radości. — To dosyć honorowe zadanie — skonstatował. — Dużo ludzi chętnie by nadstawiło tarcze i przegoniło powstańców. Athgar musi naprawdę wierzyć, że najlepiej wypełnisz to za danie. — Miejmy nadzieję — odpowiedział Gell, czerwieniąc się. — No cóż, kiedy staniesz się cesarzem Krynnu, obiecaj mi, że nie zapomnisz o naszych wspólnych



rycerskich czasach i jeszcze dzisiaj wciąż jej do rejestru w odpowiedniej kolejności. Gell zachichotał, potrząsając głową, i zabrał się łapczywie do piwa.

Gell uniósł dłoń, dając znać idącym za nim bestiom. Posłusznie się zatrzymali. Chwycili za szable i ostrożnie się rozejrzeli. Nawet po tygodniach spędzonych w Solamni ciagle krzywo zerkali i podejrzliwie reagowali na dźwięki, czuli się obco w ogromnym mieście. Gell nie miał wątpliwości, że kiedy tylko odnajdą powstańców, jak zawsze będą walczyć z wielkim okrucieństwem. Obejrzał się i przywołał do siebie jedną z bestii.

Typak, największa i najbystrzejsza z bestii, stawiał się u boku dowódcy.

— Moi ludzie się denerwują — powiedział. Mówił z gardłowym akcentem. — To dziwne miejsce.

Chociaż Gell czuł, że Typak ma rację, nie przyznał mu jej. Nigdy nie czuł się najlepiej w okolicy nadbrzeża.

„To dlatego, że wychowałeś się w Tarsis”, wyjaśnił mu kiedyś Rancis. „Nie możesz przyzwycząć się do wody i portowego klimatu”.

Ale to nie dlatego czuł się inaczej w tej części kraju, przynajmniej nie był to jedyny powód. Chociaż nigdy nie zdradzał tego przed swoim oddziałem, on również niepokoił się powstaniem. Zbuntowani stanowili poważny problem we wszystkich miastach podbitych przez Rycerzy Takhisis. Zawsze znajdzie się heretyk, który nie uzna Wizji Królowej Ciemności. Większość z nich bez większych problemów dawała się stłumić w publicznej masakrze.

Jednak bunt w Caergoth z jakiegoś powodu nie został jeszcze przerwany. Niezależnie od tego, jak wielu rycerzy straciło głowę albo zostało powieszonych, zbuntowani walczyli dalej. Łajdacy niszczyli ich zaopatrzenie, napadali na posłańców, atakowali rycerzy reperujących mury, które otaczały miasto. Pogłoski mówiły, że odpowiadali za zniknięcie jednego z siejących popłoch Szarych Rycerzy. Minęło trochę czasu i znowu wymknęli się Athgarowi, który robił wszystko, aby wyplenić te chwasty.

Nie wiadomo, jak długo by to jeszcze potrwało, gdyby nie wydarzenie, które nastąpiło trzy noce temu, jeszcze przed awansem Gella. Tego dnia buntownicy popełnili poważny błąd. Po pierwsze, kiedy skradli rycerzom zapasy żywności, zostawili ścieżkę, która prowadziła prosto do nadbrzeża. Po drugie, w panicznym pośpiechu zgubili kartkę z instrukcją dotyczącą tożsamości ich przywódcy. — Nazywa się Hewick — wyjaśnił Gell Typakowi. — Jest czarnoksiężnikiem Czerwonych Szat. Cokolwiek się stanie, dowódca Athgar chce mieć go żywego. Pozostałych niekoniecznie. Jednak im więcej jeńców weźmiemy do niewoli i poćwiartujemy, na miejskim placu, tym lepiej.

Typak odchrząknął i przytaknął. Wolałby zanurzyć ostrze w ciałach buntowników i skończyć z nimi na zawsze.

Jednak dowódcą był Gell. Pod jego komendą ruszyli w kierunku portowego basenu, gdzie pozostawione na wodzie łodzie huśtały się obojętnie. Gell otarł z czoła pot, w duchu przeklinając upał, który nie zmniejszał się mimo późnego popołudnia. We wszystkich portowych miastach, jakie odwiedzał, dmuchał przyjemny chłodny wiatr, ale nie w tym. Na ulicach nie było ludzi. Nie pasowało to do klimatu portowej osady. Właściwie można się było tego spodziewać. Rycerze zakazali mieszkańcom wychodzić z domu bez nadzoru. Stan wojenny miał trwać tak długo, aż powstanie zostanie stłumione.

Gell pomyślał, że nawet woli, jeżeli nie ma dookoła ludzi. Narastające coraz bardziej ciemność i cisza uwypuklały jałowość nadbrzeża i zaostrzały szablę dowódcy. Nie słyszał nawet szczekania psów ani płaczu dzieci. Często zdawało mu się, że w alejach, które mijali, kątem oka widział cień. Jednak kiedy się odwracał, nic się nie poruszało. Zauważył, że dłoń, zaciśnięta na rękojeści ukrytej

w pokrowcu szabli, pociła się w rękawicy. Z pewnością działo się tak z powodu upału.

Mieli przed sobą długą drogę. Szli wzdłuż nadbrzeża, kierując się w stronę szeregu starych sklepików. W idealnej ciszy delikatne pobrzękiwanie jego zbroi brzmiało jak odgłos tysiąca świątynnych dzwonów. Słyszał za sobą głosy brutali niespokojnie wypatrujących zasadzek. Gell robił to samo, ale był bardziej dyskretny. Spokojnie badał szczyty dachów i przeróżne zakamarki, gdzie mogli się czaić gotowi do ataku strzelcy lub czarodzieje. Chociaż wyprawa była niebezpieczna, Gell nie skorzystał z rady Typaka, który zaproponował, aby poruszali się bardziej skrycie, pod osłoną cienia. „W taki sposób walczą elfy i karły, a nie Rycerze Takhisis”, upomniał go.

Szli środkiem najszerszej ulicy portu Caergoth. Brutale skakali z przerażenia, kiedy nadbrzeżne szczury czmychały z jednego cienia w drugi. Wreszcie po kilku minutach, które wydawały się godzinami, Gell zasygnalizował, aby oddział się zatrzymał. Typak śpieszył do przodu z pytającym wyrazem twarzy.

Zanim jednak zdążył powiedzieć chociaż jedno słowo, Gell podniósł dłoń, wskazując małą wąską alejkę. —To tutaj — wyjaśnił. — Nasi skauci śledzili buntowników do tej drogi.—Rozejrzał się dookoła, pozorując zawodowy dystans, chociaż w rzeczywistości nie chciał, aby Typak rozpoznał, jak bardzo był spięty. Wyciągnął szablę z pochwy i zakomenderował: —Chodźmy i trzymajmy się blisko siebie.

Weszli w małą alejkę. Brutale skupili się tak mocno, że Gell zastanawiał się, jak będą walczyć, kiedy niespodziewanie pojawią się buntownicy. Doświadczonym okiem penetrował ściany otaczających ich budynków. Domy były zbudowane tak, że wyższe piętra pochylały się do środka. Nawet w środku dnia w alei musiało być ciemno. Co jakiś czas widział zabite deskami okno. Naokoło piętrzyły się rzucane bez skrupułów odpadki. Nie brakowało też rozkładających się w upale nieczystości. Niezależnie od atmosfery musieli tędy przejść. Smród był straszny i sprawiał, że brutale przyzwyczajeni do świeżego powietrza i otwartej przestrzeni, jaką mieli w odległej, rodzimej krainie, stawali się jeszcze bardziej przezorni.

Nie zważając na przyprawiający o mdłości smród, Gell szedł dalej. Rozpoznał, że ulicą tą przechodziła niedawno spora grupa ludzi. To jest to, pomyślał. Idąc tą drogą, znajdziemy to, czego szukamy. Szybka bitwa, kilku więźniów i w glorii zwycięstwa wracamy do garnizonu. Kto wie, może nawet dostanę kolejny awans.

Szedł tak, uśmiechając się na myśl o sukcesie, kiedy nagle ulica się ożywiła.

Później, kiedy spokojnie to rozważył, zrozumiał, że nic nie stało się nagle. Ale wtedy wydawało się, że wszystko to działo się równocześnie. Najpierw spłynął z góry potok rybich wnętrzności. Gell odskoczył, chroniąc się przed najgorszym. Brutale zostali poczęstowani niemałą dawką. Zataczali się i dławili, ocierając szlam z oczu, nosa i ust. Później rozległy się wściekłe wrzaski. Rosły przerażająco z każdej strony. Wreszcie do akcji przystąpili napastnicy czający się pod stosami śmieci. Wyskakiwali się ze wszystkich stron.

— Zasadzka! — krzyknął Gell, kiedy zaczęło napadać ich coraz więcej ciemnych, nie zidentyfikowanych postaci. Jego wojownicy próbowali opanować sytuację. Również on wyciągnął szablę, pełen nadziei celował w gardziele wrogów. Ostrze dźwięczało w powietrzu, wreszcie uderzyło w ścianę. Z jego lewej strony -odpadła garść tynku. Gell poczuł nagle, że coś uderzyło go w nogi tuż nad kolanami. Odskoczył z krzykiem do tyłu. Za chwilę usłyszał wrzeszczących na alarm brutali, ale nie to go martwiło w tej chwili. Jeszcze raz zamachnął się szablą, próbując przebić napastnika, ale znowu przeszył tylko powietrze.

Kilka sekund później spojrzał w dół. Wreszcie zrozumiał przyczynę nieudanych ataków. Wymachiwał szablą nad głową napastnika. Atakujący go buntownik miał zaledwie cztery stopy

wzrostu. Jego bladą skórę pokrywała skorupa brudu, włosy i broda były skołtunione i rozczochrane. Delikatne ręce i nogi obejmowały jego prawą goleń. Gell zorientował się, że karzeł próbuje przegryźć jego zbroję swymi połamanymi żółtymi zębami.

Takhisis, zrób coś, niech oprzytomnieję, Gell błagał w myślach. Wpadliśmy w zasadzkę zastawioną przez prostackich karłów.

To coś uczone jego nogi atakowało teraz niżej, warcząc i wydając inne, pełne zaciekłości odgłosy. Zirytowany Gell najpierw próbował go strzepnąć, ale stworzenie trzymało go zbyt mocno. Słyszał za plecami wyjących z bólu brutali. Ich strojne ochraniacze bojowe nie były wystarczająco mocne, aby osłonić ich przed pazurami i zębami nachalnych karłów. Spojrzał na nich ukradkiem i przekonał się, że jego wcześniejsze obawy okazały się słuszne — oddział był tak ściśnięty, że nie miał miejsca na walkę. Przeklinał siebie, że zawczasu nie kazał im się rozdzielić.

— Dlaczego nie padasz? — atakujący go naiwny karzeł zapytał z oburzeniem. — Ugryzłem cię naprawdę mocno. Powi nienes już leżeć.

Gell spojrzał groźnie i uniósł miecz, aby zabić nędzną kreaturę. W ostatniej chwili zmienił zdanie i ostrzem uderzył go w czoło. Zaskoczone stworzenie spojrzało zakłopotane i nagle upadło na ziemię. Reakcja była natychmiastowa.

—Mają Glerta! — krzyknął jakiś karzeł. —Uciekajmy! — wołał drugi.

Z panicznym wrzaskiem rozpraszali się we wszystkich kierunkach, rozpychając stojących na ich drodze oszołomionych brutali. W ciągu sekundy nie było po nich śladu.

Brutale, ściskając krwawiące ręce i nogi, opierali się o ściany. Zdaniem Gella ich rany nie wyglądały aż tak źle, ale wkrótce zostały zanieczyszczone brudem i rybim szlamem. Typak z wielką szramą na policzku szedł chwiejnym krokiem w stronę dowódcy. — Na imię przodków, co to było? — wystękał. Gell spojrzał rozgniewany. —Prostackie karły — wycedził. Najwyraźniej tam, skąd przybył Typak, nie było tego rodzaju stworzeń. Szczęśliwy dia beł, pomyślał. — Są jak szczury, tylko większe i nie tak sprytne. —Nigdy nie walczyłem ze szczurem — Typak sapał — ale myślę, że to było gorsze. —Są utrapieniem — dorzucił Gell. — To wasza wina, że zostaliście tak mocno okaleczeni. Byliście zbyt mocno zgrupowani. Jak chcieliście walczyć, nie mając miejsca na wyciągnięcie szabli?

Typak szukał odpowiedzi, ale w tym momencie jeden z brutali zaczął jęczeć w potwornych męczarniach, aż wreszcie opadł na kolana. W pierwszej chwili Gell rozejrzał się dookoła, oczekując drugiej zasadzki. Szybko zorientował się, że nie o to chodziło. Pozostali brutale również wyglądali na chorych.

Zobaczył, że ich rany są zanieczyszczone. Brud dostał się do ich krwiobiegu, zatruwając cały organizm. Wiedział, że nie są zdolni do walki. Przez chwilę zastanawiał się, kiedy choroba osiągnie punkt krytyczny i nie będą mogli iść. Koniec, nie mogli w takim stanie wędrować dalej.

Został pokonany w czasie swojej pierwszej misji... przez prostackie karły. — Co teraz zrobimy? — zapytał Typak. Gell z niesmakiem nałożył hełm. —Wracamy — warknął. Spojrzał na stopy, gdzie cicho pochrapując, leżał prostacki karzeł, ten, który go atakował. —I weźmiemy to ze sobą.

Tego popołudnia tłum rozstąpił się szybciej niż zwykle, kiedy Gell pojawił się w Broken Spar. Niektórzy z biesiadników spoglądali na niego, mrucząc coś pod nosem. Czuł, że narasta w nim gniew, ale usiłował nad sobą zapanować. To był trudny i pełen zawodów dzień, i chciał zachować chociaż trochę zimnej krwi. Spokojnie szedł w stronę swojego stolika. Rancis patrzył na nadchodzącego Gella i zmarszczył nos. — Czy to ryba tak śmierdzi? — zapytał zaintrygowany. Gell powoli policzył do dziesięciu. Robił to zawsze, kiedy złość brała nad nim górę.

— Barowy! — krzyknął, spychając czekający już na niego kufel piwa. — Przynieś mi brandy!

Barowy śpieszył się, pociągając nosem. Rancis przyglądał się, jak jego przyjaciel jednym haustem wypija całą szklanę. —Domyślam się — powiedział — że nie poszło tak łatwo, jak się spodziewałeś. —To chyba oczywiste — wykrzywił się Gell. — Gdyby wszystko poszło tak, jak się spodziewałem, ciągnąłbym buntów ników zakutych w łańcuchy i piłbym nie pomyje, ale prawdziwą brandy, i nie w jakiejś dziurze, ale z samym pułkownikiem Athgarem. —Rozumiem — potwierdził mądrze Rancis. Wessał dolną wargę i zamyślił się przez chwilę. — Nie powiesz mi, co się stało? — Wpadliśmy w zasadzkę. —Zastawili ją powstańcy? —Niezupełnie.

Rancis zmarszczył brwi. Wziął mały łyk słomianego koloru wina rocznika Kalaman, które wybrał na dzisiejszą oddaną nałogowi noc. — O, mam nadzieję, że dostali przynajmniej tyle co wy. Gell wzruszył ramionami. —Wątpię. Połowa moich ludzi jest zbyt chora, aby się poruszać, a reszcie nie ufałbym, gdyby miała podnieść szablę. Mój dowódca o mało nie stracił oka. Ale mamy jednego więźnia. —O, to już lepiej — skomentował Rancis, starając się, aby

zabrzmiało to bardziej żywo. — Kogo macie? Czarodzieja? Kapłana Paladina? Rycerza Solamni?

Długi łyk brandy prześlizgnął się przez gardło Gella. Wybełkotał coś bez ładu. —Co powiedziałaś? — zapytał Rancis. — Nie usłyszałem do końca. —Powiedziałem „prostacki karzeł”! — warknął Gell. Niektórzy z bywalców odwrócili się w ich stronę, ale posłał im złowrogie spojrzenie i szybko znaleźli bardziej interesujące zajęcie. Rancis zamrugał oczami.

— Przepraszam cię, Gell, ale moje uszy czasami zawodzą. Przysiągłbym, że powiedziałaś „prostacki karzeł”. Gell ścisnął kieliszek, zostawiając na nim rysę. —Tak powiedziałem. —O. —Zaatakowali nas. To oni sprawili, że moi ludzie są teraz ciężko chorzy. —O — Rancis wziął głęboki oddech. — Zatem nie buntów nicy? Zły Gell zaprzeczył ruchem głowy. —Rozumiem — oznajmił Rancis. Prostował przez chwilę cienkie wąsy. — Wzięłaś pod uwagę, że prawo nie pozwala dokonywać egzekucji na prymitywnych karłach. Wiedziałaś o tym, czy nie tak? Nie powiększy to szacunku dla ciebie, którego tak pożądasz. Wypadłbyś lepiej, gdybyś posłał go na szubienicę. —Nie zamierzamy go stracić — warknął Gell. — Zabrałem go, aby zadać mu kilka pytań. Rancis ze zdziwienia otworzył szeroko usta.

— Masz zamiar przesłuchiwać prymitywnego karła? — zawołał. — Te przeklęte stworki są za głupie, aby policzyć do trzech. Jak możesz liczyć na to, że wydobędziesz z niego coś pożytecznego? Gell wzruszył ramionami. —Znaleźliśmy go w miejscu, gdzie skończyła się ścieżka powstańców — wytłumaczył. — Musi coś wiedzieć na ten temat. Spróbuję wydobyć z niego, ile się da. —Cokolwiek zdecydujesz... — Rancis napił się wina, po

czym spojrzał na przyjaciela. Jego oczy zwężyły się. — Jesteś pewny, że nie próbujesz zdobyć jednego z nich? Siedemosiemdziesięć, pomyślał Gell, zaciskając zęby. — Owszem — odburknął. Rancis zrobił święty znak w powietrzu.

— Niech towarzyszy ci Królowa Ciemności, mój przyjacielu — oświadczył uroczyście. — Będiesz jej potrzebował.

Ku zdziwieniu Gella, Typak czekał przy namiocie, w którym przetrzymywano prymitywnego karła. Pochylił się, widząc nadchodzącego rycerza. Zabandażowana twarz brutala i ciągle wyraźny zapach ryb przywoływały wspomnienia wczorajszej porażki. Guli postanowił do tego nie wracać. — Jak się czują pozostali? — zapytał. Typak był pochmurny.

— Niezbyt dobrze, ale przeżyją, chociaż bardzo cierpią i upły nie trochę czasu, zanim będą gotowi do walki.

Wyjątkowo nieprzyzwoite i świętokradcze przekleństwo cisnęło się Gellowi na czubek języka, ale rycerskie maniery powstrzymały go przed wypowiedzeniem go głośno.

— Podejrzewam, że nie ma sposobu, aby temu zaradzić — powiedział. Spojrzawszy na namiot, trochę się uspokoił. — Sko ro nie mamy nic innego, nad czym możemy pracować...

Stojący z boku Typak ponownie się pochylił. Gell wziął długi głęboki oddech, po czym odrzucił klapę namiotu. Wsunął głowę do środka i zrobił krok do jego wnętrza.

Prymitywny karzeł, chociaż związany i zakneblowany, zdołał wydobyć z siebie dramatyczny skowyt na widok nóg przekraczających próg namiotu. Gell pochylił się, próbując wyciągnąć knebel z jego ust, ale przerażona kreatura odsunęła się. Wytrzeszczyła oczy pełne strachu. Nawet kiedy rycerz chwycił go za oblepioną brudem tunikę, obracał głowę na wszystkie strony, nie pozwalając się utrzymać. W końcu Typak musiał przycisnąć karła do ziemi, a Gell odblokował jego pysk. Kiedy tylko stworzenie uwolniło się od knebla, zaraz próbowało odgryźć rycerzowi palce. — Cholera! — przeklął Gell, zabierając rękę. Typak po

pchnął prymitywnego karła na ziemię, który zaczął biadolić tak wysokim i piskliwym głosem, że szarpał Gellowi nerwy.

— Nie rób tego nigdy więcej — ryknął rycerz — albo mój przyjaciel rozdepcze cię.

Prymitywny karzeł drgnął i spojrzał na Typaka. Brutal odpowiedział odpowiednio okrutnym uśmiechem.

— Oczywiście, oczywiście — pośpiesznie przytaknął śmiesznie blady karzeł. — Podoba mi się to, co mówisz. Spojrzał na Gella, na chwilę jego oczy zwięzły się. — Ale ciągle uważam, że powinieneś być martwy. Uderzy łem cię naprawdę mocno. — No cóż, ale nie jestem — warknął Gell w odpowiedzi. — A teraz powiedz mi, zamiataczu kanałów wodnych, jak się nazy wasz?

Prymitywny karzeł zastanawiał się nad tym przez chwilę, gładząc tłustą brodę.

— Glert! Nazywam się Glert! — zawołał w końcu, po czym wyszczerzył zęby do rycerza. Jego twarz promieniowała radosnym tryumfem. — Czy dobrze zrozumiałem? To ja wygrałem? Gell skrzywił się zdumiony. — Wygrałeś?

Rozradowany Glert pokiwał głową, odsłonił zęby w ogromnym i raczej groteskowym uśmiechu.

— Inny człowiek zadawał Glertowi pytania. Zagraj gitarę: odpowiedziałem tak, on dał Glertowi niespodziankę. Piękny kamień, zdechłą żabę... całkiem nieźle. Obiecał, że pewnego ; dnia da mi skarb. Ja dużo znaczyć. — Jestem pewny, że tak, ale... — Gell urwał i ściągnął brwi. — Zaczekaj. Co mówiłeś, inny człowiek? — O, on miły, naprawdę. Piękna czerwona szata, nie tak jak te, brzydkie. — Prymitywny karzeł grubym palcem wskazał na i zawile wygrawerowane wzory na puklerzu Gella. — On odwiedzić klan Glerta wiele razy. On traktować mnie bardzo dobrze, nie jak ty. Ty uderzyć Glerta w głowa.

Gell chciał to powtórzyć, ale musiał się kontrolować. Wyglądało na to, że mimo obaw Rancisa dochodzi do czegoś.

— Ten wspaniały człowiek — kontynuował. — Ten w czerwonej szacie. Jak ma na imię?

Karzeł przecesał brew, intensywnie się koncentrując. Gell obawiał się, że będzie czekał na odpowiedź przynajmniej godzinę. Na szczęście olśnienie na twarzy karła pojawiło się dosyć szybko.

— To naprawdę śmieszne imię — stwierdził. — Hyook. Brzmi to tak, jakby ktoś mówił, połykając coś niedobrego. Gell z trudem łapał powietrze. Hewick! Więc ten mały kretynek najbardziej poszukiwanego człowieka w całym Caergoth! — Co jeszcze wiesz o nim... o Hyooku? — zapytał. — Czy wiesz, gdzie mieszka? — O! — Glert promieniał. — Ja widzieć, że on mieszkać tutaj w mieście.

Gell czuł potworny ból głowy. Tępy ból czający się za oczami dawał mu się coraz bardziej we znaki. Położył dłoń na czole. — Czy możesz być bardziej precyzyjny? — O! Pewnie, tylko co znaczyć „precyzyjny”?

Gell czuł, że Typak rozważał możliwość rozwiązania sprawy w prosty sposób — przyłożyć prymitywnemu karłowi w łeb i mieć go z głowy. Szybko przerwał konsternację. — Pytałem, czy wiesz, gdzie dokładnie mieszka Hyook? — O! — Glert przytaknął uradowany. — Glert rozumieć! Chcesz wiedzieć, czy ja wiem, w której części miasta mieszka Hyook? Glert może powiedzieć!

Gell zauważył, że przytakuje głową w takt słów karła. Jego podniecenie rosło. — Dobrze! — potwierdził. — Bardzo dobrze! Zatem mów. — Nie! — Jego szerokie usta rozwarły się w jeszcze większym uśmiechu. — Glert nie mieć pojęcia, gdzie on mieszka!

Gell przestał potakiwać. Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. — Dobrze — warknął wreszcie, przypominając sobie ślepą uliczkę, w której zdążył kogoś zauważyć. — Powiedziałeś, że należałeś do klanu. — Tak! Klan Murf! — Glert odparł. — Naprawdę duży

klan. Ja tylko należeć do nich. Wielu z nas niedaleko wielkiej wody. Spotkałeś ich wczoraj. — Popatrzył na Typaka. — Glerta kolega Gorp próbował wydłubać ci oko. Gorp nie umieć dobrze celować.

Typak powoli zaciskał palce w pięść. Gell pohamował jego zamiar odpowiednim spojrzeniem i zastanawiał się, jak długo będzie w stanie powstrzymać brutala. — Opowiedz mi zatem o klanie Murf — nalegał Gell. — O, Murf dużo większy — odpowiedział Glert. — Ilu was jest? — Gell zamilkł z przerażenia, ale było już za późno, Glert zaczął już liczyć. — Jeden, i jeden, i jeden, i jeden, i jeden, i jeden, i jeden, i . . . — recytował, licząc palce u rąk i nóg, jak również włosy na brodzie. Gell liczył razem z nim, ale zgubił się około czterdziestego; chociaż nie wziąłby Glerta za słowo, gdyby przyszło do pracy tak intensywnie wymagającej intelektu. — I jeden, i jeden, i jeden! — zakończył, po czym uśmiechając się jak maniak, wyciągnął przed siebie palce. — Dwa!

Gell mógł się tego spodziewać. Typak niewiele wiedział o prymitywnych karłach. Wydał z siebie dziwny pisk i jego usta pozostały na wpół otwarte. Gell był gotowy wybuchnąć niekontrolowanym śmiechem. Był gotowy chwycić Glerta za gardło i potrząsnąć nim, aż wypadną mu wszystkie zęby. — Dziękujemy, Glert — rzekł dosadnie. — Nie ma sprawy. Żaden problem. Ha — zaznaczył po chwili, drapiąc się w głowę. — Ha, Hyook śmiesznie nas nazywać. Nazywa nas: „Pierwszy Ruch Oporu Prymitywnych Skrza tów”. Ja nie wiedzieć, co to znaczy, aleja lubić Hyook i tak. On naprawdę fajny, daje nam niespodzianki, jeżeli powiem mu rzeczy. Już ci to mówiłem. — To prawda — potwierdził Gell. — Dobrze. Kto przewo dzi waszemu klanowi? Glert zamrugał oczami. — To nie bardzo mądre pytanie. Nasz przywódca przewodzi. Ból wzmagął się. — Domyślam się — wycedził Gell. — Ale kto jest przy wód

ca? I — podniósł dłoń, powstrzymując Glerta przed szybkim wypaplaniem odpowiedzi — jeżeli powiesz, że przywódcą jest wasz dowódca, zamierzam poprosić mojego przyjaciela, aby skaleczył cię bardzo mocno. Emocje Typaka rosły. Zbity z tropu Glert wzruszył ramionami. — Przywódcę nazywają Blim. Wielki MurfBlim. On naprawdę mądry. On wiedzieć, gdzie Hyook mieszka. — Ładnie! Świetnie! — Gell rozweselił się. — Teraz po wiedz mi, gdzie znajdę tego Wielkiego Murfa Blima? — O, ja mieć zakaz powiedzieć o tym — Glert przyznał ze srogą miną. — On sam powiedział, jeżeli ktoś powie dla zły człowiek, gdzie klan jest, robi z nas gulasz. — To nic — oświadczył Gell, próbując nie myśleć o tym, jak odrażający był ten pomysł. — Nie musisz mi mówić, gdzie mieszka klan Murf. Powiedz mi tylko, gdzie ty mieszkasz? Zrozumienie pojawiło się na twarzy Glerta. Uśmiechał się. Gell również. Nawet Typak się uśmiechał.

— Wiem, gdzie to jest! Wielki Murf nie zakazać mówić o tym — stwierdził z zadowoleniem prymitywny karzeł. — Ja mieszkać z klanem Murf!

Uśmiech zmroził twarz Gella. Powoli odetchnął, a zrobił to z takim wysiłkiem, aż odbiło się to na jego skroniach.

— Wódkę dwarf—ryknął Gell, opadając na jedno z krzeseł w Złamanym Słupie. — Przynieś butelkę! — krzyknął. Barowy pędził, aby spełnić polecenie.

Rancis Lavien siedział spokojnie, trzymając wino Qualinesti na wysokości serca i podziwiając jego intensywnie rubinowy odcień. Uniósł szklankę do ust, wziął mały łyk i odstawił wino na stół. Po czym napotkał wzrok rozwścieczonego Gella.

Barowy podał dość czysty kieliszek i starą, oblepioną brudem butelkę wódki dwarf. Gell, nie zwlekając, nalał połowę i wypił jednym haustem. Ostry zapach i palący smak wykrzywiły jego twarz. Niezależnie od tego powtórzył akt. Otarł usta i zwrócił się do Rancisa, który niecierpliwił się coraz bardziej.

— Więc? — spytał krótko. Rancis spojrzał łagodnie na przyjaciela. —Co, więc? —Nie udawaj — warknął Gell. — Dobrze wiesz, o co pytać. Śmiało.

Przez moment Rancis wyglądał na urażonego, ale już po chwili się uśmiechnął.

— Nic nie mówię. Nie mam zamiaru być dyskretny — zaznaczył. — Kto wygrał: ty czy karzeł? Gell przechylił trzeci kieliszek. Nie mógł ogarnąć myśli.

— Myślałem, że z łatwością przechytrzę małego sukinsyna —mamrotał żałośnie. —Czasami bezbronny przeciwnik jest najbardziej niebez pieczny — Rancis zacytował stare powiedzenie sprzedawców mieczy. — Nie chce powiedzieć tego, co chcesz usłyszeć? —Nie, to nie tak — odparł Gell. — Chciałem się dowie gdzie mieszka, nawet prymitywny karzeł powinien tyle zrozumieć. — Zamknął oczy i uszczypnął się w grzbiet nosa, modląc się do wszystkich bogów ciemnego panteonu o zwolnie nie potoku myśli. — Nie masz pojęcia, jak trudno złapać w pułapkę kogoś, kto jest tak głupi, że nie zdoła nawet podążać za twoimi myślami.

—Oczywiście; nigdy nie miałeś okazji poznać mojego brata —odpowiedział Rancis.

Gell beknął bezceremonialnie, a z jego ust wydobył się kwaśny zapach, który sprowokował nieśmiałe spojrzenia stałych bywalców karczmy. Nie zważając na nic, wlał w siebie jeszcze jeden kieliszek alkoholu. —Nie masz już dosyć?—Rancis dotknął ramienia przyjaciela. —Zostaw mnie w spokoju — wybełkotał Gell, odpychając jego dłoń. — Wiem, kiedy mam dosyć. Rancis wzruszył ramionami.

— Opanuj się — ostrzegł. — Wiesz, co pułkownik Athgar robi z pijakami.

To zwróciło uwagę Gella. Nawet po kilku kieliszkach wódki dwarf doskonale pamiętał ostatniego człowieka z obozu Athgara,

który pił za dużo. Nazywał się Vimor Crenn i zajmował dużo wyższe stanowisko niż Gell. Athgar osobiście pozbawił Vimora rycerskiego stanu, po czym własną szablą przeciął mu gardło. Gell zamknął butelkę korkiem i odsunął ją jak najdalej.

— Tak lepiej — pochwalił Rancis. Z szacunkiem zasygnali zował barowemu, aby zabrał wino i wódkę. — A teraz zastanów my się, czy możemy coś zrobić z twoim malutkim przyjacielem — powiedział. — Czasami, kiedy nie możesz rozwiązać problemu, trzeba zrobić krok do tyłu i spojrzeć na sprawę z innej strony. Gell przytaknął, milcząc. —Świetnie — wymamrotał. — Masz jakąś propozycję? —Tak się składa, że mam.

Gell podniósł wzrok. Po chwili zorientował się, że jego przyjaciel skończył mówić. Zniecierpliwiony zaczął w myślach liczyć do dziesięciu. —No cóż? — domagał się. — Co to takiego? —Powiedziałeś, że chcesz wiedzieć, gdzie prymitywny karzeł mieszka, czy nie tak? — zapytał Rancis. Gell wyobrażał sobie, jak zaciska dłonie na gardle Rancisa.

— Przestań wreszcie się ze mną zabawiać — burknął — i zdradź ten pieprzony pomysł! Rancis pochylił pobłaźliwie głowę. — Dobrze, dobrze — powiedział. — Po prostu pozwól mu iść.

Kapryśnie mrugające oczy Gella wprowadziły Rancisa w zakłopotanie. — Pozwól... — zaczął.

Nagle doznał olśnienia. Niemal spadł z krzesła. To było takie oczywiste. —Oczywiście — rzekł, robiąc cwaniacką minę. Po czym Rancis szybko dodał: —Pozwolić mu odejść!

—Nie mogę uwierzyć, że to działa — bąknął Typak. Gell szczerzył zęby, uśmiechając się do bydlaka. —Nigdy nie zrozumieję głupoty prymitywnych karłów.

Wczoraj popełniliśmy błąd. — Podsumowując, był i tak wystarczająco mądry, aby udawać Greka. —Nagle stwierdziłem, że nie musimy go prosić, aby zdradził, gdzie mieszka. Może nas tam po prostu zaprowadzić. Typak smutno potrząsnął głową.

— Gdybyś powiedział mi, że istnieją takie stworzenia na świecie, nigdy bym nie uwierzył.

Dwaj mężczyźni spojrzeli przed siebie. W dole ulicy, niecałe dwa bloki przed nimi, kłusował radosny Glert. Szli powoli, nie rozglądając się, uważnie śledząc kroki stworzenia o przysadzystych kończynach. Za nimi podążało dwudziestu rycerzy i maszerujący w szeregach brutale. Gali podслуchał nowin o tym, że dowódca Athgar miał zamiar hojnie go wynagrodzić. A tymczasem dostał pochwałę — Gell barwnie wyobrażał sobie sławę.

Zdecydowali się uwolnić Glerta, z którym opuścili koszary, i idąc za nim wzdłuż nadbrzeża, zbliżali się coraz bliżej do kryjówki klanu Murf. Wszystko to było tak zaskakująco proste, że Gell nie mógł powstrzymać śmiechu.

— Czy naprawdę nie wie, że za nim idziemy? — zapytał Gell. — Pewnie nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji?

Nagle Gell przystanął na środku ścieżki. Złapał Typaka za ramię i obaj mężczyźni zatrzymali się. Za nimi reszta. Milcząc, patrzyli w bezruchu, jak prymitywny karzeł bacznie się rozgląda. Przez moment Gell miał przecucie, że mały łajdak zgubił się, ale już za chwilę karzeł mruknął coś do siebie, kiwając głową, następnie odwrócił się, spojrzął na oddział uzbrojonych rycerzy i pomachał ręką. — Cześć! — zawołał, uśmiechając się.

Typak patrzył z niedowierzaniem. Niektórzy z młodszych rycerzy parskali śmiechem. Nie mając innego pomysłu i czując, że karzeł jest trochę roztargniony, Gell odpowiedział machnięciem dłoni. Wreszcie Glert ruszył, balansując pomiędzy rogami wąskich ulic.

Potrząsając głową i uśmiechając się do siebie pod nosem, Gell i jego załoga ruszyli za nim.

Sam znak na drzwiach wystarczał, aby rozbawić rycerzy pod komendą Gella. Chociaż dowódca milczał, jego pełne blasku spojrzenie zdradzało taką samą reakcję i tylko osłaniający czaszkę hełm nie pozwalał dojrzeć wygiętych w uśmiechu kącików ust.

Uważnie spojrzął w dół i górę alei. Brutale, używając szabel, zajęli się rozgrzebywaniem śmieci. Nic nie wskazywało na to, że czeka na nich kolejna zasadzka. Cieszyło go to i z drugiej strony był gotowy przekroczyć kryjówkę prymitywnych karłów. Stawiał jeden do dwóch, że nie znajdzie tam nikogo innego. Kreatury były tchórzliwe, ale były też znane z niepohamowanego okrucieństwa, jakie okazywały wszędzie, gdzie się pojawiały. To, co miał zamiar z nimi zrobić, przypominało łowienie ryb w sieci.

— Wielkiego Murfa zostawcie dla mnie — powiedział do ludzi. — Reszta mnie nie obchodzi. Pamiętajcie też, że nie przyszliśmy tu po to, aby ich mordować. Zabijcie tylko tyłu, ilu musicie.

Rycerze przytaknęli z szacunkiem i wyciągnęli miecze. Unosząc dumnie pierś, zwrócił się ku drzwiom, za którymi zniknął przed chwilą karzeł, a jego oczy spoczęły na napisie: „Drzwi zabezpieczające. Aby wejść, podaj szyfr”. Pod tym napisem ktoś w sposób brutalny, ale pomocny wyrył kiedyś: „hasło: gulasz”.

Przez moment Gell o mało nie stracił nad sobą kontroli. Przygryzł język, wyciągnął rękę i uderzył w drzwi. — Czego chcesz? — zapytał głos z drugiej strony.

Gell cofnął się. Co, na Abyss, ten idiota myśli, czego można od nich chcieć? —Pozwól mi wejść



— poprosił. — Nie mogę — odparł głos. — Nie powiedziałeś hasła. — Gulasz — wyrecytował Gell.

Chwila ciszy, po czym usłyszał, jak stojący za drzwiami prymitywny karzeł mruczy coś sam do siebie. Po kilku minutach odźwierny odezwał się ponownie. — Ja nie pamiętać. Co tam jest napisane na drzwiach? Gell czuł narastającą w powietrzu wesołość, gdy rycerze ledwie powstrzymywali się od śmiechu. To była ostatnia rzecz, której się

spodziewał. Rozbawieni ludzie nie będą w stanie walczyć. Posłał im zza ramienia groźne spojrzenie. Przede wszystkim mieli zakorzenione w sobie poczucie posłuszeństwa i dyscyplinę. — Gulasz — powtórzyłem. — A teraz otwieraj albo rozwalę te drzwi. — Dobrze — burknął odźwierny. Chwilę później drzwi za-huśtały się i rozwarły, zapraszając do środka. Gell zorientował się, że nie były zamknięte, mógł je z niewielkim wysiłkiem otworzyć w każdej chwili. Parskający za nim chór rozbawionych rycerzy zasugerował mu, że oni również doszli do tego samego wniosku. Przez chwilę zastanowił się, kto ćwiczy jego cierpliwość bardziej: prymitywne karły czy własny oddział.

Kiedy drzwi się otworzyły, odsłoniły niezmiernie grubego, prymitywnego karła, który miał na sobie coś wyglądającego jak stary worek z konopi. Zakłopotane stworzenie spojrzało na Gella, następnie na pozostałych rycerzy i jego oczy rozszerzyły się zadziwiająco szeroko. Szczęka opadła i zawisła jak w przerażającym horrorze.

— Ojej — wyrecytował prymitywny karzeł i zemdłał, padając na ziemię.

Rycerze patrzyli na nieprzytomnego odźwiernego i po chwili wybuchnęli niepohamowanym śmiechem. Również Gell tym razem nie mógł się powstrzymać. Śmiał się razem z nimi, komentując: — No cóż — zauważył — tego mamy z głowy.

Kiedy Gell opowiadał wszystko Rancisowi Lavienowi, porównał szturmowanie głównego sztabu Pierwszego Ruchu Oporu Prymitywnych Karłów do zmagania się z włochatym, obrzydliwie śmierdzącym tornadem. Małe stworki biegały wszędzie. Wyjąc w panice, rozbijały się o ściany i o siebie nawzajem. Zdesperowane i przerażone uciekały przed nacierającymi rycerzami. Tak naprawdę nie musieli walczyć, a tylko zamiatali przed sobą drogę, rozkopując na boki plugastwo. Niektóre z prymitywnych karłów były tak zaślepione strachem, że nie zdołały zorientować się, że stoją na przejściu. Trzeba przyznać, że było też kilka ofiar tej wyprawy. Podłogę

kryjówki pokrywały nierzadko kałuże z mułem nieznanego pochodzenia. Jeden Rycerz Lili, wdeptując w nią, pośliznął się i zwicznął nogę. Inny z ludzi-brutali, niechcący trafił do stołówki potworków i z wielkim wysiłkiem przewycięzając smród, ostrzegł resztę towarzyszy, którzy natychmiast się wycofali. Ogólnie oddział Gella przeszedł przez główną kwaterę bez większych trudności.

Wielkiego Murfa Blima znaleźli za tronem. Drżał ze strachu, ukrywając twarz w dłoniach. Rycerze, trzymając szable w pogotowiu, otoczyli go niezwłocznie. Karzeł nie wychodził z ukrycia, nie ujawniając oblicza, spojrzał w górę.

— Odejdźcie stąd — nakazał rozdrażniony głosem bliskim płaczu. — Ja schowany. Wy nie widzieć mnie.

Typak, nie otrzymawszy żadnego znaku od Gella, zrobił krok do przodu, chwycił Wielkiego Murfa za oblepioną brudem szatę i podniósł. Bezbronny karzeł wymachiwał przez chwilę rękoma, ale kiedy zorientował się, że ani kciuki, ani stopy nie sięgają jego oprawcy, zrezygnował.

— No dobrze — oświadczył zabawnie wyniosłym tonem. — Ja być litościwy. My żałować ciebie.

Z wielkim wysiłkiem opanowując emocje, Gella dał Typako-wi znak, aby posadził Blima na rozklekotanym tronie. Brutal, zanim spełnił polecenie, zastanowił nad jego znaczeniem zdecydowanie dłużej, niż było to konieczne. — Czego chcesz? — Wielki Murf wystękał, krzywiąc się z bólu i

pocierając plecy. — Tylko porozmawiać — odrzekł Gell. — Zadam ci kilka pytań i...

Jego słowa przerwało zawrodożenie jakiegoś prymitywnego karła, który zawył niemiłosiernie, przebijając się przez zgromadzonych rycerzy, i wypełnił krzykiem całą salę tronową. Już po chwili kreatura zniknęła, zanim ktokolwiek zdołał opanować zaskoczenie i zareagować. — To mój dowódca od spraw wojny — oznajmił dumnie Blim. Gell zamruęał oczami, nie mógł przez chwilę pozbierać myśli.

— Oczywiście że to twój człowiek — wydukał i dopiero po chwili, kiedy opanował roztargnienie, zirytowany dodał groźnie: — Teraz — zaczął powtórnie — zamierzam zadać ci kilka pytań. Jeżeli na nie odpowiesz, odejdzimy stąd.

Blim rozważał słowa Gella przez chwilę, która wydawała się wiecznością.

— Brzmi sprawiedliwie — oświadczył w końcu. W jego oczach pojawił się zapal. — Ja lubię zagadki. Co chcesz wiedzieć? Pomimo największych starań Gell poczuł ucisk w dołku.

Wielki Murf, zezując od czasu do czasu na boki, patrzył świńskimi oczkami na Rycerzy Takhisis. — Pozwól mi to sprostować — powiedział. — Chcesz mi powiedzieć, gdzie mieszka Hyook? — Nie! — wrzasnął Gell, zdawało się, że po raz setny. Czuł jak pięść zwija mu się, gotowa do ataku, ale szybko przypominał sobie, że zamordowanie prymitywnego karła z zimną krwią nie byłoby zgodne z rycerskim honorem. Policzył do dziesięciu. Zybko się jednak przekonał, że to nie wystarczy, i liczył dalej. Uspokoił się około pięćdziesięciu; mógł kontynuować rozmowę spokojnie, chociaż w jego głosie wciąż było słyszalne napięcie. — Jeszcze raz — powtórzył. — Chcę, żebyś mi powiedział, gdzie mieszka Hyook. Załapałeś? — O, tak — odpowiedział Blim, radośnie przytakując. — Ty chciesz, Hyook powiedzieć mi, gdzie ty mieszkasz. — Karzeł był trochę zakłopotany. — Tylko że Hyook... nie ma go tutaj. Dlaczego sam mi tego nie powiesz, ten sposób wydaje się prostszy.

Ból głowy powrócił z podwójnym nasileniem. Czuł się, jakby I uderzył go wielki żelazny kłoc. Pocierając skronie, prosił Takhi-sis o cierpliwość i złagodzenie potwornego smrodu, którym ! przesiąknięte było całe koczowisko prymitywnych karłów.

— Czy coś nie tak z twoją głową? — zatroszczył się Blim. — Mam lekarza. On leczy.

Nim Gell zdążył zaprotestować, Wielki Murf wyciągnął szyję i wrzasnął przerażająco: — Poog!

Do sali wszedł zgarbiony, wychudzony, stary, prymitywny karzeł. Zmierzał w ich kierunku, powłócząc nogami i nadeptując na długą brodę. — Co się stało? — warknął. Najwyraźniej był krótkowi dzem, bo patrząc na rycerzy, mrużył oczy. — Nic — odparł nierozważnie Gell. — To wszystko... — Ten człowiek ma ból głowy, Poog — Blim przerwał, wyciągając kciuk w kierunku Gella. — Masz lekarstwo? — Pewnie że mam — odrzekł oburzony Poog. Sięgnął do jednej z poplamionych kieszeni i wydobyl z niej kawałki czegoś, co Gell nie od razu zdołał rozpoznać. Pomiedzy wyciągniętymi śmieciami znajdowały się kawałki wierzbowej kory. — Tutaj — wskazał Poog. — Ty żuć to. Pomaga na ból głowy.

Zdenerwowany Gell uderzył w dłoń lekarza, posyłając kawałki wierzbowej kory w powietrze. — Zabieraj to sprzed mego nosa — warknął.

Poog usiadł na podłogę z nadętymi wargami i zaczął żałośnie pocierać nos. Gell miał tego dosyć.

— Dosyć! — wrzasnął. Wyciągnął zza pasa sztylet, zwraca jąc jego ostrze w kierunku baniastego nosa B lima i o mało go nie raniąc. — Teraz — syknął — daję ci ostatnią szansę, odpowiesz na moje pytanie albo rozerwę ci nos na trzy kawałki. Czy jasno się wyrażam?

Blim wpatrywał się w końcówkę ostrza dotykającego jego nosa, łzy spływały mu po policzkach. Po kilku nieudanych próbach odzyskania głosu przytaknął. — Dobrze — oznajmił Gell. — Koniec gier. Gdzie mieszka Hyook? — O! — Wielki Murf krzyknął zadowolony. — Chcesz wiedzieć, gdzie Hyook mieszka! Wielki Murf może ci to powie dzieć. Dlaczego nie spytałeś o to od razu? Gell nawet

nie próbował się odezwać. Jedynym dźwiękiem, jaki mógł z siebie wydobyć, był skowyt. Blim posłał mu dziwacznie przyjazne spojrzenie.

— Nic nie szkodzi — zapewnił. — Każdemu się zdarzy popełnić głupstwo. Hyook mieszka w dużym domu na wzgórzu. On pewnego razu zabrał tam Blima. On ma też drzwi na hasło. Nie tak dobre jak drzwi Murfa, według mnie. Za trudno je znaleźć.

Gell niepewnie zniżył sztylet, pozostawiając na nosie karła czerwony ślad.

— Bardzo dobrze — wycedził powoli. — Gdzie znajdują się te tajemnicze drzwi? — zapytał i odruchowo się skulił, spodziewając się, że odpowiedź na to pytanie pochłonie kolejną godzinę.

— O! To łatwe — odpowiedział Wielki Murf. — Tam duży pokój i dom, dużo książek. Tajemnicze drzwi są za półkami obok kominka. Aby je otworzyć, Hyook pociąga duża niebieska książka na trzeciej półce. Odpowiedź była prosta! Gell chciał tańczyć z radości. — Bardzo dobrze — powtórzył. — Dziękuję Waszej Wysokości. Tylko tyle chciałem wiedzieć. — Wielki Murf szczęśliwy, że może pomóc — oświadczył rozpromieniony karzeł, pocierając nos. Po czym wyciągnął rękę. — Teraz, co mi za to dasz? Gell podniósł do góry brwi. Dlaczego nie przewidział tego: skoro w zamian za przysługę Hewick podarował prymitywnym karłom świecidełko, to oczywiste, że spodziewają się tego samego od niego. Na próżno przeglądał w myślach zawartość wszystkich kieszeni. Wyciągnął sakiewkę, wygrzebał z niej jeden miecz i włożył do ręki Wielkiego Murfa. — Oto nagroda — powiedział — Wasza Wysokość.

— Oh! — Blim piał z radości, podnosząc monetę do przyćmionego światła. — Błyszczysz! Ty uszczęśliwiłeś Wielkiego Murfa. Teraz już idź.

W innej sytuacji za tak nonszalanckie zachowanie Gell potraktowałby śmiałka odpowiednio surowo, ale tym razem był tak szczęśliwy, że raczej skłonny do pochwał niż nagany. Wyprostował się i pośpieszył do wyjścia. Za nim ruszyła reszta rycerzy, zostawiając króla prymitywnych karłów sam na sam z rozplakany lekarzem. Gell nie zatrzymywał się ani nie oglądał za siebie. Szedł przez pogrążoną w chaosie kryjówkę kreatur prosto do

wyjścia, gdzie w alei pełnej porzucanych śmieci mógł zaczerpnąć nieporównywalnie świeższego powietrza.

Wreszcie dowiedział się, gdzie mieszka mag! Wiedział dokładnie, gdzie szukać jego domu. W zasięgu murów Caergoth znajduje się tylko jedno wzgórze. Nie miał wątpliwości, że bez problemu zidentyfikuje dom czarnoksiężnika. Prowadząc oddział do garnizonu, porządkował myśli. Najpierw złoży raport dowódcy Athgarowi i poprosi o pozwolenie zebrania ze sobą eskadry, która przeprowadzi szturm na dom. Prośba ta będzie zaledwie wstępem do sukcesu Gella. Kiedy Rycerze Takhisis złapią powstańców, znowu będzie bohaterem. Dostanie kolejną promocję, zaszczyty go więcej chwały i sławy.

Zanim jednak zrealizuje którykolwiek z planów, musi wziąć długą kąpiel. Śmierdział jak prymitywne karły.

Drzwi do domu czarnoksiężnika otworzyły się z druzgocącym trzaskiem, wpuszczając kilkudziesięciu Rycerzy Takhisis, a wszyscy trzymali w pogotowiu szable. Za nimi wtoczyło się mrowie brutali. Gell MarBoreth, prowadzący atak, kroczył dumnie na końcu szeregu. Obok niego szedł Rancis Lavien. Ich ostrza lśniły w gasnącej łunie zapowiadającej zmierzch. Kiedy weszli do zaciemnionej sali, dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia pełne satysfakcji. — Biblioteka! — warknął Gell, jego głos odbił się o brzegi hełmu. — Szukamy biblioteki! — Znalazłem ją, panie — zawołał młody rycerz spod drzwi znajdujących się w połowie sali. — Tutaj!

Rancis poklepał przyjaciela po ramieniu i obaj pośpieszyli w kierunku tego mężczyzny.

Odnaleźli go u wejścia do ogromnego pokoju, którego ściany były zastawione półkami pełnymi

starodawnych ksiąg. Gell dokładnie obejrzał pomieszczenie i pokiwał głową, wyrażając aprobatę. W innych okolicznościach rycerz byłby zainteresowany tak ogromną kolekcją, ale nie dzisiaj. To nie książki zajmowały jego myśli.

Jeszcze raz zbadał wzrokiem pokój i odnalazł kominek. Pośpiesznie ruszył w jego stronę i nie zważając na szczęk zbroi,

zaczął szukać półki z obu jego stron. Tak jak opisał Wielki Murf, na trzeciej półce stał opasły tom w niebieskiej obwolucie z wrytymi na grzbiecie złotymi literami, które pobladły od starości. Było dokładnie tak, jak sobie wyobrażał. Anonimowa księga, pozornie nie różniąca się od setki pozostałych w tym pokoju. Przeciągnął po niej palcem, po czym zwrócił się do Rancisa:

— Wprowadź resztę. Chcę jak najwięcej mieczy gotowych do ataku. Wszczęcie bitwy może być konieczne.

Rancis przytaknął posłusznie i odszedł. W ciągu minuty biblioteka wypełniła się rycerzami i brutalami czekającymi w napięciu na zaciekłych buntowników, którzy mieli się wyłonić zza tajemniczych drzwi.

— Pamiętajcie — odezwał się wyniosłym głosem Gell — dzisiaj jest dzień, w który złapaliśmy potężnego Hewicka z Caer-goth. — Mówiąc to, szarpnął książkę i wyciągnął ją z półki. Nic się nie wydarzyło.

Jedynym dźwiękiem rozpraszającym głuchąciszę był odgłos, jaki wydał Rancis Lavien, gdy uderzył dłonią w czoło. Gell MarBoreth zaczerwienił się jak burak, po czym pociemniał i stał jak osłupiały z niezrozumieniem w oczach. Otworzył trzymany w słoni egzemplarz i zaczął przewracać strony. —Co? — wybełkotał. —Hej, Gell? — zapytał Rancis, opuszczając głowę. — Blim powiedział, że na której powinna się znajdować? —Już ci mówiłem — fuknął Gell niezwłocznie. — Mówił, żeby patrzeć na trzecią półkę... Jego głos załamał się. Pociągnął nosem i nagle go olśniło.

— Trzecia — powiedział, dławiąc się, i spojrzał na przyja ciela z przerażeniem w oczach. — Tempress, zabierz mnie stąd. Rancis, co ja narobiłem?

W tym samym momencie po drugiej stronie miasta w obozie Rycerzy Takhisis zaczęły bić dzwony ogłaszające alarm.

Noc zakradała się już do Caergoth. Resztki uporczywego żaru zachodzącego słońca pochłonęło jaśniejsze od niego światło dobiegające z fortyfikacji wschodniej części miasta. Wielki Murf

Blim obserwował z satysfakcją, jak przez garnizon rycerzy przedziera się ogień. Stojąc tak na dziobie starej rybackiej łodzi obsadzonej załogą prymitywnych karłów, wyglądał dosyć komicznie. Nie było jednak nikogo, kogo obraz ten mógłby rozbawić. Panowała narzucona przez Ciemnych Rycerzy godzina policyjna. Mieszkańcy siedzieli o tej porze w domach, a rycerze mieli w tej chwili ważniejsze rzeczy na głowie niż pilnowanie portu. Obok niego stanął Poog, jego lekarz. Zamyślonymi oczami spojrzał na rozszalały ogień. —Wiesz — zaczął — kiedy wspomniałeś o trzeciej półce, myślałem, że już po wszystkim. Pamiętasz, że umiemy liczyć tylko do dwóch. —To nie było mądre z mojej strony, prawda, Caren? — Blim zgodził się. — Dobrze że naiwny, młody jeszcze rycerz tak bardzo chciał odnaleźć naszą kryjówkę. A swoją drogą, o co chodziło z tą korą wierzby, którą dałeś mu na ból głowy? Czy ktoś kiedyś słyszał o karle, który leczy? Czy to faktycznie działa? —Mały żart — stwierdził Poog. Jego oczy błyszczały. Wierz bowa kora była tradycyjnym środkiem na ból głowy, znanym od czasów upadku Krynnu. Lekarz słusznie zakładał, że Gell Mar- Boreth nie ma zielonego pojęcia o ziołolecznictwie. Wielki Murf patrzył na niego z ciekawością. —Masz czarne poczucie humoru, Caren, i to na zamówie nie. — Rozczapierzoną brodę karła poruszył szeroki uśmiech. I muszę przyznać, że doskonale udajesz głupiego. —Dzięki — powiedział lekarz, uśmiechając się sam do siebie. — Ty też nie byłeś gorszy. Blim puścił oko do towarzysza.

# 41. Smoki chaosu

— Myślę, że powinniśmy ruszać — oznajmił. — Kiedy wreszcie opanują ten pożar, zaczną polować na naszą krew, nie przebijając w środkach. — Poog przez ramię obejrzał się na załogę. Jego wzrok zatrzymał się na kimś. — Glert! Podejdź tutaj!

Malutki, prymitywny karzeł, ten sam, który wiódł Gella do kryjówki Blima, śpieszył w stronę lekarza. Jego szeroko otwarte oczy błyszczały.

— Skończyliśmy? — zapytał. — Czy powinienem odплы wać łodzią? Blim uśmiechnął się zyczliwie i poklepał Glerta po głowie.

— Obawiam się, że nie, mój mały przyjacielu — wyjaśnił. — Przed nami długa i niebezpieczna podróż i lepiej będzie dla ciebie, jeżeli pozostaniesz w kryjówce. Póki co, chcę ci powie dzieć, że nigdy nie dokonaliśmy tego bez twojej pomocy.

Chociaż komplement wprawił go w małe zakłopotanie, odpowiedział, nie pesząc się w ogóle: — Ja szczęśliwy pomagać. Dajesz naprawdę fajne zadania, Wielki Murfie — rzekł rozpromieniony. — Tutaj — powiedział Blim, sięgając do jednej z kieszeni jego obszarpanych szat. Wyciągnął z niej miedzianą monetę, tę samą, którą wcześniej podarował mu Ciemny Rycerz, i włożył do ręki Glerta. — Pewnego dnia obiecałem ci skarb. Należy do ciebie, zarobiłeś na to. Glert wpatrywał się w monetę, nie ukrywając zachwytu. — Chcesz powiedzieć, Wielki Murfie, że to? To moje? Blim przytaknął.

— Tak, malutki, prymitywny karle. Dostałeś ją, ale jesteśmy ci winni dużo więcej. Glert popatrzył na niego zmieszany. — Ja nie rozumiem — wyznał. — Wiem — odparł z uśmiechem Wielki Murf — ale oba wiam się, że nie mam czasu, aby ci to teraz wyjaśnić.

Podniósł rękę i zaintonował coś w nieznanym, pajęczym języku. ego ciało zaczęło rosnać i przeobrażać się. Po upływie sekun-ly Wielki Murf zniknął. Zamiast niego pojawił się odziany w czerwone szaty czarnoksiężnika dobrze zbudowany człowiek o przyjemnym wyrazie twarzy. Odwrócił się w stronę załogi raz jeszcze wypowiedział to samo zakłęcie. Jeden po drugim tały zamieniały się w ludzi — złotowłose kobiety, ciemnoskórych młodzieńców, siwowłosych najemników i innych. Zaskoczony Glert patrzył, jak zakłęcie Hewicka przeobraża starego Poogo w wysokiego, posiwiałego, Czcigodnego Syna samego Paladina.

Glert otworzył usta ze zdziwienia, kiedy Hewick podniósł go i postawił na pokładzie.

— Żegnaj, Glert — powiedział magik, kiedy odwiązano liny i cała załoga ruszyła na otwartą wodę.

Glert stał przez chwilę na pokładzie, ściskając swój skarb — miedzianą monetę. Przez chwilę podziwiał, jak Pierwszy Ruch Oporu Prymitywnych Karłów przebijał się przez ciemność, po czym ruszył na poszukiwanie czegoś do jedzenia.

SKORUPA GWIEZDRA JeffGrubb

Będzie to opowieść o skrzacie, co z pewnością ma sens, ponieważ sam jestem jednym z nich. Nie jestem bohaterem tej opowieści, ale usłyszycie w niej o mnie. Nie o sobie będę opowiadał, ale o innym skrzacie, który nie jest mną. Chociaż... być może opowieść ta jest tak samo o mnie, jak i o tym drugim skrzacie. Czy wiecie, o co mi chodzi? Dobrze.

Ten drugi skrzat z mojego opowiadania ma na imię Wun albo Wunderkin, jeżeli chcecie, abym był bardziej szczegółowy. Ma nawet dłuższe, bardziej skomplikowane imię, którego większość ludzi nie miałaby cierpliwości słuchać.

Jak to skrzat, Wun jest dość charakterystyczny, kiedy się na niego popatrzy. Małej postury (niższy

ode mnie), ma jasne oczy, brązowe włosy i króciutko przystrzyżoną brodę — tylko trochę gęstsza niż ja. Jest moim przyjacielem i opowieść mówi o tym, [ jak o mało nie staliśmy się wrogami. A wszystko z powodu kawałka kamienia.

Wun i ja mieszkamy w Gnomespile, w spokojnym miasteczku, kilka mil za ludźmi i miastem karłów Thugglesdown. Nasza osada jest oddzielona od pozostałych miast wysokim, okazałym wzniesieniem nazwanym Wzgórzem Thuggle. Zazwyczaj ludzie i karły trzymają się od skrzatów Gnomespile z daleka, podobnie Kenderyjczycy, którzy zostawili nas w spokoju po krótkich letnich sprzeczkach. Gnomespile liczy około dwustu mieszkańców i większość z nas szaleje na punkcie wynalazków. Wszystkie drogi leżące poza Thuggle, powinienem to zaznaczyć, wychodzą z Gnomespile. Wun jest czarodziejem w matematyce, a ja skromnym bada

czem nieba, robiącym wykresy ruchów gwiazd. Odpowiedzialność tego drugiego jest trochę kłopotliwa, od kiedy rejestry historyczne dowodzą, że ruch gwiazd na nocnym niebie nad Krynem kształtują bez przyczyny i na chybił trafił nowe wzory konstelacji gwiazdnych. Czasami myślę, że jeżeli będę studiował gwiazdy dostatecznie długo, zdołam ustalić, kiedy i gdzie przesuną się następnym razem. Wun często towarzyszy mi w podróży na otwarte przestrzenie za Gnomespile. Wyruszamy tam, aby oglądać gwiazdy i księżycy. Wun zawsze mówi, że świeże powietrze pomaga mu myśleć.

Myślę, że zaczęło się to właśnie tam, na polach... na skrzydłach wieży Thuggle, późnym latem, pewnego popołudnia po wschodzie księżyców. Oglądaliśmy gwiazdy. Oglądałem niebo przez lupy. Wun leżał na plecach z oczami wlepionymi w niebo. Wiem, że wpatrywał się w nie, bo nie chrapał.

Tego popołudnia spadł deszcz meteorów. Pojawiał się regularnie wraz z drugim, czerwonym, letnim księżycem. Otuleni przez ciemności odpoczywaliśmy rozłożeni wygodnie, kiedy na niebie pojawiły się czerwone błyski. Nasza rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

Wun: Z czego są tak naprawdę zrobione? Meteory, oczywiście.

Ja: Myślę, że są kawałkami gwiazd, co by wyjaśniało fakt, że świeca zakreśla smugi na niebie.

Wun: Zawsze myślałem, że są pozostałościami wielkich statków kosmicznych albo odpadkami wyrzucanymi za burtę przez ich kapitanów.

Ja: Czy nie bylibyśmy w stanie zobaczyć kształtów statków wędrujących po niebie? Zawsze widzimy tylko gwiazdy. Wun (po minucie ciszy): A co z księżycami?

Ja (zamyślony): Jeżeli kawałki odpadły od księżyców, oglądalibyśmy je w częściach, tak jakby placek z odgryzionym jednym kawałkiem. Nie widzimy żadnych ubytków na księżycach. Ergo, to muszą być gwiazdy.

Wun (upierając się przy swoim): Ludzie mówią, że gwiazdy reprezentują samych bogów. Dlaczego bogowie mieliby się roz

padać na kawałki? Są to raczej odpadki wyrzucone z jakiegoś gwiazdowego szkunera zasiedlonego przez cywilizację bardziej rozwiniętą niż nasza.

Zacząłem wygłaszać teorie na temat gwiazdnych odprysków, które mogą odrywać się od gwiazd wędrujących po sklepieniu niebieskim, podobnie jak meble przesuwane z jednego pokoju do drugiego.

Nagle jeden z meteorów przeleciał tuż nad nami. Był tak nisko, że gdybym był człowiekiem albo elfem, nie sądzę, abym jeszcze kiedykolwiek potrzebował myśleć o stryżeniu włosów. Gwiazdny kamień uderzył w miękką ziemię nie dalej niż sto stóp od miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Siła uderzenia była tak duża, że powaliła mnie z nóg. (Wun leżał już na ziemi, później porównał wybuch do podrzucenia na patelni ogromnego naleśnika).

Kiedy oboje podnieśliśmy się, Wun odwrócił się do mnie i powiedział: — Widziałeś, jak

nadlatywał? Musiałem się przyznać, że nie.

Z daleka zobaczyłem poszarpany otwór w ziemi. Gwiezdna skorupa rozdarła pole, wypalając na nim długą szramę zakończoną żarzącą się wciąż dziurą. Wun kroczył już w stronę krateru. Szedłem tuż za nim. Niebagatelne znaczenie miał fakt, że mogliśmy zbadać teren lądowania meteoru zanim pojawili się tutaj ludzie, Kenderyjczycy czy — co byłoby najgorsze — inne skrzaty.

Głębokość krateru nie przekraczała wysokości człowieka. Otwór był czarny, a na jego dnie żarzył się wspaniały kamień otoczony aurą promieni o zielonych odcieniach. Przypominało to granitową kulę morskiej wody w jakiś sposób podświetloną od wewnątrz. Obiekt był popękany i rozszczepiony w wielu miejscach. Kiedy schodziliśmy w dół krateru, ciągle wydostawała się z niego para. Sam meteor (skorupa gwiezdna albo śmieci gwiezdnego szkunera) był chłodny, kiedy się do niego zbliżyliśmy.

Wun dźwigał już kawałki meteoru, odłamane fragmenty kruchej, chłodzącej się jeszcze skorupy. Przez chwilę pojawiła się w mojej głowie myśl, że meteor może być czymś w rodzaju kosmicznego jaja pochodzącego od zamieszkałego wśród gwiazd

ptaka. Na chwilę spojrzałem na niebo, aby upewnić się, że nie spadają na nas inne kamienie. W tym momencie Wun wyciągnął z roztrzaskanego obiektu coś, co przypominało figurkę.

Statuetka to chyba za dużo powiedziane, zwłaszcza jeżeli był to wytwór inteligentnego stworzenia. To, co znalazł Wun, wyglądało raczej jak żarząca się na zielono, roztopiona glina, uformowana na kształt kuli zakończonej piramidą. Nie przypominało to niczego konkretnego, chociaż jednocześnie wyglądało jak zwinięty wąż, którego oczy umieszczone na pozbawionym szyi ciele wieńczyły najbardziej wysuniętą do góry część serpentyny. Powiedziałem: oczy, a nie nozdrza, tylko dlatego, że z otworów tych promieniował tak samo silny blask jak ze stygnącego raptownie kamienia. Gdybym musiał ową statuetkę do czegoś porównać, byłby to wyrzeźbiony w serze smok, który za długo leżał na słońcu i pod wpływem gorących promieni roztopił się nieco, zatracając wyraźne kształty.

Zielony blask oczu „statuetki” doskonale pasował do rozpalonych entuzjazmem oczu Wuna.

— Patrz! — krzyknął. — To dowód na to, że wśród gwiazd istnieje życie!

Zazaczyłem tylko, że jeżeli to żywa istota z gwiazdnej galaktyki, udowadnia to, jak marny jest ich los i nieciekawy gust.

Inne skrzaty pojawiły się na szczycie wzgórza, a my wiąż się sprzeczałyśmy. Większość ciekawskich zabierała kawałki przyćmionego, migoczącego meteoru, który zamierzała studiować w domu. Nikt nie komentował kształtu, rozmiaru ani kompletnej brzydoty cacka znalezione przez Wuna.

Ja również zabrałem kilka niewielkich kawałków z krateru i przez kilka następnych popołudni mierzyłem wszystkie możliwe parametry miejsca, w którym wylądował. W tamtym czasie zwiększyłem też staranność przy określaniu ruchu najrozmaitszych ciał niebieskich. W efekcie nie miałem zbyt dużo czasu dla Wuna. Po tygodniu zaprosił mnie do swojej nory będącej jego domem i laboratorium zarazem.

Mieszkania skrzatów z Gnomespile są z natury przestrzenne i budowane na falistych pagórkach otaczających Wzgórze Thug

gle. Piwnice i laboratoria znajdują się na parterze, bezpośrednio na skalnych wzniesieniach. Dawne domy osadzone są głębiej wewnątrz skał, ale regularnie powtarzające się wybuchy za każdym razem niszczyły istniejącą już konstrukcję. Chociaż Wuna najbardziej zajmuje matematyka, przebudowywał on swoje mieszkanie przynajmniej kilkadziesiąt razy, za każdym razem zapuszczając się coraz bardziej w głąb wzgórza. Obecnie jego dom wygląda, jakby był osadzony na samym końcu

sztucznego kanionu.

Typowy, jak u większości skrzatów, gościnny pokój był wyposażony w wygodne krzesła, solidny stół i przesadną ilość pufów. Każdy możliwy fragment podłogi pokrywały papiery, notatki, szkice, zbudowane do połowy modele i resztki jedzenia. Zgodnie z grzecznościowym zwyczajem panującym wśród naszych mieszkańców, czekałem w gościnnym pokoju. Zawołałem mojego przyjaciela, domyślając się, że przeprowadza eksperymenty w dolnej części domu. Po kilku minutach doczekałem się nadchodzącego spokojnym krokiem, uśmiechniętego i z szalonym blaskiem w oczach Wuna. W jego dłoni zauważyłem blaszaną monetę. — Podrzuc ją — polecił. — Powiem ci, co wypadnie. Zakłopotany podrzuciłem monetę, ciężki stary pieniążek zTarsis z jednej strony ozdobiony zapomnianymi już bohaterami, a z drugiej olbrzymim ptakiem przypominającym smoka. Podczas gdy moneta wirowała w powietrzu, Wun wskazał na nią, mówiąc: — Reszka!

Złapałem miedziaka i położyłem na grzbiecie przedramienia. Zabrałem dłoń, odsłaniając portret bohaterów.

Zachwycony Wun poprosił o oddanie monety, obrócił się na pięcie i zawrócił do laboratorium.

— Dzięki! — rzucił przez ramię. — Przyjdź jutro, jeżeli masz ochotę.

Zakłopotany nieco — ale niezupełnie, byłem przyzwyczajony do tego, że skrzaty robią rzeczy, które inni mogą odebrać jako dziwaczne, odszedłem do swoich zajęć. (Tego dnia musiałem jeszcze odwiedzić innego przyjaciela, Toomuchfire'a, i pomóc

mu gasić pożar wywołany jego ostatnim eksperymentem). Nie myślałem o Wunie do następnego dnia, kiedy znowu zjawiłem się w jego domu.

— Orzeł! — krzyknął, kiedy moneta wylądowała na moim ramieniu i rzeczywiście, ptak-smok znajdował się na zewnątrz jej stronie. Podobnie jak wcześniej, Wun zabrał monetę i powrócił do swojej nory.

Trwało to prawie cały tydzień. Przychodziłem do jego domu, podrzucałem monetę, a Wun odgadywał wynik. Pozwalał mi wykonać tylko jeden rzut, nie wyjaśniając dlaczego. Myślę, że rzuciłem miedziaka przynajmniej pięć razy i pięć razy Wun odgadł poprawnie. Nie mogłem dłużej powstrzymać ciekawości. Postanowiłem zapytać go wprost.

— Skonstruowałaś monetę, która jest tobie posłuszna — oznajmiłem, mocno ściskając pieniążek z Tarsis i grożąc, że ani go nie oddam, ani nie podrzucę, dopóki nie poznam prawdy. Wun śmiał się.

— Blisko, bardzo blisko — rzekł łagodnie. — Raczej wy myśliłem sposób, w jaki mogę rozpoznać wynik, zanim moneta zdąży spaść. Co oznacza, że otworzyłem drogę do przepowiednia przyszłości w naszym świecie.

Teraz była kolej na śmiech z mojej strony. Boję się jednak, że nie był to tylko śmiech; czułem, że nie było w nim cienia sympatii. Nie było to pobłażliwe podśmiewanie się z wynalazcy, który wymyślił kolejną absurdalną teorię. To, co wydobyło się ze mnie, było ochryłym, głośnym i wyrażającym pogardę rechotem. Żaden ze skrzatów nie powinien śmiać się ze swoich współbraci w taki sposób. Możliwe że była to nerwowa reakcja na to, że Wun, zdradzając tajemnicę, podzielił się ze mną tak ważnym odkryciem. Był to przerażający śmiech i winie siebie za to, co spowodował.

Twarz Wuna zachmurzyła się jak niebo podczas nadciągającego sztormu. Mówił ostrym tonem.

— Prosiłem cię codziennie o rzucenie monety... Mam specjalną maszynę, która przewiduje wynik, zanim pieniążek zdąży spaść. Czy zależy ci na tym, żeby ją zobaczyć? Przytaknąłem i nie przestając się śmiać, ruszyłem za Wunem,

który skierował się w stronę pokoi w tylnej części domu. Bałem się, że wybuch, jakiego byliśmy świadkiem kilka dni temu, pomieszał mojemu przyjacielowi zmysły. W przypadku skrzata pociągnęłoby to za sobą poważne konsekwencje.



Inne pokoje w domach skrzatów są podobne do gościnnego, tyle że czystsze. W tej części przeprowadza się doświadczenia (tutaj najczęściej pojawiają się wybuchy). Wun prowadził mnie w głąb korytarza wypełnionego krzesłami i zbiorowiskiem cennych pamiątek. Doszliśmy do wielkiej sali, która musiała sięgać daleko w głąb wzgórza, aż do jego wewnętrznej warstwy z łupku.

Wspinanie się po dalekiej ścianie niweczyło niepohamowaną ciekawość leżącą w skrzaciej naturze. To coś wyglądało jak ogromna szafa bez drzwi i szuflad. Szkielet tego mebla był lekko pochylony do tyłu i oparty o ścianę. Z tyłu Wun powbijał setki dziesięciocalowych gwoździ, tworząc z nich nieokreślony [ wzór. Na główkach gwoździ był zawiązany cienki miedziany drucik, który biegł ku górze szafy, gdzie na samym szczycie znajdował się, osadzony na miedzianej płycie, zielonkawy kamień. Wyglądał jak ciemny król pilnujący swojego królestwa. Wszystkie miedziane druty były połączone z płytą, na której leżał.

U podstawy szafy, pod plątaniną drutów znajdowała się para rynienek. Jedna z nich, ozdobiona etykietką z napisem „orzeł”, a druga „reszka”. Rynienkę oznaczoną jako „reszka” wypełniały metalowe kulki, z których każda była wielkości mojego kciuka.

— Tutaj sprawdzam monetę, którą trzymasz. Urządzenie to potrafi przewidzieć wynik z wyprzedzeniem o jeden dzień, być może jest to kwestia wielkości gwoździ i stopnia ich położenia — wyjaśnił Wun. Niezadowolenie w jego głosie z powodu mojego śmiechu bladło. — A teraz — dodał po chwili — czy możesz podrzucić monetę?

Wyciągnąłem metalowy pieniążek z kieszeni, położyłem na grzbiecie wskazującego palca i mocno podrzuciłem, uderzając w niego kciukiem. Miedziak lekko obracał się w powietrzu, aż opadł na zakurzony stos papierów.

— Reszka — oznajmił Wun, wskazując na wypełniony ku lami kubek.

Odgadł prawidłowo. Spojrzałem na rynienkę, później na monetę, sięgnąłem po nią i podrzuciłem po raz kolejny. Reszka po raz drugi. Skrzywiłem się i chciałem spróbować raz jeszcze, ale krótka ręka Wuna okazała się szybsza.

— Nie warto niszczyć istniejącej struktury rzeczywistości — stwierdził, chowając monetę do kieszeni. Potrząsnąłem głową. — Zatem twoja maszyna przewiduje wynik rzutu monety czy narzuca go? — To jeden z powodów, dla których poprosiłem cię o wykonanie rzutów — odparł Wun błyskotliwie, wyciągając z rynienki metalowe kule i wkładając je do małego worka. — Mam wpływ na wynik. Aleja mogę tylko przewidywać, co wypadnie. Pojedyncze rzuty monety powinny być rzadkie i dawać jednakowo wąską szansę dla orła i reszki. Zgodnie z tym szansę są nieobliczalne. Póki co, maszyna określa wyniki bezbłędnie każdego dnia. Zatrzymałem wzrok na masywie gwiazdnej skorupy stojącej na szczycie szafy. — A ten kawałek kamienia? — Ma z tym coś wspólnego. Zwiększa moc maszyny — zakończył mój przyjaciel. — Istotnie na wiele sposobów pobudza przepowiadającą maszynę. Zgodnie z prawem podobieństwa, ma to sens. Jeżeli zgodnie z tym, co mówią ludzie, gwiazdy są częścią bogów, a bogowie mają wpływ na nasze życie, odłamek gwiazdy jest częścią bogów i powinien mieć wpływ na środowisko. Chcesz zobaczyć maszynę podczas przebiegu operacji?

Przytaknąłem i Wun wspinał się po małej drabinie, wrzucając metalowe kule do rynienki zawieszanej na szczycie urządzenia. Małe kulki z łoskotem przedostawały się przez otwór w rynnie i biegły do szafy, odbijając się od metalowych gwoździ. Kiedy tak odbijały się o gwoździe, powodowały iskrzenie, aż poczułem w powietrzu woń burzy z błyskawicami.

Kiedy kule opadły na sam dół, znalazły się w pojemniku z napisem „reszka”. Wszystkie.

— Wróc jutro — poprosił Wun, uśmiechając się. — Spraw dzimy, czy to prawda.

Następnego popołudnia próbowałem się zająć własną pracą, ale pokusa przekonania się, czy

przepowiednia była słuszna, okazała się silniejsza. Trafiłem do domu przyjaciela dużo wcześniej, niż się umówiliśmy.

Trafiłem na moment, w którym Wun montował dodatkowe rynienki w dole szafy z powbijanymi gwoździami.

Kosze były kolejno oznaczone kolorowymi wstążkami: czarną, niebieską, zieloną, pomarańczową, fioletową, czerwoną, białą i żółtą (ułożone w kolejności alfabetycznej, oczywiście). Wun właśnie walił w nie młotkiem i musiałem głośno krzyknąć, aby zwrócić jego uwagę.

Mój przyjaciel wyglądał na bardziej niespokojnego niż kiedykolwiek do tej pory. Zastanawiałem się nawet, czy aby nie zapomniał zjeść czegoś tamtego dnia. Z hałasem podniósł się, podał mi monetę i wrócił do pracy. Podrzuciłem pieniądze, oczywiście wypadła reszka. Powtórzyłem proces dwa razy i za każdym razem wynik był ten sam — reszka.

Miałem przecucie, że jeżeli będę kontynuował podrzucanie monety, rezultat będzie za każdym razem taki sam. Ponadto czułem, że moneta jest ciepła, jakby została wyjęta z ogniska.

Wun kończył pracę nad koszami. Ostatnie ciężkie uderzenie drewnianym młotkiem i już zrobił krok do tyłu, aby podziwiać dzieło swoich rąk. Oddałem mu monetę. — Reszka — rzekłem bez emocji.

Wun przytaknął i roztargniony włożył rozgrzaną monetę do kieszeni. — Myślę, że wreszcie wiem, do czego maszyna ta może służyć. — Zakładania się o wygraną w barze? — zadrwiłem. — Meteorologicznej prognozy — oznajmił. — Chcę poży czyć od ciebie kilka teleskopów i zwierciadeł, aby zogniskować światło padające na maszynę. Po kolorze spadających kul rozpoznamy, jaka będzie pogoda następnego dnia.

Zaśmiałem się. Myślę, że zdarzyło mi się to już po raz trzeci.

Byłem przyjacielem Wuna i nie mogłem mu odmówić, zwłaszcza że cały czas czułem się głupio z powodu śmiechu, jakim zareagowałem poprzedniego dnia. Moja kolekcja zwierciadeł i teleskopów stała bezużyteczna od klęski wielkiego planetarium, która wydarzyła się poprzedniej wiosny. Ponadto prawdziwy skrzat nie odmawia drugiemu nie używanych przez siebie przyrządów. Czułem się trochę odsunięty na bok, od kiedy Wun zechciał penetrować sfery niebieskie — dziedzinę, o której zawsze myślałem, że należy do mnie. Odrzuciłem jednak wszelkie emocje i zgodziłem się. Chyba rozumiecie, był moim przyjacielem.

Po niecałej godzinie wróciłem, taszcząc drewniane pudło wypełnione pryzmatami, szybkami, szklanymi zwierciadłami i innymi przedmiotami. Zabrałem też pojemnik zanurzonych w żółtawej, zabezpieczającej oliwie, soczewek, które otrzymałem kiedyś z południowego królestwa elfów. Wun nie marnował czasu i zdążył już wybić kilka dziur w swoim mieszkaniu, aby wpuścić trochę więcej światła, które już po chwili zalało całą tylną część domu.

Resztę popołudnia spędziliśmy na montowaniu zwierciadeł i pryzmatów. Ociekające oliwą soczewki umieściliśmy na stojakach, mierząc dokładnie odległości, tak aby zogniskować światło słoneczne na miejscu, w którym zazwyczaj spoczywała próbna moneta. Wszystko było gotowe późnym popołudniem i wtedy Wunderkin uwolnił potok metalowych kul.

Brzęczały i klekotały, spadając w kierunku nowo skonstruowanych rynienek. Iskrzyły, uderzając o metalowe złącza. Kiedy podskakując, zbliżały się do ziemi, można było zauważyć, że kierują się w lewą stronę. Po zakończeniu całego procesu większość z nich wylądowała w koszu oznaczonym kolorem niebieskim i tylko kilka w białym. Wun, chociaż zmęczony, skinął zadowolony głową.

— Jutro będzie ładna pogoda — wyrecytował. — Kilka chmur na niebie.

Było dokładnie tak, jak przepowiedziała maszyna. Następnego dnia niebo było czyste, z kilkoma tylko płatami wysoko

zawieszonych chmur. Firmament był tak intensywnie niebieski jak skrzydła zimorodka, barwa ta wprost olśniewała. Oślepiające białością kosmyki chmur przypominały wyglądem brodę starego czarodzieja.

Według mnie wyglądało to nienaturalnie, ale pomyślałem sobie, że jest to spowodowane moim zbyt dużym zaangażowaniem w obserwację. Normalnie więcej uwagi przywiązywałem do badania pogody w nocy niż w dzień. Wun był zachwycony, ale sukces przyplącał wielkim zmęczeniem. Schudł bardzo, jakby praca pożerała całą jego energię. Zniknęły okrągłe policzki. Ciało się postarzało, a skóra przybrała żółtawy kolor.

Zapytałem go o samopoczucie. Najpierw wzruszył tylko ramionami.

— Wyobraź sobie tylko — rzekł drżącym głosem. Jego wzrok nie opuszczał maszyny z kamiennym masywem na jej szczycie. — Czy kiedykolwiek marzyłeś, żeby wziąć na siebie odpowiedzialność za świat? To stymuluje, popycha cię do działania i dodaje odwagi i wiary w możliwość zrealizowania wspanialszych rzeczy! Czuję się tak, od kiedy odnalazłem... odnaleźliśmy statuetkę.

Nie odpowiedziałem od razu. Musiałem przyznać, że przedstawiając siebie w takim świetle, mój przyjaciel dowiódł, że był dziwakiem. Minęła chwila, zanim doszedłem do siebie. Wun machnąwszy ręką, zaniechał opowiadania o swoich spostrzeżeniach i zabraliśmy się do kolejnego eksperymentu.

Zapowiedzianym na następny dzień kolorem była czysta biel i rzeczywiście w południe miasteczko osnuła gęsta mgła, zamieniając całą krainę w bawełniany koc. Skrzaty potykały się o siebie. Zadziwiająco ciepła mgła nadciągała od strony zatoki, przedzierając się przez drzwi i okna i wciskając w najmniejsze zakamarki.

Tymczasem rozniosła się wieść o tajemniczej maszynie Wu-na, który najpierw powiedział o niej kilku przyjaciołom, a ci później przekazali wiadomość innym. Kiedy Wun zabrał się do dokonania kolejnego eksperymentu na tajemniczej maszynie, przed jego domem zgromadził się ogromny tłum. Przepychając

ODO

się przez rozgadanych skrzatów, czułem się zbyt anonimowo z powodu uwagi, jaką przyciągał teraz mój przyjaciel. Nie byłem ani trochę zazdrosny.

Tym razem maszyna wylosowała kule w kolorze fioletowym i zielonym.

Wun był lekko zakłopotany wynikiem. Poczuję się lepiej. Zdolność maszyny do prognozowania pogody denerwowała mnie. Pomyślałem, że jakiś nieprawdopodobny wynik może pohamować kontynuowanie eksperymentów przez Wuna. Tymczasem nie powstrzymało go to. W towarzystwie Wuna przybierałem normalny wyraz twarzy, nie zdradzałem niepokojących mnie myśli. Chociaż czułem, że położy to kres nonsensownym badaniom, dodawałem Wunowi odwagi i optymizmu. Cokolwiek mówiłem, nie mogłem oderwać wzroku od szafy. Gwiezdna skorupa mrugała do mnie „oczami” jak złowrogi kot.

Źle spałem tamtej nocy. Podczas snu straszyl mnie kamień. Pojawił się w moim śnie, jakby był żywym kawałkiem nieba, skrawkiem bogów, który niestety spadł z ciemnej konstelacji i wywierał przeogromny wpływ na otaczający nas świat. Nie przepowiadał, ale dyktował przyszłość. Zło czaiło się za zielonkawymi, pozbawionymi wyrazu oczami i czułem, że to złowrogie spojrzenie poszukuje mnie.

Obudziłem się wczesnym rankiem, uspokojony, słysząc uderzające o dach krople deszczu. Pod koniec dnia przeszła nad nami burza i zaczęło naprawdę lać. Spałem do południa i kiedy wreszcie wstałem, zrozumiałem wczorajszą prognozę maszyny Wuna. Deszcz był ciężki i wyjątkowo płodny. Wszystkie krzaki i trawa rosły w oczach jeszcze podczas burzy. Nawet jedna z od dawna nagich

ścieżek pokryła się wibrującą zielenią świeżej trawy. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, wyrosły małe fioletowe kwiaty. Nigdy nie widziałem takiego gatunku — ich małe otwarte płatki wyglądały jak fioletowe gwiazdki.

Wyszedłem z domu i spotkałem większość mieszkańców badających nowe listowie.

Płatki kwiatów miały oleistą, nieprzyjemną w dotyku skórę, Powietrze w mieście wydawało się cieplejsze po deszczu. Byle

inn

prawie duszno. Inne skrzaty również to zauważyły. Trudno się dziwić, skoro byli twórcami niejednego wiatraka napędzanego rowerem czy tłoczni powietrza działających dzięki promieniom słonecznym. Ja osobiście czułem, że było to coś więcej niż zmiana pogody. Pomyślałem o dziwnie rozgrzanym pieniążku z wcześniejszych eksperymentów.

Poszedłem do laboratorium Wuna bez zapowiedzi. Jak zwykle w tyle domu znalazłem pomieszczenie, w którym szafa z metalowymi kulami i gwoździami stała nieruchomo w otoczeniu masy zwierciadeł i soczewek. Na szczycie konstrukcji znajdował się kamień, który jak nigdy wyglądał wyjątkowo cudownie, niczym mały bożek — jeżeli coś takiego jest w ogóle możliwe. Obecność zła była wręcz namacalna.

Podniosłem wyjątkowo wielki i efektownie wyglądający drewniany młotek.

Moje intencje były oczywiste. Zbliżyłem się do maszyny skonstruowanej przez Wuna. Czy moja reakcja wynikała z czystej zazdrości? Wun odkrył coś, czego ja nie byłem w stanie zrobić przez wiele lat studiów. Przewiduje ruchy na niebie. Czy to było motywem zniszczenia tego urządzenia? Czy będę mógł nazywać siebie przyjacielem Wuna, jeżeli zniszczę jego wspaniałe osiągnięcie, maszynę, która robiła dokładnie to, do czego została zaprojektowana? Tylko z powodu jakiejś dziwnej pogody?

Wahałem się zbyt długo. Usłyszałem za sobą skrzypienie schodów i słaby głos Wuna wołający mnie po imieniu.

Odwrociłem się i zobaczyłem, jak schodził z wyższego piętra. Wyglądał jak trup. Jego biała koszula była przepełniona i wisiała na jego karku jak na haku. Oczy miał zapadnięte, głębokie zmarszczki orały jego czoło. Wyglądał, jakby nie spał od kilku dni i, jeżeli mam być szczerzy, śmierdział, jakby nie zmieniał ubrania od jeszcze dłuższego czasu. — Zdawało mi się, że cię słyszałem — powiedział ze słabym uśmiechem na twarzy. — Myślałeś o poprawkach w mojej ma chinie? — Poprawkach? — powtórzyłem, po czym uświadomiłem sobie, że trzymam w ręce młotek, i szybko sprostowałem.

— O jednej malutkiej. Ale nie wydaje mi się, że jest tak bardzo konieczna. Mam... wrażenie. — Wrażenie — mój przyjaciel miał czkawkę. — Ja też coś czuję. Przeczuję i śnię o czymś. Sen podpowiedział mi, aby zbudować to urządzenie, przeczucie skłoniło do wykorzystania miedzianych drutów, a przecież bawełniany sznur mógłby służyć tak samo dobrze. Kiedy zasypiam, czeka na mnie gwiazdna skorupa. Mówi mi o przyszłości, podpowiada, co dalej nastąpi. — Jak myślisz, w jaki sposób to działa? — zapytałem, na wiążując do szafy. — Jak to naprawdę działa? Mały skrzat wzruszył ramionami, co zdradziło jego roztargnienie. — Myślę, że czas jest jak rzeka i ta maszyna pozwala iść pod prąd, pozwala poznać naturę wody, zanim ta zdąży nas pochłoniąć. Z czasem moglibyśmy przepowiadać wspaniałe rzeczy. Formułować ostrzeżenia i wyrocznie, mówić o zbliżających się niebezpieczeństwach i o tym, jak najłatwiej można ich uniknąć. — Oczy mojego przyjaciela stały się mętne. — To wspaniałe wynalazek. Mój wynalazek. — Rzeka — przytaknąłem. — Nie myślałeś nigdy, że ma szyna wpływa na wydarzenia w czasie przyszłym, czasie, który ma nadejść? Maszyna zapowiada „orzel”, zmuszając orła do pojawienia się w wyniku rozgrywki. Nie

myślałeś o tym, że kiedy urządzenie to wylosowuje kule niebieskie albo zielone, wywołu je zamęt w pogodzie i zmieniają, a nie przewiduje? Wun skrzywił się, rozważając moje słowa. — Jak powiedziałem przedtem, to tak naprawdę nie jest istotne. Jakie to ma znaczenie? Przyszłość jest przyszłością, wszystko jedno, czy zdeterminowaną przez przypadek, czy przez proroczą maszynę. Różnica, która nie robi różnicy, nie jest różnicą. — Ale można wyczuć w powietrzu coś nieprawidłowego — tłumaczyłem. — Pogoda, kwiaty, mgła — machałem rękami, szukając słów — po prostu to jest nienaturalne. — Jesteś pewien, że nie zazdrościsz mi sukcesu? — zapytał ostro Wun, prostując się. — Co wydaje ci się nienaturalne? To,

że nie ty, który zna wszystkie sekrety nieba, aleja skonstruowałem ten wspaniały wynalazek? Czy to wydaje ci się nienaturalne?

Próbowałem sformułować odpowiedź, ale nie udało mi się. Zbyt mocno się bałem, że Wun ma rację.

Złość wykrzesala z Wuna więcej energii, niż miał jej w rzeczywistości. Wymachiwał przede mną chudymi kończynami. — Jestem zmęczony, stary przyjacielu. Wybacz mi mój na strój i proszę, zostaw mnie w spokoju sam na sam z moimi marzeniami. Zdziwiłem się, że nie przyszedłeś wysłuchać prze powiedni na jutro. Wszyscy inni przyszli. — Jutro? — zapytałem. — Jaka będzie jutro pogoda? — Czarny i czerwony — rzekł z wątlým uśmiechem. — Kule wskazały na czarny i czerwony kolor. Zapowiadam wspa niały zachód słońca.

Nie pamiętam, co odpowiedziałem, ale na pewno przeprosiłem i wróciłem do swojego mieszkania. Jedyną rzeczą, o jakiej mogłem myśleć, był fakt, że Wun się nie mylił. Odnosił sukces dzięki ponadludzkiej umiejętności prorokowania. Byłem zazdrosny i nienawidziłem go tak samo jak jego sukcesu.

Następna noc była niespokojna. Musiałem przez sen zмагаć się z prześcieradłem, kiedy koszmarny kamień, który okazał się łuskowatym smokiem rozmiarów góry, nawiedził mnie w czasie snu. Z jednej strony zobaczyłem szparę, z której wynurzyła się węzowata głowa. Po chwili pojawiła się druga i za nią trzy kolejne. Wszystkie kołysały się, krzycząc w dziwnych językach. Każda głowa była innego koloru. Jedna z nich była czerwona, pozostałe to czarna, biała, zielona i niebieska. Kiedy smocze głowy zobaczyły mnie, zaczęły przeraźliwie wyć.

Zbudziłem się cały spocony. Nie tylko ja zresztą. Całe Gno-raespile zbudziło się spocone, ponieważ wilgoć zaczęła pokrywać miasto. Wszystko uległo lekkiemu odbarwieniu z powodu narastającej wilgoci. Nawet ściany były nią przesiąknięte, a własny pot wydawał się wyjątkowo oleisty, podobnie jak niezwykle fioletowe kwiaty.

Większość moich kolegów patrzyło w stronę odchodzącej nocy, gdzie miał się pojawić zapowiadany przez Wuna olśnie

wający zachód słońca. Wszyscy mieli nadzieję, że rozproszy on wilgoć i nasze ciężkie nastroje. Zanim nastalo południe, połowa mieszkańców już się zgromadziła na Wzgórzu Thuggle, skąd lepiej mogli podziwiać zachodzące słońce. Niektórzy zabrali ze sobą kosze z obiadem i wielu przyniosło wino. Trzymali się jak najdalej od oleistego powietrza zatoki. Siedząc tak pomiędzy nimi, zauważyłem, że wszyscy są spokojni i nikogo nie niepokoi fakt, że fioletowe kwiaty uginają się od ciężkich nasion o gwieździstych kształtach.

Spojrzałem na wyblakłe, niezbyt imponujące niebo i pomyślałem o nocach, w które razem z Wunem podziwialiśmy gwiazdy. Jeżeli przepowiednia na dzisiaj okaże się prawdziwa, Wun będzie mógł używać maszyny do kierowania ruchem ciał niebieskich. Stanie się sławny. Nie będzie już moim przyjacielem. Siedząc tak wśród gromady spoconych skrzatów, czułem się wyjątkowo samotny.

Nagle zorientowałem się, że Wuna nie ma na Wzgórzu Thug-gle. Najpierw pomyślałem, że

celowo zwleka z nadejściem, aby nadać wydarzeniu dramatyczny charakter. Słońce zbliżało się już do horyzontu, a Wuna ciągle nie było widać. Nic nie wskazywało na ładny zachód słońca. Na pewno jednak zapowiadał on się niezwykle, zwłaszcza jeżeli obiecana czerwień i czerń zabarwią szare niebo.

Wtedy poczułem dym i pomyślałem, że wylosowane kolory kul mogą sugerować coś zupełnie innego.

Prawdę mówiąc, było to wielkie szczęście, że większość mieszkańców Gnomespile zgromadziła się na szczycie Wzgórza, z dala od swoich laboratoriów w dolinie. Spojrzałem do tyłu i byłem pierwszym, który dostrzegł unoszący się nad miastem dym. Karmazynowe języki ognia doskonale widoczne ze szczytu Wzgórza dosięgały już kilku budynków.

Krzyknąłem i cała reszta skrzatów odruchowo ruszyła w dół doliny, aby ugasić ogień. Wszystko wskazywało na to, że zajęte zostało już pięć domów. Jeden z nich należał do Wuna. Oleisty dym bałwanami wychodził przez drzwi i okna. Soczyste fioletowe kwiaty, które pokrywały trawniki, wyda

wały się szczególnie podatne na ogień. Pęczniały pod wpływem upału i jak dojrzały groch wybuchaly z nich żarzące się iskry. Widziałem, jak dwa kolejne budynki osnute oleistym powietrzem zapaliły się od ognistych nasion.

Wszystkie skrzaty zbiegały ze wzgórza. Nagle zostaliśmy powaleni na ziemię pierwszym, ale nie ostatnim tego popołudnia, wielkim wybuchem. Nie dokończone wynalazki strzelały wraz z ogniem, niszcząc ściany i dachy domów ich twórców. Ognista kula rosła. Od płonących budowli zajmowały się kolejne budynki. Zwiększające się systematycznie wybuchy przekonały moich towarzyszy, że najlepszym sposobem walki z ogniem jest trzymanie się od niego z daleka, pozostanie na Wzgórzu. Wszyscy rzucili się w tym kierunku, porzucając zaczęte wina i koszyki z obiadem.

Ja natomiast postanowiłem odnaleźć Wuna. Nie zdziwił mnie fakt, że jego mieszkanie znajdowało się w samym centrum kataklizmu. Dławiłem się wirującym wokół popiołem. Uderzał we mnie silny wiatr, który nie pozwolił mi wejść do domu Wuna. Syczący ogień brzmiał jak śmiech węża.

W połowie drogi do mieszkania przyjaciela przywitała mnie gęsta od czarnych bałwanów chmura dymu. Towarzyszące jej języki ognia były czerwone jak łuski smoka. Zaczerpnąłem gorącego, oleistego powietrza i rzuciłem się w kierunku tylnej części domu.

Wun leżał nieprzytomny przed swoim zrobionym z szafy ołtarzem, wybitym żelaznymi gwoździakami. Szafa była czarna, ale, co zaskakujące, nie uszkodzona przez ogień. Na samej górze stała gwiezdna skorupa promieniująca zielonkawym, pulsującym światłem, podobnie jak w nocy, kiedy zobaczyliśmy ją po raz pierwszy.

Nigdy nie zdołałbym udźwignąć Wuna, gdyby nie schudł tak przerażająco w ciągu ostatnich kilku tygodni. Tak jak się spodziewałem, był lekki jak piórko i z łatwością przerzuciłem go przez ramię. Odkrztusił dławiący go popiół i powiedział słabym głosem: — Czarne. Wszystkie są czarne.

305

Istotnie, obejrzałem się do tyłu i przekonałem się, że Wun jeszcze raz użył magicznej maszyny. Wszystkie kule wylądowały w pojemniku oznaczonym na czarno. Szedłem, potykając się i przeklinając, w kierunku wyjścia. Kiedy wreszcie z trudem wyciągnąłem Wuna z domu, usłyszałem jęk i wtedy część domu zapadła się.

Tymczasem pożar w Gnomespile rozprzestrzenił się i małe tornado wyjątkowo gorącego powietrza przetoczyło się przez miasteczko, rozsypując dookoła popiół i żar ognia. Wspinałem się i czułem, jak wraz z pokonywaną odległością powietrze staje się coraz słodsze. Gwiazdy wciąż wirowały przed moimi oczami, kiedy poczułem, jak ręce innych skrzatów odciążają mojeramio-na,

zdejmując z nich Wuna. Ich głosy brzmiały tak, jakby znajdowali się daleko, daleko ode mnie. Musiałem wziąć kilka głębokich oddechów, aby oczyścić płuca i wzrok.

Miasteczko spowiła czarna mgła. Płomienie czerwone jak obiecany zachód słońca przebijały się przez ciemność, łącząc się od czasu do czasu w kształt ognistej kuli. W miejscu gdzie w legł w gruzach dom Wuna, zobaczyłem nieziemsko zielone światło latarni. Latarnia przywoływała mnie.

Podniosłem się chwiejnie i zacząłem schodzić ku płonącemu miastu. Po drodze znalazłem nogę od stołu, którą ścisnąłem w dłoni jak maczugę. Szedłem do domu Wuna. Większa jego część spłonęła, pozostała tylko garstka popiołu, mimo to przejście do maszyny było nietknięte. Stałem przed dziwną konstrukcją przez dłuższą chwilę, wpatrując się w topniejącą statuetkę ze smoczym okiem. Czułem, że wciąga mnie coraz bardziej. Wreszcie chwyciłem solidną nogę od stołu i zabrałem się do pracy.

Następnego poranka Wun zbudził się w porze, w której zawsze podaje się herbatę. Mój dom był spalony, ale ciągle stał. To był naprawdę cud. Belki trzymały całą konstrukcję, a przypalenia dodawały kamiennemu dziełu charakterystycznego wyglądu. Reszta miasteczka została zniszczona. Słysząc już było odgłosy młotków i pił. Ci, którzy ocaleli, zabrali się niezwłocznie do odbudowy swych domów i życia. Wun był bardzo słaby, ale powrócił już błysk w jego oczach.

Prosił mnie, abym zabrał go do pogorzelniska jego mieszkania, gdy tylko nabierze sił.

Nie odmówiłem mu. Niezwłocznie skierował się na tył domu, gdzie kiedyś znajdowała się jego prorocza maszyna. Odnalazł nie tkniętą przez ogień szafę, ale za to roztrzaskaną nie do poznania. Podpowiedziałem mu, że spadające belki pewnie zamieniły jego maszynę w poplątane zbiorowisko połamanych drutów, gwoździ, pokruszonych soczewek i rozsypanych kul.

Po gwiazdnej skorupie nie było śladu. Wun przetrząsał pokój przynajmniej przez dwie godziny, aż wreszcie osłabienie fizyczne skłoniło go do zaprzestania poszukiwań. Zmordowany zgodził się, abym położył go do łóżka. Upłynęły trzy dni, zanim odzyskał siły, aby zabrać się do odbudowy domu. Nie powiedział mi, czy w tym czasie miał jakieś sny.

Wun opowiedział mi, że ogień pojawił się, kiedy dwie metalowe kule wskoczyły pomiędzy dwa gwoździe, zamykając w ten sposób obieg i powodując spięcie. Gorące oleiste powietrze — rzadkość w meteorologii — przyspieszyło rozprzestrzenianie się ognia. Wun zakładał też, że gwiazdna skorupa spotęgowała pożar. Płomienie, jak zakładał Wun, musiały roztopić gwiazdną skorupę, spowodować parowanie albo wybuch. Części gwiazd muszą zawierać niewyobrażalny żar.

Przyznałem mu rację. Musiałem, chociaż wiedziałem, że to, co mówi, nie jest prawdą.

Dzisiaj często odwiedzam miejsce z kraterem na Wzgórzu Thuggle. Chodzę tam zazwyczaj sam, Wun stracił zamięłowanie do podziwiania nieba. Chodzę tam, by oglądać konstelacje gwiazdne — wykresy bogów na niebie. Chodzę również po to, aby upewnić się, że nikt nie przeszukuje trawy ukrywającej resztki krateru i nie wykopuje ukrytego tam śmiertelnego skarbu.

Czasami zdarza mi się zdrzemnąć przy kraterze. Mam wtedy dziwne sny. Wielogłowe smoki warczą przerażająco i próbują uwolnić się ze zniekształconego zielonkawego jaja. Jajo trzymam ja, tak jak trzymałem gwiazdną skorupę w nocy po pożarze. We snach smocze głowy wołają mnie, obiecując bogactwo, sławę i otwarcie drogi do głębi wyobrażeń. Smocze głowy wzy-

wają mnie tak jak gwiazdna skorupa w nocy, kiedy wykradłem statuetkę z laboratorium Wuna i ukryłem w metalowym pudełku na Wzgórzu Thuggle.

W snach zakopuję też jajo. Kiedy przysypuję je ziemią, węże z sykiem osuwają się z powrotem do swojego legowiska, skąd nie mogą już wpływać na losy ludzi i skrzatów.

A kiedy się budzę, czuję, że dokonałem czegoś wielkiego. Odkryłem jeden z sekretów niebios.

**WIELKI I MAŁY MISTRZ** Margaret Weis i Don Perrin

Nazywali siebie Wielkim i Małym Mistrzem.

Oczywiście wiedzieliśmy, że nie są to ich prawdziwe imiona. Większość z nas w Goodland jest prostymi rolnikami. Wiedzieliśmy, że imiona te są zmyślane. Nie mieliśmy pojęcia, jak się naprawdę nazywali ani tym bardziej — dlaczego ukrywali swe prawdziwe imiona. To ich problem. My w Goodland jesteśmy łatwi we współżyciu. Dopóki przybysze nie dostarczali nam problemów, nie zaczepialiśmy ich.

Wielki Mistrz był wyższy od Małego, był ekstremalnie wysoki. Prawdopodobnie był najwyższym człowiekiem, jakiego ktokolwiek z nas widział. A wielu z nas odbywało podróże poza naszą urodzajną dolinę. Często podróżowaliśmy w interesach albo dla przyjemności, ale nigdy nie zatrzymywaliśmy się na długo poza domem. Jestem burmistrzem Goodland, mam więc pewne uprzedzenia, ale we wszystkich miejscach, jakie odwiedziłem, nie spotkałem ani jednej krainy, która dorównywałaby mojej rodzimej.

Wielki Mistrz był tak wysoki, że musiał nie tylko pochylać głowę, ale również ramiona i połowę pleców, aby zmieścić się w drzwiach gospody. A trzeba przyznać, że karczmy w Goodland nie są jakimiś walącymi się spelunami. Jediną gospodą, która przypominała mi naszą, była karczma w Solące, ale jej nazwa uciekła mi z pamięci.

Zakładałem, że Wielki Mistrz miał w sobie domieszkę elfiej krwi. My w Goodland nie mieliśmy nic przeciwko elfom. Nie mieliśmy nic przeciwko nikomu w naszej słonecznej dolinie, dopóki goście są przyjaźni, pogodnej natury i nie odmawiają

wypicia szklanki piwa oraz zapalenia fajki dobrej tabaki. Jeżeli ktoś łamie te zasady, ja wkraczam do akcji.

Naszą dolinę nazywamy Czaszą Chlebowej Doliny. To duża dolina, w skład której wchodzi trzy miasta: położone na północy nazywa się Fairfield, drugie leżące na południu to Sunnyvale i wreszcie nasze Goodland, które znajduje się na zachodzie. Od wschodu osłania nas Góra Benefice. Jej nazwa pochodzi od krystalicznie czystej wody spadającej kaskadami z najwyższego szczytu. Ona nawadnia naszą dolinę. Z powodu drogocennej wody i w związku z tym, że mamy więcej słonecznych dni niż inne miejsca w Ansalonie, nasze farmy są błogosławione przez bogów. Plony z pól wystarczają, aby wyżywić nasze rodziny i podzielić się jedzeniem z otaczającymi nas krainami.

Tego lata słyszeliśmy przerażające opowieści o bezwzględnych suszach, jakie nawiedziły inne części Ansalonu. Sam wybrałem się w podróż do Północnego Ergoth. To, co tam zobaczyłem, przeraziło mnie. Plony usychały od palącego słońca, woda znikła z dopływów rzecznych, wszędzie paliła się trawa. W powrotnej drodze odwiedziłem Góry Ergoth i osobiście podziękowałem Paladinowi, że ma nas w swojej opiece. Woda nie przestawała płynąć z górskiego szczytu i nasze plony były tego roku ogromne.

Będą nam naprawdę potrzebne. Zaplanowaliśmy dystrybucję żywności do krain, które nie zdołają przetrwać zimy.

Ale do zniw było jeszcze daleko. Późnym latem pojawili się u nas dwaj nieznajomi. Weszli do gospody w Goodland, kupili piwo, poprosili o fajkę. Byli nawet na tyle uprzejmi, że wypili za zdrowie gospodyni karczmy. Barowa odwzajemniła życzliwość. Później zwrócili się do mnie. Oczywiście miałem na sobie złozy urzędowy łańcuszek, wiedzieli więc, kim jestem.

— Pan burmistrz — zagadnęli. — Wypijemy za twoje dobre miasto i jego mieszkańców. Wziąłem szklankę, wznosząc toast z ogromną przyjemnością. — Za wasze zdrowie, przyjaciele — powiedziałem. Życzyłem im tego szczerze. Pomijając ich dziwaczne imiona, które potraktowaliśmy jak żart, byli porządnie ubrani i ładnie się wypowiadali. Tylko jakoś dziwnie wyglądali.

Jeden z nich, jak już powiedziałem, był niepospolicie wysoki. Wszystkie zmarszczki na jego



czole zbiegały się w jeden punkt nad nosem i dlatego przypominał mi elfa, ale większość cech miał ludzkich. Był mężczyzną w średnim wieku ze srebrnoszarymi włosami, ciemnymi oczami i smutnym, prawie stęsknionym uśmiechem. Ręce miał drobne i kościste, palce długie i cienkie.

Mały Mistrz był również człowiekiem, ale przypuszczałem, że miał w sobie krew karła. Był najniższym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Znałem karłów, którzy mogliby go przewyższyć. Miał pierś jak baryłka piwa. Jego ręce były silne, z łatwością, gdyby przyszło mu to do głowy, mógłby przebić solidną skałę. Kiedy chodził, coś dźwięczało, bo pod ubraniem ukrywał łańcuch. Nie stanowił on takiej wartości, od kiedy rozszalały się wojny — o których pogłoski już do nas dotarły — daleko na północnym zachodzie, gdzieś w okolicy Khalkists. Zdawało się, że w tej części kraju wojny toczą się w nieskończoność.

Będąc nie tylko burmistrzem, ale również właścicielem największej ilości hektarów uprawnych w dolinie, czułem, że przywilej powitania gości należał do mnie. Przemówiłem więc serdecznie, witając ich obu w naszej dolinie, i na koniec zapytałem, czy sprowadziły ich interesy, czy przyjemności. — Interesy i przyjemność, burmistrzu. — Mały Mistrz wstał i ujął się pod pachy. Wdrapał się na krzesło, tak żeby wszyscy w gospodzie mogli go widzieć, i mówił dalej. — Jesteście dobrymi ludźmi. Jest wiele powodów, dla których warto odwiedzić waszą dolinę. Słyszeliśmy, że wasze dzieci są piękne, piwo wyśmienite i... — przerwał, nadając swojej mowie aktorski charakter — że uważacie się za najlepszych szachistów w całym Ansalonie. — Co masz na myśli, mówiąc „uważamy się”? — zawołał Farmer Reeves i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Jak zacząłem już mówić o tym wcześniej, my, ludzie z Czaszy Chlebowej Doliny, mamy jedną pasję, nie biorąc pod uwagę rolnictwa. Jest nią gra w szachy. Na każdym stole karczmy znajdowała się szachownica. Również w każdym domu i nawet w samym rynku miasta znajdowała się gigantyczna szachownica,

która służyła do corocznych rozgrywek. Mieliśmy dziecięce kluby szachowe, Ligę Kobiet Grających w Szachy, Ligę Mężczyzn Grających w Szachy oraz Ligę Kobiet i Mężczyzn Grających w Szachy, a także Towarzystwo Szachowe, Poradnictwo Szachowe i tym podobne instytucje. Nasi gracze podróżowali przez Ansalon, pojawiając się wszędzie tam, gdzie organizowano rozgrywki szachowe, i efektywnie współzawodniczyli z innymi. Musieliśmy wybudować specjalną halę, aby pomieścić w niej nasze trofea. Wiedzieliśmy, że jesteśmy najlepsi i mieliśmy na to dowody.

Mały Mistrz uklonił się do nas, przyznając, że wiadomość ta nie jest mu obca, i kontynuował: — Z tego też powodu Wielki Mistrz i ja przybyliśmy do Goodland. Chcemy podziwiać wasze dzieci, pić piwo i wezwać każdego z was do szachowej rozgrywki z Wielkim Mistrzem, który uważa się za najwspanialszego gracza szachów w całym Krynnie. — Będziemy zaszczycony grą z Wielkim Mistrzem — za pewniłem, wyciągając szachownicę. — Jako burmistrz miasta pozwolę sobie zagrać pierwszy.

Mały Mistrz podniósł na znak protestu dłoń pokrytą zrogowaciałą i brązową od słońca skórą, która sprawiała, że łatwiej go było skojarzyć z szablą niż szachowymi pionkami.

— Nie chodzi o to, że nie gramy w karczmie — tłumaczył rozradowanym i przyjacielskim tonem. — Wielki Mistrz i ja musimy najpierw coś zjeść. — Słowa te brzmiały jak przeprosiny z powodu słabości. Wielki Mistrz smutno przytaknął. — Grą w szachy zarabiamy na życie. Jeżeli chcecie przekonać się, co naprawdę mamy na myśli, musicie przyjść do ziemi Midsummer Fair, gdzie rozbiliśmy swoje namioty. Chcę zaznaczyć, że nie będziecie żałować.

Obiecałem, że zjawię się tam następnego dnia. Tak też się stało. Kilku z nas na drugi dzień zawlokło się do ziemi Midsummer Fair, gdzie rozbili się nieznajomi.

Namioty — dwa małe i jeden duży — były wykonane z pozszywanych kawałków czerwonego, białego i złotego drogiego

jedwabiu. W małych spali Mały i Wielki Mistrz (zżerała mnie ciekawość i zastanawiałem się, czy Wielki Mistrz spał z wystawionymi na zewnątrz stopami, bo trudno było uwierzyć, że może je zmieścić w środku). Duży namiot był otwarty z czterech stron, w samym jego centrum znajdował się stół i dwa krzesła.

Stół był okrągły, średnicy około trzech stóp, z czterema nogami. Na środku znajdowała się wykonana z ciemnego i jasnego drzewa szachownica.

Po jednej stronie stołu, na krześle, siedział Wielki Mistrz. Krzesło po drugiej stronie było puste, czekało na przeciwnika. Pionki zostały już rozstawione.

Na stole znajdował się również mały miedziany pojemnik, na który zwróciłem uwagę nieco później. Na początku nie widziałem niczego poza szachami. Były wyjątkowo imponujące i wspaniałe, najpiękniejsze i najwartościowsze szachy, jakie kiedykolwiek widziały nasze oczy.

My mieliśmy zazwyczaj wyrzeźbione z drewna, chociaż niektórzy z nas posiadali kamienne, przywieźli je z Thorbardin, albo ze stali, te pochodziły z Palanthas. Nasze szachy składały się z króla i królowej, pionków i wież. Tutaj były inne. Nie zostały wykonane z drzewa ani kamienia, ani stali, ponadto kształtem przypominały smoki. Najdrobniejsze drogocenne kamienie, jakie można było znaleźć w Ansalonie, zdobiły te szachy.

Złoty smok Paladina przewodził całemu zespołowi szachów. Pozostałe pionki stały powyżej. Były wykonane ze złota z wyjątkowym kunsztem. Lśniły w letnim słońcu pełnym blaskiem. W miejscu gdzie powinna stać królowa, znajdowała się wyrzeźbiona ze srebra smoczyca, tak delikatna i piękna, że wzruszała swoim wyglądem. Po drugiej stronie stał zestaw ciemnych szachów, które reprezentował pięciogłowy wielokolorowy smok. Smok był od góry zeskorpiały, ale cały iskrzył się pełną gamą oślepiających kolorów. Obok pięciogłowego smoka stał czarny smok, wykonany i z bardzo rzadkiego, czarnego opalu. Pozostałe pionki były tak samo wspaniałe i wartościowe. Rolę wież odgrywali uzbrojeni w oręża smoczy strażnicy z ko-

sztownego metalu i diamentów. Na smokach siedzieli rycerze, ponadto pionkami były mniejsze, mosiężne smoki, takie same po stronie zła i dobra. Wszystkie elementy szachów były wykonane ze szlachetnego metalu: złota, srebra, szafiru i rubinu.

Trzeba przyznać, że zdradzały królewskie pochodzenie. Sami kapłani Istar mogliby stać się ich posiadaczami.

Stałem tak zapatrzony w cudowne szachy, nie mogąc opanować cisnących się do oczu łez podziwu. Podobnie zareagowała reszta ze mną przybyłych.

Mały Mistrz odczekał, aż wszyscy upoili się widokiem szachów, i wreszcie ogłosił:

— Moi kandydaci, za zaszczyt przystąpienia do gry z Wielkim Mistrzem musicie wrzucić jednego miedziaka. Ten, kto go pokona, zostanie właścicielem imponujących szachów.

Nie wierzyłem własnym uszom. Przeniosłem wzrok z kosztownych pionków na Małego i Wielkiego Mistrza. — Czy jesteś prawdziwym dżentelmenem? — zapytałem. — Istotnie nimi jesteśmy, burmistrzu—zapewnił Mały Mistrz. Zanurzyłem dłoń w sakiewce, podobnie jak wszyscy inni stojący dookoła namiotu. Blaszane monety zabrzączały w miedzianym naczyniu. Włożyliśmy losy do kapelusza Małego Mistrza, aby sprawiedliwie ustalić, kto powinien przystąpić do gry jako pierwszy. Stęknąłem rozczarowany. Bommon dostał tego zaszczytu. Był on jednym z naszych najlepszych graczy. Wiele trofeów na ścianie w holu należało do niego.

— No cóż, przyjaciele, możemy iść do domu — powiedziałem do reszty. — Bommon wygra.

Ale żaden z nas nie ruszył się z miejsca. Zostaliśmy i patrzyliśmy.

Bommon usiadł po stronie ciemnych pionków i na początku nie mógł skupić się na grze. Z zachwytem dotykał i podziwiał wszystkie detale wspaniałych szachów. Wreszcie gra się zaczęła.

Przez pierwsze trzy kwadranse Bommon i Wielki Mistrz wymieniali ruchy. Wszyscy to obserwowaliśmy, wszyscy poza Małym Mistrzem, który najwyraźniej nie był zainteresowany grą. Pozbierał on blaszane monety i odniósł je do namiotu,

a następnie usunąwszy ze stołu mosiężne naczynia, zabrał się do polerowania pokaźnej szabli, którą wyciągnął z wytartego skórzanego pokrowca zawieszzonego na zewnątrz namiotu. Następnie wystawił na sprzedaż kilka wysokiej jakości zestawów szachowych, ale chociaż nie dorównywały tym, których używał jego przyjaciel, były równie piękne.

Wreszcie Wielki Mistrz z uśmiechem na twarzy wykonał ruch srebrnym smokiem i oparł się wygodnie na krześle, jakby sygnalizując, że gra jest zakończona. Wtedy uświadomiłem sobie, że nie odezwał się on ani jednym słowem od chwili, kiedy się pojawił w naszym mieście. Bommon dokładnie przestudiował sytuację i skinął głową.

# 41. Smoki chaosu

— O! Masz rację. Szach, mat. Złapałeś mnie, Wielki Mistrzu — przyznał. Westchnął głęboko i uśmiechnął się. — Pomimo porażki, muszę przyznać, że była to najlepsza gra, w jakiej kiedykolwiek miałem szansę uczestniczyć. Zapamiętam tę kom binację ruchów. Szczególnie zaskoczył mnie ruch jednego z two ich rycerzy. To dowód na wyjątkową błyskotliwość.

Wielki Mistrz pokłonił się lekko, nie wstając z krzesła, i pomachał ręką w kierunku mosiężnego naczynia, jakby zachęcał Bommona do ponownej rozgrywki. Bommon ze skrucną potrzęsnał głową. — Dzisiaj nie mogę, boję się! Zresztą muszę wracać do pracy. Jeszcze raz dziękuję za grę, może jutro? — Jutro, o każdej porze, zawsze możesz spróbować jeszcze raz — zapewnił Mały Mistrz, biegnąc z mosiężnym naczyniem w przeciwnym kierunku.

Bommon ostatni raz spojrział na wspaniałe szachy, wstał i odszedł.

Reszta z nas wymieniła spojrzenia. Teraz ja miałem szansę. Zacierając ręce, z satysfakcją zasiadłem do gry.

Tylko piętnaście minut zajęło Wielkiemu Mistrzowi wykończenie mnie. Padaliśmy jeden po drugim, bezsilnie zmagając się z nieprawdopodobnym talentem. Nikt nie myślał o kosztach, wszyscy wracali do domu z obietnicą, że wrócą następnego dnia lepiej przygotowani.

Więści o drogocennych szachach i wyjątkowym talencie Wielkiego Mistrza szybko rozeszły się po dolinie. Kiedy zjawiłem się w obozie przybyszy, zająłem miejsce w kolejce jako szesnasty. Chętnych do wypróbowania zdolności było wielu. Mężczyźni, kobiety i dzieci nadchodzili niemal nieustannie, tak że Mały Mistrz był zmuszony wręczać każdemu numerowane bilety i umawiać się na grę o określonej godzinie.

Dookoła zgromadził się ogromny tłum gapiów. W ciszy przerywanej jedynie dźwiękiem wrzucanych do mosiężnego naczynia miedziaków, z zapartym tchem obserwowaliśmy toczące się rozgrywki. Inni zajęli się interesem, pojawiło się więcej namiotów. Widów Peck sprzedawał owoce wyglodniałym, czekającym w kolejce obywatelom Goodland. Alderman Johannson obiecywał opracowanie zwycięskiej strategii dla tych, którzy zapłacą mu trzy miedziaki. Wszyscy byli w dobrym humorze. — Dzisiejszy dzień należy do największych w moim życiu, co, Wielki Mistrzu? — zawołał Goodwife Bacon. — Graj, Wielki Mistrzu, dopóki masz szansę — zawołał Otto Smithy. — Kiedy przyjdzie moja kolej, stracisz wspaniałe szachy.

Zaczęto pierwszą grę. Po sześciu ruchach widać było, że wygra Wielki Mistrz. Jego przeciwnik, niski mężczyzna z Tailor Guid, wstał i uściśnął dłoń Wielkiego Mistrza.

— Obawiam się, że nie jestem już najlepszy. Jesteś niewątp liwie najdoskonalszym graczem, z jakim miałem zaszczyt współ zawodniczyć, poza jedną osobą — oznajmił.

Wielki Mistrz spojrział na niego, podnosząc z zaskoczenia głowę. — Kim więc jest ten „wyjątek”? — wreszcie coś wzbudziło ciekawość Małego Mistrza. — Człowiek, którego nazywamy Blackshanks, Mistrzu. Nie wiemy o nim zbyt dużo. Ostatni raz byl w naszym mieście dość dawno temu. Po raz ostatni widziano go na początku lata. Mie szka gdzieś w górach, pojawia się w miasteczku od czasu do czasu, aby rozegrać partyjkę szachów. Jest samotnikiem, przy tym nieprzyjemnym i opryskliwym, ale ma zamiłowanie do

szachów. Jest w nich tak dobry jak Wielki Mistrz albo nawet, nie urażając ciebie, Mistrzu, lepszy.

Uwaga ta wytrąciła Wielkiego Mistrza z równowagi. Zmarszczywszy brwi, spojrział na szachownicę i bez słowa przepychał pionki do przodu i do tyłu długim palcem wskazującym.

— No cóż, może pan Blackshanks pojawi się w okolicy i wtedy się przekonamy. — Mały Mistrz próbował rozładować napięcie, żartując i klaszcząc w dłonie.

Bardzo możliwe. Sam grałem ze wspaniałym Blackshanksem i chociaż na początku myślałem, że daleko mu do bycia dostatecznie dobrym przeciwnikiem, muszę przyznać, że pokonał mnie za pomocą trzech ruchów. Używał kombinacji, jakich nigdy wcześniej ani do tej pory nie spotkałem.

Od tej pory wszyscy mówili o tym, jak wspaniała partia mogłaby być rozegrana w naszej okolicy. Zaczęliśmy szukać Blackshanksa. Mieliśmy nadzieję, że złoży niespodziewaną wizytę. — Kolejny gracz — krzyczał Mały Mistrz.

Wysoka kobieta w dobrze wykonanych butach z bojowym zapałem zajęła miejsce przy stole. Wielki Mistrz uniósł się lekko do góry, pokłonił i usadowił z powrotem. Po dwudziestu ruchach Wielki Mistrz raz jeszcze dał dowód swojej wielkości. Kobieta wstała od stołu i majestatycznym krokiem wyszła z namiotu.

Dzień upływał na grze. Wielki Mistrz pracował nieustannie, nawet bez przerwy na posiłek. Mały Mistrz krzątał się w pobliżu, biegając od czasu do czasu do swojego namiotu po nowy zestaw szachów. Szachy sprzedawały się dobrze, czekający chętnie praktykowali przed przystąpieniem do gry z Mistrzem.

Przez cały dzień Wielki Mistrz pokonał siedemnastu przeciwników. Kolejka na zewnątrz namiotu nie zmniejszała się.

— Będziemy kontynuować do zachodu słońca. Tych, którzy nie mieli szansy stawić czoła Wielkiemu Mistrzowi, zapraszamy jutro — ogłosił mniejszy z nieznanym, zwracając się do grupy pięćdziesięciu czekających przed namiotem. — Jeżeli jutro nie możecie przyjść, proszę zwrócić bilety i pozwólcie innym zająć wasze miejsce. Oczywiście, koszty zwracam w całości. Wspaniałe szachy nie przestawały lśnić w przedzierającym

się do namiotu popołudniowym słońcu. Każdy zasiadał do gry z nadzieją, że olśniewające pionki znajdą się w jego mieszkaniu. Fenomenalne zdolności Wielkiego Mistrza zachwycały i zdumiewały obserwujących i stających z nim do gry. Nikt nie zwrócił biletu.

Następny dzień był powtórzeniem poprzedniego. Ludzie pojawili się przed namiotem, jeszcze zanim przybysze się obudzili. Mieszkańcy Goodland usadowili się na trawie i spokojnie czekali, grając ze sobą na rozgrzewkę.

Wielki Mistrz szybko zasiadł do pracy. Zanim słońce osiągnęło zenit, jedenastu graczy odeszło rozczarowanych od stołu. Zdawało się, że Mistrz przyspieszył tempo rozgrywek. Jedenastym przeciwnikiem był Toby Wheeler, jeden z naszych najbardziej dociekliwych dziesięciolatków.

— Dlaczego po naszej stronie znajdują się król i królowa, a po twojej smoki, Wielki Mistrzu? — pytał chłopiec.

Wielki Mistrz posłał smutne spojrzenie swojemu towarzyszowi, który śpieszył już z odpowiedzią.

— Mądre pytanie, synu. Wielki Mistrz i ja wierzymy, że na dobro i zło większy wpływ mają smoki niż ludzie. Ich moc, inteli gencja i mądrość sprawiają, że zasługują na przywilej bycia w rękach gracza zwycięzcy. Czy nie zgodzisz się ze mną, chłopcze?

Bardziej zainteresowany grą niż filozofią, Toby wzruszył tylko ramionami i wykonał ruch. Niezwyciężony szachista odparł atak i dalsza część gry potoczyła się na jego korzyść.

— Nie śmiem prosić, ale czy mógłbym wziąć chociaż jeden pionek? — chłopiec zapytał, wzdychając z żalem i wskazał na wysadzonego klejnotami smoka.

Wysoki Mistrz zaprzeczył ruchem głowy i Toby odstawił pionek, po czym odszedł do swoich towarzyszy.

Upłynęły kolejne dwa dni. Niepokonany przybysz znowu zwyciężył ze wszystkimi stojącymi z nim do gry. Właśnie pokonał setnego gracza, kiedy otaczający namiot gapie zaczęli szemrać i wskazywać na coś palcami. Szedłem właśnie odwiedzić Widowa Pecka i odwróciłem się, aby się zorientować, o co chodzi w całym tym zamieszaniu. Od strony gór spokojnym krokiem nadchodził człowiek w białych skórzanych spodniach i długich czarnych butach. — Blackshanks! — szepty były coraz bardziej wyraźne.

Blackshanks to było przezwisko, jakie mu nadaliśmy, ponieważ sam się nigdy nie przedstawił. Cicho zajął miejsce na końcu kolejki. Mały Mistrz pośpieszył z mosiężnym naczyniem w jego stronę.

Moneta zabręczczała. Tłum oczekiwał w napięciu. Kilku małych chłopców pobiegło do miasta, aby ogłosić nowinę. Niedługo potem większość mieszkańców Goodland porzuciło pracę w polu, przy praniu, kuźni, a nawet gospody. Wszyscy przybyli, aby obejrzyć grę na skalę stuleci.

Również Wielki Mistrz czekał na koniec kolejki. Spojrzał na Blackshanksa i szybko wykończył przeciwnika, dając kolejny dowód swoich zdolności. Nawet Mały Mistrz przerwał handel i podniecony perspektywą zbliżającej się gry zabrał się do polerowania szabli. Robił to z takim zapałem, że aż zaczęła lśnić.

Blackshanks czekał, obserwując zamieszanie i nie odzywając się do nikogo. Nie należał do miłych ludzi. W rzeczywistości wielu z nas czuło się skrępowanymi w jego obecności. Kiedy odchodził, byliśmy bardzo zadowoleni. Miał zimne, czarne oczy, zimną, bladą skórę i zimne, lepkie ręce. Osobiście przypominałem mu, że istnieją inne piękne doliny po drugiej stronie świata, ale on powtarzał, że najbardziej lubi Goodland.

Co jeszcze mogłem powiedzieć, zwłaszcza że to, co mówił, schlebiało mi?

Tym razem, muszę przyznać, byłem szczęśliwy, iż Blackshanks nie opuścił jeszcze naszego miasta i zdecydował się zagrać z Wielkim Mistrzem.

Po długim oczekiwaniu wreszcie nadeszła jego kolej. Podszedł do stołu i popatrzył na wspaniałą szachownicę. Na zimnych, bladych policzkach pojawił się lekki rumieniec. Popatrzył na pionki z tak wielkim pożądaniem jak nikt z nas, a naprawdę niejeden o nich marzył. Blackshanks nie tylko chciał je mieć, on ich łapczywie pożądał. Wyciągnął dłoń i dotknął pięciogłowego smoka, wykonanego z wielobarwnych kosztownych klejnotów.

Dłoń drżała mu z podniecenia, słyszałem jego przyśpieszony oddech. — Czy to prawda — powiedział grobowym głosem, odsłaniając zęby, co wywołało gęsią skórę na moim grzbiecie — że jesteś gotowy oddać wspaniałe szachy temu, kto cię pokona? — Tak obiecaliśmy, panie — odpowiedział Mały Mistrz.

Blackshanks bez słowa zajął swoje miejsce naprzeciw Wielkiego Mistrza. Mały Mistrz zakończył czyszczenie szabli i łokciami torując sobie drogę wśród tłumu, dotarł do swego partnera. Po raz pierwszy usadowił się obok niego, aby być świadkiem gry. Jego twarz zdradzała niepokój. Również Wielki Mistrz wyglądał na bardziej zawziętego. Niewątpliwie bali się, mogli stracić wartościowe szachy.

Blackshanks wykonał pierwszy ruch i gra się rozpoczęła. Śmiały ruch królem, Wielki Mistrz przytaknął i jak nigdy dotąd spojrzał porozumiewawczo na przyjaciela. Mały Mistrz odpowiedział skinieniem głowy. Niezwyciężony dotychczas gracz długo wpatrywał się w szachownicę i wreszcie wykonał ruch wieżą. Blackshanks chrząknął i poważnie zabrał się do gry.

Wykonali trzydzieści ruchów i żaden z nich nie wygrywał. Tłum obserwatorów był tak spokojny, jakby patrzył zza grobu.

Dokonano pięćdziesiątego ruchu i niepokojąco przewagę miała to jedna to znów strona strona. Mały Mistrz pocił się, wyglądał za zaniepokojonego. Jego przyjaciel jeszcze raz porozumiał się z

nim wzrokiem i wykonał ruch złotym smokiem.

Blackshanks zaśmiał się, po czym ustawił pięciogłowego smoka na zwycięskiej pozycji. — Szach i mat, Wielki Mistrzu.

Ludzie wymienili spojrzenia. Byliśmy świadkami rozgrywki, którą niewątpliwie zapamiętamy do końca życia, ale nie zwycięstwo w szachach było tego powodem. Czuliśmy się zawstydzeni, że oschły, nieprzyjemny Blackshanks zostanie właścicielem znakomitych szachów.

Wysoki Mistrz opadł blady i załamany na krzesło. Mały Mistrz był wyraźnie zaskoczony. Otworzył usta, ale nie wypowiedział ani jednego słowa.

— Wygląda na to, że pokonałem cię, Wielki Mistrzu — oznajmił Blackshanks, chytrze na niego spoglądając. — A teraz spodziewam się zapłaty.

Z nadzieją czekaliśmy, aby Wielki Mistrz wykonał jakiś olśniewający ruch i odniósł zwycięstwo. Ale ten popatrzył tylko na szachownicę, potrząsnął głową i powoli wstał, aby ukłonić się przeciwnikowi. — To prawda, że pobiłeś mnie, panie — przyznał i dał znak roztrzęsionemu, drżącemu, małemu przyjacielowi, aby się zbliżył. — Przynieś pudełko, Mały Mistrzu. Musimy zapakować szachy. — I zapakujcie je dobrze — rozkazał Blackshanks nieprzyjemnym tonem. — Przede mną długa droga, nie chciałbym, żeby się uszkodziły.

Mały Mistrz, ledwie powstrzymując się od płaczu, odszedł do namiotu, z trudem powłóczę nogami. Wielki Mistrz zatopił się w swoim siedzeniu, jakby słabe nogi nie były w stanie dźwigać ciężaru jego ciała. Z miłością dotykał po kolei każdego pionka, żegnając się z nim. Musiałem się odwrócić. Nie mogłem znieść bólu, jaki malował się na jego twarzy.

Upłynęła długa chwila. Mały Mistrz wciąż nie nadchodził i Blackshanks zaczął się niecierpliwić.

— Zastanawiacie się teraz, jak się wycofać z umowy? — spytał. Jego twarz jeszcze bardziej pobladła od złości. — Zatrzy maj pudełko, nie potrzebuję go.

Wyciągając ręce, chwycił złotego smoka i już prawie włożył go do kieszeni, kiedy nagle Mały Mistrz wynurzył się z namiotu.

Ludzie stojący najbliżej szachownicy cofnęli się. W tym samym czasie stojący z tyłu z zainteresowaniem wspinali się na palce, aby przekonać się, co wywołało zamieszanie.

Mały Mistrz nie niósł pudełka. Jedynym przedmiotem, jaki trzymał w rękach, była jego szabla. Miał na sobie zbroję ozdobioną znakami Rycerzy Róży.

Szedł w stronę Blackshanksa, który spoglądał na niego pełen podejrzania i pogardy.

— A to co? — zapytał, śmiejąc się ochryple. — Po co ta cała maskarada?

Mały Mistrz wyciągnął szablę i trzymał ją przed sobą w rycerskim ukłonie.

— Jestem Sir Michael Stoutbody, Rycerz z Zakonu Róży. Święta Przysięga złożona Paladinowi nakazuje mi, jako Ryce rzowi Solamnii, walczyć ze złem wszędzie, gdzie się pojawi. To mój obowiązek, Blackshanks czy jakiegokolwiek jest twoje imię, wzywam cię do walki. Przygotuj się, panie.

Blackshanks gapił się przez chwilę, po czym wybuchnął śmiechem. Sir Michael podszedł do Blackshanksa, któremu sięgał do pasa.

— Ty mały karle! — parsknął Blackshanks. — Lepiej odłóż tę szablę, zanim kogoś skrzywdzisz.

Spojrzałem na Wielkiego Mistrza i miałem nadzieję, że zainterweniuje i oszczędzi partnerowi wstydu. On jednak nie robił nic, patrzył tylko, wykrzywiając usta w niewyraźnym uśmiechu. Jako burmistrz musiałem wziąć sprawę w swoje ręce. Zrobiłem krok do przodu.

— Mały Mistrzu — zacząłem. — Blackshanks wygrał szachownicę w sprawiedliwej walce. To była wspaniała gra. Przykro mi, że musisz stracić tak wartościowe szachy, ale to ty ustalałeś warunki umowy, wiesz o tym. Sir Michael pokłonił się w moim kierunku. — Lordzie burmistrzu, proszę,

usłuchaj mojej rady, każ swo im ludziom opuścić to miejsce i wracajcie do domów. —Ależ, mój drogi panie ?—? przerwałem.

W tym momencie Blackshanks posłał dzielnemu rycerzowi spojrzenie tak pełne nienawiści, że żałowałem, iż nie siedzę w tej chwili na szybkim rumaku po drugiej stronie Gór Benefice i nie mam przed sobą pustej, bezpiecznej drogi. Odsunąłem się od namiotu.

— Panie i panowie — zawołałem. — Myślę, że lepiej będzie, jeżeli usłuchamy rady Małego Mistrza. Apeluję zwłaszcza do tych, którzy przyszli z małymi dziećmi.

Lęk i niebezpieczeństwo jak ciemna mgła wypełniły do słonecznej doliny, otulając ją i pogrążając w mroku.

Dzieci zaczęły piszczeć ze strachu. Dwoje z nich zawyło, jakby przeczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo. Jako burmistrz miasta, podobnie jak kilku starszych mężczyzn, czuliśmy się zobowiązani do pozostania na scenie. Reszta mieszkańców w panice opuszczała wzgórze. Strach rozprzestrzenił się jak dziki ogień.

Blackshanks nawet nie drgnął. Stał nieruchomo, trzymając w dłoni złotego smoka i przerzucając spojrzenie z Małego na Wielkiego Mistrza.

— Wezwałem cię do walki, panie — powiedział zimno Sir Michael. Wyciągnął szablę z pochwy. — Walcz albo zgiń w miejscu, gdzie stoisz, siło zła.

Wtedy Blackshanks niespodziewanie cisnął złotym pionkiem prosto w Sir Michaela. Rycerz osłonił się ręką, złota figurka smoka uderzyła go w ramię i upadła na ziemię.

— Tak, jestem złem, malutki rycerzu — fuknął Blackshanks. — Ale nie tak łatwym do pokonania, jak się spodziewasz. Mam dla ciebie niespodziankę, Sir Michaelu.

Blackshanks położył dłoń na pierścieniu, który miał na jednym z palców i nagle zaczął się przekształcać. Powiększał się.

W rzeczywistości był mniej więcej mojego wzrostu, może trochę wyższy. W ciągu minuty stał się wyższy niż środkowy pal podtrzymujący namiot. Jego odzież stopiła się, a zamiast niej pojawiły się lśniące łuski! Z grzbietu wyrzynały się skrzydła. Szczeka wysunęła się do przodu, podczas gdy wyginające się do góry nozdrza formowały ozdobiony przerażającymi kłami pysk. Jego oczy były czerwone jak rubiny w pionkach szachowych. Z palców wysuwały się podwinięte pazury. Dziko smagał czarnym ogonem.

— Oto moja prawdziwa forma! — ogłosił, upajając się na szym przerażeniu.

O krok od niego trzepotał na wietrze transparent z wizerunkiem czarnego smoka. Tak miał wyglądać po zakończeniu przeobrażenia.

Był kolosalnych rozmiarów. Patrzył na nas łapczywie. Jego wole było przerażająco wielkie, wydawał z siebie śmiertelnie

kwaśny oddech. Skrzydła miał rozpięte; były tak wielkie, że przysłaniały słońce, pogrążając nas w ciemności.

Na tak przerażający widok wszyscy, którzy nie opuścili tego miejsca, z wrzaskiem zbiegali teraz w dół wzgórze. Ja również chciałem uciekać, ale widok strasznego smoka tak mnie sparaliżował, że nie mogłem zrobić kroku.

Czarny smok! W naszej spokojnej dolinie przez te wszystkie lata ukrywał się czarny smok!

— Jesteś stracony! — syknął Blackshanks. — Karzeł nie ma szans w walce z tak ogromnym stworzeniem jak ja.

Po kilku minutach przerastał najwyższy dąb. Kwaśny oddech spadał na nas jak ulewa. Nagle...

— Powinieneś być walczyć ze mną, nie zmieniając formy — rzekł Sir Michael. — Dałem ci tę szansę — dodał i rzucił się na pół potwora pół człowieka. Cios był dobrze wymierzony, ale szabla



napotkała na twardą łuskę pokrywającą ciało smoka. Nie odniósłszy żadnych obrażeń, smok kopnął rycerza w klatkę piersiową, odrzucając go koziółkującego w powietrzu do tyłu.

Sir Michael wylądował na stole z szachownicą, rozbijając go w kawałki. Rycerz stoczył się na ziemię. Leżał półprzytomny w otoczeniu cudownych pionków, które wyglądały jak rozsypane na grobie płatki róż.

Zaniepokojony Wielki Mistrz ukląkł obok przyjaciela, upewniając się, że nic mu się nie stało.

— Nie jestem ranny! — Sir Michael z trudem łapał powie trze. Próbował wstać. — Musisz go... powstrzymać! Nie po zwól... aby dalej rósł...

Sugestia była słuszna, ale niemożliwa do zrealizowania. Smok powiększał się z każdą sekundą. Rozpostarte skrzydła przysłaniały całe niebo. Szyja wydłużała się coraz bardziej, przybierając kształt sinusoidy. Ciało pokrywało coraz więcej łusek, błyskawicznie osłaniając wszystkie wrażliwe na uderzenia miejsca.

Wielki Mistrz wyprostował się. Uniósł prawą rękę i wypowiedział jakieś słowo. Słowo to zabrzmiało jak głos srebrnej trąbki wzywającej na pomoc armię rycerzy. Nie wiem, co oznaczało, ale wypełniło moje serce nadzieją i złagodziło na chwilę lęk.

Cokolwiek powiedział Wielki Mistrz, zadziało to na Blackshanksa jak uderzenie włóczni. Wpatrywał się w przeciwnika, zadrżał ze złości i zazgrzytał zębami.

Zaklęcie zahamowało proces przeobrażania się Blackshanksa na kształcie pół człowieka pół smoka.

Bestia ryknęła przerażająco i miotła szponami, chcąc zgładzić Wielkiego Mistrza, ale ten znajdował się poza ich zasięgiem. Wielki Mistrz nie przestawał intonować kolejnych magicznych słów, które jak niewidzialny łańcuch otaczały Blackshanksa. Wężowata głowa smoka podążała za zaklęciami, krążył z nadzieją na powstrzymanie zamiarów Mistrza.

W tym czasie Wielki Mistrz wykonał ręką podwójny gest, który przypominał splatanie łańcucha, a który widziały tylko jego oczy.

Jak kurczę, które wykuło się tylko do połowy, Blackshanks nie był w całości ani człowiekiem, ani smokiem. Wściekły wysuwał rozwartą szczękę w kierunku Wielkiego Mistrza. Nie mając jednak w pełni zdolności czarnego smoka, zaciskał kły, łapiąc tylko powietrze. Wielki Mistrz biegał w tym czasie dookoła rozwścieczonej bestii, krępijąc ją niewidzialnym łańcuchem.

— Pośpiesz się, lordzie rycerzu! — krzyknął do przyjaciela. [ — Nie mogę trzymać tego zaklęcia zbyt długo!

Sir Michael stał już pewnie na nogach, trzymając szablę w dłoni. Z trudem łapiąc powietrze pod ciężarem zbroi, pędził w stronę wściekłego, wymachującego pazurami pół człowieka, pół smoka.

Sir Michael zaatakował szablą. Bestia, z rozmachem miotając kończyną zakończoną pazurami, próbowała odwzajemnić uderzenie. Sir Michael prowokował przeciwnika, trzymając wyciągniętą przed siebie szablę. Pozwolił, aby smok zaatakował pierwszy i dopiero wtedy z całej siły wbił ostrze w niewielki skrawek nie pokrytej jeszcze czarną łuską klatki piersiowej, przebijając ją na wylot. Z pleców pół człowieka pół smoka zaczęła płynąć krew.

Blackshanks zawył z bólu. Sir Michael dzielnie trzymał zanurzoną w ciele bestii szablę, chociaż ta w szalonym akcie

rozpaczy próbowała się od niej uwolnić, podnosząc do góry dzielnego rycerza.

Ciało smoka wiło się w agonii. Spływająca krew i kwaśny oddech parzyły ciało małego wojownika, zmuszając go ostatecznie do oderwania rąk od szabli. Sparaliżowany bólem upadł na ziemię.

Czarny smok zdołał wreszcie wyciągnąć ostrze ze swojego ciała, ale było już za późno. Rana

była śmiertelna. Blackshanks gwałtownie opadł na ziemię, resztkami sił posyłając nienawistne spojrzenie tym, którzy go pokonali.

— Kim... — z trudem łapiąc oddech, zwrócił się w stronę wysokiego gracza. — Powiedz mi, kim jesteś. Kim jest ten, który mnie zabił? Nie możesz być zwykłym człowiekiem, za jakiego się podajesz! Wielki Mistrz wysunął się do przodu.

— Zabiłem cię w imieniu mojej rodziny i całego rodu. Jak też na chwałę Vloorshada Swifta i Humy. Miałem zaszczyt zakończyć linię Czarnych Smoków Basalt. Wreszcie zniknęli z powierzchni Krynnu. Jesteś ich ostatnim przedstawicielem. Dzisiaj wraz z tobą umiera wielkie zło w Ansalonie.

Umierający Blackshanks podniósł oczy. Podobnie jak my, widział wyraźnie falujący na wietrze transparent z wizerunkiem ogromnego, srebrnego smoka o wspaniałych kształtach. Srebrne skrzydła zatrzepotały nad Blackshanksem, który po chwili warknął i odwróciwszy twarz, zakończył życie.

Powiew wiatru uniósł sztandar, odsłaniając Wielkiego Mistrza, zwycięzcę rozgrywek szachowych.

Wielki Mistrz pomógł stanąć Małemu Mistrzowi na nogi. Reszta z nas stała nieruchomo, zaskoczona całym tym wydarzeniem. Sir Michael uśmiechał się do nas pogodnie.

— Nie bójcie się, moi przyjaciele. To Sheen Vloorshad, najmłodszy ze srebrnych smoków z klanu Vloorshad. Chcę prze prosić, że okłamaliśmy ciebie i wszystkich wspaniałych mieszkańców Goodland — rzekł rycerz, zwracając się do mnie. — Był to jedyny sposób, aby wywołać Basalta z jego nory, stanąć z nim do walki i zabić go. Wielki Mistrz spojrzał na martwe ciało Czarnego Smoka.

— Czarne Smoki Basalt słynęły z tego, że nie umiały się oprzeć szachom.

I tak kończy się opowieść o najwspanialszej rozgrywce szachowej na najwyższym szczeblu w naszej dolinie.

Na rękach zanieśliśmy Sir Michaela do miasta, gdzie razem z jego przyjacielem zostali przyjęci jak prawdziwi bohaterowie. Nasz kleryk opatrzył rany Małego Mistrza i obaj nieznajomi zaszczytili nas swoją obecnością podczas uroczystego obiadu. — Skąd wiedziałeś, że Blackshanks jest Czarnym Smokiem? — zapytałem. — Był jedynym, który mnie pokonał — wyjaśnił Wielki Mistrz, uśmiechając się. — Nie chcę w ten sposób urazić ciebie, burmistrzu, ani twoich dobrych współtowarzyszy. Talent do gry w szachy macie niewątpliwie największy, ale nie zapominajmy, że jesteście tylko ludźmi. Chociaż przyznałem mu rację, dodałem po chwili:

— Tym razem cię pokonam — oznajmiłem pełen zapału, sięgając po szachy. Wielki Mistrz, śmiejąc się i potrząsając głową, wstał z krzesła.

— Przykro mi, burmistrzu, ale przez najbliższe sto lat nie dotknę szachów. Chociaż sto lat to i tak za mała przerwa. Sir Michael również wstał. — Pora się żegnać, burmistrzu. Musimy wrócić. Po zdaniu raportu staniemy do walki z Lordem Ariakanem. Jeżeli mogę wam coś poradzić — rzekł — odstawcie szachy na bok i bądźcie gotowi, aby w każdej chwili stawić czoło prawdziwemu wrogowi. — Tak zrobimy, panie. Nie zdołam wam podziękować za wszystko, co dla nas zrobiliście — powiedziałem na pożegnanie, ściskając ich dłonie. — Niech Paladin was prowadzi.

Sir Michael i jego srebrny smok opuścili gospodę przy akompaniamencie okrzyków i toastów wznoszonych przez pospólstwo.

Właśnie zamierzałem zwołać zebranie starszych, kiedy jeden z naszych chłopców nadbiegł w moim kierunku. W dłoniach trzymał ogromne drewniane pudełko. — Co to? — zapytałem. — Ci dwaj nieznajomi poprosili mnie, abym ci to doręczył, burmistrzu — oznajmił chłopak. Na pudełku było napisane:

„Zostawiamy to u ciebie, burmistrzu. Wydaje nam się, że będą one doskonale pasowały do waszej sali trofeów. Niech przyniosą tobie i twoim mieszkańcom wspaniałą przeszłość”. Uniósłem

wieko pudełka.

W świetle latarni zabłyśły przed moimi oczami imponujące szachy. Brakowało tylko jednego pionka: czarnego smoka.

LODOWA ŚCIANA Douglas Niles

Keristillax powracał powoli ze snu do rzeczywistości. Jego przebudzenie było tak nieuchwytnie, jak powolne narastanie lodowca. Mroźne powietrze wydobyło się delikatnie z szerokich nozdrzy. Uplłynął cały rok. Skórzana błona, biała jak leżący powyżej czysty śnieg, po upływie kolejnych stu dni odsłoniła szparę, w której ukazała się źrenica oka otoczona bladą, przypominającą lodowaty błękit, tęczę. Skrzydła łamały z trzaskiem skorupę lodu, która formowała się przez... Jak długo to trwało?

Pierwsze pytanie wynurzało się z mlecznej mgły w miejscu nad zatoką, gdzie powietrze było suche, gdzie lód przebijał się przez smagający pustą przestrzeń wiatr. Lata płynęły, a Keris wciąż rozmyślał nad odpowiedzią.

Jestem białym smokiem. Nazywam się Keristillax. Pierwsze prawdziwe stwierdzenie wynurzyło się z białej mgły przysłaniającej jego uśpione myśli. Miejsce to... Wyspa Summerbane... Zamek Summerbane.

Fragmety wspomnień przywracały świadomość Kerisowi, aż w pełni odzyskał pamięć.

Skalista, nieurodzajna wyspa rozciągała się daleko w stronę południowego wybrzeża Ansalonu. Miejsce bez jednego drzewa, spowite mgłą zasłaniającą wszystko na odległość pół roku, pokrywał lód. Kiedyś, dawno temu napływały tu statki z Tarsis. Pan wielce bogaty, zajmujący wysoką pozycję, był gospodarzem tego zamku. Wielki pan i jego poddani poumierali i zaraz potem statki zaprzestały swoich wizyt. Zamiast nich pojawił się Keristillax. Później wybuchła wielka wojna... Biały smok posłusznie

stawił się na wezwanie swojej królowej. Jednobarwne klany smoków spotkały się w Sanction. Wielu z białych dzielnie znosiło dokuczliwy upał, bezwzględnie zmierzając do wypełnienia zleconej misji. Lecieli naprzeciw chwale i okrucieństwu, nie zważając na gorące jak ogień powietrze. Nie mieli litości dla wroga. Keristillax wyśmiewał naiwne smoki, obładowane brzemieniem łanc. Jak wszyscy z jego rodu wył, cynicznie prowokując ledwie siedzących w siodłach jeźdźców.

Był świadkiem śmierci niejednego z białych smoków, który zginął od śmiertelnego ułucia mieczem. Widział, jak jego królowa wyniesiona w chwale ponad Krynem, została przeszyta lancą rycerza Humy. Jej obraz zanikał stopniowo, bladła coraz bardziej, aż wreszcie zniknęła zupełnie, zostawiając Keristillaxa i innych, którzy ocalili, na pastwę losu.

Nie był świadomy, jak wielkie spotkało go szczęście, że pozwolono mu wrócić do legowiska. Nigdy o tym nie myślał. Większość smoków po klęsce została zesłana na potępienie do Abyss. W nagrodę za odwagę w wypełnianiu obowiązków podczas wojny, Kerisowi i kilku jego współtowarzyszom pozwolono zaszyć się w zapomnianym zakątku Krynny, gdzie mogli zapaść w spokojny sen. Keris wrócił do Zamku Summerbane, wzniesionego na sterczącej ponad wzburzonymi falami iglicy lodu. Ulokował się w pierwszym napotkanym podziemnym korytarzu i zapadł w zimowy sen.

Jak długo to trwało? W sennej, białej, zimowej krainie, gdzie nie liczyły się dni, pory roku ani stulecia, pytanie to wciąż czekało na odpowiedź.

Ciekawość zaczęła „dręczyć” żołądek smoka bardziej niż głód i sprawiła, że po godzinach trwających wieki dźwignął ciężar ciała i stanął na czterech, zakończonych szponami kończynach. Po chwili z wielką cierpliwością wykonał pierwszy długi krok, po nim następny. Ruch przywrócił witalność. Przesuwał się gładko jak pełzający, alabastrowy wąż.

Kierowany wspomnieniami szedł podziemnym labiryntem korytarzy Zamku Summerbane. Ciemna pieczara, którą kiedyś wypełniała chłodna wilgoć, była pokryta grubą warstwą lodu.

Przyprawiło to o dreszcze nawet samego Kerisa. Nie ulegało wątpliwości, że lodowate ciało smoka obniżyło temperaturę otoczenia wystarczająco mocno, aby ciemna pieczara pokryła się pięknym szronem.

Nagle korytarz zamienił się w błękitny czop twardego, nagromadzonego od stuleci śniegu. Biały smok kilkoma draśnięciami mocnych pazurów z łatwością pokonał barierę. Zamarznięta masa runęła, odsłaniając urwisko, na którym stał zamek. Znajdował się w południowej części pałacu. Dobrze pamiętał, że skarpa znajdowała się nad lodowatą wodą rozległego oceanu, który oddzielał go od królestwa znajdującego się na odległym lądzie.

Powitała go śnieżna, nieruchoma biel krainy rozciągającej się w miejscu dawnego oceanu. Keris domyślał się, że obudził się w środku surowej zimy. Niepokoił go jednak poziom zmarzliny sięgający wysokości skarpy. Pamiętał, że krawędź zamku znajdowała się tysiąc stóp nad poziomem morza. Śnieżna powierzchnia zmniejszyła dystans dziesięciokrotnie. Łąd był w zasięgu pazura.

Skrzydła Kerisa nie były jeszcze gotowe do lotu. Pieszko przemierzał wyspę otoczoną pokrytymi śniegiem zboczami. Kiedy zbliżył się do miejsca, gdzie kiedyś wzburzony kanał oddzielał Wyspę Summerbane od północnego wybrzeża Tarsis, ogarnął go niepokój. Ani śladu wody! Jak sięgał pamięcią, lód nigdy nie wychodził tak daleko na północ.

W dziennym świetle powinien widzieć wybrzeże Ansalonu. Wszędzie, gdzie sięgał wzrok, rozciągała się zmarzlina, zdawało się, że pokryła cały świat. Keris wiedział, że tym razem nie on był przyczyną tej wspaniałej zmiany. Zastanawiał się, za sprawą czyjej mocy nastąpiło to przeobrażenie, w czasie kiedy on zapadł w długi sen.

Pokonał sztywność skrzydeł i wzniósł się w powietrze. Okrążył wzniesiony na skalnej iglicy zamek, który wyglądał jak wielka zamarznięta bryła. Spiralnym ruchem wzleciał jeszcze wyżej, aby się przekonać, że cała wyspa Summerbane była teraz częścią wielkiego lodowca. Wyglądała jak lodowa ściana. W całości należała do białego smoka. Perspektywa wspaniałego

mroźnego królestwa napełniała go dumą. Nie mógł trafić na lepsze legowisko. Kiedy wzniósł się wyżej w powietrzu, zobaczył, że lodowa iglica sięga północnych brzegów Ansalonu. Daleko na krańcu horyzontu można było zobaczyć zakurzoną, brązową równinę.

Po chwili, zupełnie niespodziewanie, Keris zobaczył innego smoka. Był tak samo biały jak on. Zmierzał prosto w kierunku cypla lodowej ściany, na którym był osadzony zamek. Keris zawrócił gwałtownie i po chwili wylądował na wysokiej wieży pałacu. Zdążył się tam dostać przed nadlatującym smokiem. Kiedy intruz zaczął kołować nad legowiskiem, leniwie pochylając się na bok, aby wylądować, Keristillax zauważył, że był on większy od niego. Mógłby przywłaszczyć sobie mroźne królestwo, gdyby tylko tego zapragnął.

Nie oddam go bez bitwy. — Keris wypuścił parę rozgrzewającą mroźne powietrze. Nie dotarła ona do gościa, ale ostrzegła go na tyle, że mógłby pomyśleć o przywitaniu nieznanego silnym atakiem. — Pokój z tobą, smoku, który należysz do mojego klanu — zabrzmiał głos tak silny, że zdawało się, iż rozsypie górę lodową. — Jestem Terrisleetix i przynoszę wspaniałą nowinę! — Jaką nowinę? — warknął Keris, przekonany że smok go zwodzi. — Nasza królowa powraca! Uwolniła nas z Abyss, zwołuje smoki z całego świata. Spotykamy się na wzgórzach Lordów Doom! — Wracaj, skąd przyszedłeś, nie szukam chwały ani nie tęsknię do ognistych gór! — zawył Keristillax. — Dobrze pamięć tam Wzgórza Lordów Doom, gdzie biali cierpieli przez kilka lat, zanim odnieśli zwycięstwo w katastrofalnej wojnie. Nigdy więcej nie spojrzę na szczyty wulkanu. — Odejdę, ale najpierw muszę wezwać innych... takich jak ty, którzy służyli Takhisis podczas Wojny Ludzi, a teraz

leżą beczynnie, przykryci śniegiem.

Steel zbliżył się do Keristillaxa, zatopił lazurowe spojrzenie w jego oczach i powiedział zniżonym tonem:

—Musiałeś służyć bardzo dobrze, stary smoku, skoro królowa wa zawracała sobie tobą głowę i postarała się, abyś był w bezpiecznym miejscu. Inaczej nie tolerowałbym twoich złych manier. — Walczyłem z żelaznymi smokami, przebijałem mosiądz i srebro. Wreszcie smocza lanca obróciła nasz klan i całe królestwo w proch. Decydując się na kolejny atak, narażasz siebie na podobne niebezpieczeństwo! —Tyle że metalowe smoki nie wezmą udziału w tej wojnie, — Sleet mówił pogardliwym tonem. — Osobiście z grupą białych smoków udaliśmy się na Smocze Wyspy i odnaleźliśmy zakopane w lodowcu jaja srebrnych smoków. W tym samym czasie, kiedy nasi czarni bracia odnaleźli ukryte w solnych bagnach jaja brązowych smoków, my dostarczyliśmy naszą zdobycz do SanUion. Czerwone smoki wtargnęły do złotego miasta z zamiarem wrogiego ataku, ale nasza królowa zdążyła obudzić żelaznych głupców. —Dlaczego to uczyniła? — burknął Keris; jego ciekawość przewyciężyła sceptycyzm. —Rycerze Takhisis są ślepo oddani Paladinowi i nigdy nie łamią złożonej mu przysięgi! Dopóki nie opuszczą wyspy, ich jaja nie zostaną odnalezione. Dlatego nie wezmą udziału w wojnie — uzupełnił Sleet, po czym wydał z siebie tak potężny głos, że pod jego wibracją osunął się śnieg osiadły na zboczu zamku. Keris pomyślał, że jego udział w bitwie jest zdecydowanie zbędny.

Sędziwy biały smok uwierzył intruzowi. Teraz przynajmniej wiedział, że zamiarem Terrisleetixa nie było przywłaszczenie jego legowiska. W jego głowie pozostało jeszcze jedno pytanie, które nie dawało mu spokoju. —Powiedziałaś, że ocalała mnie królowa? Jak długo... Ile zim upłynęło od Wojny Ludzi? —Spałeś pod śnieżną pierzyną, sędziwy smoku — Sleet odezwał się uprzejmie, ale z kpina w głosie — ponad tysiąc trzysta zim. Świat, który pamiętasz, zmienił się. Zniszczyli go sami bogowie, rozpętując piekło Kataklyzmu. Nasza królowa zebrała siły i jest gotowa do powrotu.

Sleet zawył potężnie. Wzniósł się w powietrze i kierując się na południe, drżącym głosem posłał ostatnie, pełne kpiny ostrzeżenie:

— Stary smoku, radzę ci udać się do Khalkists albo królowa wyegzekwuje twoje posłuszeństwo w inny sposób!

Drżący ze złości Keris mierzył nienawistnym wzrokiem oddalający się kształt. Przez chwilę miał nieprzepartą ochotę zaatakowania go, zdołał się jednak pohamować. Wzniósł się w powietrze i zawirował wokół iglicy. Kiedy Terrisleetix zniknął, spiralnym ruchem zbliżał się do lądowania na obszernej dziedzińcu. Przestał się bać. Nie wiedział nawet, czy powinien wierzyć słowom Sleeta. Niewątpliwie część opowieści o Paladynie i przysiędze była prawdziwa. Nie mógł tylko uwierzyć, że chętlive żelazne smoki zawarły sojusz na dłużej.

Przez ponad dwa długie lata zima zaznaczała swoją obecność na podstawie ściany lodowca. Wreszcie długie, mroczne miesiące zamieniły się w półmrok, aż wreszcie słońce rozjaśniło krainę, zwiastując nie kończące się lato. Niezależnie od ciepłego słońca, powietrze pozostawało niezmiennie zimne, podobnie jak rozesłana od stuleci śnieżna pierzyna.

W owym czasie Keristillax zaczął penetrować lodowiec. Jako niekwestionowany władca arktycznego odludzia rozciągającego się od Lodowej Góry Bay po zamrożone wybrzeże Południowego Oceanu Courrain. A tymczasem nie spotkał w okolicy żadnego smoka. To, co się potem wydarzyło, było dużo bardziej zastraszające niż wcześniejsze spotkanie ze Sleetem, które przestało mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

Jedynymi żywymi istotami, na jakie Keristillax natknął się wczesnym latem, były obozujące w sąsiedztwie zamku plemiona lodowych barbarzyńców. Wytepił ich błyskawicznie, a resztę zmusił do

ucieczki. Okazało się również, że na arktycznym odludziu osiedlili się brutalni wojownicy Thanoi z kłami w nozdrzach. Biały smok błyskawicznie podporządkował ich sobie, zmuszając do składania hołdu i daniny w postaci jadła. Służyli mu w zamian za darowane życie. Trzynastowieczny sen nie zmniejszył apetytu smoka. Jego

ulubionym jadem pozostały soczyste ciała zabitych fok. Keris trzymał się zazwyczaj okolic zamku. Do wybrzeża Lodowej Góry Bay latał jednak od czasu do czasu, aby polować na tłuste foki. Jak wszystkie białe smoki nie musiał jeść często, ale gdy już się zabrał do jedzenia, nie żałował podniebieniu rozkoszy.

W połowie ponurej wiosny, jakieś czterdzieści trzy zimy po zapomnianym spotkaniu ze Sleetem, Keristillax postanowił oddalić się od zamku. Nieokreślona nagła potrzeba sprawiła, że skierował się ku dalekiemu wybrzeżu. Poprzedzająca wyprawę zima była długa i mroczna jak zawsze. Większą jej część zresztą przespał. Jesienne połowy nie były zadowalające i ssący żołądek przerywał zimowy sen.

Przebudził się w ciągu kilku godzin. Potrzęsnał starą, jasną głową i wzniósł się, trzepocząc skrzydłami, a potem niezwłocznie skierował do najbliższego cypla Góry Bay. Myśl o ogromnej ilości fok i perspektywa uczyt ponagliła go i napędzała skrzydła coraz bardziej... do momentu, kiedy przed jego oczami pojawiła się czarna plama.

To coś miało łagodne kształty, przypominało fokę... ale dlaczego zwierzę tak bardzo oddaliło się od wody? Zirytowany Keristillax wypuścił z nozdrzy masę rozpędzającego mróz powietrza i zniżył się, aby okrążyć przedmiot. To coś przerażająco kontrastowało z bielą lodowej zmarzliny. Gdy był wystarczająco blisko, przekonał się, że była to najprawdziwsza foka. Wielki tłusty samiec śpiący na gładkiej powierzchni lodu.

Już po chwili, nie podejrzewając niczego, Keris ustawił skrzydła do bezszelestnego lądowania. Wszystkie pytania dotyczące nietypowej lokalizacji zwierzęcia przyćmiła żądza zdobycia posiłku. Z trudem powstrzymywał odruchowe mlaskanie przeciskające się przez jego gardło na myśl o paszczy ociekającej ciepłym tłuszczem i spływającej do przetyku soczystej krwi. Podwinął skrzydła i gwałtownie skierował się ku ziemi, wiatr szumiał wśród sopli jego zamrożonej grzywy.

Zbliżywszy się do ofiary, smok zauważył w ziemi czarny okrągły otwór — kryjówkę. Foka w każdej chwili mogła wskoczyć do wody i zniknąć w okowach lodu. Zwierzę okazało się szybsze od niego. Skrzydła smoka zatrzepotały gwałtownie. Zahipnotyzowany głodem, nie mógł zauważyć zacisniętej wokół szyi foki liny, która wciągała ją do kryjówki.

Zwierzę zniknęło w przeręblu. Myśliwy jednak nie poddawał się. Tak jak to robił zazwyczaj w podobnych sytuacjach, zanurzył głowę w lodowatej wodzie, mając nadzieję, że zdąży złapać płetwę lub ogon.

Otwór był pusty. Była to jaskinia, której ściany pokrywał lód i skały. Foka leniwie posuwała się coraz głębiej. Po odgłosie smok poznał, że dalej znajduje się coś w rodzaju zsypu. Wtedy też poczuł zapach martwego ciała... zwierzę okazało się starą padliną. Nie chcąc pozbawiać się złudzeń, rozdrażniony smok wyciągnął elastyczną szyję i próbował złapać chociaż jeden kęs pożywienia. Uderzenie metalowej, ciężkiej kłamy przywołało go do rzeczywistości. Narzędzie zacisnęło się na jego szyi tak mocno, że gwałtowne szarpnięcia głowy rozgniewanego Kerisa nie uwolniły go od niej.

Skuliwszy się, zniżył pysk ku ziemi i wypuszczając przez nos ogromną ilość po wietrzą, rozsądził zasłaniającą otwór zmarzlinę. Kiedy tylko mgła opadła, wyszukiwał znaku wroga. — Witam, Keristillax.

Głos dobiegał z tyłu. Biały smok, nie zwlekając, zarzucił ogonem, ale mówiący znajdował się poza zasięgiem jego uderzenia.

— Wielki z ciebie smok, ale zbyt impulsywny. Dlaczego nie pozwolisz mi mówić? — głos nieznanego był przekonujący. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, jedynie podziw.

Zbyt zaskoczony nieprzewidzianym biegiem wydarzeń powstrzymał się przed kolejnym atakiem. Postanowił zadać intruzowi kilka pytań, zanim zmiecie go z powierzchni ziemi.

— Kim jesteś? — Keristillax z kocim wdziękiem wysunął pazury w czterech spokojnie stojących na lodowatym gruncie łapach. Mrugając leniwie powiekami, dokładnie obejrzał ubra nego w za ciasną, skórzaną zbroję, stojącego przed nim człowieka. Kostium okrywał całe ciało z wyjątkiem twarzy. Miękkie rękawice i buty wyglądały jak jego skóra.

— Nazywam się Lord Salikarn, dla ciebie jestem Mistrzem i zamierzam polecieć na twoim grzbiecie, aby głosić chwałę naszej królowej.

Oddech Salikarna zamarzał w powietrzu. Był krępej budowy ciała, jego skóra była ciemna. Twarz zdobił silny podbródek i starannie przystrzyżone wąsy. Szlachetne spojrzenie doskonale współgrało z delikatnym tonem głosu i starannie dobieranymi słowami.

Keristillax odruchowo wstrzymywał oddech, pogrążając ubranego na czarno mężczyznę w śnieżnej nawałnicy. Ponownie wciągnął powietrze do płuc dopiero wtedy, kiedy upewnił się, że nieprzyjaciel jest kompletnie pokryty warstwą szronu. Nagle smok zorientował się, że jego ciało przeszywa mrowienie. Każdy najmniejszy mięsień naprężył się w bólu. Keris opuścił pysk i z niedowierzaniem spojrzał na stojącą przed nim pokrytą szronem postać. Obserwował, jak lód osadzony na czarnej skórzanej zbroi zamieniał się w parę. Lord Salikarn stał spokojnie, zasłaniając dłonią twarz przed kolejnym oddechem atakującego smoka.

Chociaż smoczy instynkt zachęcał Kerisa do kolejnego ataku, potężne zwierzę powstrzymało się, w obawie że i tym razem będzie on nieefektywny.

Nagle palący ból powalił Keristillaxa na ziemię. Zawył wniebogłosy, kiedy płomień ognia okrążył jego białą szyję i ból posunął się w głąb ciała. Miał wrażenie, że wypala pokrywające ciało łuski, docierając do mózgu i krwi. Resztkami sił chwycił za metalową obrożę, ale wtedy ogień zaatakował jego ramiona. W paraliżującej go agonii półprzytomny Keris upadł na grzbiet, uderzając boleśnie skrzydłami o twardy grunt.

Ogień zniknął tak szybko, jak szybko się pojawił. Stuliwszy ramiona i skrzydła, Keris stanął z powrotem na nogi. Mięśnie miał wciąż naprężone. Walczyły w nim dwa uczucia — strach i złość. Złość okazała się silniejsza. Skoro jego mroźny oddech nie jest w stanie pokonać wojownika, użyje swojej wielkości i jej mocą osiągnie zwycięstwo. Zaraz kiedy tylko Keris naprężył ciało, aby zaatakować,

jeszcze raz ogień ścisnął jego szyję za sprawą metalowego pierścienia. Upadłszy na śnieg, omdlały smok wił się w agonii. Jak poprzednio, palący ból nagle ustąpił. Przekonało to Kerisa, że magiczny ogień go nie zabije, dlatego zanim zdążył wstać, wziął głęboki oddech z zamiarem przeprowadzenia kolejnego ataku.

— Dlaczego ciągle chcesz mnie atakować? — Lord Salikarn zapytał uprzejmie. — Nigdy nie wygrasz, a bolesne, chociaż niewidoczne konsekwencje odczujesz za każdym razem.

Nagle Keris poczuł strach. Bał się tego człowieka jak nikogo dotychczas. Salikarn był zastraszająco beznamiętny i złowieszczo uprzejmy, zwłaszcza kiedy go torturował. — Nie zamierzam cię atakować ponownie — biały smok odpowiedział niechętnie. — Masz wielką duszę. To dobrze. Kiedy nauczę cię dyscypliny, będziesz wspaniałym wierzchowcem.

Keris przypominał sobie o wojnie wypowiedzianej przez Królową Ciemności. Jej armia właśnie się formowała. Spotkanie miało się odbyć na ognistym Khalkists. Nie zapomniano też o nim. Lord

Salikarn kontynuował, jakby czytał w jego myślach: —Taka jest prawda. Kiedy nauczysz się dyscypliny i za akceptujesz mnie, będziemy stanowić wspaniałą parę. —Jestem potężnym smokiem i nie potrzebuję człowieka, który będzie uczył mnie dyscypliny, przypalając moje ciało! — syknął Keris. —To prawda, masz siłę, ale jesteś głupcem. Popatrz tylko, jak łatwo wpadłeś w moją pułapkę. Czy naprawdę myślałeś, że foka szukała odpoczynku na lodowym wzgórzu? Wiedziałem, że będziesz zaślepiony głodem. Wystawiając przynętę przez otwór skamieniałego lodowca, wiedziałem, że bez problemu zacisnę obrozę na twojej szyi.

Jedno spojrzenie na opioną twarz stojącego przed nim człowieka przywróciło pokusę zadania kolejnego ciosu. Stał na tylnych kończynach, instynktownie wyciągając szpony z zamiarem rozerwania intruza na strzępy. Pokusa nie była jednak tak silna jak paraliżujący strach przed bólem. Dawne treningi nie poszły w niepamięć. Chociaż upłynęło od

tego czasu mnóstwo lat, Keris potrafił opanować wściekłość i strach. Wiedział, że cierpliwość jest w takiej sytuacji najlepszym lekarstwem. Zamierzał poznać nawyki i słabości wroga i dopiero wtedy go pokonać. —Jak mnie odnalazłeś? — zapytał, zniżając pokornie głowę, dając człowiekowi znak zgody. —Sam Takhisis podarował mi magię, która przeniosła mnie do tej odległej krainy. —Zatem jakie są twoje zamiary? — Keris obawiał się, że zna odpowiedź, a mężczyzna tylko ją potwierdzi. —Zostałem posłany, aby odnaleźć ciebie i przywołać do łaski naszej królowej — Lord Salikarn mówił ciepło, próbując przekonać Keristillaxa o słuszności sprawy. — Będzie wojna... jesteś silnym i potężnym smokiem. Razem zasłużymy na chwałę! —Cóż to za chwała, kiedy gnie się od uderzenia lancy? —Wygramy tę wojnę. Zginą żelazne smoki! — oświadczył Salikarn po raz pierwszy gwałtownym tonem. Biały smok przytaknął z nutką szacunku w głosie, tak aby mężczyzna nie próbował go przekonywać, że smoki Paladina zostaną pokonane w tej wojnie. — Takhisis buduje potężne imperium. Zgromadziła już liczną armię.

Keristillax milczał. Pamiętał doskonale, że w poprzedniej erze wyruszył do walki pod płaszczem Królowej Ciemności, ale zamiast obiecanej chwały, cały jego ród został wytępiony.

Nagle przysłała mu do głowy pewna myśl. Magiczna obroza atakowała go, kiedy próbował zranić rycerza. Dlaczego nie może zwyczajnie rozpostrzeć skrzydeł i odlecieć? Chociaż porzucenie aroganckiego intruza, nie ukarawszy go wcześniej, nie zadawało go dostatecznie. Chyba że była to jego jedyna szansa.

— Nie próbuj ode mnie uciekać — oświadczył człowiek. — Jaśnie Dostojna Pani osiągnie cię wszędzie. Będiesz nosił obręcz na szyi tak długo, jak długo ja będę żył. Przekonałeś się już, że nie możesz mnie zabić. Powinieneś też wiedzieć, że następna kara nie będzie tak miłosiernie krótka.

Keristillax wyczuł chłód w słowach lorda. W jakiś magiczny sposób rycerz reagował na myśli smoka, zanim on zdążył je

zwerbalizować. W tej sytuacji Keris postanowił udawać posłuszeństwo.. . aż zaufanie uśpi czujność wojownika i stworzy w ten sposób szansę na ucieczkę. —Co chcesz, żebym uczynił? — zapytał smok, opuszczając górne kończyny. —Wnieśmy się w powietrze. — Lord zrobił krok do przodu i Keris gościnnie obniżył ramiona, dotykając nimi ziemi. W prze locie zauważył tanie obucie mężczyzny. Salikarn wgramolił się na grzbiet smoka i jak zawodowy jeździec chwycił za gęstą grzywę. —Nie jest to twoja pierwsza przejażdżka — skomentował Keristillax, obracając do tyłu długą szyję, gdzie napotkał spoj rzenie jeźdźca.

— Nigdy nie dosiadałem tak ogromnego smoka jak ty — powiedział Lord Salikarn, ale Keris był wciąż zbyt oburzony, aby reagować na pochlebstwa.

Siedzący w rozkroku Salikarn obejmował szyję zwierzęcia osłoniętymi czarnym pancerzem kończynami. Nawet przez twardą, grubą łuskę Keris czuł nietypowe ciepło jego zbroi. Szybko



domyślił się, że kostium był magiczny i pozwalał mu znieść niską temperaturę.

Wreszcie Keris stęknawszy, wznosił się, rozpylając za sobą chmurę śniegu. Cień rzucany przez nisko wiszące słońce falował za nimi. Ołowiany ciężar jeźdźca ciągnął go w dół, jednak Keris nie poddawał się, uderzał skrzydłami z większą siłą, wznosząc się coraz wyżej i osiągając coraz większą prędkość.

Kiedy wreszcie znaleźli się daleko od lądu, biały smok odprężył się. Jeszcze raz uderzył skrzydłami z większą siłą, tyra razem kierując się na lewo w stronę wybrzeża, gdzie miał zamiar zapolować na tłuste fokki. Zamiar ten pojawił się w jego głowie jednocześnie z przerażającym bólem. Kiedy ustąpił, Keris jeszcze raz zdecydował się wyprawić w poszukiwaniu jedzenia. —Zawróć na prawo... i zanieś mnie do Lodowej Ściany Zamku — polecił Lord Salikarn. —Najpierw muszę zdobyć pożywienie! Jedzenie jest dla mnie jak modlitwa!

— Będziesz jadł, kiedy ja zdecyduję. A teraz zawracaj!

Keris wyobraził sobie, że rozgrzane dłonie Salikarma zamieniły się w ogniste kolce, które połączyły się z metalową obrozą, wywołując przerażający ból w jego szyi, po czym niechętnie zmienił kierunek lotu. Jak rozkazał jego pan, leciał ku wielkiej lodowej ścianie.

Nagle przyszedł mu głowy pewien pomysł. Był bardzo prosty i tak kuszący, że nie mógł mu się oprzeć.

Aby pokonać mężczyznę, nie musiał go atakować! Wystarczy, że gwałtownie zniży lot i wykona pełny obrót. Przy odrobinie szczęścia nie zobaczy rycerza nigdy więcej i znowu będzie wolny.

Nie zastanawiając się dłużej, Keristillax pochylił głowę i zabrał się do wykonania obrotu. Równocześnie z jego paszczy wydobył się skowyt w odpowiedzi na kolejny wstrząs. Czekał, aż ogień ogarnie jego ciało. Czuł, że jest posłuszny jakiejś nie wypowiedzianej głośno komendzie i posłusznie wyprostował skrzydła i szyję, rezygnując z zamiaru wykonania piruetu.

Po chwili cierpienie ulotniło się jak kamfora, pozostawiając bolesny ślad w świadomości. Keris ponownie się wznosił, z trudem odnajdując siłę do kontynuowania uderzeń.

— Teraz już wiesz, że nie ma przede mną ucieczki — rycerz mówił spokojnie, a jego głos dobiegał gdzieś z boku, jakby to nie on był siedzącym na grzbiecie smoka dręczycielem. — Twoja intencja był wyraźna, podobnie jak i kara, na którą zasłużyłeś.

Słuchając jego słów, Keris stracił na chwilę równowagę, ale natychmiast powrócił do poziomu lotu. —Jesteś dobrym wierzchowcem. Nie masz się czego obawiać. — Lord tkliwie poklepał smoka po szyi. —Dlaczego nie jesteś zły? — Keristillax był zaskoczony beznamiętną reakcją jeźdźca. — Czy nie złości cię moja zdrada? —Demonstrujesz swoją siłę i moc, smoku. Musisz jednak zrozumieć, że ja również posiadam moc. Razem stanowilibyśmy niezwyciężoną parę! Zdobylibyśmy dowództwo w Armii Bia łych Smoków. Czy możesz sobie wyobrazić podbój, jaki będzie my prowadzić? Keristillax milczał. Nie miał ochoty na podboje ani na przy

wództwo. Znał wagę przysięgi i był przekonany, że żadne ze zwykłych obietnic nie powstrzymają żelaznych smoków i ich śmiertelnych lanc przed wzięciem udziału w wojnie. Wcześniej czy później przybędą i pokonają całą ich armię. —Chciałbym zobaczyć, jak radzisz sobie w bitwie — oświadczył jeździec, delikatnie pochylając się do przodu. Jego palce przeczesaly ostrą szczecinę grzywy smoka. —Czy... czy mogę polecić na wybrzeże? — Keris zapytał nieśmiało. —Nie. Nasza droga prowadzi na wschód. Pozwalam ci jednak zapolować na zwierzę, gdziekolwiek je zobaczysz.

Tym razem Keristillax wyczuwał lekkie oburzenie w tonie rycerza. Chociaż lecieli przez pustkowia, wciąż była szansa, że natkną się na niedźwiedzia czy wędrujących barbarzyńców. Lecieli coraz szybciej. Słońce rozjaśniało blade skrzydła smoka, który skoncentrował teraz całą uwagę na poszukiwaniu jada. Keristillax był świadomy swojego dostojnego wyglądu. Czysta biel

połyskujących w słońcu łusek i rozpostarte skrzydła stanowiły wspaniały widok.

— Tutaj — polecił Lord Salikarn, klepiąc smoka po prawym ramieniu.

Obniżając prawe skrzydło, smok zmienił tor lotu, kierując się w stronę wskazanego urwiska. Od razu zobaczył polarnego niedźwiedzia, chociaż jego śnieżnobiały grzbiet zlewał się z kolorem zimowej krainy. Przez moment Keris podziwiał tak bystre oko jeźdźca, jego umiejętność dostrzeżenia tak zakamuflowanego ssaka. Cień smoka pokrył urwisko. Kiedy tylko niedźwiedź zorientował się, że jest w niebezpieczeństwie, w dzikim pędzie opuścił kryjówkę w spokojnym urwisku i zaczął zbiegać po skalnych stopniach. Dystans między ofiarą i przeciwnikiem zmniejszył się, niedźwiedź zawył przeraźliwie, wiedząc, że jego przeznaczenie jest bliskie. Kiedy smok wyciągnął szpon, aby sięgnąć ofiarę, ta desperacko chwytając się ostatniej deski ratunku, zdecydowała przeskoczyć z jednego stopnia na drugi... niestety, dystans okazał się dużo większy, niż się spodziewała.

# 41. Smoki chaosu

Niedźwiedź drapał zbocze lodowej ściany, odrywając kawałki lodu, ale jego ciężkie ciało nie zdołało utrzymać się w tej

pozycji zbyt długo i wkrótce półprzytomne zwierzę spadło w głęboką przepaść. Skowyt ustał wraz z gwałtownym uderzeniem o masyw lodu na dnie przepaści. Zwierzę było prawie martwe, kiedy Keris dotarł do podstawy urwiska i usadowił się obok ofiary. Smok opuścił stopy, pozwalając Lordowi zsunąć się z jego grzbietu. Wyglodniałe zwierzę oderwało wielki kawał ciała niedźwiedzia i zabrało się do jedzenia.

Lord również nie przepuścił okazji — z przyrządów, które miał przy sobie, uformował małe palenisko. Za pomocą suchej huby rozkrzewił ogień i podpalił zebrane mszaki. Następnie nabił na patyk kilka płatów mięsa i opiekł je w ognisku, aby się posilić.

Ciepłe, soczyste mięsiwo wypełniało głodny brzuch smoka. Kojące upojenie rozlało się po całym ciele. Spojrzał na swojego towarzysza, naokoło którego roztopił się śnieg. Coraz więcej pytań pojawiało się w jego głowie.

— Co robisz, żeby nie zamarznąć? — zapytał śmiało. — Większość ludzi musi owijać się w futra, aby przetrwać w lodu wej krainie. Salikarn uśmiechnął się łagodnie. — Zbroja, którą mam na sobie, jest podarkiem od samej Takhisis. Wystarczy, że w czasie dnia jestem na słońcu, w nocy ogrzewa mnie magia. — Zatem zdołasz przetrwać podróż, zanim dotrzemy na północ. Wybierasz się na Szczyt Fatum? — Wspomnienie pło miennego wzgórze i gorącego wiatru otaczającego miasto Sanc- tion sprawiło, że żółć napłynęła mu do gardła. — Oczywiście — być może Salikarn odczytał myśli smoka, bo zaśmiał się, potrząsając głową. — Nie martw się, Pani Ciem ności posyła białe smoki na południowe wzgórze. Wulkany można tam spotkać bardzo rzadko, a czasami zdarza się, że spadnie trochę śniegu. — Znam te góry — Keris odpowiedział bez entuzjazmu. Nie mogły zrobić na nim wrażenia małe opady śniegu, kiedy dane mu było poznać wielkość wspaniałego lodowca. — Tak czy inaczej, wojna zacznie się niedługo. Prawdopo dobie za pięć lub dziesięć zim. Wtedy świat dowie się o naszej

obecności, pozna naszą moc i potęgę. Tak jak mówiłem, my będziemy na południu. — Czy po wojnie mogę wrócić do swojego zamku? Salikarn potrząsnął głową.

— Zamek ten zostanie przeznaczony na legowisko dla Ter-risleetixa. Będzie on górą naszej królowej.

Wiadomość ta nie zaskoczyła Kerisa, ale mimo to nie mógł on powstrzymać przyływu złości. Sleet, którym pogardził, miał odziedziczyć jego wspaniałe legowisko! — Wspomniałeś, że świat dowie się o naszej obecności. Czy chcesz powiedzieć, że teraz musimy się ukrywać? — Tak. Polecimy do Khalkists okrężną drogą, omijając królestwo ludzi i elfów. — Chcesz lecieć nad oceanem? — Szara woda południowe go Courrain nie przerażała Kerisa. Wiosną będzie mógł podziwiać płynącą oceanem krę, lodowe wyspy urozmaicające mono tonny morski pejzaż. Nie zabraknie też towarzystwa zwierząt morsów i wielorybów. — Ominiemy i wylądujemy gdzieś na zachodzie Silvanesti. Stamtąd w godzinę dotrzemy do osady olbrzymów i będziemy już prawie na wzniesieniu Khalkists. — Czeka nas długi lot. — Keris wiedział już, że brązowe pasmo na północ od lodowca było krainą zwaną Plains Dust. Przywołał w pamięci obraz Ansalonu sprzed Katakizmu i próbował zarysować plan drogi, którą miał do przebycia. — Czy mogę ufać twoim starym skrzydłom? — zapytał Salikarn i spojrzał na smoka rozbawiony. — Jeżeli będzie to konieczne, zatrzymamy się nad brzegiem jeziora, aby odpocząć, chociaż to dosyć jałowe wybrzeże. — Lot nad oceanem nie będzie

łatwy. Myślę, że w połowie podróży dobrze by było zatrzymać się u podstawy góry lodowej'. W ten sposób możemy zyskać pewność, że pozostajemy poza polem widzenia. —Dobrze. A teraz pozwól mi zasnąć — oznajmił Lord. — Tobie radzę zrobić to samo. Lot rozpoczniemy nazajutrz wraz z pierwszym blaskiem jutrzeńki.

Lord Salikarn zmiotł śnieg z płaskiego kamienia i ułożył się do snu. Już po minucie pierś wojownika unosiła się i opadała w miarowym rytmie jego snu. Smok przykucnął tuż obok niego. Przez chwilę Keris rozważał kuszącą szansę zaatakowania rycerza, ale wspomnienie ognia palącego jego szyję odwiodło go od tego zamiaru. Usiadł na lodowatej ziemi i czekał na poranek.

Z cierpliwością i mądrością smoka, który przeżył wiele stuleci, zastanawiał się nad sposobem uniknięcia przeklętej wyprawy. Za wszelką cenę nie chciał ponownie oglądać ognistych gór, żelaznych smoków i ich śmiertelnych lanc.

Myślał o metalowej obroży i mężczyźnie, któremu ona służyła. Z jakiegoś powodu nie czuł do niego nienawiści. Wręcz miał dla niego wiele szacunku, zwłaszcza za sposób, w jaki się do niego odnosił. Czuł, że Salikarn nie jest zbyt srogi, ale przyznał, że jego obecność była bardzo uciążliwa. Kipiało mu w głowie od natłoku myśli. Zastanawiał się nad słabościami mężczyzny.

Lord Salikarn zbudził się niespodziewanie. Obmył twarz śniegiem i oświadczył, że muszą się wznieść. Keris zauważył, że rycerz kuli się i trzęsie z zimna. —Czyżby zawiódł cię twój magiczny pancerz? — zapytał, leniwie mrugając powiekami. —Jego działanie jest ograniczone. Kiedy tylko wzniesiemy się w powietrze, gdzie ogrzeje mnie słońce, czary zaczną działać, jak wcześniej.

Keris pochylił głowę i Lord usiadł na jego grzbiecie. Nie myśląc więcej o ucieczce, smok posłusznie podporządkował się rozkazom Salikarna i wznieśli się w powietrze. Znając już ciężar ciała rycerza, smok stopniowo zwiększał dystans między nimi a lodowcem. Kiedy wynurzyli się z mgły i światło dzienne oblało ich ciała, Keristillax poczuł na grzbiecie nieprzyjemne ciepło magicznej zbroi. Ciepła pora roku dopiero zawitała do tej krainy, ale na niebie nad ich głowami nie było ani jednej chmurki. W drobnych cząsteczkach lodu zawieszonych w arktycznym powietrzu odbijało się słońce.

Kiedy podróżni wzbili się ponad tysiąc stóp ponad ziemię, smok zapytał: — Dokąd chcesz lecieć, Mistrzu?

Jego głos drżał, wspomnienie bólu wywoływanego metalową obrozą było wciąż świeże.

— Polecimy do Lodowej Ściany i pamiętaj, że powinieneś kierować się na wschód — oznajmił mężczyzna.

Keris posłusznie zastosował się do polecenia. Powietrze było chłodne. Wraz z pokonywaną odległością, coraz bardziej zanurzali się w mlecznej, mroźnej mgłę, która z czasem przeszła w gęste, przysłaniające słońce chmury. Keris rozkoszował się podmuchem zimnego wiatru. Chłód nie przeszkadzał również rycerzowi. Lecieli z prędkością, która sprawiała, że godziny mijały tak szybko, jak pokryta śniegiem kraina.

Minęli właśnie opustoszałą wioskę barbarzyńców, miejsce, które Keris odwiedzał niejednokrotnie. Jej mieszkańcy, ci, którzy przetrwali, musieli wyemigrować na północ i osiedlić się w tundrze. Lord polecił smokowi okrążyć opuszczoną osadę. Z lotu ptaka penetrował zniszczone legowiska i wielkie, wykute z lodu konstrukcje — sterczące w górę długie maszty sugerujące kształt zniszczonej budowli.

Przez kilka kolejnych godzin polarne niebo było czyste i Lord nie przestawał z zainteresowaniem obserwować okolicy, komentując od czasu do czasu specyficzne elementy lodowca. Zwinnie obracał się w siodle, jego magiczny pancerz wystawiony na działanie promieni słonecznych, utrzymywał odpowiednią temperaturę.

Dolecieli wreszcie do odległej krainy pokrytej czarnymi skałami, uformowanymi przez nie kończące się sople lodu smagane przybrzeżnymi falami. Wiatr i fale porywały nadmorskie skały i polerowały ich lodowatą powierzchnię. Wzburzona, szara woda oceanu pieniała się od gwałtownych uderzeń o skały. Tu i ówdzie widać było wielkie połacie bieli. Keris wiedział, że to oderwane fragmenty lodowca. Niektóre z nich był prawdziwymi lodowymi górami. Iglice sięgały do stu, a nawet ponad stu stóp wysokości nad poziomem morza. Inne wyspy były płaskie i wyglądały jak wypuszczone na morze tratwy. — Teraz skieruj się na wschód. — Lecimy przez tyle godzin — skomentował Keris. — Może powinniśmy na chwilę przystanąć i zregenerować siły.

Powiedziałeś wcześniej, że zatrzymamy się najednej z lodowych gór, a jest ich przed nami całe mnóstwo. — Odpocznijemy o zmierzchu — zdecydował Lord. Morze wyglądało jak wielkie szare prześcieradło. Jego bez miar i ogrom nie przerażał wspaniałego lotnika.

Lord Salikarn natomiast w obliczu wodnej przestrzeni był zależny wyłącznie od smoka. Od niego zależało jego życie.

Mężczyzna przysunął się do szyi smoka. Ale ten nie zwrócił na to uwagi, był zajęty podziwianiem lodowca. Lodowca, który należał do niego. Czuł w sobie moc i siłę. Kiedy wreszcie zaczął zapadać zmrok, Keris rozglądał się za miejscem do lądowania. Wybrał ogromną lodową górę o długim prostokątnym szczycie. Górę otaczała przepaść zamarzniętego morza. Szczyt był płaski i rozszczepiony przepaścią na dwie części.

— Jest tu dużo miejsca, więc nawet jeżeli góra się rozszczepi, powinniśmy być bezpieczni — oświadczył smok i uzyskawszy zgodę Mistrza, skierował się ku większej powierzchni góry lodo wej. Ustawił ciało w pozycji pionowej, aby łagodnie wylądować na pokrytej lodem śliskiej powierzchni. Kiedy już prawie dotknął gruntu, zobaczył przepaść dzielącą skałę na dwa fragmenty o szpi czastych krawędziach. Nie mogli widzieć jej z daleka z powodu przykrywającego ją śniegu. W rzeczywistości była wystarczająco szeroka i głęboka. Smok, zbierając wszystkie siły, próbował się wznieść, ale ciężar jeźdźca ciągnął go ku ziemi. Lądując niezde cydowanie, wpadł w poślizg na zlodowaciałej powierzchni. Przed nie łapy pomyślnie stanęły na ziemi, za to tylne nie zdołały wzbić się w wypolerowaną przez wiatr i lód płaszczyznę.

Rozpędzone ciało mknęło do przodu, aż uderzyło o krawędź nie zauważonej wcześniej rozpadliny, kalecząc prawe skrzydło smoka. Keristillax, wyjąc, staczał się do przepaści. Lord Salikarn uchwycił się mocno smoczej grzywy. Spadali. Okruchy lodu sypały się razem z nimi, kiedy Keris próbował powstrzymać upadek, hamując szponami o brzeg ściany.

Wylądowali wreszcie u podstawy ściany lodowej góry. Leżeli przez jakiś czas nieruchomo. Przed nimi rozciągało się wzburzone morze. Pieniało się, smagając lodowe skały. Nie mieli

1A7

zbyt wielkiej szansy na ucieczkę. Zmęczony Keristillax opadł na ziemię tuż u podstawy lodowej przełęczy. Jego skrzydła wyglądały jak pogniecione błony, ból przeszywał pachwiny.

Salikarn ześlizgnął się z grzbietu smoka i spojrzał na niego z przerażeniem, kiedy ten próbował się poruszyć. Mężczyzna zbladł jeszcze bardziej, gdy Keris wydał z siebie przeraźliwy jęk i odruchowo zwinął skrzydła.

— Złamałem kość — wydusił smok, trzęsąc głową w prze rażającym bólu.

Lord Salikarn odwrócił się powoli i przyłgnąwszy do lodowej ściany, rozejrzał się na prawo i lewo. Nie było nadziei. Nic, tylko wzburzony ocean zakończony zamglonym horyzontem. Mężczyzna spojrzał jeszcze raz na smoka.

— Czy jest jakaś szansa na to, że zdołasz unieść się w po wietrze? Keris próbował rozpostrzeć ramiona. Niestety, próba się nie udała i z wielkim jękiem szybko zwinął je z powrotem. — Nie mogę

ich wyprostować. —Dobrze, wobec tego zostaniemy tutaj, aż odzyskasz siły i będziesz mógł latać.

Nastała noc. Lord przyjął najwygodniejszą pozycję, jaką zdołał. Zarówno on, jak i smok wyglądali jak małe bezbronne istoty w otoczeniu lodowca i szalonego morza.

Kropelki wody ślizgały się po skórzanej zbroi rycerza i Keris wiedział, że magia wciąż działa. Powoli jednak i stopniowo szron osadzał się na jego ramionach i nogach. Mężczyzna drżał coraz bardziej. Białe światło słoneczne nie wróżyło dobrego końca. Nie było nadziei na ład ani statek, ani nawet słońce. Niedługo potem mgła rozprzestrzeniła się po całej krainie, pozostawiając jednak odsłonięty horyzont wyznaczony przez górną krawędź wysokiej ściany lodowatego wąwozu.

Zrozpaczony Lord Salikarn wpatrywał się w zamgloną przestrzeń, ale drogocenne światło nie docierało do dna przepaści. Nawet gdyby Keris zdołał stanąć na tylnych łapach, promienie słoneczne wciąż nie zdołałyby ich osiągnąć. Wzburzone wiatrem fale wkrótce obróciły lodową wyspę i zanim się spostrzegli, zapadł zmrok.

—Czy prąd morski zanieś nas do wybrzeża? — zapytał mężczyzna, szczękając zębami. — Dryfujemy na południe — oświadczył Keris, wzruszając ramionami. — Możemy tylko czekać i patrzeć — dodał, spoglądając w przestrzeń, skąd dolatywał zapach fok.

Noc przybyła wraz z przerażającym wiatrem i śniegiem. Świat zamienił się w jeden wielki sztorm.

Zmarzniętym ciałem Lorda wstrząsały konwulsje. Śnieg zamarzał na jego czarnej skórzanej zbroi. Skóra stała się biała od licznych odmrożeń. —Bylibyśmy wspaniałą parą — powiedział resztkami sił. Jego głos był ledwie słyszalny na tle uderzających morskich fal. —Myślę, że masz rację — zgodził się Keris. — Nie po wstrzymałyby nas nawet ogniste góry.

Nawet w otoczeniu ciemności i lodu smok nie był w stanie mówić o ognistych górach zupełnie wyzbytym strachu głosem. Słowa dolatywały coraz mniej wyraźnie do uszu Salikarna.

Następnego dnia mężczyzna nie obudził się. Keris pochylił się nad jego fioletowym ciałem i nie miał wątpliwości, że oczy, w które spojrzał po raz ostatni, są martwe.

Z satysfakcją wymieszaną z lekkim żalem, smok wzruszył ramionami i poczuł, jak metalowa obroza zniewalająca jego szyję złamała się i upadła. Keris spojrzał jeszcze raz na ciało martwego mężczyzny. Szron pokrył kończyny i pozbawioną życia twarz. Biorąc pod uwagę sługi Królowej Ciemności, które mogły zostać wysłane w poszukiwaniu starego smoka, Lord był jednym z lepszych. Keristillax współczuł towarzyszowi. Miał tak dużo woli i ochoty, aby służyć Takhisis w prowadzeniu wojny.

Zirytowany Keristillax odwrócił się w stronę krawędzi lodowatego urwiska. Wiatr szarpał jego rozczapierzoną grzywę — prawdopodobnie był kilkaset mil od domu, ale nie miało to już więcej znaczenia.

Biały smok rozpostarł powyginane skrzydła. Czuł, jak ich siła unosi go coraz wyżej. Kiedy znalazł się w powietrzu, skierował się w stronę lodowca, który jeszcze należał do niego.

## DRAGONLANCE

Do wszystkich zainteresowanych. Krynn jest światem z epoki, w której żyją niewyobrażalnie potężne smoki i panuje moc magii, a wszystko po to, aby odnowić krajobraz zdewastowany po Wojnie Lanc. To kraina, gdzie kolor szaty noszonej przez czarodzieja zdradza rodzaj używanej przez niego magii. Jednakże życie ludzi zamieszkujących Ansalon nie jest tak łatwe jak w wypadku magów. Dobro nie jest białe, a zło czarne. Przybrały szary odcień. W świecie rozdartym przez wojny i pełnym rozgrywek, dzielących istoty na dwie opozycyjne nacje, rodzą się liczni bohaterowie i związane z nimi legendy.

Bohaterowie sagi DRAGONLANCE® to wojownicy, magowie, kapłani, ale również zwykły,

zmagający się z codzienną egzystencją lud. Prości ludzie, którzy wykonują swoje obowiązki, chociaż nie przynosi im to chwały. Rozgłosu nadaje im przemoc i śmierć zadawana innym. Bohaterowie tej sagi to również młodzi, zuchwali rycerze, którym przypadło jak najwięcej zaszczytów podczas wojny niezależnie od horroru, w jaki się ona zamieni. I chociaż wszyscy wspomniani są bohaterami, kronika ta zdołała opisać zaledwie niektórych.

W naszej opowieści spotkacie nie tylko ludzi. Występują też elfy, karły, skrzaty, a nawet — zakazani bogowie — kender! Bohaterowie przybierają różne formy i rozmiary. Są różnej płci i różnych narodowości. Łączy ich jedno: działanie.

Bohaterowie w przeciwieństwie do tych, którzy spokojnie czekają na napastnika, robią wszystko, co w ich mocy, aby powstrzymać pogromcę. Królowa Ciemności, Takhisis, mając do pomocy smokowców — sługi zła — pragnie zapanować nad Krynnem. Jej przeciwnicy, wspierani przez innych bogów, próbują stawić czoło złu. Niektórzy robią to z własnej woli, pozostali zaś... nie mają wyboru. Właśnie oni są prawdziwymi bohaterami sagi DRAGONLANCE i o nich mówią zawarte w tej kronice opowiadania.

## O AUTORACH

Mark Anthony zainicjował powstanie szeregu opowiadań i powieści, których akcja toczy się w światach gier FORGOTTEN REALMS®, DRAGONLANCE® i RA YENLOFT®. Jego ostatnia książka *Shores of Dusk* opisuje dalszy ciąg losów Drizzta Do'Urdena — popularnego bohatera trylogii „Dolina Lodowego Wichru” i trylogii „Mrocznego elfa”. W zamieszczonym tu opowiadaniu *Wzniosie szaleństwo* Mark czerpał z własnych doświadczeń alpinistycznych, zdobytych w górach jego rodzimego stanu Colorado (w którym nie znalazł dotychczas żadnego smoka).

Linda P. Baker jest autorką powieści *Lrdowie*, stanowiącej część cyklu „Zaginionych opowieści DRAGONLANCE”. Pisała również nowele zamieszczone w poprzednich zbiorach opowiadań z tej serii oraz w *The History of DRAGONLANCE*. Linda mieszka w Mobile w stanie Alabama wraz ze swym największym fanem — mężem Lanym.

Sue Weinlein Cook pracowała z początku jako reporterka i redaktor prasowy. Później jednak porzuciła swe dziennikarskie aspiracje i zatrudniła się w dziale książkowym TSR. Obecnie pracuje w sekcji gier, gdzie odpowiada za przygotowanie DRAGONLANCE: FIFTH AGE®.

Weinlein i jej mąż — projektant gier, Monte Cook — mieszkają w liczącym sto lat domostwie, które niegdyś służyło za kościół. Mają tam królika, kolekcję smoków i komiksów, a także mnóstwo książek.

Jeff Grubb jest pisarzem, projektantem gier i — ogólnie rzecz biorąc — sympatycznym facetem. Spod jego pióra wyszły *Lord Toede*, *Knorrman Steel* oraz *Charonti Bone*. Jest również współautorem powieści *Cormyr* (z *Edem Greenwoodem*), a wraz z żoną, *Kate Novak*, odpowiada za trylogię „*Finder's Stone*”, m.in. *Finder's Bane*. Obecnie pracuje nad kolejnym tomem tego cyklu, zatytułowanym *Tymora's Luck*; zastanawia się przy tym, co by się stało, gdyby gnomy przejęły kontrolę nad Kongresem USA.

Richard A. Knaak to autor powieści (m.in. bestsellerowej *Legenda o Humie* i cyklu „*Smocze królestwo*”), które sprzedały się już w nakła dzie przekraczającym milion egzemplarzy. Tłumaczono je na język niemiecki, włoski, hiszpański, polski, japoński, czeski i rosyjski. Knaak pisuje też regularnie opowiadania zamieszczone w serii DRAGONLAN-CE. Jego ostatnie dzieła to m.in. *Land of the Minotaurs*, współczesna powieść fantasy *Dutchman* oraz kolejny tom z cyklu „*Smocze królestwo*”, zatytułowany *The Horse King*.

Adam Lesh jest fanem RPG i początkującym powieściopisarzem. Debiutował w wydanym przez TSR tomie *The History of DRAGONLANCE*, a jego opowiadanie *Quarry* zamieszczono w antologii

## The Dragons at War.

Teri McLaren wykłada literaturę i historię średniowieczną na Uni-versity of Louisville. Jest autorką kilku powieści z cyklu MAGIC: THE GATHERING, m.in. Przeklęta kraina, Song of Time, wraz z kontynuacją, Shadows of Time. Na potrzeby antologii Dragons at War napisała też opowiadanie Nature of the Beast. Wraz z mężem zamierza zdobyć szczyt Kilimandżaro.

Roger E. Moore pracuje w TSR i od lat fascynuje się historią alternatywną. Dał słowo, że po raz pierwszy i ostatni przyłożył rękę do powstania cyklu DRAGONLANCE, i z góry dziękuje czytelnikom za cierpliwość i wyrozumiałość. Zamieszczone tu opowiadanie dedykowane jest Gregowi, który już za kilka lat będzie umiał się z nim zapoznać i niewykluczone, że oceni je pozytywnie.

Douglas Niles to autor wielu bestsellerów, publikowanych w seriach DRAGONLANCE i FORGOTTEN REALMS. Napisał również trylogię powieściową wydaną przez Ace Fantasy, w której stworzył swój własny świat — Watershed.

Nick O'Donohoe jest autorem opowiadań, zamieszczonych w serii DRAGONLANCE. Napisał również kilka powieści z cyklu Crossroads: The Magic and the Healing (uhonorowaną przez stowarzyszenie bibliotekarzy tytułem „najlepszej powieści dla młodzieży”), Under the Healing Sign oraz The Healing of the Crossroads.

Janet Pack to zagorzała wielbicielka kotów; mieszka w Williams Bay w stanie Wisconsin. Jej kompozycje zamieszczono w książkach

Leaves from the Inn of the Last Home, The History of DRAGONLANCE oraz cyklu „Brama śmierci” autorstwa Margaret Weis i Tracy'ego Hickmana. Napisała też opowiadania publikowane w tomach The Dragons of Krynn, The Dragons at War, Fantastic Alice i Cat Fantastic IV. Wraz z Margaret Weis zajmuje się również projektowaniem biżuterii dla ich wspólnej firmy The Medicine Wheel.

Chris Pierson to wieloletni fan DRAGONLANCE, pochodzący z Whitby w kanadyjskiej prowincji Ontario. Jako autor opowiadań Chris debiutował w antologii The Dragons at War. Publikował również swoje teksty w magazynie „Dragon®”, a obecnie pracuje w bostońskiej firmie produkującej gry komputerowe.

Jean Rabę hoduje złote rybki, interesuje się samolotami z okresu I wojny światowej i uwielbia podróżować po świecie Krynn. Napisała dwie powieści z cyklu DRAGONLANCE: FIFTH AGE {The Dawning of a New Age oraz The Day of the Tempest). Jest również współautorką powieści Maqueta Kar-Thon, opublikowanej w serii DRAGONLANCE: The Warriors. Spod jej pióra wyszły też powieści Red Magic, Secret of the Djinn i Night of the Tiger.

Kevin T. Stein jest autorem powieści Brothers Majere i opowiadań zamieszczonych w innych antologiach wydanych przez TSR. Opublikował też m.in. The Fall of Magic (jako D.J. Heinrich) [w wydawnictwie TSR], Twisted Dragon [w wydawnictwie Ace] i The Guide to Larry Niven's Ringworld [w wydawnictwie Baen].

Margaret Weis i Don Perrin to małżeństwo zamieszkałe w pobliżu Lake Geneva w stanie Wisconsin. Prowadzą tam własny sklep z książkami oraz grammi science fiction i fantasy. Ostatnio wydali dwie nowe książki: Brygada śmierci [TSR] i Robot Blues [wydawnictwo Roc]. Margaret Weis ukończyła niedawno powieść Kuźnia dusz, opisującą wczesne lata życia Raistlina i test, który przeszedł on w Wieży Wielkiej Magii. Internetową witrynę Margaret i Don można znaleźć pod adresem [www.mag7.com](http://www.mag7.com).